

BESTSELLEROWA MIĘDZYNARODOWA SERIA THRILLERÓW

Największa
magiczna sztuczka
w historii thrillerów!

ABC

Wszystkie postaci
doprowadzone są
na skraj wytrzymałości.
Jesús de Matías Batalla

BIAŁY KRÓL

REY BLANCO

JUAN GÓMEZ-JURADO

SCN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

BIAŁY KRÓL
REY BLANCO
JUAN GÓMEZ-JURADO

TŁUMACZENIE: BARBARA BARDADYN

KRAKÓW 2023

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Koniec

Wiadomość

Część pierwsz. Antonia

1 Samolot

Carla

2 Kostka

3 Zawiniątko

4 Kontuar

5 Kwatera

6 Pytanie

Co stało się w Brukseli

Co naprawdę stało się w Brukseli

7 Brama

8 Wyjątek

9 Spotkanie

10 Zlecenie

Część druga. Jon

1 Wózek

2 Uznanie

3 Pysznic

4 Kebab

5 Zobowiązanie

6 Wizyta

7 Na stronie

8 Samochód elektryczny

9 Pewien etap

10 Kolejny kontuar

11 Patio

Madryt, 14 czerwca 2013

12 Stukot obcasów

Co zrobili wtedy

13 Wybuch śmiechu

Víctor

14 Drzwi wejściowe

15 Prychnięcie

Co zrobili wtedy

16 Matka

17 Salon

Sto szesnaście sekund wcześniej

18 Błąd

19 Uścisk

20 Telefon

21 Tykanie

Część trzecia. Sandra

1 Materac

Co zrobili wtedy

2 Adres

Dziewięć minut wcześniej

3 Lego

4 Zdanie

Co zrobili wtedy

5 Miejsce zbrodni

6 Schody

Trup, cztery lata wcześniej

7 Bilet

8 Dziadek do orzechów

9 Palec

Co zrobili wtedy

10 Wizyta

11 Nachylenie

12 Sala

13 Czekanie

14 Kwestionariusz

Interludium

Chronometr

Część czwarta. White

1 Miła twarz

2 Butla

3 Grzechy, które wracają

4 Siedem migawek

5 Telefon

6 Korek

7 Przestrach

8 Toblerone

9 Wiadomość

10 Poddasze

11 Teoria

12 Koszmar

13 Bułgarskie słowo

14 Pierwszy błąd

15 Miejski policjant

16 Wieża

17 Przyjęcie

18 Przyjęcie

19 Gabinet

20 Zbrodnia

21 Jagańskie słowo

22 Dwa obrazy

23 Ostatnia zagadka

24 Odmowa

Epilog

Rekonwalescencja

Początek

Podziękowania

Karta redakcyjna

Karta redakcyjna

*Dla Babs,
bo ją kocham*

*Dla Carmen
za lojalność*

*Dla Antonii
za użyczenie imienia*

Koniec

Antonia Scott nie ma nawet trzech minut.

Dla innych osób trzy minuty mogą być małym wycinkiem czasu.

Nie dla Antonii. Powiedzmy, że jej umysł jest zdolny do przetwarzania mnóstwa informacji, lecz głowa Antonii nie jest jak twardy dysk. Powiedzmy, że potrafi wyraźnie zwizualizować pełny plan Madrytu, lecz głowa Antonii nie jest jak GPS.

Umysł Antonii Scott przypomina raczej dżunglę – dżunglę pełną małp, które z największą prędkością skaczą z jednej liany na drugą, przenosząc różne rzeczy. Mnóstwo małp i mnóstwo rzeczy, przecinających się w powietrzu i pokazujących sobie kły.

Tyle że Antonia nauczyła się je oswajać.

Potrzebuje tego. Ponieważ Antonia Scott nie ma trzech minut. Dwaj mężczyźni w kominiarkach (i kobieta o miłej twarzy) porwali właśnie jej partnera, inspektora policji Jona Gutiérreza.

Antonia Scott nie biegnie za furgonetką. Nie woła o pomoc. Nie dzwoni, zdesperowana, na policję.

Antonia Scott nie robi żadnej z tych rzeczy, ponieważ Antonia Scott nie jest taka jak ktokolwiek z nas.

Zamiast tego stoi w miejscu.

Dziesięć sekund. To wszystko, na co sobie pozwala.

W ciągu dziesięciu sekund – z zamkniętymi oczami i rękami opartymi o ścianę budynku, żeby opanować panikę – Antonia potrafi:

- ustalić trzy najbardziej prawdopodobne trasy wyjazdu z centrum miasta;
- przywołać w myślach wszystkie szczegóły furgonetki i te dotyczące porywaczy;
- wyznaczyć kierunek działań, żeby uratować życie Jona.

Otwiera oczy.

Wybiera specjalny numer telefonu. Daje tym samym Mentorowi znak, że po odebraniu nie może nic mówić. Tylko słuchać i wykonać polecenie.

Antonia dyktuje mu dokładne słowa, jakie ma zawierać powiadomienie (10-00 Inspektor Gutiérrez, 10-37 Mercedes Vito, najwyższy priorytet), numer rejestracyjny pojazdu (9344 FSY) i kolor (oczywiście biały). Następnie wybiera jedną z trzech możliwych tras. Jeden jedyny wyjazd z miasta, gdzie należy wysłać wozy patrolowe.

Pirámides, Madrid Río, Legazpi.

Z tych trzech najtrudniejszą, najwolniejszą, najmniej prawdopodobną jest Madrid Río. Aleja Santa María de la Cabeza jest zawsze zablokowana. A tuż przy wyjeździe znajduje się komisariat policji.

Antonia odrzuca ją natychmiast.

Zostają Legazpi i Pirámides.

Wybiera Pirámides. Trasa krótsza, szybsza, najbardziej oczywista.

Nie jest łatwo. Gra toczy się o życie inspektora Gutiérreza. Kiedy od człowieka zależy uratowanie skóry jednej z trzech najważniejszych osób w jego życiu, powinien on podjąć racjonalną decyzję.

Ta decyzja taka nie jest. To jak rzut monetą.

A to nie podoba jej się ani trochę.

Wiadomość

Ruano w ostatniej chwili włącza kierunkowskaz. Zamiast skręcić w stronę komisariatu, jedzie w przeciwnym kierunku.

– Jeszcze jedno kółko. Masz coś przeciwko?

Jego partner patrzy na zegarek, wkurzony. Jest późno, jego zmiana skończyła się jedenaście minut temu i chce wrócić do domu, do żonki. Ale Osorio jest wyrozumiały dla nowicjusza. Jest koniec miesiąca. Nie żeby Ruano miał zaległości z mandatami. To, że policjanci miejscy muszą wystawić w miesiącu ich określoną liczbę, to tylko miejska legenda, oczywiście, że tak.

– Ile ci jeszcze brakuje?

– Piętnaście.

– Nie jest tak źle. Wystarczy, że jutro pojedziemy na plac Carlosa Piątego i uzbieramy tyle na złym parkowaniu.

Parkowanie „tylko na chwilę” przed barem El Brillante to nie jest dobry pomysł. Dla mundurowych, którzy spóźniają się z wypełnieniem limitów, to jak łowienie ryb w beczce. Dwukrotnie objechać rondo, znaleźć porzucony samochód, przywitać wygłodniałego frajera, gdy wraca do auta. Z nadgarstka zawsze zwisa biała reklamówka z kanapką z kalmarami starannie zawinięta w folię aluminiową. Niesamowity zapach, jaki wydziela, sprawia, że odzywa się żołądek każdego szanującego się madrytczyka. Ale frajerowi przechodzi głód, gdy tylko policjant wyciąga do niego mandat. Zapach jawi się nagle jako smród panierki i tłuszczu, który właśnie kosztował go dwieście euro.

W jedno popołudnie obrotny funkcjonariusz może nadrobić zaległości.

Ale Ruano tego nie lubi. Chłopak jest idealistą. Marzycielem. Słowem – kretynem. Możliwe, że ma to jakiś związek z jego poprzednią pracą. Albo

po prostu z tym, że jest młody. Przejdzie mu, jak przybędzie mu tłuszczu na dupie i zdrowego rozsądku we łbie.

Ruano lubi zapracować na swoją pensję. Kręcić się tu i tam i łapać prawdziwych przestępców. Tych, co gnają na złamanie karku wąskimi ulicami. Tych, co sprzedają marychę na rogach. Gdybym chciał łapać prawdziwych przestępców, zostałbym prawdziwym gliniarzem, odpowiada mu Osorio.

Ruano patrzy na niego i śmieje się za każdym razem, gdy to słyszy. To luzacki śmiech typowy dla pewnego siebie milenialsa. Wszystko go bawi.

- Zobaczysz, jak będziesz taki stary jak ja, zobaczysz.
- Masz trzydzieści siedem lat, Osorio.
- I wciąż jeżdżę w kółko z żółtodziobami.
- Może gdybyś robił coś więcej niż minimum...
- Może gdybyś poszedł się jebać...

Ruano jedzie na północny wschód. Skręca na pamięć. Doskonale znają ten trójkąt. Możliwe, że dziennie pokonują go kilkanaście razy. Rocznie – niezliczoną ilość. Byłoby tego więcej, gdyby aleja Santa María de la Cabeza nie była taka zakorkowana. O każdej porze, ale o tej szczególnie.

Na wysokości ulicy Arquitectura słyszą wiadomość przez radio. Osorio unosi brew, Ruano chmurzy czoło. Inspektor policji. Porwany. Na pokładzie białej furgonetki. Ten drugi otwiera usta, żeby coś powiedzieć, lecz nie pozwala mu na to natarczywy dźwięk.

Pripipri, pripiriri.

Monitor na desce rozdzielczej emanuje pomarańczowym, niczym strój więźnia, światłem. Na środku migają cyfry i litery.

9344 FSY

Radiowóz jest wyposażony w system OCR. Kamery rozmieszczone na dachu, na desce rozdzielczej i na błotnikach skanują tablice rejestracyjne samochodów, które mijają, i porównują je z bazami danych CISEVI, centrum monitoringu policji miejskiej w Madrycie. Tak na wszelki wypadek. W razie czego.

System nie jest idealny, ale czasami wyskakuje komunikat. Numer rejestracyjny i powód, dla którego należy zatrzymać dany samochód. A to został skradziony, a to kierowca nie zapłacił mandatów na kwotę tysiąca euro, a to w środku siedzi porwany inspektor policji.

– Nic z tego nie rozumiem – dziwi się Osorio. – OCR wskazuje „żółty megane”. Ale chodzi przecież o wiadomość dziesięć-zero zero sprzed chwili.

– To nie była biała furgonetka? – pyta Ruano ze wzrokiem wbitym w lusterko wsteczne.

Osorio się odwraca. Chwilę wcześniej minęli vito. Teraz dostrzega go wśród innych samochodów, zatrzymuje się na światłach przy Peñuelas. Stąd nie widać rejestracji.

– Zgłoś przez radio – mówi Ruano.

Podczas gdy Osorio przekazuje informację, auta jadą dalej. Ale nowicjusz wciąż stoi. Jeden z kierowców trąbi, lecz radiowóz nie rusza.

– Jadę za nimi.

– Nie możesz przejechać przez pas zieleni. Jest bardzo wysoki.

Ruano bębni palcami o kierownicę. Przerwa w pasie jest dopiero ponad sto metrów dalej. Za daleko.

„Załoga M58, potwierdź kontakt wzrokowy z podejrzanym pojazdem, odbiór”, prosi operatorka przez radio.

– Uciekną.

Furgonetka znika w lusterku wstecznym i Ruano już dłużej się nie zastanawia. Skręca, wjeżdżając na pas zieleni, i wciska gaz do dechy. Zderzak nissana leaf się odrywa, rozpryskując kawałki białego plastiku na żywopłocie, a z tyłu w geście protestu rozlega się jeszcze więcej klaksonów, ale Ruano udaje się pokonać przeszkodę i wjechać na przeciwległy pas.

– Załoga M58 w kierunku południowo-wschodnim na Santa María de la Cabeza. Jedziemy za mercedesem vito z dziesięć-zero-zero – mówi Osorio przez radio. Puszczą przycisk i zaniepokojony patrzy na Ruano. – Jesteś kompletnie szalony, młody.

- Uciekliby – odpowiada Ruano, wyciągając szyję.

Włącza światła, ale nie syrenę. Tyle wystarczy, żeby jadące przed nimi auta zjechały, robiąc im miejsce. Korek jest spory, ale pomagają dwa pasy. I strach przed mandatami również. Bo madrytczyk zjeżdża dwa razy szybciej, kiedy widzi okryte złą sławą niebieskie i białe kwadraty policji miejskiej, niż gdy nadjeżdża ambulans albo radiowóz policji krajowej.

Po kilku sekundach znowu dostrzegają biały dach furgonetki.

- Jak wjadą w tunel Acacias, mają przejebane. Damy znać i gotowe. Ci z krajowej zatrzymają ich po drugiej stronie.

- Jeśli przejadą przez most, to koniec – mówi Ruano, zagryzając dolną wargę.

Osorio wzdycha. Nowicjusz ma rację. Po drugiej stronie mostu furgonetka ma wiele możliwości. Mogą zgubić się gdzieś w Userze albo w Opañel. Po obu stronach są labirynty ulic i wiele dróg, którymi można wyjechać z Madrytu. Zbyt wiele.

„Załoga M58, nie interweniować, powtarzam, nie interweniować. Wysyłamy radiowozy z Pirámides. Czas przyjazdu: cztery minuty”.

- Trochę na to za późno, centrala – mówi Osorio do radia. Nieobecny tonem, niemal jakby do samego siebie.

Na skrzyżowaniu ulicy Esperanza z Santa María de la Cabeza ostatnie światła właśnie zmieniły się na czerwone. Furgonetka jest trzecim pojazdem czekającym w kolejce.

„Załoga M58, powtarzam, nie interweniować. Nie ujawniać podejrzanym swojej pozycji”.

Na to też jest już trochę za późno. Światła radiowozu, które utorowały im drogę aż do furgonetki, rzucają teraz niebieskie rozbłyski na karoserię mercedesa. Między nim a policjantami stoi tylko jeden samochód.

Dźwięk sygnalizacji przyspiesza, ostrzegając, że za chwilę zmieni się światło. Ostatni przechodzień stawia nogę na przeciwległym chodniku. Pierwszy samochód rusza.

Furgonetka dalej stoi.

Samochód przed radiowozem trąbi, a w końcu skręca, żeby włączyć się do ruchu na pasie obok. Kierowcy pozostałych pojazdów robią to samo, niektórzy trąbiąc, inni opuszczając szyby i klnąc na furgonetkę, która w dalszym ciągu stoi w miejscu.

Ruano patrzy na Osorio i zaciska zęby.

– Co robimy?

– Daj ostrzeżenie, zobaczymy, co zrobią.

Ruano naciska i puszcza przycisk syreny. Wycie, krótkie i suche, umiera bez odpowiedzi.

– Bez jaj, nie wkurwiać mnie – mówi Osorio, otwierając drzwi.

– Dokąd idziesz? – zatrzymuje go Ruano. Nachyla się nad siedzeniem i łapie go za kurtkę.

– Nigdzie, skoro mnie nie puszczasz.

Nowicjusz patrzy na swojego partnera ze zdumieniem. Nie przyzwyczał go do takiego zachowania. Ale to nie jest normalna sytuacja. Ruano rzuca okiem na stojącą furgonetkę. Może w środku siedzi inspektor policji zatrzymany wbrew własnej woli.

– Powiedziano nam, byśmy nie interweniowali.

Osorio mlaszcze językiem, poirytowany.

– Nie zamierzam interweniować, za mało mi płacą, żebym to robił. Tylko dopilnuję, żeby nie ruszyli się stąd, dopóki nie przyjadą...

Ruano zwalnia nieco uścisk. Wystarczająco, żeby Osorio postawił stopę na ulicy. Wchodząc w kontakt z podłożem, but wydaje chlupot. To dźwięk, który powinien być nieuchwytny, lecz rozbrzmiewa w uszach Ruano, mnoży się z uporczywym, przenikliwym echem. Zagłusza metaliczny odgłos otwierających się bocznych drzwi mercedesa. I wciąż rozlega się w jego głowie, kiedy zaczynają padać pierwsze strzały.

Ruano ich nie słyszy.

Czuje uderzenia ołowiu w karoserię, zapach oleju i smaru z silnika, który przesywają kule, co jego samego chroni przed pociskami.

Czuje powietrze wpadające przez otwarte drzwi od strony pasażera i tworzące przeciąg, bo powietrze dostaje się także przez zniszczoną

przednią szybę.

Czuje fragmenty szkła, które lecą mu na głowę, wbijają się w mundur i ranią skórę.

Osorio, swojego partnera, faceta, który kilka tygodni wcześniej zaprosił go do siebie na święta Bożego Narodzenia („Przecież nie będzie siedział sam, biedaczyna, kobieto, jedna osoba więcej nie zrobi różnicy...”), tego niefrasobliwego i sympatycznego marudy, który wkurza go przez większość czasu, teraz prawie nie widzi. Zaledwie ramię wykręcone pod nienaturalnym kątem na oderwanych drzwiach.

Ruano nie słyszy strzałów ani przerażonych krzyków ludzi, ani pisku opon furgonetki oddalającej się z największą prędkością. Echo dźwięku buta stawianego przez Osorio na asfalcie gaśnie tak samo, jak gaśnie sam Osorio, który umiera, nie kończąc zdania.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ANTONIA

A kto będzie strzegł strażników?

Juvenalis

1

Samolot

Jest tylko punkcikiem na porannym niebie.

Słońce jeszcze nie wzeszło, kiedy bombardier global express 7000 zaczyna schodzić do lądowania od zachodu, nie czekając na zgodę na podejście. Lotnisko Cuatro Vientos zostało zamknięte dla ruchu, jedyny wyjątek zrobiono dla tej maszyny.

Antonia Scott nie spuszcza go z oczu, kiedy ląduje. Czeką, siedząc na masce samochodu, nie zwracając uwagi na poranną wilgoć, aż samolot zatrzymuje się przed nimi.

Drzwi bombardiera się otwierają i znajoma postać odcina się w prostokątnym świetle. Antonia schodzi z maski i idzie w jej kierunku, jedną rękę trzyma na plecach, ignorując skurcze w zdrętwiałych nogach.

– Spóźniasz się – mówi.

– Mieliśmy problemy z wylotem z Gloucester – odpowiada cię z jasnego prostokąta.

Antonia nie odrywa ręki od pleców, kiedy powoli pokonuje osiem schodków. Dopiero gdy ma pewność, że kobieta jest tą osobą, na którą czekała, rozluźnia palce na kolbie sig sauer P290, który ma wetknięty za pasek.

– Zmieniłaś fryzurę.

– To mój naturalny kolor. Blond mi się znudził.

Carla Ortiz uśmiecha się ciepło pomimo zmęczenia i strachu, który wygląda z jej dużych brązowych oczu. Wyciąga rękę, żeby się przywitać, lecz cofa ją w ostatniej chwili.

– Nie... nie lubię kontaktu fizycznego – usprawiedliwia się Antonia.

– Wiem. Poinformowano mnie. O tym i o innych rzeczach.

– Wstydliwych, jak przypuszczam.

– Dobrze przypuszczasz, dziecko – odzywa się głos po angielsku z wnętrza maszyny.

Antonia wchodzi do środka i przykuca przed pierwszym fotelem. Guzowate, ozdobione pierścionkami dłonie, zimne jak pościel zimą, czule mierzwią jej włosy.

– Wyglądasz okropnie – mówi babcia Scott, wskazując fioletowe worki pod oczami na twarzy wnuczki.

– A ty wyglądasz... – odpowiada Antonia, powstrzymując wzruszenie, jakie wywołuje w niej pieszczota.

Babcia i Marcos były jedynymi osobami, za których dotykiem tęskniła. Jej mąż umarł kilka godzin wcześniej, odłączony od aparatury utrzymującej go przy życiu decyzją samej Antonii, po latach bezsensownego czekania. A babci Scott nie zostało już wiele czasu. Ta niespodziewana podróż w środku nocy bynajmniej nie pomaga.

Antonia obserwuje garść kości obciągniętych sukienką w groszki. W ręce, którą nie głaszczce wnuczki, trzyma szklankę napełnioną whisky na jeden palec.

Antonia natychmiast zauważa brak śladów ust na krawędzi szklanki, brak zapachu w jej oddechu, i uświadamia sobie, że babcia nie może już ruszać lewą ręką. Otwiera usta, żeby ją o to zapytać, gdy pewna myśl przemyka jej przez głowę. Myśl z baskijskim akcentem i krzepkim, bo przecież nie grubym, głosem.

„Zadała sobie wiele trudu, żeby to przed tobą ukryć. Pozwól jej wierzyć, że jej się udało”.

– ...piękniej niż kiedykolwiek – kończy zdanie z niemalym wysiłkiem.

– Zaraz będę miała sto lat, dziecko. To przestało być prawdą dekady temu.

Antonia patrzy w wyblakłe niebieskie oczy babci i czuje, że serce jej się rozpada. Być może ostatni raz widzą się na żywo. Chce się nad nią nachylić i ją przytulić, pragnie tego z całych swoich sił, ale nie potrafi tego zrobić.

– No już, dziecko – mówi babcia z ostatnią pieśczołą na pożegnanie. – Idź robić swoje. A potem mi o tym opowiesz.

Antonia przytakuje i wstaje. Przez długie minuty rozgląda się po kabinie, głucha na próby nawiązania rozmowy przez Carłę; czuje, jak narasta w niej niepokój. Wreszcie kończy przegląd wnętrza, choć tylko powierzchniowy.

Na więcej nie ma czasu.

Podchodzi do Carli.

– Jakies wieści na temat inspektora Gutiérreza? – pyta biznesmenka.

– Furgonetka uciekła. Na razie nie wiemy nic.

Carla się waha, boi się, lecz ostatecznie zbiera się na odwagę.

– Ona... ona tam była, prawda?

Antonia przytakuje. Zapada niezręczna cisza, z rodzaju tych, które dawniej była zmuszona wypełniać obietnicami. Wielkimi, uspokajającymi obietnicami. Dla innych osób – pustymi.

Dla innych osób obietnica złożona w takim momencie jak ten to tylko słowa.

Nie dla Antonii Scott.

Dla Antonii obietnica to umowa. Umowa, za którą – jeśli się z niej nie wywiąże – i tak płaci. Poczuciem winy i wyrzutami sumienia – walutą inflacyjną.

Dlatego w takich momentach Antonia nie wypełnia ciszy takimi słowami jak „znajdę inspektora Gutiérreza” albo „złapię kobietę, która cię porwała i torturowała”. Nie, bo w ciągu ostatnich miesięcy Antonia nauczyła się czegoś na temat obietnic.

Dlatego do Carli mówi to:

– Przykro mi z powodu twojego ojca.

Cień przemyka przez twarz młodej kobiety, która odwraca wzrok.

– Był już w podeszłym wieku.

– Mogłaś z nim porozmawiać? Zanim...

Pod tym wielokropkiem kryją się całe encyklopedie.

- Ja nie chciałam, a on nie mógł - odpowiada Carla, wzruszając ramionami.

Carla

Udar, który dopadł Ramóna Ortiza kilka miesięcy wcześniej, zredukował go do zaślinionego wraku. Śmierć nikogo nie wyklucza ze swojej listy, nawet najbogatszego człowieka na ziemi. Cała władza i cały majątek biznesmena jedynie zapewniły Ramónowi lepsze miejsce zgonu, lecz mu nie zapobiegły.

Bogata dziedziczka zmieniła się przez ten czas, gdy była przetrzymywana przez Ezequiela.

Ze studzienki wyszła inna. Resztki lekkomyślności i kapryśności, jakie w sobie miała, spłonęły bez płomienia w ciemnym zamknięciu. Tam, gdzie przedtem znajdowały się egoizm i potrzeba bycia ważną, teraz pojawiły się szczodrość i pewność siebie, mroczne i dezorientujące. Rzadziej się uśmiechała, ale kiedy to robiła, był to szczery uśmiech.

I nie, nigdy nie pogodziła się z ojcem. Biznesmen czekał na nią przy wyjściu ze studzienki kanalizacyjnej na ulicy Jorge Juan, w środku chmary fotoreporterów i dziennikarzy. Ona zignorowała rękę, którą do niej wyciągnął, i postanowiła wesprzeć się na inspektorze Gutiérrezie, mężczyźnie, który pokonał tunel pełen ładunków wybuchowych i został postrzelony, by ją uratować. Nie odpowiedziała na uścisk, którym obdarzył ją Ramón, nie uśmiechnęła się ani nie uroniła choćby jednej łzy. Później odsunęła się od niego i zwróciła do dziennikarzy. Zaskakująco wyraźnym głosem podziękowała im za zainteresowanie i oznajmiła, że czuje się doskonale i jest gotowa na powrót do pracy. Cały świat wysłuchał jej spokojnych słów w porannych wiadomościach i akcje firmy wzrosły o sześć procent.

Do Ramóna nie odezwała się już więcej na osobności. Choć próbowała. Setki razy chciała go zapytać, dlaczego zostawił ją na pastwę

losu. Dlaczego nie uległ szantażowi Ezequiela, co ona zrobiłaby bez wahania, gdyby niebezpieczeństwo groziło jej własnemu synowi.

Jej syn, który teraz przykryty kocem śpi na jednej z kanap w środkowej części prywatnego odrzutowca – to wszystko, co się liczyło. Nic więcej. Kiedy była przetrzymywana, pragnęła tylko móc przytulić go ponownie. Za niego wymieniałaby wszystko. Do ostatniego miliarda euro, jakie miała, a nawet drobne z torebki, gdyby o nie też poprosili.

Dopiero kiedy umarł Ramón (pewnej soboty o trzeciej po południu, w trakcie serwisu informacyjnego), wszystko zrozumiała. Leżał w szpitalnym łóżku, oglądając telewizję, lekko drzemiąc, jakby zasnął. I nagle umarł. Nie robiąc hałasu, po prostu odszedł. To wszystko opowiedziała jej prywatna pielęgniarka, jedna z czterech, które zajmowały się nim dniem i nocą. Carla odebrała telefon osiem po piętnastej, już wiedząc (takie rzeczy zawsze się wie), że jej ojciec właśnie zmarł. I gdy tylko się rozłączyła, ponownie zaczęła się wpatrywać w ekran telewizora, nie zwracając uwagi na szereg banalnych zdarzeń ani okrutną ironię, że oboje oglądali dokładnie ten sam program w odległości ośmiu kilometrów od siebie.

Właśnie odziedziczyła imperium z dwunastoma cyframi. Jedyneką, po której następuje jedenaście zer. Niebywała, absurdalna kwota, do której za życia Ramóna Ortiza przykładała tak małą wagę, jak w tej chwili do telewizyjnych wiadomości. Podobnie jak te obrazy na ekranie, traktowała to jako coś, co po prostu było. Co znajdowało się poza jej zakresem odpowiedzialności i jej wpływem.

Owszem, w firmie wypruwała sobie żyły, pracując po kilkanaście godzin na dobę, jakby nie było jutra. Ale robiła to po to, żeby zyskać jedyne, czego nie mogła mieć. Szacunek swojego ojca.

Na ogromnym stucalowym telewizorze mogła prawie zobaczyć obrazki z wiadomości z następnego dnia. Prawie, bo telewizor był drogi, ale nie aż tak. Mogła zobaczyć samą siebie ubraną na czarno, witając gości w domu pogrzebowym. Na pewno będą para królewska, premier rządu, kilku ministrów. A także inne ważne osoby, jak Laura Trueba czy Bill Gates. Nagle stała się kimś innym. Właśnie spadła na nią cała wywrotka

odpowiedzialności. Życia setek tysięcy pracowników oraz inwestycje milionów ludzi od tej chwili zależały od każdego z jej gestów. Zmiana tonu, zawahanie mogły zrujnować wszystko.

Właśnie wtedy pojęła zdradę ze strony ojca. Właśnie wtedy chciała do niego zadzwonić, powiedzieć, że go rozumie. Że mu nie przebacza (to byłoby niemożliwe), ale że go rozumie.

Ponieważ wraz z tą kosmiczną liczbą, wraz z tymi jedenastoma zerami, odziedziczyła prawdę, stalową i błyszczącą, mieszczącą się zaledwie w pięciu słowach.

To nie ona je zarobiła.

2

Kostka

– Przedyskutujmy ponownie plan – mówi Antonia, ruszając do przedniej części samolotu.

Patrząc na tę drobną kobietę, niższą od niej niemal o dwadzieścia centymetrów, Carla Ortiz czuje dziwną zazdrość. Antonia Scott nie jest brzydka, ale nie jest też piękną. Nie chodzi o to, ani nawet o intelekt. To jej niezłomna determinacja. Uratowała jej życie w tunelach stacji Goya Bis, a więc Carla ma u niej wieczysty dług.

Kiedy Antonia do niej zadzwoniła, zaledwie kilka tygodni wcześniej, Carla spodziewała się jakiejś prośby. Jakiegoś rodzaju zapłaty. Oczywiście była gotowa jej to dać. Nawet bardzo chętnie.

Nie ma tańszej przysługi niż ta, którą można unieważnić pieniędzmi.

Zamiast tego Antonia Scott opowiedziała jej historię, która wywróciła jej żołądek i pozbawiła snu. Historia o tym, jak nieznajoma kobieta, którą z braku lepszego nazwiska nazwiemy Sandrą Fajardo, zmanipulowała chorego psychicznie człowieka, wmawiając mu, że jest jego córką. O tym, jak oboje ją porwali, aby rzekomo szantażować jej ojca. O tym, jak ciało fałszywej Sandry nigdy nie zostało znalezione.

O tym, jak wszystko, co wiedzieli, okazało się jednym wielkim kłamstwem.

– Nie rozumiem. Szantażowanie mojego ojca nie było prawdziwe?

– To była tylko porządnie przygotowana farsa – odpowiedziała Antonia. – Z jakiegoś nieznanego mi powodu to wszystko ma związek ze mną.

Wtedy opowiedziała jej o nieuchwytnym i tajemniczym panie Whicie. Człowieku, który stał za Sandrą Fajardo.

– Nie mogę w to uwierzyć. Zginęło tylu policjantów, którzy próbowali mnie uratować. Zginęła kobieta ze szkoły twojego syna. Ile ludzkich istnień kosztowała ta farsa, jak ją nazwałaś?

– Osiem, o ile nam wiadomo.

– Myślałam... że to się skończyło – powiedziała Carla przestraszonym głosem. Na próżno wyczekiwała uspokajającej odpowiedzi Antonii. Nie pojawiła się.

Wtedy dosięgło ją wspomnienie.

Objazd.

Mężczyzna z nożem.

Pościg przez las.

Uklucie w szyję, kiedy już się poddała.

A później rozpaczliwa batalia z ciemnością. Miły głos, który okazał się głosem jej dręczycielki.

– Wiesz...? Wiesz, czego chce?

– Nie. Ale się dowiem.

Zanim się rozłączyła, przekazała Carli jasne wytyczne dotyczące tego, co ma zrobić, jeśli kiedyś spełni się najgorszy z jej koszmarów.

Stało się to dziesięć godzin temu.

Wiadomość od Antonii była krótka:

„WRÓCIŁA”

Ale to było wszystko, czego Carla potrzebowała. Wstała od stołu w środku kolacji z partnerami handlowymi, mamrocząc jakąś wymówkę, i wsiadła do samochodu, wydając jednocześnie polecenie opiekunce, żeby wyciągnęła jej syna z łóżka.

Lot z La Coruñi do Gloucester, żeby odebrać babcię Scott, zajął im dwie godziny. Wystartowanie z lotniska kolejne cztery. Ale wreszcie tu byli.

Zgodnie z planem.

- Żadnych telefonów komórkowych. Żadnych urządzeń elektronicznych. Żadnego szukania w internecie informacji o mnie ani wiadomości dotyczących Hiszpanii. Żadnego dostępu do moich kont mailowych, żadnego kontaktu z nikim – wylicza Carla.

- Daj mi swój portfel – prosi Antonia.

Carla przeszukuje torebkę i podaje go jej z grymasem niezadowolenia. Antonia wyjmuje karty kredytowe, dowód osobisty, a nawet kartę rabatową Sephory, wrzuca wszystko do woreczka na wymiociny, a ten z kolei do kosza na śmieci. Ze swojej torby wyjmuje zapalniczkę i pojemnik z płynem do zapalniczek i w kilka chwil zamienia życie Carli w śmierdzącą kałużę. Oszczędza tylko czarny metaliczny prostokąt, który chowa sobie do kieszeni.

- Uważaj z tą kartą, Antonia. Nie ma limitu kredytowego.

- Nie przesadzam z wydatkami. Ty będziesz potrzebować pieniędzy.

- Ta walizka jest przygotowana od wielu tygodni – mówi Carla, wskazując ogromną samsonite.

Antonia nie zadaje sobie trudu, by ją otworzyć. Wie, co jest w środku.

- W dolarach?

- I w jenach, euro i w funtach.

Antonia przytakuje z aprobatą.

- Dokąd mamy się udać?

- Gdybym wiedziała, naraziłabym was na niebezpieczeństwo. Nie powinnaś podejmować żadnej decyzji, kierując się logiką. Ale dam ci coś, co ci pomoże.

Antonia wkłada do dłoni Carli plastikową kostkę o krawędzi dwudziestu milimetrów. Na każdej stronie są wyryte kropki, w taki sposób, że na przeciwległych stronach ich suma równa się siedem.

Przez chwilę Carla obserwuje kostkę z zakłopotaniem, aż pojmuje, o co chodzi Antonii.

- Każda decyzja to rzut kostką. Zmień samolot w następnym miejscu docelowym. I zrób to znowu w kolejnym. Potem poruszaj się lądem przez co najmniej sześćset kilometrów i wsiądź w samolot rejsowy. Później

kolejna podróż łądem w przeciwnym kierunku. Nie będzie łatwo – podsumowuje, patrząc przez ramię Carli.

Ona przenosi wzrok na babcię Scott, która najwyraźniej zasnęła.

– Spokojnie. Pochowa nas wszystkich.

– Nie rozumiem, jak to mogłoby mnie uspokoić. To bardzo realna możliwość – mówi Antonia.

Dopiero przerażona mina Carli ujawnia, że znowu wpadła w pułapkę języka figuratywnego. Gdyby Jon tu był, rzuciłby jakiś komentarz, czym rozładowałby sytuację, ale tak nie jest. Antonia też nie przeprasza. Po pierwsze dlatego, że nie umie owijać w bawełnę. Nawet nie wie, co znaczy to wyrażenie. A po drugie dlatego, że zagrożenie jest naprawdę bardzo realne.

Teraz, gdy Sandra wróciła, nikt nie jest bezpieczny. A tym bardziej Carla – jedno z trofeów, które wymknęło jej się z rąk.

– Musimy już lecieć – mówi biznesmenka, nerwowo wyginając sobie palce.

Antonia rozumie, że nie może jej dłużej zatrzymywać.

3

Zawiniątko

Antonia podchodzi do drzwi samolotu i daje znak. Z samochodu (świeżo odnowiony rolls royce phantom) wysiada wysoki, szczupły mężczyzna z zapadniętymi policzkami. W garniturze, z idealnie zawiązanym węzłem krawata, mimo że od wielu godzin czekał na tylnym siedzeniu. Na rękach niesie niezwykle cenne zawiniątko. Kolejne trofeum, które wymknęło się z rąk Sandry Fajardo.

- Ile to potrwa? - pyta mężczyzna.

Jak na dyplomatę nigdy nie był zbyt dużym zwolennikiem własnej elastyczności, wolał ją raczej u innych. Z drugiej strony sir Peter Scott, ambasador Zjednoczonego Królestwa w Hiszpanii, jest angielskim zamożnym dżentelmenem w średnim wieku, więc arogancja jest niemal obowiązkowa.

Poranna wilgoć oraz noc spędzona w samochodzie też nie pomagają jego manierom. Unosi podbródek i patrzy wnikliwie na biznesmenkę.

- Przepraszam, chyba nas sobie nie przedstawiono - odzywa się Carla.

- Doskonale pani wie, kim jestem, a ja doskonale wiem, kim pani jest. A teraz, jeżeli nie ma pani nic przeciwko, chciałbym usłyszeć odpowiedź.

Antonia kręci głową. Carla nic nie mówi.

- Potrwa tyle, ile będzie trzeba - dobiega szorstki głos zza jego pleców.

Ambasador się odwraca i napotyka poważny wzrok babci Scott. Możliwe, że dyskretnie przetyka ślinę.

- Wybacz, matko. Nie zauważyłem cię, gdy tu wszedłem.

- Jasne, że nie. Byłeś bardzo zajęty byciem nieuprzejmym. Kiedy ostatni raz do mnie zadzwoniłeś?

- Obowiązki na moim stanowisku...

– Są ważniejsze od matki. Dałeś mi to wyraźnie do zrozumienia. Teraz podejdź tu i daj mi zobaczyć mojego prawnuka.

Jorge Losada Scott od wielu godzin chrapie, nieświadomy dramatu, jaki rozgrywa się wokół niego. Owinięty w kraciasty koc i w piżamie z Baby Yodą, nie budzi się nawet wtedy, kiedy babcia Scott odsłania jego twarz. Ma ogniście czerwone policzki i rozchylone usta.

– Ma twój nos, Peter.

– To prawda – zgadza się ambasador z uśmiechem.

– Na szczęście całą resztę ma po Antonii. A teraz połóż go na kanapie, bo znowu dostaniesz przepukliny, dziecko.

Sir Peter Scott posłusznie wykonuje polecenie. Siedzisko obite końską skórą trzeszczy, kiedy kładzie Jorgego obok syna Carli Ortiz. Zawiniątka są niemal tej samej wielkości, bo między chłopcami jest tylko kilka miesięcy różnicy.

– Wszystko będzie dobrze – mówi Carla.

– Nie może pani tego zagwarantować.

– Na miłość boską, Peter – gani go babcia Scott. – Ta kobieta ci mówi, że zrobi wszystko, co w jej mocy. Chcesz mieć gwarancję, to kup sobie toster.

Ambasador przenosi ciężar ciała z jednej nogi na drugą, spojrzenie utkwił między swoim wnukiem a babcią Scott. W końcu kiwa głową w stronę staruszki i wielkimi krokami opuszcza pokład samolotu, nie oglądając się za siebie.

Parę minut później, po pożegnaniu i przekazaniu ostatnich wskazówek, Antonia dołącza do niego przy samochodzie. Samolot zaczyna kołować, zanim ona dojdzie do ojca.

– Nie powiedziałaś, że będzie twoja babcia – odzywa się sir Peter.

– Taki był cel.

– Wolalbym wiedzieć, że tu będzie, Antonia.

– Powinieneś z nimi polecieć.

- Twoja babcia i ja razem na ograniczonej przestrzeni przez wiele godzin. Cóż za dziwny pomysł. Nie potrzebowalibyśmy żadnego psychopaty, żeby nas pozabijał.

- Byłbyś bezpieczniejszy.

- Bezpieczniejszy, tłukąc się Bóg wie gdzie, niż w ambasadzie ochraniający przez oddział SAS? – wypala sir Peter. – Nawet nie wiem, dlaczego pozwalam, żeby Jorge...

- Sandra Fajardo już raz go porwała, w samym środku dnia i z miejsca, które uważaliśmy za bezpieczne. Naprawdę chcesz podejmować ryzyko?

Ambasador cmoka sfrustrowany. Zaledwie kilka godzin wcześniej córka zadzwoniła do niego, żeby pomógł jej z trudnym zadaniem, jakim było pożegnanie się z mężem już na zawsze. Natychmiast do niej przyjechał, to było jego obowiązkiem. To, co się działo, oznaczało posunięcie we właściwym kierunku do upragnionego pogodzenia się z córką. Pożegnanie Marcosa było pierwszym krokiem, żeby odzyskać część człowieczeństwa, które Antonia utraciła. Przez krótką chwilę, przy monitorze pracy serca, który wydawał coraz wolniejsze piknięcia, sir Peter zobaczył odbicie uśmiechniętej i szczęśliwej dziewczynki, która rozrabiała na korytarzach konsulatu w Barcelonie, kiedy była niewiele starsza od Jorgego. Uśmiechniętej i szczęśliwej dziewczynki, którą mogła być, gdyby prowadziła inne życie.

Z tamtej dziewczynki nie ma nic w drobnej kobiecie, która stoi obok niego na płycie lotniska. Jej oczy przypominają dwa kawałki obsydianu.

„A co jeszcze bardziej przerażające”, myśli ambasador, „to, co mi właśnie powiedziała, jest prawdą”.

- Chyba nie chcę podejmować ryzyka – przyznaje.

- Powinieneś z nimi polecieć – upiera się Antonia.

- Samolot już wystartował.

- Możemy sprawić, żeby zawrócił.

- To ty powinnaś wsiąść do tej maszyny.

- Sama umiem o siebie zadbać.

Z ciemności, gdzie czekał, wyłania się jeden z ochroniarzy jej ojca. Antonia dobrze go pamięta. To on wyciągnął ją z pokoju Marcosa. Metr dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt siedem kilogramów i brak sympatii do Antonii. Ceglany mur w garniturze, elitarne wykształcenie, oficer SAS.

Ambasador wskazuje Antonii twardziela, kiedy ten otwiera mu drzwi samochodu.

– Dziękuję, Noah.

A potem wskazuje ją. Taką małą, taką samotną.

– Mnie ma kto chronić, Antonia. Dniem i nocą. Ty nie masz nikogo takiego.

Kontuar

Sama na środku płyty lotniska, patrząc, jak samochód jej ojca się oddala, Antonia myśli o ostatnim zdaniu, jakie jej powiedział.

„Mnie ma kto chronić. Ty nie masz nikogo takiego”.

Co Antonia tłumaczy jako:

Rakṣakuḍuḥa.

W telugu, z rodziny języków drawidyjskich, którym posługują się siedemdziesiąt cztery miliony ludzi, oznacza obrońcę bez zbroi. Tego, który wyskakuje nago na trajektorię strzały.

Antonia miała kogoś takiego. A teraz już nie ma. White odebrał go jej bez żadnego wyjaśnienia. Przysłał tylko wiadomość o treści:

„MAM NADZIEJĘ, ŻE O MNIE NIE ZAPOMNIAŁAŚ.

ZAGRAMY?

W.”

Podjeżdża do niej czarne audi A8 z przyciemnionymi szybami. Otwierają się drzwi od strony pasażera, zapraszając ją do środka. Przez moment Antonia (wbrew wszelkiej logice, co dla niej wyjątkowo nietypowe) ma nadzieję, że za kierownicą siedzi inspektor Jon Gutiérrez. Kilka krótkich chwil magicznego myślenia, mocnego ściskania kciuków i pragnienia, pragnienia, pragnienia, by się spełniło. Wszechświat zwraca jej zwyczajną odpowiedź. Tyle że w przypadku Antonii wiąże się to z dodatkowym wstydem, że uległa takiej pospolitości.

Wściekłym gestem otwiera tylne drzwi i pada na siedzenie.

– Teraz jestem twoim szoferem, Scott?

– Potrzebuję zamknąć na chwilę oczy.

– Siedzenie z przodu jest całkowicie rozkładane.

– Tak, ale tutaj z tyłu jestem sama.

Mężczyzna siedzący za kierownicą się odwraca. Brunet ze sporymi zakolami, cienkimi przyciętymi wąsami i oczami jak u lalki, które wyglądają, jakby były namalowane, a nie prawdziwe. Krótki płaszcz w karmelowym kolorze. Drogi.

– Uważaj, gdzie kładziesz stopy. Tam z tyłu leży strzelba Czechowa – mówi Mentor.

Podobnie jak Antonia spędził wiele godzin, pilnując wjazdu na płytę lotniska.

– To nie czechow. To remington osiemset siedemdziesiąt – odpowiada Antonia, otwierając jedno oko i kopiając w strzelbę czubkami sportowych butów.

– Jest naładowana – mówi zdenerwowany Mentor, odwracając się, żeby zabrać broń z dala od stóp Antonii. – Wiesz przecież, co powiedział Czechow na temat strzelb.

– Nie mam pojęcia.

– Że jeśli w pierwszym akcie pojawia się strzelba, to w trzecim wystrzeli.

– Jesteśmy w trzecim akcie.

– O to mi właśnie chodziło, Scott.

Po krótkiej walce z pasem bezpieczeństwa Mentorowi udaje się chwycić broń, po czym kładzie ją na siedzeniu obok siebie.

– Jak poszło z twoim ojcem?

– Tak dobrze, jak można się było spodziewać.

– Aż tak źle, co?

Antonia nie odpowiada, tylko wbija wzrok w okno. W oddali słychać grzmot, co zbiega się z pomrukiem audi, kiedy Mentor uruchamia silnik. Krople deszczu zamieniają się w małe efemeryczne komety, które gonią się po szybie.

Na M-40, na wysokości wjazdu z centrum handlowego Plenilunio, z powodu sporego ruchu poruszają się bardzo powoli. Antonia zwraca

uwagę na samochód z sąsiedniego pasa. Biała furgonetka takiej samej marki jak tamta, którą porwano Jona. Tyle że inny model. Na środkowym siedzeniu jedzie dwoje małych dzieci, które rzucają w siebie zabawką. Kiedyś był to dinozaur, a teraz to tylko bezkształtna masa w zielonym kolorze pełna śladów po ugryzieniach. Matka się odwraca i mówi coś do nich, poważnym tonem, sądząc po wyrazie twarzy, ale tak naprawdę nie jest zła.

To tylko zwyczajna rodzina, która jedzie do centrum handlowego, żeby spędzić tam nic nieznaczący dzień razem z innymi zwyczajnymi rodzinami. Antonia się zastanawia, co oni zrobili, żeby wieść takie życie, i co zrobiła ona, żeby zasłużyć sobie na swoje. Oczywiście nie znajduje odpowiedzi. Jedynie...

Pothos.

W języku greckim oznacza pragnienie tego, co nieosiągalne.

Antonia pragnie, nie pierwszy zresztą raz, mieć rodzinę, w której mogłaby się schronić, miejsce, w którym mogłaby się ukryć. Ale nie ma nic oprócz dzikiego wrzasku małą w głębi jej umysłu. Przy tej wątpliwej kołysance w końcu zasypia.

Kiedy się budzi, słońce stoi już wysoko na niebie.

Trąc oczy, wysiada z samochodu, ma pełny pęcherz i ciastowaty język. Są na parkingu nijakiej hali przemysłowej w środku nijakiego osiedla. Rejas, przedmieście na południe od lotniska Adolfo Suárez Madryt-Barajas, to byle jakie miejsce, ostatnia smuga, jaką widzą podróżni, zanim taksówkarz poinformuje, że należy się trzydzieści euro, dziękuję bardzo. To prawda, że miliony ludzi odwiedzają co roku Plenilunio, to największe centrum handlowe w mieście. Ale nikt nie zapuszcza się dalej niż na parking. Niedaleko znajduje się względnie porządne osiedle. Ale wystarczy przejechać parę kilometrów na wschód i panorama się zmienia. W miarę uporządkowane budynki ustępują miejsca chaosowi. Puste hale sąsiadują z rozpadającymi się domami jednorodzinnymi, zagrodami z końmi, w połowie wybudowanymi i porzuconymi biurkami. Ogrodzone działki z banerami NA SPRZEDAŻ, z których

słońce zżarło czerwień i czerní, żeby zwymiotować jasnym różem i wyblakłą szarością. Banery, na których nie da się już przeczytać numeru telefonu. Ale gdyby się dało, okazałoby się, że ma tylko siedem cyfr.

Miejsce zapomniane przez Boga i przez jego bezpośrednich przełożonych – radnych zajmujących się zagospodarowaniem przestrzennym.

Garść ulic z nazwami miesięcy, wśród których Sierpień i Grudzień są do siebie dość podobne.

Stąd droga nie prowadzi w żadne inne miejsce i z tego powodu to właśnie tutaj Mentor postanowił urządzić kwaterę główną projektu Czerwona Królowa w Hiszpanii.

Z zewnątrz wygląda to jak zwykła hala przemysłowa, z ogrodzonym parkingiem i renomowaną nazwą firmy produkującej kruszywo, budynek zbudowany z aluminium i betonu.

Mentor siedzi na betonowych schodach prowadzących do środka i dopala papierosa. Sądząc po wysokości kupki, jaką utworzyły pety między jego stopami, nie ruszył się stamtąd od wielu godzin.

– Za dużo palisz – mówi Antonia, pokonując odległość od samochodu, który służył jej za łóżko, do schodów, które Mentorowi służyły za poczekalnię.

– Moja żona uważa tak samo. Ale nigdy nie ma dobrej chwili na rzucenie.

– Dlaczego mnie nie obudziłeś?

– Wiesz dlaczego. Właśnie wróciłaś z długiej misji. I przez całą noc nie zmrużyłaś oka.

– Nie mamy czasu do stracenia.

– Jak jesteś niewyspana, robisz się strasznie irytująca i rozkapryszona.

Antonia protestowałaby i kopnęłaby ziemię, ale spała wystarczająco długo, by tylko wziąć głęboki wdech i dwoma susami znaleźć się na schodach.

Po drugiej stronie szklanych drzwi (bez zamka ani niczego) są łuszczący się kontuar z melaminy, linoleum, poczekalnia z dwoma fotelami, z których wystaje wypełnienie, oraz kilka magazynów na temat kruszyw, łącznie z ostatnimi numerami „ANEFA”, oficjalnym pismem tego sektora. W bieżącym numerze – „Wszystko o piaskach krzemionkowych!”.

– Identyfikacja, bardzo proszę – mówi młody chłopak zza kontuaru.

Antonia patrzy na Mentora ze wstrętem. On wzrusza ramionami.

– Chłopak jest nowy.

– Chłopak jest posłuszny – odpowiada pracownik.

– Nie mogę naginać zasad. Poza tym dawno cię tu nie było. Musi sprawdzić, czy to ty.

Antonia ustępuje i podchodzi do czegoś, co wygląda na załataną celofanem brudną obudowę kamery internetowej, która była stara, jeszcze zanim Zuckerberg założył Facebooka.

W środku znajduje się oczywiście skaner siatkówki najnowszej generacji, który wydaje piknięcie na ekranie ukrytym za kontuarem.

– Wszystko gotowe, proszę pana.

– Dziękuję. Idziemy, Scott – mówi Mentor, wskazując drzwi.

Ona patrzy na niego, nie ruszając się z miejsca.

– To już koniec lekcji?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Wkurzona Antonia rusza za Mentorem do metalowych drzwi, które otwierają się z brzęczeniem. Mentor pociąga za klamkę, ale Antonia łapie za drzwi, nie pozwalając mu ich otworzyć.

– Dałeś mi spać w samochodzie przez cztery godziny. Teraz ten numer z wejściem. Próbujesz mi coś powiedzieć, nie umknęło mi to.

– Scott, naprawdę za tobą tęskniliśmy.

– Zaoszczędzilibyśmy czas, gdybyś od razu mi powiedział, o co chodzi.

Mentor zagryza dolną wargę, próbując uzbroić się w cierpliwość.

– Wiadomość jest taka, że nie jesteś z tym sama i że musimy uważać bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

- Wiadomość przyjęta. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, musimy zacząć szukać Jona Gutiérreza.

- A jak myślisz, co robiliśmy, kiedy spałaś? – pyta Mentor, otwierając w końcu drzwi.

Wchodząc, Antonia wstrzymuje oddech. Już prawie zapomniała, jak duże wrażenie robi to miejsce.

Prawie, ponieważ Antonia nie zapomina niczego.

Kwatera

Obskurna recepcja z meblami z lat dziewięćdziesiątych ustępuje miejsca jasnej otwartej przestrzeni o wysokości sześciu metrów. Z sufitu zwisają potężne tysiącdwustupięćdziesięciowatowe reflektory, które oświetlają szereg połączonych ze sobą modułów wykonanych z betonu i przymocowanych do podłoża stalowymi belkami – miasteczko w miniaturze. Strefa przy wejściu służy za parking dla zmodyfikowanych audi A8. Z czterech miejsc zajęte jest tylko jedno. Na pozostałych ktoś przykleił na podłodze zdjęcia w formacie DIN A3 z kolejnych wypadków.

Na widok fotografii Antonia pozwala sobie na delikatny uśmiech, który nie umyka uwadze Mentora.

– Nie ma w tym nic śmiesznego. W niecały rok posłaliście na złomowisko trzysta tysięcy euro.

– Ja tylko sto tysięcy. Pozostałe policz Jonowi.

– Zastanawiam się, czy go ratować.

Pierwszy z betonowych modułów, obok którego przechodzą, to sześcienna konstrukcja z wielkim oknem po jednej ze stron. W środku jest ciemno, ale Antonia nie potrzebuje światła, żeby wiedzieć, co jest w środku. Na pamięć zna każdy centymetr sali treningowej. I nie są to szczęśliwe wspomnienia.

Odwraca wzrok i przyspiesza kroku. Przed laboratorium doktorki Aguado jest zaparkowany MobLab, a dalej znajduje się sala zebrań. Przestronne pomieszczenie z wielkim stołem na środku i kilkunastoma trzydziestocalowymi monitorami wiszącymi na ścianie.

Nikt nie poświęcił nawet minuty, nawet jednej kropli farby, żeby doprowadzić do porządku kwaterę projektu Czerwona Królowa. Nie ma tu

żadnego elementu, który nie byłby funkcjonalny albo nie wyglądałby jak wyjęty prosto z *Łowcy androidów*. Być może dlatego Antonia uważa, że jest taka piękna.

A mimo to od prawie czterech lat nie wchodziła do tej sali zebrań.

Mentor odsuwa się na bok, żeby pozwolić jej przejść. Kiedy jednak widzi jej wzrok i jej dłonie zaciśnięte w pięści, zastanawia się dwa razy.

– Nie ma pośpiechu, Scott.

Zdaje się, że to trochę potrwa.

Antonia ma urywany oddech, jej serce bije szybciej. Teraz, gdy życie Jona zależy od niej, ogarnia ją panika. Czy może raczej to ona pozwala ogarnąć się panice, ponieważ nie ma już wymówek.

Tak długo uciekała od tego, kim jest, od tego, co może robić, a teraz rzeczywistość ją dopadła. Antonia ma czarny pas w okłamywaniu samej siebie, lecz nawet ona potrafi przyznać, że w równym stopniu pragnie, jak i boi się przejść przez te drzwi i znowu wejść do tego pomieszczenia.

Chociaż to nie jest dobry pomysł.

Chociaż człowiek, któremu obiecała, że już nigdy więcej nie wróci do tej sali, leży teraz w domu pogrzebowym i nie ma nikogo, kto by przy nim czuwał.

Chociaż ołowiany ciężar w żołądku prosi ją, żeby odwróciła się na pięcie i uciekła z tej betonowej klatki. Z miejsca, które na zawsze przemieniło ją w coś nieskończenie lepszego, nieskończenie bardziej nieznośnego.

Wtedy zagląda przez szparę w drzwiach i widzi, że wszystkie ekrany zostały połączone, pokazując jeden podzielony wizerunek. Twarz inspektora Jona Gutiérreza. Z kręconymi rudawymi włosami, gęstą siwiejącą brodą. Z tą kwadratową szczęką wielkości słownika. Oczy zmrużone z powodu blasku flesza. Nawet mimo ogromnego zdenerwowania Antonia dostrzega brudną zagrywkę Mentora. Wścieka ją to, jak potrafi nią manipulować.

– Nie spiesz się – szepcze głos Mentora tuż przy jej uchu.

Antonia otwiera usta, by coś powiedzieć, ale on jej na to nie pozwala. Przysuwa się jeszcze bliżej, jego usta prawie jej dotykają. Jego ciepły i gorzki oddech palacza sprawia, że dostaje gęsiej skórki.

– Jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że nie możesz, to nie rób sobie kłopotu. Cokolwiek dzieje się teraz w twojej głowie, przezwycięż to. Dałem ci jedną noc, żebyś zapewniła bezpieczeństwo swojej rodzinie, i poranek, żebyś odpoczęła. To wszystko. Bo ten człowiek, którego twarz widzisz, uratował ci życie więcej razy, niż możesz zliczyć.

Gdy słyszy te słowa, Antonię ogarnia nagła pewność.

Ciężar w jej klatce piersiowej robi się lżejszy, oddech się uspokaja. Małpy w jej głowie krzyczą nieco ciszej. To jest właśnie piękne w pewności. Karmi nas poczuciem ulgi.

Antonia wydycha powietrze, które przetrzymywała, i odwraca się do Mentora.

– Oczywiście, że mogę.

– Dobra dziewczynka.

– Nie zrozumiałeś. Mogę je zliczyć. Siedem razy – odpowiada Antonia, wchodząc do sali.

6

Pytanie

Widząc, że Antonia wchodzi, doktorka Aguado wstaje. Musi mieć około czterdziestu lat. Długie rzęsy, rozmazany makijaż, piercing w nosie, pozornie apatyczne spojrzenie. Teraz z iskierką strachu.

– Nawet pani nie wie, jak mi przykro z powodu...

Aguado milknie, ponieważ tak naprawdę nawet nie wie, od czego zacząć. Antonia przytakuje z szacunkiem. Cieszy się, że ją tu widzi.

– Bierzmy się do pracy.

– Oczywiście. Ach, prawie bym zapomniała – mówi doktorka i podaje jej szklanekę wody oraz plastikowy kubeczek z czerwoną kapsułą.

Antonia kręci głową, robiąc wszystko, żeby tylko nie zajrzeć do kubeczka.

Kobieta patrzy zdziwiona na Mentora, ale ten wykonuje gest głową i Aguado zabiera kapsułę. Dopiero wtedy Antonia zajmuje swoje stałe miejsce, naprzeciwko ekranów. Kółka krzesła, Herman Miller Aeron (w najmniejszym rozmiarze, żeby stopy nie wisały jej w powietrzu), wydają charakterystyczny metaliczny dźwięk na betonie, kiedy podjeżdża do stołu.

– Co mamy?

– To wszystko – odpowiada Mentor, wskazując na wprost niej.

Na szklanym stole leżą dziesiątki raportów i fotografii. Antonia nachyla się nieznacznie, opiera łokcie na blacie i zaczyna przebiegać wzrokiem każdy dokument. Pięćdziesiąt sekund później ponownie podnosi głowę.

– Czyli nic.

– Tablica rejestracyjna furgonetki była fałszywa, ale o tym już wiesz.

- To ta sama rejestracja, co w samochodzie, w którym samobójstwo popełniła prawdziwa Sandra Fajardo - wtrąca Aguado.

- Makabryczny żart, Scott?

- Zostawia nam swój podpis. Jakby to było konieczne.

Antonia wciąż pamięta, jak przystanęła, żeby ją pozdrowić, a potem wsiadła do furgonetki, którą zabrali Jona. Elegancka kobieta o miłej twarzy.

Miała twarz, której nie widział nikt oprócz niej.

- Jest jakaś kamera bezpieczeństwa? Uliczna? Cokolwiek?

Mentor kręci głową. Antonia zna już odpowiedź. Gdyby było jakieś nagranie z kamery, leżałoby przed nią na stole.

- Możemy zrobić portret pamięciowy na podstawie twojego opisu. Za pół godziny mógłby się pojawić we wszystkich wydaniach wiadomości. Ale...

- Ale - powtarza Antonia, z irytacją bębniąc w stół.

Dopóki Jon Gutiérrez jest przetrzymywany przez Sandrę, nie mogą wykonać żadnego ruchu tego typu. Nie mogą zrobić zbyt wiele.

- Wszyscy moi ludzie próbują namierzyć furgonetkę w dzielnicy Usera. Sześciu nowicjuszy, których zostawiła nam policja, ekipa informatyków...

- Nawet moja asystentka - wtrąca Aguado.

- Wszyscy jeżdżą swoimi prywatnymi samochodami i pytają, czy ktoś widział furgonetkę.

- Marne szanse.

- Nie mamy innych możliwości, Scott. Nie ma zdjęć Fajardo, nie ma śladów, nie mamy niczego. Tylko martwego policjanta i drugiego w szpitalu pod wpływem środków uspokajających. Obaj próbowali zatrzymać mercedesa, zanim przejechał przez Manzanares. Uprowadzono ich, żeby nie interweniowali. Szukali medalu, a dostali sto strzałów w prezencie.

- Widziałam już raport balistyczny - mówi Aguado, wskazując dokument leżący przed Antonią.

– NATO-wska amunicja, pięć pięćdziesiąt sześć na czterdzieści pięć – odpowiada Antonia, nie patrząc na papier. – Wyjątkowo powszechna. Praktycznie każdy żołnierz w Unii Europejskiej używał jej kiedyś w ciągu ostatnich dziesięcioleci. I tysiące policjantów.

Zalega cisza, przez którą przebija się odgłos pocierania.

Aguado i Mentor obserwują, jak lewa ręka Antonii trzęsie się na papierach. Aguado szuka w kieszeni swojego fartucha pudełka, do którego schowała czerwoną kapsułkę Antonii. Mentor unosi nieznacznie brwi i bardzo powoli kręci głową.

Antonia chyba wreszcie zdaje sobie sprawę z ruchu i przytrzymuje sobie nadgarstek prawą ręką. Z jej ust pada niesłyszalne kłamstwo.

– Nic mi nie jest.

Na pytanie, którego nikt nie sformułował.

A potem mówi głośniej:

– Tylko tracimy czas. Nic z tego, co tu jest, nie pomoże nam znaleźć Jona – mówi, przesuwając denuncjatorskie papiery na środek stołu, poza zasięgiem jej trzęsących się rąk.

– Jakiś lepszy pomysł? – pyta Mentor.

– Musimy zrozumieć, co się dzieje. Musisz mi powiedzieć, dlaczego pojechałeś do Brukseli.

Co stało się w Brukseli

Mentor ulega prośbie Antonii i daje znać Aguado, która ze swojego laptopa wysyła sygnał na monitory.

- To stało się dziewięć dni temu. Kiedy jechaliście do Malagi na poszukiwania Loli Moreno.

Na zdjęciach widać hotelowy pokój. Luksusowy. Na dwumetrowym łóżku leży nagi mężczyzna. Pościel jest zmięta. Na ciele mnóstwo ran kłutych. Na fotografii są widoczne cztery stopy. Te, które zwisają z łóżka, należące do zadżganego, i te, które zwisają osiemdziesiąt centymetrów nad łóżkiem. Następne zdjęcie pokazuje właściciela drugiej pary stóp, powieszono go na wentylatorze. Oczy wychodzą z orbit, wykrzywiona twarz, język uwieczony między zębami.

- To Anglia.

- Jak go rozpoznałaś? Wątpię, czy jego własna matka potrafiłaby to zrobić.

- Nie rozpoznałam go. Markę wentylatora - wyjaśnia Antonia, wskazując malutki logotyp u podstawy urządzenia. - To model, który jest sprzedawany tylko w Wielkiej Brytanii.

- Callum Davis, Czerwona Królowa w Anglii - potwierdza Mentor, wskazując powieszono go. - I Rhys Byrne, jego giermek.

- Kochankowie?

- To zabronione, Scott.

- Nie odpo...

- Właściwie odpowiedziałem. Tak, byli kochankami. Nie otwarcie, ale w naszych ekipach niewiele się ukryje - mówi Mentor, patrząc na nią wnikliwie.

Antonia dokonuje ogromnych i bezowocnych wysiłków, żeby nie patrzeć na wybrzuszenie, jakie tworzy pudełko z czerwonymi pigułkami w kieszeni fartucha Aguado.

- Callum i Byrne mieli do wykonania dość niebezpieczną misję. Przemysłnicy diamentów w Glasgow, groźni ludzie powiązani z mafią. Sądziliśmy, że oni to zrobili.

- Zespół techników zbadał miejsce zbrodni - wtrąca Aguado - i okazało się, że prawda jest znacznie gorsza.

Antonia wstaje i mrużąc oczy, podchodzi do zdjęcia swojego angielskiego odpowiednika. Wykonuje wznoszący i powtarzający się ruch ręką, jakieś obliczenia w pamięci, a potem znowu patrzy.

- To on go zabił, a później się powiesił.

- Skąd...?

- Rozpryski krwi na koszuli. Ten niemal idealny półkolisty kształt otacza inne, mniejsze. Mogły powstać tylko wtedy, gdy nóż trzymał Callum.

Aguado odchrząkuje zakłopotana i spogląda na Mentora.

- To prawda - potwierdza on. - Zajęło nam to trochę dłużej niż tobie, Scott. Noża nie było na miejscu zbrodni. Został znaleziony kilka godzin później w hotelowym ogrodzie. Ale wtedy już rozpełtało się szaleństwo.

Na monitorach wyświetlają się nowe zdjęcia. Widać na nich audi A8 zaparkowane na chodniku na osiedlu mieszkaniowym. Tym razem Antonia nie musi się domyślać. Białoczerwona taśma z napisem POLITIE, NIET BETREDEN wyjaśnia wszystko.

Na jednym z monitorów odtwarza się nagranie zarejestrowane telefonem komórkowym. Na siedzeniu pasażera w audi widzą ciało kobiety ubranej w szarą marynarkę i ołówkową spódnicę do kompletu. Dziura wlotowa po kuli jest mała, wielkości monety. W kontraście do szkód, jakie poczyniła, wychodząc. Boczna szyba zamieniła się w abstrakcyjny obraz. Kompozycja w kolorze czerwonym ze szczeliną na środku, w miejscu, w którym uderzenie głowy spowodowało pęknięcie szyby, nie rozbijając jej.

– Lotte Janssen, Czerwona Królowa w Holandii. Samochód znaleziono przed jej domem w Rotterdamie. Jej giermek został zatrzymany niespełna dwieście metrów dalej. Włączył się bez celu po ulicy, z pistoletem w rękę, w stanie katatonicznym.

– Wtedy zrozumieliście, że coś jest nie tak.

– Królowa, która zabija giermka, giermek, który zabija królową. Wszystko w ciągu paru godzin. Tak, nawet my, zwykli śmiertelnicy, zdołaliśmy dodać dwa do dwóch, Scott.

– Nie rób tego.

– Czego?

– Nie odgrywaj roli Jona. To do ciebie nie pasuje.

Mentor wyjmując z kieszeni papierosa i go zapala.

– Mnie też go brakuje, Scott. Ale musimy być przygotowani na najgorsze.

Antonia zastanawia się przez kilka sekund nad tymi słowami. Następnie podaje jedyną możliwą odpowiedź.

– Nie.

– Możliwości... – zaczyna Aguado.

– Co się stało, kiedy dowiedzieliście się o Holandii? – przerywa jej Antonia.

– My, szefowie ekip, spotkaliśmy się w Brukseli. Wiedzieliśmy, że coś się dzieje, ale nie mieliśmy żadnych informacji. Były krzyki, ogromne zdenerwowanie. Przeżywaliśmy własny jedenasty wrzesień. Nikt nie wiedział, co robić. Zatrzymaliśmy giermka Holandii, ale nie powiedział ani słowa. I wtedy...

Mentor milknie, spuszcza głowę. Aguado odwraca wzrok.

– I wtedy zdarzyło się kolejne – szepcze Antonia.

Na ekranie pojawia się zdjęcie. Pośród dymu i gruzów Antonia dostrzega bogato zdobione stalle, wizerunki świętych wyrzeźbione w kamieniu oraz drzwi z brązu. Potrzebuje trochę czasu, by ją rozpoznać. Sztuka nie jest jej mocną stroną, a tym bardziej sztuka gotycka. Ale to, co widzi, pasuje do starego wspomnienia ze szkoły średniej. Nudna lekcja w

piątkowe popołudnie, w klasie opuszczone rolety, senność i upał późnej wiosny w Barcelonie. A na rzutniku w sali zdjęcie siedemsetletniej niemieckiej katedry.

– Kolonia.

– Był wybuch – mówi Mentor. – Sześć osób ciężko rannych. Dwie zabite.

Zalega cisza, którą przerywa Aguado.

– Zabici byli...

– Już wiem, kim byli.

Antonia wygląda tak, jakby za chwilę miała się rozplakać. Albo bić się z kimś na gołe pięści. Nie da się tego rozróżnić.

– Poluje na nas – mówi głosem stłumionym od gniewu. – Jedno po drugim. Na wszystkich członków projektu Czerwona Królowa. Pięć zabitych osób w zaledwie dwa dni. Anglia, Holandia, Niemcy. Co z resztą?

– Giermek Holandii wciąż przebywa w areszcie. Isabelle Bourdeau z Francji zniknęła razem ze swoją królową. Paola Dicanti była razem z królową w drodze do bezpiecznego miejsca we Florencji, ale straciliśmy kontakt wczoraj w nocy, uważamy, że celowo.

Mentor robi pauzę. Dość długą. Opuszkami palców masuje sobie czoło, jakby chciał przywołać informacje, a może przepędzić rozpacz. Raczej na niewiele się to zdaje.

– To wszystko, co wiem – kończy.

– Nie, to nieprawda.

Mentor prostuje się nieco, zdumiony.

– Powiedziałem ci wszystko, co...

Antonia podnosi palec, żeby go uciszyć.

– Wczoraj w nocy, kiedy do mnie zadzwoniłeś, powiedziałeś, że wiesz, co się wydarzyło w Anglii i w Holandii. Że mój duch jest bardzo prawdziwy.

Mentor przytrzymuje jej wzrok, nie mrugając.

– Z tymi dowodami, jakie mi pokazałeś – ciągnie Antonia – nie możesz dojść do takiego wniosku.

- Nie wiem, czy podoba mi się twój ton, Scott.

- Cztery lata. Cztery lata, odkąd ten potwór zjawił się w moim domu, mówiłam ci o nim przez cztery lata. Cztery lata, w czasie których jedyne, co od ciebie dostałam, to pobłażliwe uśmieški, o ile nie insynuację, że postradałam zmysły.

- Po tym, co spotkało Marcosa...

- „Przynieś mi dowód. Jeden dowód, a uwierzę, że ten twój morderca istnieje”. Ile razy to słyszałam?

- Nie miałaś nic oprócz plotek, Scott.

- A ty co masz tym razem?

- *Modus operandi*...

- Na tych zdjęciach nie ma *modus operandi*. Tylko przemoc i przypadkowa śmierć.

To nieprawda, że pojedynek na spojrzenia przegrywa ten, kto pierwszy odwróci wzrok. Przegrywa ten, kto wobec nieuchronności swojej porażki odwraca wzrok, by nie pozwolić, żeby przeciwnik ujrzał ją w jego oczach.

- Mogłaby pani dać nam kilka minut? – prosi doktorkę Mentor.

Antonia wykonuje delikatne skinienie głową w stronę Aguado, kiedy ta przechodzi za jej krzesłem. Czeka do momentu, aż słyszy zamykające się drzwi.

- A teraz... powiesz mi, co naprawdę stało się w Brukseli?

Co naprawdę stało się w Brukseli

Mentor poluzowuje sobie krawat, wyciąga rękę po swojego laptopa, zapala kolejnego papierosa, powoli, próbując zyskać na czasie. Kiedy wypuszcza dym po pierwszym sztachnięciu, nie ma już żadnych wymówek, by dalej milczeć.

– Giermek Holandii... zaczął mówić.

– Powiedziałeś, że był w stanie katatonicznym.

– Przez kilka godzin. W końcu wyszedł z szoku. Ale wciąż nie chciał mówić.

Mentor wciska przycisk na swoim laptopie i fotografie z zamachu w Niemczech zastępuje nowe zdjęcie. Ciemnoskóry mężczyzna o ostrych rysach twarzy. Po pięćdziesiątce, ale wciąż dobrze się trzyma.

– Michael Seedorf. Urodzony w Surinamie. Były policjant, w rezerwie. Zwerbowałeś go w wyjątkowo trudnym momencie życia.

– Standardowa procedura.

– Właśnie stracił córkę. Dziewczyna była genetyczką, miała znakomite wyniki w nauce i niesamowitą przyszłość. Potrafił ją samochód.

– I wtedy weszliście wy.

– Ja nie miałem z tym nic wspólnego. Ale mój holenderski kolega wykonał świetną robotę. Stworzył idealne porozumienie między Seedorfem a jego królową. Kochał ją jak własną córkę. Pracowali razem od początku. Rozwiązali kilka zajebicie trudnych spraw.

– Słyszałam, że była bardzo dobra.

– Nie tak jak ty, ale owszem. Była.

Antonia wyczekuje, zagryzając dolną wargę, aż Mentor będzie kontynuował. On wciska przycisk i ekrany monitorów stają się czarne.

– Zrozum, musieliśmy to z niego wyciągnąć, Scott.

Antonia nabiera głęboko powietrza i zamyka oczy.

– Co zrobiliście?

– Były poważne dyskusje między wszystkimi szefami ekip. Decyzja musiała zapaść jednogłośnie.

– Co zrobiliście?

– Decyzja...

Antonia zadaje pytanie po raz trzeci.

Mentor wstaje, zaciera ręce, opiera się o betonową ścianę.

– Ekstremalne przesłuchanie – mówi w końcu.

Antonia otwiera oczy.

Jest w nich dokładnie to, czego Mentor się obawiał. Wykręcił się eufemizmem, ale na niewiele się to zdaje w rozmowie z filologką, która ponad wszystko kocha precyzję w języku.

– Torturowałeś jednego z naszych – stwierdza Antonia z niedowierzaniem.

– Zrobiliśmy to, co powinniśmy zrobić, Scott. Jesteśmy atakowani.

– To, co powinniśmy – powtarza Antonia z suchym śmiechem, bez cienia humoru.

Robi jedną z tych swoich pauz.

– Tuż przed powrotem z Malagi Jon powiedział mi coś, co dało mi do myślenia. Na temat naszej pracy. Na temat tego, co robimy. O skrótach, jakie obieraliśmy, próbując robić to, co powinniśmy. Zgadniesz, co mu na to odpowiedziałam?

Mentor milczy.

– „Idąc w linii prostej, człowiek nie zajdzie zbyt daleko”. To mu powiedziałam. Wiesz, czyje to zdanie?

Jasne, że wie. Ale nie zamierza się przyznawać.

– Twoje, Mentor. To twoje zdanie. Jedno z tych, jakimi usprawiedliwiamy czyny, z których nie jesteśmy szczególnie dumni. Nasze kłamstwa, nasze oszustwa, nasze skróty.

– Nie sądzisz, że Jon...?

Antonia podnosi palec.

- Ani mi się waż. Ani mi się waż jeszcze raz użyć imienia najuczciwszego i najlepszego człowieka, jakiego poznałam, żeby usprawiedliwić to, co zrobiłeś.

- Musieliśmy się dowiedzieć, co się stało, Antonia. Zabił swoją partnerkę. To nie bierze się znikąd.

- Dobra. Opowiedz mi wszystko.

- Nie mogę powiedzieć ci więcej, Scott.

- Nie możesz czy nie chcesz?

Mentor krzyżuje ręce na piersi. Nie zamierza zmarnować resztek swojej godności za jednym zamachem. Woli zostawić sobie co nieco na później.

- Nie mogę i nie chcę.

Ale Antonia wciąż jest głodna.

- Pozwól w takim razie, że ja ci opowiem, co się wydarzyło, zobaczymy, czy zdołam. Jeśli mam rację, tylko przytakuj. Zgoda?

Mentor się waha, ale wie, że został zapędzony w kozi róg i że jedyny sposób, żeby się z niego wydostać, to zrobić krok do przodu.

Zgadza się więc.

- Po zamachu w Kolonii wy, szefowie ekip, zgodziliście się co do tego, że istnieje zewnętrzne zagrożenie, które uzasadnia torturowanie jednego z członków projektu Czerwona Królowa, który nie chciał współpracować.

Przytaknięcie.

- Żaden z was nie odważył się zrobić czegoś takiego osobiście – ciągnie Antonia, mówiąc powoli, kamuflując przesłuchanie głośnym myśleniem.

- Być może komuś to zleciliście.

Brak przytaknięcia.

- Być może ktoś zlecił to tobie.

Głowa Mentora nadal się nie rusza. Dzięki niebiosom za drobne łaski.

- Stało się, po prostu. Nie ma to znaczenia – kłamie Antonia, niezbyt dobrze. – Ktoś to zrobił. Przypuszczam, że nie było to nic szczególnie brutalnego. Nie jesteśmy jakimiś barbarzyńcami. Też nic, co wymaga

czasu, bo nam się spieszy. Żadnej terapii odczulania, pozbawiania snu...
Wieszanie do góry nogami? *Waterboarding*?

Antonia wymienia, aż jedna z nazw wywołuje minimalną reakcję
żrenic Mentora.

– *Waterboarding*. Klasyk, prawie niezawodny. Powiedz mi, widziałeś to?
Brak przytaknięcia.

– Nie, jasne, że nie. To nie w twoim stylu. Powierzyć zadanie komuś
innemu i czekać na rezultaty, to jest w twoim stylu. No cóż, pozwól, że
odświeżę ci tę procedurę. Osobnika umieszcza się w wannie pełnej wody.
Na jego twarzy kładzie się ręcznik. Następnie na ręcznik wylewa się wodę.

Mentor zapala kolejnego papierosa, starając się sprawiać wrażenie
obojętnego, a może zdystansowanego. Antonia nie zapomina, że to on
nauczył ją podstawowych technik przesłuchania.

Ale sama również nauczyła się kilku.

– Przez materiał woda zaczyna zalewać nos i gardło osobnika. Mózg
odnosi wrażenie, że jest całkowicie zanurzony w wodzie, więc pojawiają
się niekontrolowane skurcze, wymioty. Cierpienie jest potworne, bo
osobnik jest na progu śmierci, lecz w żadnym momencie go nie
przekracza. Umiera przez pełną minutę. Całe sześćdziesiąt sekund.

Mentor wciąż trzyma w ręku papierosa, ale nie podnosi go do ust.
Ogień zamienia papier i tytoń w nieregularny cylinder popiołu, który
grozi, że spadnie na szklany stół.

– Osobnik poddaje się w niespełna minutę. Nikt nie wytrzyma więcej.
Wielu robi pod siebie. Kiedy zabiera im się ręcznik z twarzy, opowiadają
wszystko, co wiedzą, nie zważając na konsekwencje.

– Nie można okłamywać wody – mówi Mentor, nieobecny. Nie zdaje
sobie sprawy, że żar papierosa za chwilę poparzy mu palec.

– Nie można. Więc Seedorf przemówił. Ciekawe, czy zgadnę, co wam
powiedział: skontaktował się z nim pewien człowiek. Może najpierw
przysłał wiadomość, a dopiero później zadzwonił. Pierwszy kontakt
prawdopodobnie był związany z demonstracją siły. Zdjęcie, odcięty palec.

– Apaszka poplamiona krwią – przyznaje Mentor, uświadamiając sobie w końcu, że ogień go dosięgnął. Gasi peta bez patrzenia.

– Należąca do kogoś z rodziny Seedorfa. Do żony?

– Matki.

– I kilka jasnych instrukcji. Musiał zabić swoją Czerwoną Królową, kobietę, którą przysięgał chronić, żeby uratować kobietę, która dała mu życie.

Przytaknięcie.

– Nie mógł też o niczym wam powiedzieć. Po wszystkim musiał popełnić samobójstwo. Dzięki temu miał ją uratować.

Przytaknięcie.

– Wy ukradliście mu nawet to pocieszenie. Jeszcze żyje?

Przytaknięcie.

– A jego matka?

Głowa Mentora się nie rusza.

W głowie Antonii wirują myśli.

Daje sobie kilka chwil, żeby to wszystko przetrawić. Niezbyt długich. Nie może sobie na to pozwolić, inaczej gniew i oburzenie wezmą nad nią górę. W tym momencie emocje są dla niej luksusowym przedmiotem po drugiej stronie grubej witryny.

– Przypuszczam, że zanim otrzymaliście tę informację, White nie był podejrzanym.

Przytaknięcie.

– Bo nikt nie uznałby za podejrzanego ducha. Wymysłu dziwacznej Hiszpanki. Niezrównoważonej wariatki, która straciła kontakt z rzeczywistością. Twoi koledzy nadali mi jakąś ksywkę, prawda?

Brak przytaknięcia. Brak czegokolwiek. Co ostatecznie potwierdza przypuszczenia Antonii.

– Powiedz mi coś... Czy choć raz wspomniałeś o Whicie pozostałym szefom? Choćby tylko po to, żeby się ze mnie ponabijać?

Mentor, który zdołał już odbudować nieco swoją godność, mówi prawdę, tak dla odmiany.

- Nie - przyznaje.

Antonia kręci głową. To, co czuje, to nie jest ból. Ani nawet rozczarowanie. Czuje *áselichibã*. W języku oromo, którym posługuje się czterdzieści milionów ludzi w Rogu Afryki, oznacza jezioro nudy wywołane cudzą głupotą.

Ogromna, przygnębiająca nuda. Morze nudy, w którym można się utopić, w którym można się zatracić. Kiedy najbardziej wartościowym działaniem, na jakie człowiek ma ochotę, nie jest podniesienie rąk, tylko ich opuszczenie.

Może w innych okolicznościach Antonia po prostu by wyszła. Wstałaby i wyszła, nie oglądając się za siebie.

Ale nie może tego zrobić Jonowi.

Ani Marcosowi. Ani Carli.

Ani samej sobie.

Tak więc oddycha głęboko, wstaje od stołu i podchodzi do Mentora.

- Torturowałeś człowieka, żeby powiedział ci coś, o czym już wiedziałeś. Ja ci to powiedziałam, lata temu. Gdybyś wtedy mnie wsparł, gdybyś pomógł mi znaleźć White'a, teraz ty i ja nie siedzielibyśmy tutaj.

Antonia zabiera mu komputer i ponownie włącza monitory.

Zaczyna wciskać klawisze z największą prędkością, wybiera zdjęcia z bazy danych, wyświetla je na monitorach i tym samym krok po kroku osacza Mentora.

Zdjęcia ze sceny zbrodni w La Fince. Wykrwawiony chłopiec - pierwsze zabójstwo Sandry Fajardo.

- Nie zginęliby niewinni.

Katastrofalna w skutkach interwencja WPW w domu Nicolása Fajardo, kiedy Sandra zdetonowała dwie bomby.

- Nie zginęliby policjanci.

Ostatnie śmierci w Holandii, Anglii, Niemczech.

- Nie zginęliby nasi koledzy.

Antonia drżącymi rękami zamyka laptopa. Ekran są zalane grzechami Mentora, grzechami przez zaniechanie, za które ona oczywiście czuje się

tak samo odpowiedzialna.

– Wystarczy, Scott – mówi Mentor łamiącym się głosem.

– Nie. Brakuje najważniejszego. Kiedy zdołam uratować Jona, musisz mi powiedzieć, jak będę w stanie poprosić go, żeby wrócił. Wiedząc, że któregoś dnia mógłbyś usprawiedliwić jego torturowanie.

Mentor otwiera usta, żeby odpowiedzieć, lecz tego nie robi. Ponieważ w tym momencie odzywa się telefon Antonii.

Dwa piknięcia, wibracja.

Ona wyjmuje telefon z kieszeni.

Odczytuje wiadomość.

Rzuca się do biegu.

Brama

Nie zwraca uwagi na krzyki Mentora za swoimi plecami. Ignoruje zaskoczoną twarz Aguado, kiedy mija ją w pełnym biegu. Nie ma na to czasu.

Audi A8 jest otwarte, kluczyk siedzi w stacyjce. Nie zapina pasa ani nie ustawia fotela, dopasowanego dla kogoś wyższego od niej o trzydzieści pięć centymetrów. Na to też nie ma czasu.

Wiadomość nie pozostawia jej wielu możliwości. Zawiera lokalizację i cztery słowa.

„OSIEM MINUT.
TY SAMA”.

Tak więc Antonia uruchamia silnik i rusza w stronę bramy parkingu, która jest szczelnie zamknięta. Antonia przeszukuje samochód, lecz nie znajduje pilota. A sekundy mijają.

Tymczasem telefon Antonii połączył się automatycznie z zestawem głośnomówiącym audi i głos Mentora rozbrzmiewa przez głośniki.

– Liczę, że masz dobre wyjaśnienie.

– Pewnie, że mam.

Zalegająca cisza wskazuje na to, że nie zamierza go podawać.

– To on, prawda? Podaj mi adres, wyślę kogoś.

Antonia zagryza wargę, rozważając opcje. Miejsce spotkania jest ogromne, a czasu ma niewiele. To nie jest dobry pomysł.

– To nie jest dobry pomysł – mówi, ćwicząc konsekwentność. – Otwórz bramę.

– Scott...

- Na pewno pomyślał o wszystkim. A ryzykujemy życiem Jona. Choć raz w swoim życiu pozwól mi działać po mojemu.

- Wyjątek będzie wtedy, kiedy tak się nie stanie – rzuca Mentor.

- I nie protestuj – mówi Antonia.

Ale za późno, bo Mentor już się rozłączył. Dźwięk kończącego się połączenia zbiega się z metalicznym brzęczeniem otwierającej się bramy parkingu.

Antonia wciska gaz do dechy, a podwozie wyrzuca iskry, kiedy auto wyjeżdżając, ociera się o podjazd.

8

Wyjątek

Mentor zastanawia się przez chwilę nad sytuacją, pięść ma opartą o ścianę, czoło na pięści, oczy zamknięte. Jego ciało tworzy zestaw obciążników.

„Stawka jest zbyt wysoka”, dochodzi do wniosku, „by polegać na tym, żeby Antonia działała po swojemu”.

Kiedy podejmuje tę decyzję, jego anatomia odzyskuje równowagę.

– Proszę wysłać wiadomość do pozostałych. Niech natychmiast wracają. I proszę nie tracić jej z oczu – nakazuje doktorce Aguado, która znowu jest w sali zebrań i siedzi przed laptopem.

Na ekranach widać mapę, na której lokalizacja audi A8 jest pokazana jako poruszający się czerwony punkcik.

Spotkanie

Poruszający się czerwony punkcik jedzie z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, skręcając z jednej ulicy z miesiącem w nazwie w drugą. Przejeżdża przez Luty, Marzec i Grudzień, pokonuje przecnicę w przeciwnym kierunku i wielokrotnie wciska klakson, kiedy komuś przychodzi do głowy niefortunny pomysł, by stanąć jej na drodze. Dla Antonii Scott przepisy ruchu drogowego to raczej sugestie, pełne dobrych intencji przypomnienia, na które należy zwracać uwagę tylko wtedy, kiedy nie masz nic lepszego do roboty, tak jak wtedy, gdy Facebook przypomina ci o urodzinach kuzyna.

I tak, jadąc osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, dociera do alei Zima, gdzie obowiązuje ograniczenie prędkości do trzydziestu. Stoi tu wiele autobusów, ale sytuacja komplikuje się dopiero wtedy, gdy wjeżdża na ulicę Samaniego. Dwukierunkową i kompletnie zakorkowaną.

Antonia manewruje, prawymi kołami wjeżdża na chodnik. Jedzie tak przez kolejne pięćset metrów wśród wściekłych klaksonów (i niejednego spojrzenia zazdrości) ojców rodzin, którzy czekają w kolejce w samochodach z dziećmi z pełnymi pęcherzami, żeby dostać się na parking centrum handlowego.

Antonia nie może czekać w kolejce ani nie chce zostawiać samochodu na środku ulicy, ponieważ nie wie, czy później będzie jej potrzebny. Skręca więc gwałtownie i kieruje się na parking Aldi, naprzeciwko centrum handlowego. Jest tu szlaban z rodzaju tych, które każą czekać, aż weźmiesz bilecik, ale Antonia go ignoruje (poważne wykroczenie numer trzydzieści sześć w ciągu ostatnich siedmiu minut) i tylko wciska gaz.

Metalowy szlaban zostawia piękną potrójną krechę wzdłuż maski, po czym łamie się w kontakcie z przednią szybą.

Jakimś cudem miejsce dla niepełnosprawnych tuż przy wejściu nie zostało jeszcze zajęte przez żadnego imbecyla, więc Antonia bierze to zadanie na siebie.

Kiedy jedenaście sekund później wchodzi do centrum handlowego, jest spóźniona prawie o minutę. Ruchome schody prowadzące na drugie piętro są pełne ludzi najgorszego sortu, a mianowicie tych, którzy zapominają, że schody to wsparcie, a nie wymówka, żeby się poddać i osunąć na poręcz, aż wyczerpane ciało wyłoni się po drugiej stronie. Antonia toruje sobie drogę pośród zwałów bezwładnych ciał, używając łokci i kolan.

Moran Cafe znajduje się na końcu długiej alejki, w dość odosobnionym miejscu. Wiele francyz z drugiego piętra, należących do osób prywatnych, musiało się zamknąć po kryzysie z minionego roku. Opuszczone szkielety burgerowni i pizzerii z obcojęzycznymi nazwami leżą bezładnie jak brudne kostki lodu na dnie szklanki, w której wcześniej był napój orzeźwiający. Klienci jedzą w tych najtańszych lokalach na pierwszym piętrze, niedaleko sklepów z ubraniami i pełnych zarazków basenów z piłeczkami.

Moran Cafe jest jednak pełna. Sześć stolików z typową dla takich miejsc klientelą. Antonia szufladkuje ją w ułamku sekundy, próbując złapać oddech, zanim wejdzie do środka.

Trzy pary, które pozorują, że siebie słuchają, podczas gdy tak naprawdę przeglądają Instagram, dwóch hipsterów udających, że piszą powieść na swoich MacBookach, psychopatyczny morderca. Tego ostatniego najłatwiej rozpoznać, ponieważ jako jedyny – zamiast urządzenia elektronicznego – trzyma w rękę papierową książkę.

Kiedy podnosi głowę i ich spojrzenia się spotykają, żołądek Antonii się kurczy. Ktoś taki jak ona widział mnóstwo śmierci, mnóstwo trupów. Na miejscu zbrodni albo na stalowym stole w prosektorium. We wszystkich tych przygaszonych oczach bez wyjątku było więcej życia niż w dwóch

niebieskich kamieniach, zimnych i błyszczących, które obserwują ją z głębi lokalu.

Oczywiście to pułapka. Ale nie ma wyboru. A publiczne miejsce gwarantuje pewną ochronę, stwierdza Antonia i wchodzi do kawiarni, po czym kieruje się do najgroźniejszego człowieka, jaki kiedykolwiek istniał.

Kiedy Antonia podchodzi, on wstaje, lecz nie wykonuje żadnego ruchu, by ucisnąć jej dłoń. Zamiast tego eleganckim gestem wskazuje puste krzesło naprzeciwko siebie.

– Proszę usiąść, pani Scott – odzywa się po angielsku. – Mam nadzieję, że znalezienie tego miejsca nie zajęło pani zbyt wiele czasu.

Antonia siada powoli. Oboje przez kilka chwil przyglądają się sobie w milczeniu.

Mężczyzna musi być starszy od niej o jakieś cztery lata. Ma falowane blond włosy oraz białą i delikatną skórę. Rysy jego twarzy wyglądają jak wyrzeźbione w marmurze, a na szczęce można by rozłupywać orzechy. Ma na sobie białą koszulę bez krawata i granatowy trzyczęściowy garnitur, w którym wydaje się czuć tak swobodnie, że mógłby go używać jako piżamy. Sądząc po tym, jak na nim leży, wygląda na szyty na miarę i musiał kosztować tyle, co mały samochód.

– Miałam współrządne. Ramy czasowe skomplikowały nieco sprawę.

– Ach, tak. Nieunikniona walka z czasem. Obawiam się, że było to konieczne. W tej chwili, kiedy rozmawiamy, pani współpracownicy przygotowują operację, by mnie złapać.

– Wydałam polecenie, żeby tego nie robili – mówi Antonia, unosząc brew.

– Polecenie, które pani pracodawca, pani Mentor, kompletnie zignorował. Myślę, że mamy jakieś...

Zgina rękę w łokciu, żeby spojrzeć na zegarek. Kiedy Antonia widzi, jak materiał się zbiega, i słyszy łagodny szelest koszuli, zmienia zdanie w kwestii ceny. Niektóre terenówki są tańsze od tego garnituru. Ubranie kontrastuje z brzydotą zegarka na przezroczystym plastikowym pasku.

– ...siedemnaście minut, zanim zdołają się efektywnie zorganizować, by otoczyć tak duże miejsce jak to.

Akcent z angielskiej szkoły i gramatyka pozostają niezmiennie. Antonia nie może uwierzyć, że to ten sam człowiek, który ją postrzelił, wpędził w śpiączkę Marcosa i porwał Jona. Człowiek, którego ona szuka od kilku lat i który nagle zmaterializował się naprzeciwko niej.

W myślach ćwiczyła to, co mu powie i co mu zrobi, kiedy nadejdzie ten moment. Ćwiczyła to raz za razem w ciągu niekończących się nocy. Dziesiątki linijek dialogu, setki wariantów.

A teraz, kiedy nadszedł ten moment?

Ma pustkę w głowie.

Jest pogubiona, ale też wściekła. Czuje nieodpartą chęć, by dotknąć swojej blizny na lewym ramieniu. Nieregularnej gwiazdy z pięcioma poskręcanyimi ramionami w miejscu, w którym kula White'a wyszła z jej ciała.

Nie robi tego, żeby nie okazywać słabości.

Pod stolikiem mocno zaciska dłonie w pięści.

– Pozwoliłem sobie zamówić za panią – mówi mężczyzna, kiedy podchodzi do nich kelner z napojami.

Żeby zrobić miejsce na zieloną herbatę, odsuwa książkę. To stary egzemplarz, z dziewiętnastego wieku, oprawiony w skórę. Tytuł wytłoczony złotymi literami to *Dynamika asteroidu*. Autor: nieczytelny.

Przed Antonią łąduje filiżanka kawy.

Przez chwilę obserwuje ją podejrzliwie, szybko jednak dochodzi do wniosku, że ryzyko, że jest zatruta, wynosi zero. Upija łyk kawy, próbując uporządkować swoje myśli, uspokoić małpy, nie dopuścić, by gniew wziął nad nią górę, obmyślić strategię.

– Dużo mleka, mało kawy, tak jak pani lubi – mówi mężczyzna.

– Wygląda na to, że dużo pan o mnie wie.

– Już od lat studiujemy się nawzajem po cichu, na odległość, pani Scott.

– Z odmiennymi rezultatami.

- Jest pani nazbyt skromna. Fakt, że domyśliła się pani mojego istnienia, to znaczące osiągnięcie.

Na razie jedyna strategia, jaka przychodzi Antonii do głowy, polega na tym, żeby

- a) wyjąć talerzyk spod filiżanki i rozbić go o krawędź stolika,
- b) wziąć jeden z ostrych kawałków ceramiki i
- c) poderżnąć gardło temu aroganckiemu i protekcyjalnemu gnojkwowi.

Według jej wyliczeń prawdopodobieństwo, że Jon Gutiérrez przeżyje, jeśli ona wybierze taki kierunek działania, wynosi zero procent. A więc się powstrzymuje.

- Nie wydaje się to tak dużym osiągnięciem. Nawet nie znam pańskiego imienia.

- Wystarczy pan White – ucina temat, wachlując powietrze ręką.

- Pasjonat anonimowości.

- Pasjonat wolności.

- Minęło trzysta jedenaście sekund, odkąd tu weszłam. Jeśli chce pan zachować tę wolność, lepiej proszę przejść do rzeczy.

White unosi brew wobec takiej precyzji. Sprawdza tę informację na zegarku i na jego ustach pojawia się dziwny uśmiech pełen bielutkich, idealnych zębów. To nie jest prawdziwy uśmiech. Nie ma w nim światła ani uczuć, mięśnie po prostu zmieniają położenie na twarzy.

- To prawda, co o pani mówią. Rzeczywiście jest pani wyjątkowa.

W jakiś sposób komplement tego potwora jest dla Antonii bardziej przerażający niż wszystko, co powiedział wcześniej. Czuje, jak przeszywa ją dreszcz, i instynktownie ukradkiem rozgląda się dookoła.

- Ach, ma pani rację. Zbyt dużo ludzi, prawda? – zauważa White.

Podnosi łyżeczkę, krótko potrząsa nią w powietrzu niczym dyrygent batutą, i cztery razy uderza nią o filiżankę. Powoli.

Kling.

Kling.

Kling.

Kling.

Zanim ucichł ostatni dźwięk, goście kawiarni skierowali się w stronę drzwi, zostawiając swoje rzeczy. Nawet kelner. Ruch jest tak niespodziewany, tak krótki, tak fantasmagoryczny i nierealny, że kiedy wszyscy już wyszli, odnosi się wrażenie, jakby nigdy ich tam nie było.

Patrząc na pusty lokal, Antonia czuje jednocześnie strach i coś jeszcze.

Uklucie podziwu – by jakoś je nazwać.

Rodzi się w najbardziej racjonalnej części jej mózgu, największej i najbardziej obecnej. W części, która rozumie ogromną energię i umiejętności, jakie pokazała sztuczka, której właśnie była świadkiem. I przez to uklucie podziwu wciska się odrobina uznania.

Lepiej, żeby ten człowiek myślał, że się go boi. Lepiej pozwolić, żeby atawistyczna część jej mózgu, ta najmniejsza i ukryta, wyszła na pierwszy plan, pojawiła się w jej oczach i zabarwiła jej głos wyblakłą ochrą niepokoju.

Nie kosztuje jej to wiele.

– W porządku, panie White. Postawił pan sprawę jasno. Pan ma kontrolę.

Uśmiech White'a staje się o jeden ząb szerszy, o jeden ząb okrutniejszy. To o wiele brzydszy, lecz nieskończenie prawdziwszy uśmiech niż ten poprzedni.

– W końcu to sobie pani uświadomiła.

Antonia próbuje się pozbierać, zyskać na czasie.

– Nie będę dla pana zabijać.

– A czy ja o to prosiłem?

– Czego pan zatem chce?

– To bardzo proste. Chcę, żeby robiła pani to, co potrafi najlepiej. Chcę, żeby rozwiązała pani sprawy trzech zabójstw i wymierzyła sprawiedliwość.

10

Zlecenie

Antonia zamiera. Ta prośba to ostatnie, czego mogła się spodziewać.

– Dlaczego pan chce, żebym rozwiązała sprawy zabójstw?

– Czy nie tym się pani zajmuje?

– Właśnie. To przeciwieństwo tego, czym zajmuje się pan.

White najwyraźniej zastanawia się nad tym przez kilka sekund, oglądając swoje idealnie wypielęgnowane paznokcie na końcach długich i delikatnych palców.

Antonia nie może nie pomyśleć o rękach Marcosa, które po raz ostatni trzymała w swoich ledwie kilkanaście godzin wcześniej. Kościste palce, kwadratowe dłonie. Męskie ręce, ręce rzeźbiarza. Ręce, które straciły siłę i witalność z winy tych, które teraz widzi przed sobą.

„Gdyby na świecie istniały dłonie będące całkowitym przeciwieństwem rąk Marcosa, to właśnie te”, myśli Antonia z obrzydzeniem.

– Obawiam się, że wyrobiła sobie pani na mój temat zupełnie błędną opinię, pani Scott.

– Jest pan płatnym mordercą, który szantażuje niewinnych ludzi, żeby wykonywali brudną robotę.

White kręci głową i mlaszcze, jakby to określenie go uraziło.

– Myli pani środki z celem.

– Więc proszę wyprowadzić mnie z błędu.

– Sama się pani wyprowadzi, już niedługo. Teraz obawiam się, że nasz czas dobiega końca – mówi, ponownie patrząc na zegarek. – Dziś wieczorem dostanie pani wiadomość z instrukcjami dotyczącymi pierwszego zlecenia.

- Przypuszczam, że zaraz mi pan powie, że jeśli zrobię wszystko, o co mnie pan prosi, odda mi pan mojego partnera całego i zdrowego.

- Wygląda na to, że mi pani nie ufa.

- Zrobi to pan?

White patrzy na Antonię bardzo uważnie. Jego maleńkie źrenice, niczym dwie główki od szpilki, wywierają hipnotyczny efekt. Antonia na własnej skórze doświadcza tego, co musi czuć mysz, która widzi przed sobą węża.

Nie wyczuwa niebezpieczeństwa, które zbliża się od tyłu, aż robi się za późno.

Czuje lufę pistoletu między łopatkami oraz ciepły i suchy oddech na szyi. Słyszy powolne, długie nabieranie powietrza.

- Kiedy śpiesz, pachniesz inaczej - szepcze Sandra przy jej uchu.

Antonia czuje w brzuchu ciężar, lodowatą kulę złożoną z odrazy i nienawiści. To, co żywi wobec White'a, blednie wobec pierwotnej reakcji, jaką wywołuje w niej kobieta, która porwała jej syna. Siedzi prosto, nieruchomo, podczas gdy Sandra elegancko obchodzi stół i staje obok White'a, który już się podniósł.

Z bliska i w świetle kawiarnianych lamp twarz Sandry nie wydaje jej się taka miła.

Ma ciemne włosy tu i ówdzie poprzetykane siwizną, związane z tyłu tak ciasno, jak kajdany mordercy. Wciąż celuje w nią z pistoletu.

- Już czas - mówi do White'a.

On rzuca jej poirytowane spojrzenie i zwraca się do Antonii.

- Droga pani, wkrótce otrzyma pani wiadomość z moim zleceniem. Naturalnie muszę panią ostrzec, że nie powinna pani próbować nas śledzić ani wykonywać żadnego telefonu z informacją o naszej lokalizacji. Za dziesięć minut będzie pani mogła opuścić lokal. Ani sekundy wcześniej.

White wykonuje ruch w stronę wyjścia, ale potem dodaje, jakby właśnie przyszło mu to do głowy:

- Jeszcze jedno. Aby mieć pewność, że przystąpi pani do mojego zlecenia w jak najlepszych warunkach, chciałbym zrobić pani pożegnalny prezent.

Antonia odwraca się w stronę, którą wskazuje palec White'a.

I nie może uwierzyć w to, co widzi.

Na wózku inwalidzkim bezwładnie siedzi postać, którą rozpoznaje od razu. Mimo że na głowie ma płócienny worek, to objętość klatki piersiowej mężczyzny jest jedyna w swoim rodzaju. Nie żeby był gruby.

Jej zaskoczenie jest tak wielkie, że prawie nie zwraca uwagi na ostatnie zdanie White'a, zanim ten zniknie na zapleczu.

- Bo przecież... czym byłaby Antonia Scott bez Jona Gutiérreza?

CZĘŚĆ DRUGA

JON

*Przynajmniej umarł, robiąc to, co kochał.
Wolałbym umrzeć, robiąc to, czego nienawidzę.*

Jerry Seinfeld

1

Wózek

Jon Gutiérrez nie lubi porwań.

To nie kwestia estetyki. Zasadniczo porwania wiążą się z mniejszą ilością krwi i przemocy niż morderstwa, przynajmniej na początku. Porwanie to w znacznej mierze nieobecność.

Rzecz jasna jest przemoc, jakiej doświadcza ofiara, zamknięta wbrew własnej woli w jakimś ciemnym i ciasnym miejscu. A także ból, jaki odczuwają ci, którzy czekają na nieobecnego. Każda chwila czekania, każda upływająca sekunda sprawiają, że kurczą się coraz bardziej i bardziej, aż ich niepokój i strach zamieniają się w jeden jedyny gorący punkt. W czarną dziurę udreki i rozpaczy, która pożera wszystko.

Nic z tego nie przeszkadza Jonowi w porwaniach, ponieważ Jon jest przyzwyczajony do nieobecności (ojciec zostawił go, kiedy był dzieckiem), ciasnych miejsc (jest gejem) i rodzinnych dramatów (jest inspektorem policji).

Jona Gutiérreza w porwaniach wnerwia to, że porywają jego.

„Człowiek nie może już chodzić po ulicy, żeby nie wsadzili go do samochodu z workiem na głowie”, myśli Jon. „W Bilbao to się nie zdarza”.

Myśli o tym raczej powoli, ponieważ wciąż się budzi. Jego ciało potrzebuje trochę czasu, żeby pozbyć się środka znieczulającego. Słyszy jakieś głosy w odległości trzech milionów lat świetlnych (wokół jest ciemno niczym w tunelu), usiłuje się ruszyć, ale nie odpowiada żaden mięsień. Boi się, ale to strach obcy, jakby pożyczony. Strach do wynajęcia, tak samo jak on czuje się teraz we własnym ciele. Podrażnione gardło, z teksturą jak po *after hour*, i pełny pęcherz.

Nagle materiał, który zakrywał mu twarz, znika. Płócienna zasłona zostaje zastąpiona zamazaną twarzą, ale dość znajomą.

– Tęskniłeś za mną?

– Doskonale wiesz, że jesteś najważniejsza – odpowiada Jon, kaszląc, próbując na nowo zaczerpnąć powietrza do płuc.

Nawet na obrzeżach swojego upojenia propofolem i fentanylem inspektor Gutiérrez docenia niezaprzeczalny i spokojny fakt. Jeszcze nigdy nie cieszył się tak bardzo, słysząc czyjś głos, jak cieszy się teraz, słysząc głos Antonii Scott.

Ona przygląda mu się zaniepokojona. Dezorientacja, zwężone źrenice i ataksja odpowiadają zatruciu środkami znieczulającymi, ale także wstrząśnieniu mózgu i jeszcze paru innym rzeczom, potencjalnie śmiertelnym.

– Ile widzisz palców? – pyta, podnosząc rękę.

– Piętnaście albo dwadzieścia.

Antonia kurczy trzy palce i dochodzi do wniosku, że margines błędu wynoszący między dwanaście a siedemnaście jest zbyt duży, aby mógł być wynikiem uszkodzenia układu nerwowego. Przypisuje to więc poczuciu humoru, które świadczy o tym, że jej partner czuje się na tyle dobrze, żeby ona mogła kontynuować swoją pracę.

Wkłada rękę do kieszeni, żeby wyjąć telefon.

– Muszę powiadomić Mentora. Jeszcze zdążymy złapać tego...

Jon pochyla się w jej stronę. Próbuje chwycić ją za przedramię, ale za pierwszym razem ponosi porażkę. Za drugim udaje mu się położyć na nim rękę wielkości, kształtu i o wadze paelli z kamieniami.

– Nie... nie dzwoń.

Antonia patrzy na niego, nie rozumiejąc.

– Rozum ci odjęło?

Inspektor Gutiérrez kręci głową.

– Liczę, że masz dobry powód.

Jon z ekstremalnym wysiłkiem otwiera usta. Czuje się tak, jakby szyję miał z plasteliny, nie może utrzymać głowy, która normalnie jest dość

gruba.

– Bomba – udaje mu się wydusić.

Antonia mruga pięć razy z największą prędkością.

– Faktycznie jest to dobry powód – stwierdza.

Ale Jon nie może jej usłyszeć. Stracił przytomność.

Antonia przykuca i zagląda pod wózek. To powszechny model, składany, tapicerka z materiału. Z rodzaju tych, które można kupić w każdej aptece czy w sklepie ortopedycznym za niecałe sto euro albo ukraść na pierwszym lepszym szpitalnym korytarzu.

Nie ma niczego pod siedzeniem ani niczego przyczepionego do oparcia.

Nie wydaje się, żeby w rurkach aluminiowych było tyle miejsca, by cokolwiek tam ukryć.

Tak więc przenosi wzrok na samego inspektora Gutiérreza. Jego ulubiony garnitur od Toma Forda (ostre kłapy, brustasza z plisną na piersi, kieszeń z patką, prosty krój, czarny, wełniany) jest wygnieciony i brudny. Koszula z egipskiej bawełny, przedtem biała, teraz jest w kolorze wyblakłej szarości. Antonia maca klatkę piersiową, lecz przez materiał nie znajduje niczego prócz twardych ogromnych mięśni pod zewnętrzną, dość miękką warstwą.

„To jak dotykanie stali przez neopren”, myśli Antonia, przywołując bezsensowną analogię.

Nachyla się nad nim, kontynuując przegląd, obejmuje go ramionami, zapierając się nogami, żeby móc przesunąć ciężar i dosięgnąć pleców oraz szyi. Właśnie wtedy opuszki jej palców wyczuwają lepką i ciepłą wilgoć. A pod spodem coś, czego nie powinno tam być.

„To jak dotykanie szmatki nasączonej olejem”, myśli Antonia, przywołując bardziej klarowną analogię. Ma uwięzioną rękę, ale już wie, co na niej znajdzie, kiedy zdoła ją wyciągnąć.

Chwilę później, szarpiąc po raz ostatni, potwierdza swoje przypuszczenia. Jej palce są zabarwione na ciemnoczerwono.

Z grymasem przerażenia na twarzy Antonia rozumie, co te bestie zrobiły z jej partnerem.

Mimo to wewnętrzna walka jeszcze się nie skończyła. Patrzy na swój telefon. Gdyby powiadomiła go teraz, Mentor miałby czas, żeby spróbować zlokalizować najbliższe wyjście, drogę ucieczki.

Potem znowu patrzy na palce pobrudzone krwią.

Powoli chowa telefon do kieszeni, jakby wykonywała wysiłek wykraczający poza granice rozsądku.

I coś w tym jest.

2

Uznanie

Inspektor Gutiérrez leży na brzuchu na noszach w module medycznym w kwaterze. Nagi. Antonia i Mentor byli tak uprzejmi, że dali mu przestrzeń i wyszli z pomieszczenia. Teraz obserwują wszystko z drugiej strony wielkiego okna osadzonego w betonie. Fakt, że wewnętrzna strona okna jest lustrem, nie poprawia sytuacji. Jedynie daje Jonowi bardzo konkretną informację na temat tego, co widzą z zewnątrz.

– Wiecie, że wiem, że tam jesteście, co? Leżę z gołą dupą. – Głos Jona rozbrzmiewa przez interkom.

Antonia, nieco skrępowana, nie wie, co odpowiedzieć. Nigdy nie radziła sobie dobrze w określonych sytuacjach społecznych, które wymagają szczególnej finezji, jak ustępowanie miejsca w autobusie, stanie w kolejce do publicznej toalety albo rozmawianie ze swoim nagim partnerem, który właśnie jest badany, ponieważ pod skórą ma zaszytą bombę.

Pierwsze lata jej życia były jałową pustynią. Kiedy poznała Marcosa, stał się jej wsparciem, jej siłą, kimś w rodzaju tłumacza na linii Ludzie–Antonia. Nawet kiedy był w śpiączce, ona do niego mówiła (cichutko, powoli, pod nieobecność pielęgniarek), opowiadała mu o swoich problemach z nawiązywaniem kontaktów. Już samo to, że wspominała o nich na głos, traktowała jako punkt wyjścia, żeby znaleźć jakies rozwiązanie.

Jon stopniowo zasłużył sobie na tę rolę i ją przejął, ale w tej chwili na niewiele się to zdawało. Tak więc Antonia zwraca się do Mentora.

– Co się mówi w takich sytuacjach?

On, bardzo poważny, udziela jej konkretnych instrukcji.

– Ale to nieprawda – odpowiada Antonia.

„Po co pytasz, co bym zrobił, skoro i tak będziesz to robić ty?” – W ten sposób interpretuje wzruszenie ramion Mentora, tak więc Antonia wciska przycisk interkomu i powtarza to, co powiedział jej Mentor.

– Masz świętą tyłek.

Zaskoczony Jon wybucha śmiechem.

Krótkim, suchym.

To niemal wycie z bólu.

Tym ostatecznie wypełnia się powietrze, kiedy przepona, mięsień zębaty i mięśnie międzyżebrowe wstrząsają skórą na jego plecach, która protestuje w miejscach, gdzie została rozdarta.

Nie jedna, lecz dwie rany znajdują się na skórze inspektora Gutiérreza. Jedna na karku w miejscu, w którym łączy się on z plecami. Druga na plecach, tuż nad biodrami.

Cztery proste precyzyjne cięcia w kształcie krzyża. Jedno długości około ośmiu centymetrów, drugie nieco większe. Rozcięcia zostały zszyte czarną grubą nicią, która w wielu miejscach się poluzowała. Supły wystają z czerwonych linii ran niczym larwy wychodzące z ziemi i łapiące powietrze.

Nad nim unosi się metalowa platforma z przegubowym ramieniem. Ono porusza się i brzęczy wokół rozcięć inspektora Gutiérreza, który się wierci, odczuwając dyskomfort.

– Jeśli nie będzie pan spokojnie leżał, potrwa to dłużej.

Aguado kończy badanie radiologiczne, używając przenośnego sprzętu, który wykorzystuje nanorurki węglowe.

– Kosztuje ponad sto tysięcy euro – powiedział Mentor doktorce Aguado, kiedy ta poprosiła o ten sprzęt.

– Jeśli Scott złamie sobie jakąś kość, zapiszemy ją na listę oczekujących na radiologię w szpitalu La Paz?

Mentor nie odpowiedział. Jak przystało na porządnego urzędnika, po prostu kupił to ustrojstwo. W ramach małej, złośliwej zemsty wybrał model pediatryczny, identyczny pod każdym względem jak ten normalny,

tyle że miał naklejone kolorowe zwierzątka u podstawy urządzenia. Aguado, którą cechuje patologiczna powściągliwość, na jego widok odrobinę się skrzywiła, ale nic nie powiedziała.

Do tej pory nikt nie złamał sobie żadnej kości, ale wyglądało na to, że dziś wydatek wreszcie zaczął być zasadny.

Kiedy badanie dobiega końca, Aguado spryskuje plecy inspektora chlorheksydyną, a później przy użyciu cieniutkiej igły wstrzykuje antybiotyk.

– Nie mam dobrych wieści – mówi, podając mu fartuch, żeby mógł się okryć.

Wykonuje gest w stronę lustra. Po chwili do środka wchodzi Mentor i Antonia.

Jon czeka, siedząc na noszach.

– Co z nim, doktoroko? – pyta Mentor.

– Fizycznie wszystko dobrze, zważywszy na okoliczności. Nie ma wstrząśnienia mózgu ani znaczącej utraty krwi.

– A złe wieści?

Aguado odtwarza zdjęcia rentgenowskie na monitorze wiszącym na ścianie.

– Pole widzenia tego sprzętu jest mniejsze niż w przypadku standardowej radiografii, ale myślę, że wszyscy mamy odpowiedni ogląd.

Na zdjęciu widać górny odcinek kręgosłupa inspektora Gutiérreza. Potężna struktura kostna Baska wyłania się, po zderzeniu z fotonami podczas hamowania swobodnych elektronów, niczym na upiornym negatywie fotograficznym. Kości wyglądają na delikatne, niemal widmowe. Jeden podmuch mógłby obrócić je wniwecz.

W kontraście do nich metalowa struktura przymocowana do kręgów jest wyraźnie widoczna i groźna.

– Jak widzicie – mówi Aguado, wskazując długopisem – między kręgami C3 a C6 są widoczne dwa elementy mocujące i cztery śruby. Nie

wydaje się, żeby doszło do uszkodzenia kręgosłupa albo nerwów. To brutalna robota, ale czysta.

Chociaż problemem nie są śruby, o czym wszyscy wiedzą. Na śrubach opiera się metalowa struktura, płaska, nieduża. Przymocowana w sposób nieregularny, z wystającymi płytkami. Na jednym ze zdjęć da się dojrzeć kabel, który przebiega pod spodem i dociera do dolnej części urządzenia.

– Promieniowanie rentgenowskie nie pokazuje nam zbyt wiele. Powierzchnia jest mała, a wszystkie elementy są prawie całkowicie osadzone w panelu. Śruby i typowe części stalowe. Żadnego tytanu ani materiałów wykorzystywanych w medycynie. Te elementy dałoby się namierzyć.

– Co może nam pani powiedzieć? – pyta Mentor, który z nerwów bez przerwy przestępuje z nogi na nogę.

– Nie jestem ekspertką od urządzeń wybuchowych. Ale potrafię rozpoznać albo domyślić się wielu rzeczy. To tutaj to może być antena GPS – mówi, wskazując kabel, który prowadzi do kwadratu po zewnętrznej stronie. – Końcówka jest bardzo charakterystyczna. Poza tym widoczny jest model – pokazuje im wydrukowane cyfry.

– To znaczy, że White ma dostęp do tego urządzenia z dowolnego miejsca – mówi Mentor.

– I chciał, byśmy o tym wiedzieli – dodaje Antonia, wskazując cyfry. – Inaczej by to zakrył.

– Możemy wyciągnąć coś konkretnego na temat tego modelu?

– Kosztuje osiemdziesiąt centów na Aliexpress – mówi Antonia, która właśnie sprawdziła to na swoim iPadzie. – Są setki sprzedawców.

– Nie mogę uwierzyć, że...

– Zanim będziesz kontynuował – przerywa mu Antonia – musisz wiedzieć, że ten element jest dokładnie taki sam, jak w modelach telefonów z wysokiej półki. Tyle że sprzedają je w swojej cenie, nie przyklejając im jabłka.

Mentor milczy. Aguado z bardzo poważnym wyrazem twarzy potwierdza to, co powiedziała Antonia, i wraca do swoich wyjaśnień.

- Ta część tutaj, bardziej matowa i zwarta, to bez wątpienia ładunek wybuchowy. Jest połączony z czymś, czego nie widzę, co z kolei pełni funkcję detonatora.

- A co z... siłą?

Mentor tego nie mówi, ale nie ma potrzeby. Trzyma się od Jona w bezpiecznej odległości. W dość bezpiecznej.

- Przy takiej wielkości nieduża. Ktokolwiek to zaprojektował, zrobił to po to, żeby w przypadku wybuchu była tylko jedna ofiara.

Antonia tego nie mówi, ale myśli o tym, jak złożone systemy się dostosowują. Eskalacja. Policja kupuje broń półautomatyczną, przestępcy kupują broń automatyczną. Zakładają kamizelki kuloodporne, oni używają naboji przebijających kamizelki. Zapewniaś bezpieczeństwo całej swojej rodzinie i swoim bliskim, a oni wwiercają im bomby w kości.

- Możemy ją dezaktywować?

Aguado patrzy na inspektora, który nie odezwał się jeszcze słowem, odkąd tamci dwoje weszli do pomieszczenia. Jedynie patrzy na ekran z pokerową twarzą.

- Może byłoby lepiej, żeby...

- Proszę mówić - odzywa się on.

Aguado odwraca się do Mentora, a wtedy Jon łapie ją za ramię.

- Chcę wiedzieć, jakie mam szanse.

Mentor gestem daje doktorce przyzwolenie. Ona pokazuje im zdjęcie drugiego urządzenia, które Jon ma umieszczone w dolnej części pleców.

- Wyglądają prawie identycznie, ale są różnice. Jestem pewna, że to jest czujnik fotoelektryczny - mówi Aguado, wskazując jeden z widocznych elementów. - A to jest moduł Bluetooth.

- Po ludzku, doktorco - prosi Mentor.

- Chce przez to powiedzieć - wtrąca Antonia, nie mogąc się oprzeć - że jeśli spróbuje go zoperować, żeby wyciągnąć którekolwiek z dwóch urządzeń, czujnik fotoelektryczny może się aktywować. A Bluetooth działa, emitując fale radiowe na odległość. Z zasięgiem około piętnastu metrów.

- Myślę, że one są połączone - stwierdza Aguado. - Jeśli spróbujemy ruszyć jedno albo oba, aktywują się.

W tym momencie Jon wstaje. Jego bosa stopy wydają na betonowej podłodze suchy trzask. Nie odzywając się słowem, wychodzi z pomieszczenia.

Antonia chce ruszyć za nim, ale Mentor staje jej na drodze.

- Daj mu kilka minut, Scott.

Ona patrzy na niego, nie rozumiejąc. To oczywiste, że Jon jest zrozpaczony, a ona chce tylko zaoferować mu wsparcie. Próbuje obejść Mentora, lecz ten wciąż blokuje jej przejście.

- To, co musi teraz zrobić, powinien zrobić sam.

3

Prysznic

To, co musi zrobić Jon Gutiérrez, to płakać.

Możliwe, że w środku Jon jest wrażliwy i słodki, wyłożony miękką wyściółką w kucyki pony, ale na zewnątrz wciąż jest baskijskim policjantem. A baskijscy policjanci nie płaczą przy obcych. Ani przy swoich. „Bo niektóre rzeczy są takie, jakie są, a nie inne, do cholery”.

Tak więc Jon wchodzi do pomieszczenia, w którym mieści się szatnia, teraz pusta, i idzie prosto w stronę pryszniców w głębi. Rozebranie się polega na opuszczeniu na podłogę szpitalnego fartucha, który pożyczyła mu Aguado. Usunięcie zagrożenia spod skóry jest trudniejsze, tak więc Jon zadowala się wypuszczeniem gorącej wody, odkręcając na maksa, opiera ręce o ścianę, po czym pozwala wypłynąć łzom. Płacz to wielki pies, który gryzie od środka i zostawia po sobie pustki, trudne do zapełnienia otchłanie.

Mija wiele miesięcy, a może pół godziny. Strumień wody leci na kark i plecy, uderzając o szwy, o miejsca, w które ktoś włożył mu śmierć. Jon pojmuje, że skończyły mu się łzy, kiedy zastępuje je gniew, i zdaje sobie z tego sprawę, ponieważ z całej siły wali w ściankę kabiny. Na szczęście dla jego knykci obudowa nie wytrzymuje więcej niż trzy uderzenia, zanim pięści wyrwą ją ze ściany.

Mija gniew, a może tylko energia, która pomaga mu się ujawnić, i zostaje odretwienie. Jon nagle odkrywa, że jest nagi, mokry, ma krew na dłoniach i nos pełen smarków. Trze pod strumieniem krytyczne miejsca, próbując naprawić bałagan.

Kiedy zakręca kran i się odwraca, widzi Antonię.

Siedzi na ławce w szatni, bokiem, ze wzrokiem utkwionym w szafki. Jej postawa przypomina zakrystiana, kiedy przechodzi z tacą podczas mszy, albo kelnera, kiedy prosi cię o wstukanie PIN-u twojej karty. Taką postawę przyjmuje człowiek, kiedy chce dać jasno do zrozumienia, że nie patrzy.

Jon owija się ręcznikiem i podchodzi do niej.

Upływa kilka minut, w czasie których żadne się nie odzywa. Światło szatni odbija się w ramionach Jona, białych i pokrytych pomarańczowymi piegami, jak to u rudzielca. Antonia patrzy ponad nimi, tłumiąc chęć, by wyrwać z ciała swojego partnera te dwa wybrzuszenia wystające z pleców.

– Aguado dała mi to dla ciebie – mówi, pokazując mu telefon. – A ja przyniosłam ci to z mieszkania.

Jon dusi westchnieniem wdzięczności, a później – z nieco większym wysiłkiem – westchnieniem frustracji, kiedy wyjmuje garnitur. Podnosi go do światła.

– Mój dolce & gabbana petrol – odzywa się najbardziej neutralnym głosem, na jaki go stać.

– Nigdy cię w nim nie widziałam.

– Bo to nie jest garnitur do pracy, piękna.

Antonia patrzy na niego zdumiona.

– Po co ci garnitur, który nie jest do pracy?

Jon przewraca oczami, przypominając sobie, jak ważna jest cierpliwość w rozmowie z Antonią, która ubiera się tak, jakby zakupy robiła w kontenerze na śmieci. Potem walczy z ubraniem. Kiedy bierze koszulę, udaje mu się włożyć jedną rękę do rękawa, po czym napotyka problemy. Włożenie drugiej robi się skomplikowane. Szwy go ciągną, a ból, jaki wywołują, jest niczym w porównaniu ze strachem.

Antonia, która nadal obserwuje go z postawą mówiącą, że wcale tego nie robi, natychmiast rozumie sytuację. Wstaje i wchodzi na ławkę.

– Ostrożnie. Zrobisz sobie krzywdę, a po co nam kolejne kłopoty.

Nie zwracając na niego uwagi, przytrzymuje mu rękaw, żeby mógł się ubrać. Tę samą operację powtarzają z kamizelką, potem się okazuje, że

przy wypukłości na karku nie ma jak zawiązać krawata, i na końcu wkładają marynarkę. Antonia myśli o tym, kiedy ostatni raz robiła coś takiego. Kilka tygodni temu, pomagała wtedy synowi. Jon z kolei myśli o czymś zupełnie innym.

– Niezły ze mnie giermek, nie ma co.

– Nie chciałabym innego – odpowiada Antonia, poprawiając mu kłapy marynarki.

– Nie ustawiają się w kolejce przed twoimi drzwiami, piękna.

– Trudno to zrozumieć.

– Może chodzi o towarzystwo.

– Nie wyglądam najgorzej – odpowiada Antonia. I nie jest to stwierdzenie.

Jon myśli, bardzo, ale to bardzo powoli, że problemem nie jest ona, tylko to, co robi. I chaos, jaki wywołuje wokół siebie. Według naukowców na Ziemi piorun trafia w człowieka co dziewiętnaście sekund. Jon podejrzewa, że tym człowiekiem jest każdy, kto znajduje się w odległości mniejszej niż dziesięć metrów od Antonii Scott.

Myśli o tym wszystkim, ale mówi to:

– Nie, nie wyglądasz najgorzej.

I to kończy całą wdzięczność czy pocieszenie, jakie on może zaferować, przynajmniej na razie. Za ratunek i za to. Co sprowadza się do tego samego.

– Jak się czujesz?

Inspektor Gutiérrez dokonuje przeglądu: silne mdłości, tępy, uporczywy ból pleców pomimo koktajlu środków przeciwzapalnych i przeciwbólowych, które podała mu lekarka; nogi słabe jak meble z Ikei.

– Nie jestem zbyt zdrowy – podsumowuje.

– To ze względu na poziom cukru. Kiedy jadłeś ostatni raz?

Jon pamięta doskonale. Wychodził z domu w kierunku „woka” przy ulicy Olivar. To miała być jego ostatnia kolacja w Madrycie.

Ale nie była.

4

Kebab

Gdyby świat zamienił się w postapokaliptyczną pustynię i wyginęłyby wszystkie krowy, a kucharze z Etxebarri zamieniliby swoje ruszty na miecze, nawet wtedy Jon Gutiérrez zastanowiłby się dwa razy, zanim wszedłby do lokalu, przed którym Antonia parkuje audi A8.

- Kebab? Gównno będę jadł, nie kebab.
- To najbliższe miejsce. Wsiadaj, to rozkaz.
- Nie jesteś moją szefową. Złożyłem rezygnację.
- Wsiadaj, no już.

Jon nie ma już siły. Ani na dyskusję, ani na nic innego. Tak więc wchodzi do lokalu, przysięgając sobie, że nie weźmie niczego do ust. Od czasu, gdy był nastolatkiem i w Santutxu otworzyli Turkistan II (o Turkistan I nigdy nie słyszał), Jon czuł straszne obrzydzenie na widok tej bezkształtnej masy wpoł ugotowanego obracającego się mięsa. Często żartował na ten temat ze swoimi kumplami. Przyjemnie było mieć coś, z czego można było się pośmiać, bo zasadniczo obiektem żartów był on. Przysadzisty pedał. Nie trwało to jednak długo. Gdy tylko jego koledzy osiągnęli odpowiedni wiek, żeby się upijać, kebab stał się oazą ratunku w środku nocy. Albo trzymał ci wszystko w środku, albo pomagał ci się tego pozbyć.

Tak więc kebab był dla Jona czymś, na co patrzyło się z zewnątrz albo co zwracało się między kontenerami na śmieci. Do czasu aż Antonia stawia na stole (jednym z tych szarych, zawsze kulawych) dwa papierowe talerze i dwie cole. Puszki nawet nie dotyka, wszak wszystko ma swoje granice. Ale mięsna rolada z sałatą i sosem w nieokreślonym kolorze wydziela zapach, który przeczy jej wyglądowi, i nagle Jon nieufnie bierze

pierwszy gryz. Po trzydziestu sekundach kebab znika we wnętrzu inspektora Gutiérreza.

– Byłeś głodny – cieszy się Antonia, która swojego cały czas je małymi kęsami jak ptaszek.

– Co to za cudo?

– Połączenie jagnięciny, kurczaka i sosu jogurtowego, chyba.

Jon się krzywi, ale tylko trochę.

– Musimy porozmawiać o twoim odżywianiu.

– Jedzenie to jedzenie.

– Gdyby *amatxo*¹ to usłyszała, dopiero by ci się dostało, piękna. Boże, muszę do niej zadzwonić i wyjaśnić...

„Coś. Niewiele. Tyle, ile trzeba. A może lepiej nic”, myśli Jon.

– Nie możesz z nią rozmawiać.

– Masz rację. Biedaczka stałaby się kłębkim nerwów.

Antonia siorbie napój.

– Nie, mówię, że nie możesz z nią rozmawiać, dosłownie. Zabraliśmy ją w bezpieczne miejsce.

– Co takiego?

– Pewien kontakt Mentora zabrał ją kilka minut temu. Wsiedli do samochodu i przez jakiś czas będą poza zasięgiem, dopóki sytuacja się nie wyjaśni.

Jon wstaje, zdenerwowany i wciąż dość nieporadny, i rusza do wyjścia, sięgając po nowiutki telefon, który dostał od Aguado. Oczywiście po drugiej stronie linii nikt nie odpowiada, choć Antonia się zastanawia, czy tych wrzasków nie słyszać na lewym brzegu rzeki Nervión bez potrzeby używania telefonu.

Kiedy wraca do środka, ona musi użyć całej swojej siły perswazji, by nie pozwolić, żeby Jon zabrał jej kluczyki do audi i pojechał do Bilbao.

– Uspokój się – mówi. – To konieczne. Ja też zrobiłam to samo z moją rodziną.

Słyszając to, Jonowi udaje się nieco opanować.

Antonia wyjaśnia mu, że babcię Scott i małego Jorgego wysłała daleko stąd. Jon słucha jednym uchem, jakby ktoś opowiadał mu o kompletnie fikcyjnych wydarzeniach w bardzo, bardzo odległej galaktyce.

– Nie boisz się, że oni gdzieś tam są i nie mogą się z tobą skontaktować, że nawet nie wiesz, gdzie się znajdują?

Antonia zastanawia się nad odpowiedzią, kończąc kebab. Bo pytanie jest z gatunku tych, które należy zważyć, zmierzyć, wykorzystać węgiel-14 i użyć skalówki.

– Oczywiście, że się boję. Ale bałabym się o wiele bardziej, gdyby byli tutaj, w zasięgu tego psychopaty pozbawionego skrupułów. Sandra już raz porwała Jorgego i zrobiłaby to ponownie.

– Wciąż nie mogę uwierzyć, że zabrała małego – mówi Jon, kręcąc głową.

Przypominają mu się mroczne obrazy z opuszczonej stacji Goya Bis. Obrazy jego samego, jak próbuje nie wylecieć w powietrze w tunelu naszpikowanym pułapkami, starając się jednocześnie uratować syna Antonii. Przegania je westchnięciem. Ostatecznie musi się martwić innymi materiałami wybuchowymi, które znajdują się znacznie bliżej.

– Taki ma system. Znajduje słabość danej osoby i wykorzystuje ją dla własnych celów.

– A zatem nie różni się to zbyt od taniego szantażysty. W Otxarkoadze jest gość, którego policja doskonale zna. Zwał go Banano. Drań ma swoją metodę. Kradnie ci samochód, a potem do ciebie dzwoni. Jeśli w niecałą godzinę nie stawisz się w wyznaczonym miejscu z pięciuset euro, podpala samochód.

Antonia uśmiecha się półgębkiem.

– Jon, jakie jest twoje ulubione danie?

– Och, to łatwe. *Kokotxas*², który robi *ama*³.

– Twój Banano ma się do White'a tak jak ten kebab do *kokotxas*.

Jon wyciera kącik ust jedną z tych serwetek z napisem „DZIĘKUJEMY ZA WIZYTE”. Nie podoba mu się błysk w oczach Antonii. Tak więc starannie dobiera następne słowa.

- To gównu musiało mi chyba zaszkodzić. Zdało mi się, że wyczułem nutkę podziwu w twoim głosie.

- To najgenialniejszy umysł, z jakim kiedykolwiek mieliśmy do czynienia, Jon. Jest o wiele inteligentniejszy ode mnie.

- To też morderca. Facet, przez którego twój mąż zapadł w śpiączkę i który zrobił mi to - mówi Jon, wskazując swoje plecy.

- To wszystko działania, które mają większą wartość niż podpalanie samochodów.

Jon drapie się po głowie (z kręconymi rudawymi włosami, jak już wiadomo) i bierze głęboki wdech. Do napelnienia tego olbrzymiego torsu potrzeba kilku sekund i sporo litrów tlenu. W tym wypadku o zapachu spalonego tłuszczu i orientalnych przypraw.

- Wartość? Przysięgam, że czasami cię nie rozumiem, piękna.

Antonia krzyżuje ręce na piersi.

- Jego metody są bardziej wyrafinowane niż metody Banano, to wszystko. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć, że działa od tylu lat. Tak, żeby nikt go nie namierzył. Albo żeby nikt nie słyszał, kto to zrobił - mówi, spuszczać wzrok.

Powiedzieć, że Jon jest z natury dumny, to tak, jakby powiedzieć, że jego rozpiętość ramion jest powyżej średniej. Jon pokazuje swoją dumę tak jak łazienki z lat dziewięćdziesiątych. Wyłożone po sufit kafelkami z kolorowymi kwiatami.

- Musisz przyznać, że dość trudno było uwierzyć w historię o płatnym zabójcy, który jest duchem.

- Przypuszczam, że teraz uwierzenie w nią kosztuje cię trochę mniej, co?

Jon przyjmuje cios poniżej pasa w miejscu, w którym przyjmuje się ciosy poniżej pasa, i robi to w tradycyjny sposób. Poruszając nieco głową i ramionami i przygotowując się do oddania go. Otwiera usta, szykuje truciznę, lecz nie potrafi nią spluć. Ani jej połknąć. Zostaje mu w połowie drogi, wżerając się w język.

Przez kilka minut oboje siedzą w milczeniu, unikając spotkania się wzrokiem, za jedyne towarzystwo mając ogłuszający hałas z telewizora. Na ekranie jest mnóstwo ludzi, zdradzających jedni drugich na jakiejś tam wyspie, tak więc to też nie jest miejsce, gdzie wzrok znajdzie odpoczynek. Kiedy jest już znudzony patrzeniem na bezkształtną masę wpół ugotowanego obracającego się mięsa, wstaje i wychodzi z lokalu.

„To byłby doskonały moment, żeby zacząć palić”, myśli, kiedy tak stoi i nie wie, co zrobić z rękami. Bez pieniędzy, bez telefonu, bez portfela i obok samochodu, do którego nie ma kluczyków. „Nie zamierzam jej też dać czasu, żeby mnie zabiła”.

1 *Amatxo* (bask.) – mamusia.

2 *Kokotxas* (bask.) – tradycyjny baskijski gulasz rybny.

3 *Ama* (bask.) – matka, mama.

Zobowiązanie

Antonia wychodzi po chwili, pożegnawszy się z właścicielem po turecku. Powoli podchodzi do samochodu, tym typowym dla siebie samotniczym chodem. Jak gdyby unosiła się we własnej przestrzeni. Jon widział, jak się tak porusza, unikając najmniejszego otarcia, nawet na środku zatłoczonej Gran Vía. Kiedy Jon patrzy, że robi to samo na wąskiej jednokierunkowej ulicy na obrzeżach miasta, ogarniają go ogromna czułość i wielki smutek, nawet w jego sytuacji.

– Posłuchaj... – zaczyna Antonia.

– Wiem.

Patrzy na niego zdziwiona.

– Co takiego wiesz?

– Że nie mamy innego wyjścia, jak pracować razem. Ja dlatego, że w innym wypadku mnie zabiją. A ty... bo sama przetrwasz krócej niż *dantzarí*⁴ na szkle.

– To krótko? – pyta Antonia, nieco zdezorientowana.

– Później prześlę ci wideo. Jak tylko nauczę się obsługiwać to nowe ustrojstwo.

– A właśnie, co się stało z twoim telefonem?

– Oni go zabrali.

Antonia przytakuje powoli.

– Co pamiętasz z ostatnich godzin?

– To samo, o czym wcześniej powiedziałem Aguado, kiedy oglądaliście moją gołą dupę. Ktoś napadł na mnie na ulicy i wokół zrobiło się czarno. Słyszałem rozmawiających ludzi, ale to były odległe głosy. Potem usłyszałem twój głos. I to wszystko.

– Niewiele. Tylko tyle pamiętasz?

Oczywiście, że nie.

Był jeszcze strach.

Strach. Okropny, nieznośny strach.

Ponieważ Jon spał w trakcie zabiegu, ale nie był omdlały przez cały czas. Nie mógł niczego widzieć, tylko słyszał. Ale był przytomny, a przynajmniej na tyle, żeby wiedzieć, że dzieje się coś złego. Coś złego, czego obiektem był on. Pamięta, że próbował poruszyć rękami i nogami, wysłać polecenie do mózgu, lecz w zamian nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Pamięta, że czuł się bezbronny, gwałcony. Pamięta hałas wiertarki wbijającej się w jego kręgosłup. Dotyk metalu walczącego z jego ciałem, z fundamentem jego istnienia, doprowadzał go do szału. Nie da się opisać tego uczucia.

Bezbolesne, ale przerażające.

Coś, o czym Jon nie będzie mówił, ponieważ jest to dla niego niewykonalne.

I ponieważ najlepsze, co można zrobić ze strachem, to udawać, że wcale się go nie czuje.

– Tak, tylko tyle – kłamie Jon, niemal przekonująco.

Antonia siada obok niego na masce samochodu. Oboje patrzą w dal, podziwiając zachód słońca nad dachem hali przemysłowej Ferrallas Domínguez, sp. z o.o. Ostatnie wieczorne światło kreśli niepewne przepowiednie na dachu z eternitu, odcinając wydłużony i pełen zębów cień, który zbliża się do nich, grożąc pożarciem.

– Zaraz zajdzie słońce – mówi Antonia. – Niedługo się z nami skontaktuje i o coś nas poprosi.

Jon nie odpowiada.

– Zawsze robi to samo. Prosi o coś. A to, o co prosi, niszczy cię.

– Skąd tyle o nim wiesz?

– Wcale nie wiem tak dużo. Zbierałam strzępy informacji na jego temat. Niektóre to tylko zwykła intuicja. Inne to dobrze uzasadnione

podejrzenia. Nic szczególnie przydatnego. Ani jednego dowodu na jego istnienie. Aż do dziś.

Jon dotyka karku, gdzie znajduje się dość namacalny dowód.

– Coś musiało dać ci pierwszą wskazówkę. Jak dowiedziałas się o jego istnieniu?

Antonia milczy dłuższą chwilę.

– Nie chcę teraz o tym mówić – odpowiada w końcu.

„No dobra, kiedy będziesz gotowa”, myśli Jon, czując, jak trucizna znów napływa mu do ust. Zdobywa się na kolejny wysiłek, by nad sobą panować.

– Co mamy w takim razie?

– Wszystko przeciwko nam. Nie mamy nic na temat jego lokalizacji, nie znamy jego zamiarów.

– A o Sandrze?

– Jeszcze mniej. Choć zdaje się, że w jej przypadku jest coś jeszcze. Coś bardzo osobistego.

– Jeśli masz na myśli to, że jest szalona, to masz rację.

– Jest coś, o czym nie wiesz. Zdaje się, że oboje planują to od bardzo, bardzo dawna.

Antonia opowiada mu, jak tkano wokół nich pajęczą sieć, a oni nawet nie zdawali sobie z tego sprawy. Wyjaśnia Jonowi, co się wydarzyło w Anglii i w Holandii. Powoli, nie szczędząc szczegółów. Kiedy Jon słucha, jak holenderski giermek z zimną krwią zabił własną królową, serce zamiera mu w piersi.

– Antonia, ja nigdy...

– Nic nie mów, Jon – powstrzymuje go. – Zastanawiałeś się, co by się stało, gdyby porwał twoją matkę? Co byłbyś w stanie zrobić?

– Ja nigdy... – powtarza Jon. Odrobinę wolniej.

– Nigdy nie uległbyś szantażowi? Jesteś tu właśnie dlatego, że uległeś szantażowi. Czy może już nie pamiętasz, jak Mentor cię wykorzystał, żebyś wyciągnął mnie z odosobnienia? Pewne wideo o pewnym bagażniku?

Inspektor Gutiérrez zeskakuje z maski samochodu, jakby była rozgrzana do czerwoności.

– To zupełnie inna sprawa. – Podnosi na Antonię oskarżycielski palec, sztywny niczym fiut pana młodego, zanim w ogóle zastanowi się nad tym, co mówi. W miarę jak to robi, palec traci twardość, kurczy się, aż upokorzony wraca do swoich czterech braci.

Antonia obserwuje to z boku. A potem odpowiada:

– Dla miłości każdy zrobi wszystko, nawet najstraszliwszą rzecz. Miłość to najpotężniejsze, co istnieje.

On darowuje sobie kolejne „ja nigdy...”, ponieważ już zrozumiał. Jego ciało jednak porusza się we własnym rytmie.

– Nie ma prostego sposobu na wyjście z tej sytuacji, Jon. Dopóki masz to pod skórą, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko grać w jego grę.

Jon chodzi w kółko, zdenerwowany, ma ochotę mocno coś skopać. Jedyne cele, jakie znajduje wokół siebie, to zeschnięte opakowanie po prezerwatywie, zgnieciona puszka po piwie Mahou, samochód i sama Antonia. Rozważywszy swoje możliwości, wybiera drugi cel. Puszka wydaje brzęk, gdy ląduje po drugiej stronie ulicy.

– Nie możemy ustąpić, Antonia. O cokolwiek nas poprosi, nie możemy ustąpić.

– I co proponujesz?

– Mogłabyś zniknąć – mówi. – Dołączyć do swojego syna, nie oglądać się za siebie.

– Zostałbyś sam. Odpowiedź brzmi nie.

Jon przytakuje, a przynajmniej na tyle, na ile pozwala mu ból, jaki wywołują szwy na karku.

– To, co tam masz, zawiera parę baterii. Bez nich to tylko dość brzydki implant.

– Baterie nie działają wiecznie – mówi Jon, zaczynając rozumieć.

– Nie. Tak więc zagramy w jego grę i zyskamy trochę czasu. Poczekamy, aż popełni jakiś błąd.

Inspektor Gutiérrez zastanawia się, co to za strategia polegająca na czekaniu, aż błąd popełni ktoś, kto od bardzo, bardzo dawna kreśli swoje plany. Otwiera usta, żeby wyrazić to na głos, ale do jego uszu dobiegają właśnie:

Dwa piknięcia, wibracja.

Antonia wyjmuje telefon z kieszeni.

Nie musi tego mówić. Ale i tak to robi.

– To on.

⁴ Dantzari (bask.) – tancerz.

6

Wizyta

Antonia pokazuje Jonowi telefon. Cztery słowa i numer.

„SANTA CRUZ DE MARCENADO 3”

– Co to ma niby znaczyć?

– Powiedział, że chce, byśmy zajęli się sprawami trzech zabójstw. To musi być pierwsze.

– No, za wiele wskazówek to nam nie dał.

Telefon odzywa się ponownie, ona go odblokowuje, żeby odczytać wiadomość. Ekran oświetla jej całą twarz. Antonia jest jedną z tych okropnych osób, które poziom jasności mają zawsze ustawiony na maksimum – niewybaczalny defekt, który Jon musi jej darować za każdym razem, kiedy jest ciemno i niszczy mu siatkówki oczu. Dzięki temu uciążliwemu światłu Jon może się przekonać, że Antonii wcale się to nie podoba. Kiedy pokazuje mu wiadomość, którą właśnie dostała, jemu podoba się to jeszcze mniej.

„MASZ SZEŚĆ GODZIN
W.”

– Nie no, bez jaj.

Antonia ustawia w telefonie limit czasu, jaki dał im White, i włącza odmierzenie.

– Chodź, jedziemy pod ten adres.

– Tak po prostu? Tylko dlatego, że dostałaś wiadomość?

– Tak po prostu.

– Moglibyśmy sprawdzić, skąd przysłała ta wiadomość. Mógł zostawić jakieś ślady. Kiedy mnie porwali, były z nim dwie osoby. Musiał je gdzieś zwerbować...

– Myślisz jak policjant – przerywa mu Antonia. – A teraz nie potrzebujemy policjanta.

Jon się krzywi, ale nic nie mówi. Jedyne kładzie rękę na drzwiach od strony kierowcy, kiedy ona próbuje je otworzyć.

– Co robisz?

– Utrzymuję nas przy życiu. Przy życiu i na chodzie. Mentor mi powiedział, że to ostatni samochód, jaki nam został.

– Wcałe nie rozwaliliśmy tak wielu – odpowiada ona, z westchnieniem przekazując mu kluczyki.

– Boże, jak my relatywizujemy, kiedy nam to pasuje, piękna.

Dla Jona, nawet jeśli nie musi za to płacić, prawie pół miliona euro za trzy zniszczone audi to znaczna suma. Zwłaszcza gdy musi znosić Mentora. Nie przestaje go natomiast zaskakiwać znużenie, jakie okazuje Antonia wobec matematyki i środków lokomocji. Prawie na poziomie jej lekceważenia przepisów ruchu drogowego.

Antonia zajmuje siedzenie pasażera, a kiedy ruszają, loguje się do FaceTime, żeby połączyć się z Mentorem. Umieszcza iPad w uchwycie na desce rozdzielczej, żeby Jon też mógł go widzieć.

– Jak się czuje inspektor? – pyta, odbierając.

– Najwyraźniej na tyle dobrze, żeby prowadzić – odpowiada Antonia, wzruszając ramionami.

– Ujmijmy to następująco, Scott. Jeżeli w którymś momencie będziesz musiała pojechać z inspektorem na pogotowie, bo dostał kulkę, to nawet wtedy będę wolał, żebyś zajęła miejsce pasażera.

Inspektor Gutiérrez bezskutecznie próbuje się nie uśmiechnąć.

– Technicznie rzecz biorąc, on rozbił więcej niż ja.

– Technicznie rzecz biorąc, wszystko mi jedno. Co wiemy o tym skurwysynie?

- Skontaktował się – informuje go Antonia, przekazując treść wiadomości, którą dopiero co przysłał jej White.

Mentor prosi, żeby się nie rozłączali, podczas gdy wchodzi do bazy danych. Jon niemal czeka, aż włączy im okropną muzyczkę, jak telemarketerzy z Movistar. Ale w przeciwieństwie do nich Mentor wraca do nich w niespełną minutę.

- W ciągu ostatnich trzydziestu pięciu lat pod tym adresem popełniono tylko jedno zabójstwo. Danych z wcześniejszego okresu nie mamy w systemie.

Na ekranie pojawia się zdjęcie. Młoda kobieta z kręconymi włosami i nieśmiałym uśmiechem.

- Nazywa się Raquel Planas Mengual. Dekoratorka wnętrz.

Pokazuje zdjęcie z miejsca zbrodni. Ledwie da się zobaczyć szczegóły. Jest prochowiec przykrywający ciało. I mnóstwo krwi.

- Została zadżgana przy ulicy Santa Cruz de Marcenado cztery lata temu.

Słyszając to, Jon marszczy nos.

Kiedyś Jon współpracował przy śledztwie dotyczącym starej sprawy, czy też *cold case*, jak mawiają policjanci. Pojawiły się nowe dowody dotyczące morderstwa nastolatka w Getxo, niedaleko Bilbao. Koszulka pobrudzona krwią niewiomego pochodzenia. Jej właściciel okazał się dość znany i ostatecznie sprawa wylądowała na pierwszych stronach gazet. W zbadanie sprawy zostało zaangażowanych ośmiu śledczych z Ertzaintzy, trzech z policji krajowej, dwóch lekarzy sądowych, zewnętrzne laboratorium i dziesiątki tysięcy euro.

Sprawa miała tylko dwa i pół roku. Ale kiedy śledczy dotarli w miejsca związane z ofiarą, zmieniło się mnóstwo szczegółów. Świadkowie niczego nie pamiętali albo pamiętali coś zupełnie innego, niż powiedzieli policji na początku.

Policjant niczego się tak nie boi jak *cold case*.

- Podejrzani?

- Jeden winny.

Na ekranie pojawia się kolejne zdjęcie. Grubo po trzydziestce, długie włosy, zapadnięta szczeka i jeszcze bardziej zapadnięte oczy. Od szyi w górę w żadnym wypadku nie jest przystojny, postanowił więc naprawić to od szyi w dół. Mięśnie jak z siłowni i od kłucia w tyłek. Złoty rolex, który aż krzyczy: „muszę zrekompensować”.

„Na zdjęciu brakuje tylko tego, żeby siedział za kierownicą sportowego auta”, myśli Jon, który nie jest zbyt łaskawy dla zabójców kobiet.

– Jej mąż?

– Chłopak, Víctor Blázquez. Właściciel siłowni. Z przemocą domową w kartotece.

– Gdzie jest?

– W Soto del Real. Odsiaduje dwadzieścia trzy lata. Wyjdzie za sześć, to wzorowy więzień.

– Miło widzieć, jak działa system.

Antonia patrzy na zdjęcie, patrzy na drogę, patrzy na swojego partnera i podejmuje pewną decyzję.

– Zawróć.

– Co?

– Zawracaj. Jedziemy do Soto del Real.

– Nie mieliśmy jechać do Santa Cruz de Marcenado?

Ona posyła mu to jedno ze swoich spojrzeń, które oznacza, że lepiej z nią nie dyskutować. Tak więc Jon skręca w niedozwolonym miejscu i zawraca. Szuka w GPS-ie adresu więzienia, podczas gdy Antonia stawia czoło niezadowoleniu Mentora.

– Co ty robisz, Scott?

Antonia nie jest pewna. Ale przyszło jej do głowy jedno słowo.

Katsrauvsali.

W khmerskim, używanym przez dwadzieścia milionów Kambodżan, języku, który ma najdłuższy alfabet na świecie, oznacza tego, kto kosi pszenicę, kiedy powinno się kosić pszenicę. Najlepszy z możliwych orędownik sprawy.

- Najlogiczniej byłoby przejrzeć listę świadków, akt oskarżenia, obejrzeć miejsce zbrodni, porozmawiać z prokuratorem, z sędzią, z policjantami badającymi sprawę. Ile czasu by nam to zajęło?

- Zbyt dużo - przyznaje Mentor.

- Już noc. Nawet gdybyśmy zmobilizowali wojsko, powyciągali wszystkich z łóżek i ustawili w szereg, potrzebowalibyśmy wielu dni, żeby z nimi porozmawiać - mówi Jon.

- I jak sądzisz, w którym kierunku wszyscy by wskazali?

Jon już wie, w którym kierunku. Droga M-609, trzydziesty piąty kilometr. Ten sam, który właśnie wstukał w GPS.

- White kazał nam rozwiązać tę sprawę - odzywa się Antonia. - Jeśli Blázquez nie jest winny, nie ma lepszego sposobu, niż go po prostu zapytać.

- Zapytać więźnia, czy jest niewinny. Co może pójść nie tak? - mówi Jon, włączając kierunkowskaz.

- Zgadzam się z inspektorem Gutiérrezem. Możecie stracić cenny czas, Scott.

Antonia nie odpowiada. To jeden z jej typowych sposobów, kiedy chce dać do zrozumienia, jak niewiele obchodzi ją opinia pozostałych w sprawie, co do której uważa, że ma rację. Mentor zna to już doskonale, więc stosuje najstarszą sztuczkę z notesu szefów: wmówić jej, że to wszystko jego pomysł.

- Lepiej się pospieszcie. Spróbuję załatwić wam wejście do więzienia do czasu, aż przyjedziecie na miejsce. Jak daleko jesteście, inspektorze?

- Jeszcze dwadzieścia osiem minut. Dotrę za piętnaście, jestem wzorowym kierowcą.

Mentor ignoruje przytyk pod adresem nieskazitelnego hiszpańskiego systemu więziennictwa i zwraca się do Antonii.

- Scott, weź telefon - mówi, po czym przerywa połączenie na FaceTime na iPadzie.

Zdziwiona Antonia wykonuje polecenie.

- Nie przechodź na głośnomówiący - uprzedza ją. - Muszę porozmawiać z tobą na osobności.
- W porządku - odpowiada, jeszcze bardziej zdziwiona.

Na stronie

Zupełnie nie w stylu Mentora jest udzielanie jej informacji, której nie przekazuje także jej partnerowi. Jest raczej na odwrót.

- Muszę wiedzieć, czy dasz radę, Scott.
- Dlaczego miałabym nie dać?
- Nie udawaj głupiej. Od kiedy nie bierzesz czerwonej kapsułki?

Antonia wie doskonale. Mogłaby podać godziny, minuty, a nawet sekundy, choć w tym celu musiałaby się chwilę skoncentrować.

Kiedy Antonia była mała, nieświadomie włożyła rękę w szczelinę między drzwiami garażowymi a futryną. Widziała, jak jej ojciec robił to wielokrotnie. Mała sztuczka dorosłych, żeby zaoszczędzić sobie kilka kroków do wejścia: skorzystać z okazji, że jakiś samochód właśnie wyjechał, żeby dostać się do garażu najkrótszą drogą. Gdy tylko jej ojciec wkładał rękę, drzwi przestawały się zamykać i ruszały w przeciwnym kierunku.

Z tą tylko różnicą, że ona zrobiła to w miejscu, w którym nie było fotokomórki.

Drzwi nieubłaganie opuszczały się dalej, miażdżąc jej rękę. Ojciec zjawił się w samą porę, by nie dopuścić, żeby ciężka futryna z czerwonej stali amputowała jej rękę, ale nie na tyle szybko, żeby uniknęła bólu. Jak szalony jechał do najbliższego szpitala, gdzie podano jej bardzo łagodny środek uspokajający. Skończyło się na strachu i na miesiącu bez możliwości poruszania prawą ręką. Na pamiątkę została jej trzycentymetrowa biaława blizna na przedramieniu oraz zagłębienie w mięśniu, który nigdy nie rozwinął się jak należy.

I coś jeszcze: za każdym razem, gdy słyszała dźwięk otwieranych drzwi garażowych albo patrzyła na bliznę, wspomnienie bólu wracało do niej bardzo wyraźnie. Elektryczne smagnięcie pokonywało drogę między ręką a mózgiem, a ona kuliała się nieco, bez względu na to, co właśnie robiła. Nawet dziś, po tylu latach.

Wspomnienie o tym, jak Jon, w domu jednej z ofiar, wrzuca do odpływu jej ostatnie zapasy (a ona szarpie się w jego ramionach, usiłując dostać się do zlewu, gdzie kapsułki rozpuszczają się powoli w brudnej wodzie), wywołuje w Antonii takie samo uczucie. Wspomnienie ma zaledwie kilka dni, a nie trzy dziesięciolecia. A mimo to odcisnęły się na niej niemal identycznie. Impulsywne działanie, niespodziewany rezultat i ogromna nieubłagana masa zaciska się na niej, żeby ją uwięzić. Albo uwolnić, jak w tym przypadku. Zostawia po sobie ból i bolące mięśnie.

– Czuję się doskonale – odpowiada na pytanie Mentora. Drugie kłamstwo jest prawie tak samo duże jak pierwsze. – Już ich nie potrzebuję.

– Antonia – mówi Mentor, co jest jeszcze dziwniejsze, bo prawie nigdy nie zwraca się do niej po imieniu – od lat powtarzam ci to samo. Ale dlaczego akurat teraz?

– Próbuję poddać się prądowi, a nie ujarzmić rzekę. Cytat nie jest dosłowny, ale myślę, że i tak go pamiętasz.

– To całkiem dobra filozofia. Czy jej częścią było wykradzenie kapsułek z magazynu?

Antonia zamyka oczy i zaciska usta. Cieszy się, że rozmowa odbywa się przez telefon, a nie przez wideopojęcie albo w cztery oczy, bo kłamie beznadziejnie. W skali od zera do premiera Antonia znajduje się poniżej zera.

Nie może też powiedzieć mu prawdy. Nie powinna. Postanawia więc grać na zwłokę i odciągnąć jego uwagę. W tym jest niepokonaną mistrzynią świata.

– Ktoś popełnił błędy przy inwentaryzacji?

- Brakuje pięćdziesięciu kapsułek czerwonych i dziesięciu niebieskich, Scott.

- To dość poważne przewinienie.

- Tylko ja mam dostęp do magazynu.

- Przynajmniej mamy już winnego. Sprawa rozwiązana.

- Tylko ty mogłaś pokonać zabezpieczenia.

Antonia nie musi zbyt długo zastanawiać się nad odpowiedzią. Nie żeby fantazjowała o tym dziesiątki razy w ciągu ostatnich dni. O tym, by dostać się do tego przeklętego miejsca i wkładać sobie kapsułki do ust całymi garściami.

- Myślę, że mogłabym odgadnąć dziesięciocyfrowe hasło na klawiaturze numerycznej. Albo zdobyć kopię fizycznego klucza. Mogłabym też ominąć biometryczne środki bezpieczeństwa, bo to podpada pod żart. Ale kamera bezpieczeństwa ma taśmę analogową, jeśli mnie pamięć nie myli. Sprawdziłeś ją już?

Taśma analogowa Serfram Cobalt, a właśnie takie Mentor kazał zainstalować, jest niemożliwa do podrobienia. Można ją rozbić, można ją zniszczyć, można zasłonić kamerę, można zrobić z nią cokolwiek, z wyjątkiem zmiany jej zawartości.

Mentor o tym wie.

Antonia o tym wie.

I on wie, że ona wie, że oboje o tym wiedzą.

Tak więc remis. Mentor mógłby to tak zostawić i normalnie być może by tak zrobił.

Rywalizacja z Antonią Scott to nie jest sprint, tylko *Tour de France*. Trzeba jechać, nie tracąc sił. Jednak w środku coś się w nim trzęsie (stres, który osłabia mechanizmy obronne). I nie może milczeć.

- Na tej taśmie nie ma niczego. Ale może mam tylko jedną podejrzaną. Może w Maladze brałaś więcej, niż powinnaś. Może zostałaś ćpunką, Scott. A teraz inspektor potrzebuje kogoś lepszego.

Antonia nie bez trudu przetyka ślinę. Kiedy się odzywa, niełatwo jej mówić, nie przestając zaciskać zębów.

- Może nie powinieneś był wstrzykiwać mi tego, co mi wstrzyknąłeś, kiedy nie miałam co do tego pewności, to po pierwsze. Może nie powinieneś był uzależniać mnie od tego gówna.

A potem, przypominając sobie pewną starą mądrość, którą przekazał jej Jon wcale nie tak dawno temu, postanawia wyraźnie zakomunikować Mentorowi swoje odczucia. Nabiera głęboko powietrza.

- Może powinieneś przestać mnie wkurwiać.

Samochód elektryczny

Mentor się rozłącza. Czuje, jak irytacja, poczucie winy i wstyd opanowują jego twarz i ręce niczym prąd elektryczny, ciężki i słaby. Kiedy kończy wykonywanie kilku telefonów, żeby utorować drogę Antonii i Jonowi, zmęczenie spada na niego niczym tona cegieł.

Odwraca się do doktorki Aguado, która wciąż siedzi z nosem w komputerze, ma czerwone, wysuszone oczy i rozczochrane włosy. On nie wygląda wcale lepiej. Koszula lepi mu się do skóry, śmierdzi potem i dymem papierosowym. Utrzymuje się na nogach tylko dzięki sile woli, marlboro light i paczkom drażetek Conguitos z automatu stojącego przy recepcji. Wprawdzie czekolada z orzeszkami ziemnymi go odrzuca, ale ma do wyboru albo to, albo jedną z tych kanapek, które zawsze wypadają wilgotne.

– Niech pani trochę odpocznie – odzywa się do Aguado, ufając, że dzięki temu on skorzysta z okazji, żeby też uciąć sobie drzemkę. O Mentorze można powiedzieć wiele rzeczy, ale jako szef przychodzi pierwszy i wychodzi ostatni: to nawyk, którego nabył za granicą.

– Nie teraz. Za chwilę będę coś miała – odpowiada doktorka.

– O proszę – mówi on, wkładając rękę do kieszeni w poszukiwaniu drobnych. – Chce pani coś z automatu?

Ignorując jego propozycję, Aguado pokazuje mu gestem, żeby podszedł.

– Mam coś.

Mentor zagląda Aguado przez ramię i rozpoznaje interfejs użytkownika Heimdalla, szpiegowskiego oprogramowania projektu

Czerwona Królowa. Aguado korzysta z niego, żeby dostać się do obcego systemu.

– Co to jest?

– Kamery monitoringu z centrum handlowego. Proszę się przyjrzeć – mówi doktorka.

Mentor niczego nie zauważa, bo ekran jest czarny. Widać jedynie kod czasu.

– To tak, jakby nastąpiła awaria zasilania.

– Bo nastąpiła – potwierdza Aguado. – Tyle że celowa. Ktoś zhakował kamery, żeby były wyłączone godzinę przed spotkaniem i godzinę po tym, jak Scott wyszła z centrum handlowego.

– Nie będziemy mieć ani chwili wytchnienia, co? – mówi Mentor, przejeżdżając dłonią po twarzy i starając się pobudzić. Burczy mu w brzuchu. Poważnie zastanawia się, czy nie wyjść na kebab dwie przecznice stąd, aż tak bardzo jest zdesperowany.

– Chwila... Jest coś, czego nie wzięli pod uwagę.

Kiedy obraz z kamer powraca, Aguado wskazuje miejsce parkingowe oddalone nieco od innych. Stoi tam samochód połączony ze ścianą za pomocą grubego kabla.

To jedno z tych piekielnie drogich aut elektrycznych, na które mogą sobie pozwolić tylko bogacze. „A na dodatek, kiedy je kupujesz, stajesz się lepszym człowiekiem”, myśli Mentor, który już widział, jak niejeden z tych zbawców planety patrzył na niego z góry, kiedy spotykali się na światłach.

– Co takiego?

– Te samochody... kiedy się ładują, są bardzo delikatne. Zderzenie w niewłaściwym momencie mogłoby całkowicie zniszczyć jego baterie, które są najdroższym elementem.

– I? – docieka Mentor, dość poirytowany, ponieważ nadal burczy mu w brzuchu, tym razem niecałe piętnaście centymetrów od ucha Aguado. Ale ona najwyraźniej niczego nie słyszy, bo dalej wściekle uderza w klawisze.

– Moment... – prosi i cały czas otwiera kolejne okna w systemie.

To podprogramy, a przynajmniej tak się Mentorowi wydaje, jeśli dobrze zapamiętał z wykładu, jaki zrobiono dla szefów ekip na temat Heimdalla.

Wreszcie na ekranie wyświetla się logo znanej marki samochodów elektrycznych. A obok niego szereg poleceń po koreańsku. Co stanowi problem, ponieważ geniusze, którzy zaprojektowali terminale Heimdall, zapomnieli dołączyć automatycznego tłumacza.

„Oprogramowanie za pół biliona, przez be, euro, a ostatecznie musimy korzystać z Google”, myśli Mentor.

– Szkoda, że nie ma tu Scott – mówi Aguado, która musi sięgnąć po swój telefon, żeby przetłumaczyć znaki hangula.

– Scott nie zna koreańskiego.

– Nie znajduje się wśród jej zarejestrowanych umiejętności, owszem. Ale nauczyła się wystarczająco.

– Kiedy?

– Trzy tygodnie temu. Założyliśmy się.

– I kto wygrał?

– A jak pan myśli?

Jednym ze skutków ubocznych spędzania takiej ilości czasu razem z kimś wyjątkowo inteligentnym jest to, że człowiek uświadamia sobie, jakie są jego prawdziwe możliwości.

„Świat jest o wiele łatwiejszy, kiedy jesteś idiotą, ponieważ jednym z pożytków bycia idiotą jest to, że nie wiesz, że nim jesteś”.

Mentor kręci głową, starając się udawać pewność siebie.

– Jeśli się przyłożymy, możemy być tak samo zdolni jak ona.

– Nie, tak naprawdę to nie – mówi Aguado, odkładając telefon na stół i wskazując ekran. – To tutaj to system zarządzania samochodem. A ten przycisk aktywuje...

Przed nimi pojawia się plik wideo.

– Kamery samochodowe.

– Nie rozumiem. To jest w czasie rzeczywistym?

- Samochód jest bardzo delikatny podczas ładowania, dlatego aktywuje wszystkie swoje kamery, w razie gdyby jakieś auto zbliżało się zbyt szybko. To, co tu widzimy, to nagranie z dzisiejszego poranka, kiedy samochód był ładowany.

- Niech Bóg błogosławi snobpostęp. A samochód zachowuje ten plik wideo?

- Oficjalnie nie. Nieoficjalnie to bardzo cenna informacja. A zna pan podstawową zasadę każdego programisty. Czego użytkownik nie wie, tego mu nie żal.

„Nie znałem tego, ale tak samo brzmi podstawowa zasada każdego rządu”, myśli Mentor, nachylając się nad ekranem, by spróbować rzyszyfrować to, co ma przed oczami.

Po kilku minutach stwierdza, że - nie licząc jednego filmu Tarkowskiego - to jest najnudniejszy film, jaki kiedykolwiek widział.

Jedynie cztery ćwiartki, po bokach i z przodu samochodu. Na dwóch z nich widać tylko karoserie aut zaparkowanych niedaleko. Na trzeciej jednak da się zauważyć jakiś ruch, kiedy ktoś wychodzi sporadycznie z na wpół ukrytych drzwi w pobliskiej ścianie. Sądząc po strojach osób, Mentor dochodzi do wniosku, że jest to wejście przeznaczone dla pracowników centrum handlowego.

Aguado przewija obraz, za każdym razem robi to coraz szybciej, aż do godziny, o której rozpoczęło się spotkanie Antonii z White'em. Oboje wpatrują się uważnie, ale drzwi pozostają zamknięte. Nikt nie wchodzi. Kod czasu przekracza godzinę, o której spotkanie dobiegło końca.

Nic.

- To bez sensu... - mówi Mentor.

- Warto było spróbo... Zaraz...

Drzwi się otwierają, ale w tym momencie coś czarnego na krótko zasłania ekran i staje naprzeciwko wejścia.

- No nie wierzę. Coś zasłoniło widok.

Mentor, niezbyt skłonny do nagłych wybuchów złości czy ogólnie grubiaństwa, tym razem musi się wyładować.

- To jest... wygląda jak furgonetka - mówi Aguado, wskazując jeden koniec obrazu.

Kiedy furgonetka znika, z tyłu nie ma niczego. Jedynie drzwi, w tym samym kolorze, co betonowa ściana z namalowanym czerwonym pasem.

- Proszę przewinąć. Do momentu tuż przed przyjazdem furgonetki.

Aguado cofa o jedenaście sekund.

- A teraz klatka po klatce.

Doktorka poszerza oś czasu, aż każdy z obrazów pojawia się jako małe zdjęcie na dolnym pasku monitora. Powoli zaczyna wciskać prawy przycisk. Jedna klatka, druga, trzecia.

Nic.

- Co to jest?

Mentor wskazuje jaśniejsze miejsce na framudze drzwi.

- Chwilka...

Aguado powiększa ten obszar i znowu zaczyna przewijać. Przez kilka klatek to miejsce jest bardziej oświetlone i w otworze można coś zauważyć.

- Da się to bardziej wyostrzyć, czy tak się robi tylko w kiepskich filmach?

Aguado uśmiecha się słabo wobec zużytego żartu swojego szefa. Słyszy go może dziesiąty raz. To sam Mentor dał jej budżet na oprogramowanie FUKPIK, które stosuje filtr uwypuklający krawędzie poprzez przesunięcie i konwolucję, nie łamali sobie zbyt głębiej, jeśli chodzi o nazwę. Nadal jednak bawi go, że na początku tego stulecia, kiedy technika była jeszcze w powijakach, w serialu *CSI: Kryminalne zagadki Las Vegas* używali jej prawie w każdym odcinku.

W miarę jak filtr zaczyna pracować nad tym jasnym obszarem, twarz pod spodem powoli zaczyna się odsłaniać.

Najpierw widać oczy i usta.

To tylko plamy umieszczone we właściwym miejscu.

Potem, wraz z każdym kolejnym przejściem filtra, rysy zaczynają się pojawiać coraz wyraźniej. Lekki półuśmiech, a może gorączkowy

pośpiech. Nieco odwrócony wzrok. Brwi delikatnie uniesione, obramowujące kobiecą twarz, którą ktoś na pierwszy rzut oka mógłby uznać za miłą.

Mentor nie odrywa wzroku od ekranu, dopóki filtr nie dokończy przetwarzania. Rezultat jest widoczny w negatywie (najlepszy sposób na wydobywanie konturu twarzy), ale i tak reakcja, jaką w nim wywołuje, jest równie dziwna, co radykalna.

Wyciąga rękę, wciska na klawiaturze kombinację, która otwiera okno oprogramowania i usuwa całą aktywność terminala z ostatniej godziny. Plik wideo nagrany przez samochód znika.

Aguado patrzy na niego, nie rozumiejąc. Mentor przysuwa się do niej, tak blisko, jakby chciał wyjąć jej z oka rzęsę. Skrępowana kobieta próbuje cofnąć się z fotelem, lecz postura szefa nie pozwala jej na to.

– Nie widziała pani tej twarzy. Czy to jasne?

Jego ton, podobnie jak zachowanie, nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

– Ale...

Ona się odwraca, lecz Mentora już tam nie ma; kieruje się do wyjścia, łapiąc po drodze wygniecioną marynarkę z krzesła, na którym ją zostawił, bez przystawiania. Zanim zniknie za drzwiami, odwraca się do Aguado i mówi oschle:

– Ani słowa Scott.

Pewien etap

Jon jest towarzyskim facetem, ma podejście do ludzi, umie z nimi postępować. Siły co prawda mu nie brakuje, ma takie ręce, że mógłby zatrzymać nimi kolejkę linową. Ale generalnie rzecz biorąc, jest dyplomatyczny i subtelny. Dlatego kiedy Antonia kończy rozmowę, nie mówi:

– Tak mu obję tę pierdoloną gębę, że będzie zbierał zęby z chodnika.

Nie, Jon ma już pewne doświadczenie, jeśli chodzi o postępowanie ze swoją partnerką, więc tylko ściska kierownicę tak, że odznaczają się na niej palce, i wciska play na odtwarzaczu CD. W środku jest płyta *Física y química*, rozbrzmiewa utwór numer dziewięć i Jon podgłaśnia, żeby nie słyszeć płaczu Antonii. Żeby ona nie słyszała jego, jak klnie pod nosem. Ponieważ krzywdę, jaką wyrządzają słowa, czasami naprawia tylko cisza.

Pozwala, by mijały czas i kilometry, tymczasem ona wsadza nos w iPad i przegląda dokumenty. Kilka łez spada na ekran, zamieniając oślepiającą biel w pikselową tęczę, ale ona tylko ściera je kciukiem, ponieważ przeszkadzają jej w pracy.

Jon pozwala, by upłynęło trochę czasu, ponieważ słyszał całą rozmowę. Tak, również słowa Mentora, a to za sprawą dźwiękoszczelnej kabiny i dość dużej głośności. Antonia wie coś, czego nie chciała mu powiedzieć, kiedy pozbył się jej kapsułek, zapraszając ją uprzejmie na przymusowy detoks, podczas gdy ona krzyczała „nie, nie, nie”, jak nie przymierzając Amy Winehouse.

Zakładano, że po tej misji będzie mogła odpocząć. Zakładano, że będzie mogła dojsć do siebie, zostawić to wszystko z boku, a nie

prowadzić wyścig z czasem i tańczyć tak, jak zagra jej pieprzony psychopata.

Zakładano, że on będzie leżał na sofie u *amatxo* w Bilbao, trawiąc dorsza w sosie pil pil, a nie jechał do więzienia i podejmował bezowocne wysiłki, żeby ten cholerny kebab nie odbijał mu się zbyt często.

Zakładano wiele rzeczy. Ale świat nie jest fabryką spełniania życzeń. Wszystkie jego plany, wszystkie aspiracje wzięły w łeb z powodu tego szarpania, jakie czuje za każdym razem, gdy poruszy szyją o kilka centymetrów. Wszystkie jego pragnienia wydają mu się teraz głupie, dziecinne, nic niewarte. Być może na tym polega dorastanie: uświadamiasz sobie, jakim byłeś dupkiem.

„A skoro o dorastaniu mowa: Antonia Scott, dwanaście punktów”, myśli Jon, zagorzały fan Eurowizji. Sposób, w jaki rozprawiła się z Mentorem, był spektakularny. A przynajmniej jak na nią.

Chciałby z nią o tym pomówić. Jakoś jej pogratulować. Choć wątpi, czy teraz pozwoli mu się do siebie zbliżyć. Po wybuchu złości na powrót podniosła most zwodzony i wypuściła piranie.

Ale jest też coś znacznie pilniejszego.

– Antonia – odzywa się Jon łagodnym głosem.

Ona podnosi głowę znad tabletu. Nie patrzy na niego, tylko na drogę, ale Jon i tak dostrzega, że oczy ma zaczerwienione i nieco spuchnięte.

– Słucham – odpowiada, siąkając nosem.

– Badanie *cold case* jest jak jedzenie zupy maczetą.

– To jedna z twoich metafor?

– Uciążliwe, frustrujące i szwy gwarantowane.

– Wiem.

– Potrzeba mnóstwo środków, ludzi i czasu.

– To też wiem.

– Nie da się tego zrobić w ciągu sześciu godzin.

– Długo zamierzasz gadać o takich oczywistościach?

– Chciałem się tylko upewnić, że oboje stoimy po tej samej stronie.

– Nie mamy wyboru, dopóki będziesz miał to na karku.

- Może to nie jest prawdziwe. Może to tylko kawałek metalu, który włożyli mi pod skórę, żeby nas przestraszyć i móc nas kontrolować.

Antonia robi jedną ze swoich słynnych pauz oceniających, trwającą dokładnie trzydzieści sekund. Jon spodziewa się długich wyjaśnień na temat parametrów technicznych bomby. Ale Antonia Scott nigdy nie przestaje go zaskakiwać.

- Znasz etapy żałoby doktorki Kübler-Ross?

- Etapy... czyje?

- Zaprzeczenie, negocjacje, gniew, strach, akceptacja.

Jonowi przypomina się narysowany na czarno lekarz rozmawiający z mężczyzną o żółtej skórze w samej bieliźnie. Mężczyzna przechodzi przez pięć faz w niesamowitym tempie. Prawie tak samo jak on, który przeszedł drogę od zniszczenia prysznicza po zaprzeczenie, że to, co ma w szyi, jest prawdziwe.

- Widziałem to w *Simpsonach* - przyznaje.

- Gdzie?

Jon z czystego niedowierzania aż zdejmuje nogę z gazu.

- Nie wierzę, że w obecnym stuleciu ani razu nie włączyłaś w południe stacji Antena Trzy.

Antonia milczy. Jon nie patrzy. Nie chce przegapić skrótów. Ale niemal słyszy, jak się uśmiecha.

- Tylko się z tobą drocę.

- Strasznie śmieszne - mówi Jon, włączając kierunkowskaz. Ton jest sarkastyczny, ale nagle od razu czuje się lepiej. W niewytłumaczalny sposób.

A może niezupełnie.

Kolejny kontuar

Jest już bardzo późno, kiedy przyjeżdża na parking Szpitala Psychiatrycznego imienia Lópeza Ibora.

Mentor ma pewną wiedzę na temat historii Madrytu. Oczywiście nie na tak niezwykle wysokim poziomie jak Antonia Scott. Ona czyta miasto tak, jak traumatolog bada ludzkie ciało. Niczym szereg nałożonych na siebie warstw, w których kości, mięśnie, narządy i skóra są po prostu elementami całości, która oddycha i się porusza. W porównaniu z Antonią Mentor jest tylko hobbystą, ale coś tam wie.

Wystarczająco, żeby się orientować, jak zapłacono za ten budynek. Zbudowany za pieniądze, które poczciwy doktor zarobił, lecząc homoseksualistów w czasach frankizmu. Terapie obejmowały lobotomie i elektrowstrząsy. Wykonywane bez zgody pacjentów. Całkiem dochodowe.

Mentor nie jest lewicowcem. Strój torreadora, który przysłania jego poglądy polityczne, pozwala dokładnie zobaczyć, za którą stroną się opowiada. Co nie przeszkadza mu odróżnić dobra od zła czy rozpoznać, kiedy budynek ma fundamenty pełne duchów.

Nawet jeśli nie wierzy w duchy.

Nawet jeśli przyczynił się do powiększenia ich liczby.

Jesteśmy zbudowani na niespójnościach i to właśnie nasza umiejętność życia z tym niestabilnym materiałem pozwala nam prosperować. Te sprzeczności niewątpliwie pozwoliły Mentorowi być tym, kim jest dziś.

Zamykając drzwi samochodu, zastanawia się, czy to nie jest ten moment, kiedy będzie musiał za nie zapłacić. O fakturach wie od dłuższego czasu.

Przypiesza kroku w stronę wejścia. Nagle zaczęło padać, jak to zdarza się czasami w Madrycie. Duża kropla, która postanawia spaść na pobliskie najbardziej dźwięczne miejsce – maska samochodu, rynna, znak drogowy. Albo, zamiast tego, w małą szczelinę między twoim karkiem a kołnierzykiem koszuli z niebywałą precyzją.

Pierwsza kropla jest jedną z takich. A później, trzymając się scenariusza, spadają wszystkie pozostałe.

Mentor dociera do wejścia, które obiecuje schronienie, światło i centralne ogrzewanie, lecz nie wywiązuje się z tej obietnicy, ponieważ szklane przesuwne drzwi postanawiają się nie otworzyć. Wali w przegrodę, aż kobieta siedząca w recepcji podnosi wzrok i przesuwając dłoń po grzbiecie niewidzialnego zwierzęcia. Uniwersalny znak, mówiący: „zamkniętęproszęwróćjutro”.

Mentor wyjmując z kieszeni swoją odznakę inspektora policji krajowej. Zawsze ma ją przy sobie – tak na wszelki wypadek. W razie gdyby przejechał na czerwonym świetle. Jest nie do odróżnienia od prawdziwej, ponieważ jest prawdziwa, z zastrzeżeniem, że jest fałszywa.

Na kobiecie jednak najwidoczniej robi wrażenie, bo pośpiesznie otwiera drzwi.

– Nie wzywaliśmy policji – mówi, kiedy Mentor podchodzi do kontuaru.

Kobieta jest w średnim wieku, przedwcześnie posiwiiała. Fakt, że postanowiła nie farbować włosów, podoba się Mentorowi, który pomimo niepokoju posyła jej szczerą uśmiech.

– Czasami przyjeżdżamy bez wezwania.

– Godziny odwiedzin już się skończyły.

– Wiem, ale ta sprawa nie może czekać, proszę pani.

Kobieta zamyka książkę, którą czytała. Wojna i pokój.

– Jeśli to coś związanego z pacjentami, to będzie pan musiał zaczekać do jutra, kiedy przyjdzie kierownictwo.

– Uwielbiam tę książkę – mówi Mentor, wskazując tomiszcze.

Ona spogląda na niego podejrzliwie.

- Czytał pan?
- Wiele razy.
- W takim razie... O czym jest?
- Tak naprawdę o wszystkim.

Gdyby powiedział „o wojnie” albo „to historia miłości”, być może kobieta zareagowałaby inaczej. Ale wygląda na to, że odpowiedź jej się podoba. Rozluźnia nieco ramiona, a zmarszczki na jej twarzy wygładzają się.

- Dostałam ją od ojca. To moja ulubiona książka.

- Ma pani szczęście. Mój ojciec nie ufał książkom. Mawiał, że na świecie jest za dużo wiedzy, a bardzo mało miejsca do jej przechowywania.

- Co to znaczy?

- Nie mam pojęcia - odpowiada Mentor.

Tak naprawdę ma ogólne pojęcie. Ostatecznie jego ojciec należał do jednej z tych rodzin. Jednej z tych z własną ulicą, jak człowiek, w którego budynku się teraz znajdują.

Ona wzrusza ramionami.

- Proszę powiedzieć, w czym mogę pomóc.

- Przyszedłem zobaczyć się z pewną pacjentką.

Podaje nazwisko. Kobieta kręci głową, zdziwiona.

- Nie kojarzę.

- Mogłaby pani sprawdzić w bazie danych?

- Jest pan krewnym?

Mentor wyjmuje swój dowód. Prawdziwy. Siedzi na samym dnie portfela, zakopany pod wieloma innymi, o wiele bardziej przydatnymi dokumentami. Prawdopodobnie nieważny. Nie pamięta, kiedy był mu potrzebny ostatni raz.

- Jestem osobą do kontaktu.

Kobieta sprawdza oba nazwiska w bazie danych.

- Tutaj widnieje jako wypisana.

Gdyby to była sekwencja w filmie noir, w tym momencie reżyser zdecydowałby się na grobową ciszę, by następnie wprowadzić złowieszczy huk grzmotu. W prawdziwym życiu niestety zwykle nie zgrywa się to tak precyzyjnie. Grzmot rozbrzmiewa chwilę później, zbiegając się z nieskładną odpowiedzią Mentora.

– Wypisana... Ale... Kiedy?

– Ponad cztery lata temu.

– To niemożliwe – odpowiada Mentor i wyciąga szyję, próbując zobaczyć monitor.

Ona zabiera go z zasięgu jego wzroku.

– Przykro mi, ale w dokumentach jest to wyraźnie napisane.

– A dlaczego, skoro wciąż płacę co miesiąc trzy tysiące osiemset czterdzieści pięć euro na jej utrzymanie? – pyta Mentor, sięgając do kieszeni po telefon.

Jest gotów pokazać jej konto bankowe, skąd regularnie każdego miesiąca pobierana jest opłata. Albo swoją prywatną pocztę elektroniczną (na Hotmailu, ku własnemu wstydy), na którą co kwartał przysyłają mu oceny psychologiczne w PDF-ie, podkreślając słowa „stabilny” i „bez zmian”.

– Przykro mi, proszę pana. Jeśli chodzi o opłaty, to pracownicy administracji przychodzą o dziewiątej.

Kobieta odchyła się na oparcie krzesła i znowu robi się czujna. Napięcie wraca na jej ramiona, a zmarszczki na czoło.

Mentor rozumie, że dalsze zadawanie pytań nie ma sensu. Mimo to próbuje, choć z marnym skutkiem.

Elastyczność nie jest niezbędną cechą, jeśli jesteś recepcjonistką w domu wariatów.

Gdy jest już znużony, Mentor wraca tam, skąd przyszedł. Jedenaście kroków do drzwi, które zamykają się za jego plecami. Kolejnych trzydzieści kroków do samochodu, który czeka na swojego właściciela pośród burzy. A przynajmniej Mentor ma taką nadzieję. Pada tak mocny

deszcz, że ledwie widzi, co znajduje się przed nim. Potyka się o zderzak innego pojazdu, zanim dociera do audi.

Kiedy kieruje się do drzwi od strony kierowcy, nagle przystaje.

Ktoś zostawił coś pod wycieraczką. Nie jest to jedna z tych ulotek reklamujących prostytutki, tak powszechnych na jego osiedlu. Nie, te zawsze są drukowane w czterech kolorach i na błyszczącym papierze. Aby było widać bogactwo.

To jest tylko zwykła kartka, zadrukowana z jednej strony, tej, która dotyka szyby.

Mentor podchodzi powoli. Jedną ręką podnosi wycieraczkę, a drugą odkleja papier od mokrej szyby.

Kiedy odwraca go na drugą stronę i czyta pierwszą linijkę, w żołądku tworzy mu się lodowa kula.

To jej.

Wynik jej testu PCL-R. Kliniczna ocena psychopatii w skali Hare'a.

Przemoczony papier rozpada mu się w palcach. Ale to nieważne. Mentor zna tę treść na pamięć, równie dobrze jak skazaniec zna własny wyrok. Może ją wyrecytować niemal do ostatniej kropki.

Brutalna egoistka skupiona wyłącznie na własnych interesach. Działa zdecydowanie i bez skrupułów, jeśli może wyrządzić krzywdę swoim ofiarom. Bez strachu ani żadnych obaw wobec ewentualnych konsekwencji.

Aspekt interpersonalny: wyzyskująca, manipulująca, fałszywa, egocentryczna i dominująca.

Aspekt afektywny: okazuje emocje zmienne i powierzchowne. Nie potrafi nawiązywać więzi międzyludzkich ani dzielić wspólnych zasad. Absolutny brak poczucia winy, wyrzutów sumienia czy strachu. Do pewnego stopnia potrafi je udawać, kiedy jest spokojna. Nie reaguje dobrze pod presją.

Aspekt behawioralny: impulsywna, potrzebująca silnych doznań, niestabilna. Skłonna do łamania zasad i niewywiązywania się z

obowiązków i zadań.

ZALECA SIĘ NATYCHMIASTOWĄ HOSPITALIZACJĘ.

Mentor upuszcza na ziemię świadectwo swojego zaślepienia, teraz prawie nieczytelne. Miażdży je czubkiem buta, zatapiając w kałuży. Kiedy to robi, rozgląda się wokół, starając się dostrzec kogoś pośród tej kurtyny deszczu.

Nie widzi nikogo, a jednak czuje, że na parkingu nie jest sam. Słyszy, jak coś porusza się za jego plecami, muśnięcie asfaltu, może wdepnięcie w wodę, która wylewa się już ze studzienek. Odwraca się szybko, lecz nie dostrzega nikogo. Fałszywy alarm. Gdyby to był film, w pobliskiej uliczce zamiauczałby kot, ale w prawdziwym życiu bezpieczne koty nie chodzą po ulicach, kiedy leje jak z cebra.

Mentor czuje dreszcz nie tylko z powodu deszczu. Grzebie w kieszeni, kluczyki wypadają mu na ziemię. Musi się schylić i pomacać w błotnistym strumieniu w poszukiwaniu breloka. Kiedy się podnosi, prawie czuje, jak ręce oplatają jego szyję, a ostrze noża zatapia się w jego plecach.

Prawie.

Jego zagrożenia nie są z krwi i kości ani z metalu, a jedynie ze strachu. Udaje mu się otworzyć samochód, zamyka drzwi i sięga po remingtona 870, którego wiele godzin wcześniej przełożył na siedzenie pasażera. Całkowicie przemoczony, przemarznięty do szpiku kości, o krok od zawału serca, zabarykadowany w samochodzie i przytulony do swojej strzelby, Mentor myśli o błędach, jakie popełnił w życiu, o zamiataniu pod dywan.

O tym, co zrobili wtedy.

Myśli tylko chwilę, trzeba uczciwie powiedzieć, ponieważ niedługo potem uruchamia silnik i ucieka.

Doskonale wiedząc, że jego problemy wiedzą jeszcze lepiej, gdzie go znaleźć.

I nie mając wątpliwości, że zrobią to niebawem.

11

Patio

Jon parkuje blisko wejścia, na miejscu obok priusa, i odwraca się do Antonii.

– No dawaj, piękna.

– Co mam ci dać?

– Raport. Albo chociaż coś mi powiedz, nie mogę tam wejść z jajami na wierzchu.

Antonia otwiera usta, formułuje pierwszą sylabę, a potem je zamyka.

„Już się zaczyna”, myśli Jon.

– Chyba lepiej nie.

– Jest jakiś powód czy robisz to dla zabawy?

– Jeśli powiem, co tu jest napisane, to przekażę ci wnioski ze śledztwa.

A przyjechaliśmy tu po coś innego.

– Oczyszczyć z zarzutu niewinnego? – pyta Jon ironicznym tonem.

– Nie. Po to, co zawsze. Po prawdę. Która nie zawsze pokrywa się z wyrokiem. A ty, Jon, nie jesteś zbyt obiektywny wobec damskich bokserów.

„Nie, nie jestem”, myśli inspektor. „I gównu mnie to obchodzi”.

– No więc?

– No więc ja będę pytać, a ty przede wszystkim obserwuj. Nie chcę, żebyś wszedł tam uprzedzony. Jeszcze bardziej uprzedzony.

Jon stosuje się do strategii, choć bez większego przekonania. Kiedy wysiadają z samochodu, zaczyna pracować żabami. Biegną w stronę wejścia w rytmie deszczu uderzającego o maski samochodów.

Identyfikują się. Dzisiaj Antonia jest inspektorką policji, żadnych skomplikowanych przykrywek znanych z innych okazji.

Zręczliwy funkcjonariusz prosi, żeby opróżnili kieszenie na jedną z brudnych plastikowych tacek, zanim przejdą przez bramkę. Jon, który zna swoją partnerkę, pospiesznie kładzie tackę na taśmie przed Antonią, ponieważ ona nie cierpi dotykać czegokolwiek, co przeszło przez zylindry rąk, z tych samych powodów, dla których nie cierpi, kiedy się jej dotyka.

– Uprzedzono, że przyjedziemy – odzywa się Jon.

– Rzeczy osobiste muszą zostać tutaj – odpowiada funkcjonariusz, otwierając dwa brudne kartonowe pudełka, dla każdego po jednym. W porównaniu z nimi plastikowe tacki przypominały świeżo dmuchane czeskie szkło.

– Pistolet też? – dopytuje Jon, trochę po to, żeby podrażnić funkcjonariusza.

Mężczyzna patrzy na niego z miną, która nie zachęca do żartów. Miną, która kwaśniej jeszcze bardziej, kiedy wykrywacz metalu piszczy, gdy Jon przechodzi.

Antonia patrzy na niego, a on na nią.

– Niedawno miałem operację. Implant.

Funkcjonariusz sięga po ręczny wykrywacz i wstaje, z taką samą energią, jakby to on był dopiero po operacji.

– Gdzie?

– W obojczyku – mówi Antonia.

– W kręgach – mówi Jon w tym samym czasie.

– To gdzie w końcu?

Jon opuszcza nieco kołnierzyk koszuli, gdzie wyraźnie widać zakrwawiony plaster. Mężczyzna przejeżdża tam detektorem i potwierdza, że chodzi o implant.

Idą za funkcjonariuszem przez patio, które znajduje się za szklanymi drzwiami z pęknięciem od góry do dołu. To jedno z tych pęknięć, które nie powstają wskutek gwałtownych zmian temperatury. A raczej wskutek gwałtownych zmian humoru i kontaktu z butem o rozmiarze czterdzieści trzy.

– Zaczekajcie tu – mówi mężczyzna, wskazując drewnianą ławkę.

Stoi pod daszkiem, ale i tak jest mokra, ponieważ do deszczu dołączył teraz także porywisty i syczący wiatr. Tak więc czekają na stojąco, przyklejeni do ściany, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i zmrużonymi oczami.

Po drugiej stronie patia w ogromnej betonowej wieży, która dominuje nad tym miejscem, zapalone są wszystkie światła. Wielkie stroboskopowe światła. Trzy tysiące watów, temperatura barwowa: pięć tysięcy siedemset K. Pod jednym z takich światel nie może być ciepła ani kłamstw. A deszcz tylko wyostrza precyzyjne kontury wiązek.

Antonia porusza się niespokojnie.

– Co ci jest? – pyta Jon.

– To nie jest miejsce dla mnie.

– Daj spokój. Odwiedzałaś już wcześniej więzienie, co?

Ona kręci powoli głową.

Jon, owszem, był wiele razy. Wystarczająco dużo, żeby się uodpornić. Pamięta jednak swój pierwszy raz. Pamięta go dobrze. Hałasy, metal, zapachy. Desperacja.

– Nie przejmuj się. Nie jest tak źle. To tylko kolejny budynek. Kilka zamków, kilku strażników.

Resztę pomija, z oczywistych względów. Ale okazuje się, że w ogóle nie załapał.

– W ogóle nie załapałeś – mówi ona.

– Oświeć mnie, piękna.

Antonia pokazuje na własną głowę. Drżący palec wskazujący znajduje się prostopadle do skroni. Blisko, lecz jej nie dotyka. Jakby bał się tego, co jest w środku.

– Tutaj w środku. Tutaj w środku są małpy.

Coś w tonie jej głosu sprawia, że Jon odstawia na bok wszystkie żarty, zuchwalstwa, spojrzenia. To coś w tonie jej głosu już kiedyś słyszał. Również na patiu, również pustym. W szarym, deprymującym miejscu w brytyjskiej szkole. W dniu, w którym zabrała go, żeby zobaczyć, z pewnej

odległości, jej syna. W dniu, w którym otworzyła się przed nim po raz pierwszy.

Tak więc nic nie mówi, podczas gdy sekundy mijają, obute w metalowe buty, a podmuchy wiatru rzucają w ich twarze resztki deszczu.

Ona jednak nie ciągnie dalej. Odzywa się więc on. Nie ma wyboru.

– Przerażają cię?

Ona znowu potrząsa głową.

– Pomagają mi. Pokazują mi różne rzeczy. Zwracają uwagę na szczegóły. Czasami na zbyt wiele szczegółów.

Kolejna cisza. A w każdym razie coś najbardziej zbliżonego do ciszy podczas tej szalejącej nawałnicy.

– Wiem, że nie są prawdziwe, nie bój się. To wytwory mojego umysłu. Sposób, w jaki przetwarza informację, żeby była dla mnie zrozumiała. Zazwyczaj są spokojne. Ale...

Milknie i patrzy w dal. Jon już widział to spojrzenie. W dniu – w tym samym dniu – w którym zapytał, co jej zrobili. A ona nie mogła i nie chciała odpowiedzieć.

– W takim miejscu jak to robią się nerwowe – zgaduje Jon.

– Po to mnie... po to mnie wytrenowali. Scena morderstwa, miejsce pełne przestępców. Wtedy wszystkie się budzą.

Jon nie potrzebuje, by Antonia dodawała, że nigdy nikomu o tym nie mówiła. Ogarnia go dziwna mieszanina uczuć.

Radość z jej powodu, ponieważ zdołała się otworzyć.

Nienawiść do tych, którzy wyrządzili jej krzywdę.

Duma, że jemu powiedziała jako pierwszemu.

A ponad tym wszystkim – coś jeszcze.

Niczym gówienko w basenie. Uraza, którą nadal do niej żywi, coraz bardziej tego świadomy. Ponieważ tylko samą swoją egzystencją Antonia Scott skomplikowała mu życie do granic możliwości.

– Nie możesz tego kontrolować? – pyta, starając się nie brzmieć jak rozdrażniony.

– To bardzo trudne.

- Stąd kapsułki.
- Ale nie chcę ich już więcej widzieć.

Kręci głową i chwyta się za ramiona, próbując objąć samą siebie. Jon, zwykle taki chętny, by pomóc jej w tym zadaniu, do którego potrzeba dwóch osób, tym razem nie potrafi znaleźć w sobie sił, żeby zmusić siebie i ją.

- No cóż, jak mówi *amatxo*, musisz sobie z tym poradzić.

Antonia odwraca wzrok, lekko rozczarowana.

To wyznanie musiało być dla niej bardzo trudne. Być może oczekiwała innego efektu, emocjonalnej odpowiedzi, jakiej Jon nie może jej w tej chwili zaoferować. I nie jest pewien, czy powinien to w ogóle robić. Widział, co potrafiła zdziałać samą tylko siłą woli, trzymając się z dala od chemicznego wspomagania.

Ale Jon widział w swoim życiu wystarczająco ćpunów, by wiedzieć, że współczucie innych jest dla nich paliwem.

Pewnego razu w uliczce w dzielnicy San Francisco spotkał jednego takiego, który przedawkował. Guma wciąż na ręce, twarz w kałuży. Przy ustach leżało opakowanie po ciasteczkach Phoskitos, które kilka karaluchów wybrało na swoje miejsce do spania. Uciekły, gdy tylko światło latarki Jona musnęło czerwono-niebieską torebkę.

Kiedy zjawiała się matka, płacząc przedtem sucho i cicho (zapewne nie miała już łez), oparła się ramieniem o młodego umundurowanego policjanta i powiedziała:

- Ach, gdybym wcześniej tak mu nie współczuła.
- Tak więc Jon nic nie mówi.

Co też nie jest rozwiązaniem, ponieważ Antonia zazwyczaj szuka schronienia w ciszy, tak jak karaluchy w opakowaniu po Phoskitos.

Dlatego jeszcze bardziej zaskakujące jest to, co dzieje się dalej.

- Wyjaśnię ci, co czuję. Wciągnij brzuch – mówi Antonia, łapiąc go za łokieć i opierając mu rękę na brzuchu.

Gdyby kopnęła go w jaja, inspektor Gutiérrez być może czułby mniejsze zażenowanie.

Być może.

– No cóż, to prawda, że ten garnitur nie leży na mnie idealnie. Ale nie żebym był gruby – udaje mu się wydusić.

– Nie o to chodzi. Rób, co mówię.

Jon robi.

– Nie aż tak – instruuje go Antonia, trzymając otwartą dłoń na wysuwającej się przeponie Jona. – Jakby zostało ci tchu na dziesięć albo dwanaście słów.

Jon wciąga brzuch. Tylko trochę.

– Nie puszczaj.

Z początku jest łatwo. Ale w miarę jak upływają kolejne sekundy, uświadamia sobie, co Antonia chce mu przekazać. Utrzymanie napiętych mięśni kosztuje go coraz więcej. Nagle pochłania całą jego uwagę i czuje, że jego ogromnym płucom zaczyna brakować powietrza.

– Cały czas?

Ona przytakuje. Cały czas. W każdej sekundzie, kiedy jest świadoma, musi utrzymywać te mechanizmy obronne. Ten niewidzialny mięsień napięty w środku jej mózgu.

Jon nie zdąży jej współczuć (zrobi to kilka godzin później i w bardziej odpowiednim momencie), ponieważ przerywają im kroki na drugim końcu patia.

Madryt, 14 czerwca 2013

Wysoki, szczupły mężczyzna trze oczy ze zmęczenia. Dzień niebawem dobiegnie końca, choć dla niego skończył się już po drugiej rozmowie.

Znajdują się na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Complutense. Nie ma nic lepszego, żeby zamaskować te testy i żeby absolutnie nikt nie podejrzewał, że pozorują studenckie badania. Miejsce też jest odpowiednie. Białe pomieszczenie, bez okien, gdzie można ustawiać temperaturę, wyposażone w jednokierunkową szybę. Z jednej strony szkło, z drugiej lustro. Kabina dowodzenia i głośniki.

– Już dłużej nie mogę – mówi wysoki, szczupły mężczyzna, nie przestając trzeć oczu. – Idę na fajkę.

– Powinieneś rzucić.

– Nigdy nie ma dobrego momentu, by rzucić.

– Jest taka nowa technika, z wykorzystaniem akupunktury. Moja dziewczyna pozbyła się nałogu po zaledwie trzech sesjach.

– Czy przypadkiem nie została jeszcze jedna kandydatka?

Asystentka zaprasza ostatnią uczestniczkę, wykonawszy wcześniej gest udawanej niechęci.

Mężczyzna ją polubił. To dobra dziewczyna. Jak świeży kwiat. Z tych, co po przebiegnięciu pięciu kilometrów przychodzą do pracy, wyglądając jak róża, zawsze widzą pozytywną stronę wszystkiego i żegnają się szerokim uśmiechem, myśląc już o kolejnym dniu pracy. Trudno wyobrazić sobie kogoś bardziej żałosnego.

Z czasem jego opinia na jej temat stała się jeszcze lepsza. Są dni, kiedy już prawie nie chce jej udusić. Ani jej, ani całej gromady palantów, inteligencików i dziwaków, którzy przewinęli się przez ten pokój. Ponad siedmuset.

Prawie ośmuset tak naprawdę.

Żaden jednak nie był tak obiecujący jak druga, z którą dziś rozmawiali. Kandydatka siedemset dziewięćdziesiąt cztery.

„W samą porę”, myśli wysoki, szczupły mężczyzna.

Dobrze wiedział, że szefowie w Brukseli za chwilę mogą dać mu kopa w dupę. A to mu się nie podobało. Wszystko, co wcześniej robił w swoim życiu, to siedzenie nad książkami. Przede wszystkim przyswajanie idei innych. Lepiej radził sobie z powtarzaniem niż tworzeniem. Dlatego, kiedy zaproponowano mu udział w projekcie Czerwona Królowa, skoczył w niego z zamkniętymi oczami. Jeszcze kilka godzin temu zanurzał się we własnej porażce.

Ale to wszystko zmieniło się wraz z numerem siedemset dziewięćdziesiąt cztery.

„Antonia Scott”, myśli wysoki, szczupły mężczyzna. „Muszę zacząć się zapoznawać z tym nazwiskiem”.

Może to będzie ona. Może to właśnie tej kandydatki projekt Czerwona Królowa potrzebuje dla Hiszpanii. Mężczyzna ma pewne przeczucie, a zdarza mu się to bardzo rzadko. Nie żeby wyróżniał się kiedykolwiek swoją wspaniałą wyobraźnią. Bliżej mu do księgowego niż artysty. W skali od jednego do dziesięciu, przy czym jeden to inspektor ze skarbowki, a dziesięć to Julio Iglesias, wysoki i szczupły mężczyzna byłby kalkulatorem na biurku.

Przeczucia i szklanki whisky mają jedną wspólną cechę: im mniej jesteś do nich przyzwyczajony, tym lepszy przynoszą efekt. Tak więc on jest gotów przestać szukać i postawić na kandydatkę siedemset dziewięćdziesiąt cztery.

– Możemy pozbyć się tej ostatniej?

– To tylko moment. Żeby nie wyszło, że przyszła na darmo...

Mężczyzna kiwa głową. W sumie chwila dłużej – jakie to ma znaczenie. W domu i tak nikt na niego nie czeka.

– Niech wejdzie siedemset dziewięćdziesiąt osiem.

Kobieta jest szczupła. Średniego wzrostu, dobrze ubrana. Idealny manikiur. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Na jej twarzy

jest dobroć.

„Nie, nie dobroć”, myśli on.

„Życzliwość”.

– Dzień dobry – mówi wysoki mężczyzna, naciskając guzik interkomu, łączący kabinę z pokojem obserwacyjnym. – Przedstawię pani pewną historię. Wszystkie podane przez panią odpowiedzi przełożą się na punktację, jaką otrzyma pani w naszym badaniu. Prosimy, żeby maksymalnie się pani skupiła, dobrze?

Kobieta przytakuje.

– W porządku, zaczynamy – mówi wysoki, szczupły mężczyzna i zaczyna czytać tekst, który pojawia się na ekranie i którego początek, po tygodniu, zna prawie na pamięć. – Jest pani kapitanką platformy wiertniczej Kobayashi Maru znajdującej się na pełnym morzu. Jest noc, a pani smacznie śpi. Nagle w środku nocy budzi panią asystent. Światła ostrzegawcze są włączone, wyje alarm. Ostrzeżenie przed kolizją. W waszą stronę zbliża się tankowiec.

Kobieta milczy, patrząc prosto w lustro. Nie zdjęła płaszcza i wciąż mocno trzyma torebkę.

– Teraz pani kolej – mówi wysoki, szczupły mężczyzna.

– Czy mamy do dyspozycji jakąś łódź? – pyta kobieta. Skraca słowa, jak gdyby nie lubiła mówić i chciała poświęcić im możliwie jak najmniej czasu.

Mężczyznę zaskakuje to pytanie.

Rzecz jasna ostatecznie prawie wszyscy pytają o łódź. Kiedy zdają sobie sprawę, że nie ma jak skontaktować się z tankowcem, że ten nieuchronnie zmierza w ich stronę, że nie ma sposobu, by uniknąć kolizji. Kiedy uświadamiają sobie, że nie da się uratować platformy, myślą o ratowaniu załogi. To klasyczne zachowanie w obliczu sytuacji bez wyjścia – powoli się wycofywać, wyczerpując wszystkie opcje, aż jedynym logicznym rozwiązaniem jest się poddać.

– Na początku nigdy nie pytają o łódź – wtrąca zdumiona asystentka.

– To nawet lepiej. Przynajmniej szybciej stąd wyjdziemy.

Test został przygotowany w taki sposób, aby reagować na działania podejmowane przez uczestnika eksperymentu, dynamicznie modyfikując scenariusz, aby stawał się coraz trudniejszy. Punkty przyznaje się ponadto za oryginalność odpowiedzi lub zdolność improwizacji.

– W rzeczy samej – odpowiada wysoki, szczupły mężczyzna, naciskając guzik interkomu. – Macie statek ratowniczy.

– Jakiej wielkości?

Ponieważ to pytanie zadała najpierw, program oferuje inną odpowiedź, niż gdyby zadała je kilka minut później.

– Trzydzieści metrów – informuje asystentka.

– Nie jestem ekspertką od nautyki, ale wydaje się dosyć duży. Czy na platformie mamy ładunki wybuchowe?

To pytanie jest zadawane zdecydowanie rzadziej.

Zresztą wysoki, szczupły mężczyzna nie słyszał go ani razu.

Ale program ma na nie odpowiedź, którą on przekazuje jej nieco zdziwiony.

– Dobrze – odpowiada kobieta, zastanowiwszy się przez chwilę. – W takim razie gromadzę półtorej tony materiałów wybuchowych na dziobie statku ratowniczego i nakazuję jednemu z członków załogi, żeby rzucił je w burtę tankowca, który płynie w naszym kierunku.

W kabinie dowodzenia zalega pełna zdumienia cisza. Kiedy udaje im się nieco otrząsnąć z zaskoczenia, asystentka wklepuje dane do systemu. To prawda, że zadanie jest czysto teoretyczne. Ale mimo to oboje poczuli, jakby było zupełnie prawdziwe.

Wysoki, szczupły mężczyzna naciska guzik interkomu, ale nic nie mówi. Przez kilka chwil z głośników dobiega jedynie delikatny szum statyczny.

– Mogę zapytać, w jaki sposób doszła pani do takiego wniosku? – pyta po upływie kilku bardzo długich sekund.

– To proste. Na platformie jest więcej osób niż na tankowcu. To najbardziej logiczne rozwiązanie – odpowiada kobieta bez zastanowienia.

Później, dużo później, przypomni sobie mnóstwo szczegółów dotyczących tego momentu.

Modulacja głosu kobiety.

Jej niewzruszoność.

Fakt, że ani na chwilę nie puściła torebki ani nie zdjęła płaszcza.

Jej wzrok utkwiony w lustrze.

Wiele z tych szczegółów, niemal wszystkie, było bardziej projekcją niż rzeczywistym wspomnieniem. Napisaniem przeszłości na nowo, z przewagą w postaci informacji, którą dostarcza ci przyszłość. Albo z niedogodnościami, jak poczucie winy, wyrzuty sumienia, udręka wynikające z tego, że wszystko jest przed tobą i nie możesz tego zmienić.

Na razie jednak wysoki, szczupły mężczyzna ma w głowie coś zupełnie innego. Dzieje się bowiem coś, co nie zdarzyło się dotąd w żadnym kraju biorącym udział w projekcie.

Nawet nie słucha swojej asystentki.

- Uzyskała najwyższą punktację - mówi z niedowierzaniem. - Według programistów tylko jedna osoba na dwadzieścia trzy miliony podała taką odpowiedź.

„Dwie Czerwone Królowe. Czy to możliwe?”

- Chciałbym porozmawiać z panią w sprawie propozycji pracy - mówi, naciskając znowu guzik interkomu.

Po drugiej stronie lustra kobieta uśmiecha się po raz pierwszy. To zaledwie fałdka w kąciku ust. Wykalkulowana, jak cała jej ekspresja. Jak gdyby przejrzała budżet i doszła do wniosku, że może pozwolić sobie na wydatek.

- Z przyjemnością pana wysłucham, panie...

- Może mnie pani nazywać Mentorem.

Stukot obcasów

– Jestem naczelniczką – mówi chuda kobieta w średnim wieku i z zapadniętymi oczami, gdy do nich podchodzi. Nie wygląda na szczęśliwą. Nie podaje swojego nazwiska, nie wyciąga ręki. Jej usta przypominają kreskę narysowaną od linijki.

– Dziękujemy, że zgodziła się pani przyjąć nas o tak późnej porze – odzywa się Jon, podnosząc rękę w charakterze powitania. Kiedy ma do czynienia z oprychami, Jon wykonuje zwykle ten sam gest, tylko że wtedy trzyma w dłoni policyjną odznakę. Tę samą, która została w pudle przy wejściu.

– Proszę się nie łudzić, inspektorze. Właśnie wychodziłam do domu, przez was musiałam zawrócić.

Jon już kilka razy był w takiej sytuacji. Osoby mające pewną władzę, przyzwyczajone do robienia w swojej małej części świata tego, co im się żywnie podoba, pewnego dnia dostają telefon. Nie od swojego bezpośredniego przełożonego, bo są nawykłe do dyskusji z nim. Niezależnie od tego, czy dobre, czy złe, łączą ich jakieś relacje, a relacjami da się zarządzać.

Mentor sprawia bowiem, żeby zadzwonił szef szefa. A niekiedy ktoś stojący jeszcze wyżej.

Jon się zastanawia, za jaki sznurek pociągnął tym razem. Może sekretarz stanu. Albo ministerka sprawiedliwości. Krótka, miła, lecz sztywna rozmowa. Mglista obietnica zapamiętania nazwiska interlokutora. Pospieszne pożegnanie, bez zostawienia miejsca na żadne negocjacje ani sprzeciw.

„W zamian mamy szeroko otwarte drzwi i wściekłość, której starczyłoby na wypełnienie basenu”.

Antonia w podobnym przypadku przypomniała sobie kiedyś popularne wśród rdzennych mieszkańców brazylijskiej Amazonii zdanie. „Kiedy rzeka spływa pełna piranii, kajman pływa na plecach”.

– Z etologicznego i anatomicznego punktu widzenia nie jest to prawda, ale rozumiesz, o co chodzi.

Jon rozumiał. Powiedzenie nie wyjaśniało jednak, co należy robić, kiedy w rzece jest kajman z torebką z Mulayi i w spódnicospodniach. Kajman, którego odciągnąłeś od kolacji i odcinka *Master Chefa*.

– To pilna sprawa. Proszę wybaczyć niedogodności, jakie...

Kobieta tylko się odwraca, co Jon i Antonia interpretują jako zaproszenie, by za nią poszli.

– Im szybciej skończycie, tym szybciej wyjdziecie. Osadzony czeka na was w sali numer sześć.

Przechodzą przez szereg zakratowanych drzwi. Przy jednych jest stanowisko kontrolne, pozostałe otwierają się przed nimi, kiedy naczelniczka patrzy w umieszczoną na drzwiach kamerę.

Prawie nie zatrzymuje się przed kolejnymi drzwiami, jakby ich nie widziała, jakby wcale ich tam nie było. Pewnym krokiem przemierza puste, niekończące się korytarze. Drewniane obcasy jej butów uderzają o zielone linoleum tak pewnym i regularnym rytmem jak metronom. Jedna nieco tendencyjnie, ponieważ z jakiegoś powodu prawy but („klap”) wydaje nieco inny dźwięk niż lewy („klapa”).

Efekt

„klapklapaklapklapa”

jest tak irytujący, że Jon czuje, że za chwilę oszaleje. A zerknięcie kątem oka na Antonię, która idzie obok niego (wyprostowana, poruszając

nogami z taką samą szybkością jak on), pozwala mu myśleć, że dla jego partnerki jest to jeszcze gorsze.

- Ilu osadzonych tu macie? - pyta Jon, próbując uciszyć dźwięk jej obcasów.

- Skąd to pytanie? Chce pan skorzystać z okazji i obudzić któregoś jeszcze?

- Jak już pani powiedziałem...

- Życie w więzieniu to kwestia ru-ty-ny. Kwestia ścisłego harmonogramu, żelaznego kalendarza. Kara bierze się stąd, ze stanowczości. Jakakolwiek zmiana w ru-ty-nie, jakiegokolwiek odstępstwo, nawet jeśli przydarzy się komuś innemu, jest zwolnieniem z tej kary.

- Sądziłam, że jesteście od tego, żeby przywracać do społeczeństwa - odzywa się Antonia cichym głosem.

Kobieta odwraca głowę wystarczająco, żeby spojrzeć na nią z góry, nie zwalniając kroku.

- Proszę nie wygadywać bzdur, przecież jest pani policjantką, na litość boską.

Następuje kłopotliwa cisza, w której obcasy stają się jeszcze bardziej obecne. Tak więc Jon postanawia przeprosić w imieniu Antonii.

- Inspektorka ma osobliwe poczucie humoru.

Antonia otwiera usta, żeby mu zaprzeczyć, ale Jon pokazuje gestem, by milczała. Nieświadoma tego naczelniczka mówi dalej.

- Tutaj jest przeszło tysiąc osadzonych. Mamy trzech seryjnych morderców, jedenastu terrorystów, osiemdziesięciu czterech wielokrotnych gwałcicieli, szesnastu pederastów. A także czterech czy pięciu skorumpowanych, których na pewno widział pan w telewizji, jak grali w karty. To nie jest przedszkole, inspektorze. To więzienie. Jeśli ktoś tu trafia, to dlatego, że musi za coś zapłacić.

Docierają do ostatnich drzwi. Te, w przeciwieństwie do poprzednich, nie otwierają się, gdy podchodzą. Pozostają szczelnie zamknięte.

- To moduł F. Najgorszy z całego więzienia. Tutaj siedzą najgorsze szumowiny. Najtrudniejsza część naszej pracy nie polega na tym, by

trzymać ich krótko. Polega na tym, żeby nas nie zabili albo nie pozabijali się między sobą.

Po drugiej stronie drzwi zjawia się strażnik. Na szyi ma zawieszony klucz, którym otwiera drzwi. Przepuściwszy ich, ponownie zamyka się w budce za grubymi szybami.

– Powiedziano nam, że Blázquez jest wzorowym więźniem.

– Można tak to ująć – odpowiada naczelniczka z krzywym uśmiechem, po czym otwiera salę numer sześć. – Trzy osoby musiały zostać dłużej, żeby zagwarantować państwu bezpieczeństwo. To nadgodziny, za które nie mam jak im zapłacić. Więc proszę krótko.

Kiedy Jon i Antonia wchodzi do środka, drzwi za nimi się zamykają. Człowiek, którego mają przed sobą, przykuty do stołu ze stali nierdzewnej, ani trochę nie przypomina mężczyzny ze zdjęcia, które widzieli w drodze do więzienia.

Przede wszystkim zniknęły włosy. Od razu można zrozumieć, dlaczego nosił je długie: jego uszy to dwie bryłki gorącego wosku.

Po włosach zniknęła masa mięśniowa. Z braku sterydów, skóra na jego ramionach wisi, jakby była niepotrzebna. Brzuch jest wyraźnie widoczny przez koszulkę, nawet w pozycji siedzącej. Najgorsza jednak jest twarz. Wymalowany na niej wyraz Jon zna doskonale. To spojrzenie skazańca, tę lekcję pokory. Rozcięta brew, strupy na głowie, zapadnięty nos. Postarzał się o dziesięć lat.

„To nie jest twarz niewinnego człowieka”, myśli Jon, który nagle zaczyna się obawiać, że ten niefrasobliwy pomysł Antonii to tylko jedna wielka strata czasu. Ogromnie się stara, żeby nie spojrzeć na zegarek, który na jego przegubie sprawia wrażenie, jakby zrobił się o trzy kilogramy cięższy i ma pięćdziesiąt stopni ciepła.

– Panie Blázquez – odzywa się Antonia, siadając naprzeciwko niego. – Inspektorzy Scott i Gutiérrez.

Co zrobili wtedy

Sala jest czarna i pełna światła. Ściany i sufit są wyłożone materiałem izolacyjnym, tak grubym, że nie przepuszcza żadnego dźwięku. Kiedy Mentor mówi przez głośniki, jego głos wydaje się docierać jednocześnie ze wszystkich miejsc.

Kandydatka numer siedemset dziewięćdziesiąt osiem siedzi na środku, w pozycji kwiatu lotosu, ubrana tylko w czarną koszulkę i białe spodnie. Jest bosy. Powietrze w pokoju jest chłodne, chociaż to może się zmienić w każdej chwili. Mentor kontroluje temperaturę według własnego uznania, żeby jeszcze bardziej wszystko skomplikować.

– Zostawiłaś w domu prawo jazdy. Nie zatrzymujesz się przed przejazdem kolejowym, ignorujesz znak ustąp pierwszeństwa, przez siedem przecznic poruszasz się pod prąd. Jedzie za tobą drogówka, ale nie robi nic, żeby ci w tym przeszkodzić. Dlaczego?

– Bo idę pieszo – odpowiada od razu kobieta.

– Łatwe. Otwórz oczy.

Kobieta patrzy na ogromny monitor przed sobą. Na ciemnym ekranie pojawia się zdjęcie przedstawiające dwie grupy osób, które za chwilę przejdą przez pasy.

– Co widzisz?

Oczy kobiety z największą szybkością skanują fotografię i natychmiast znajdują niezgodność.

– Po jednej stronie ulicy stoją sami mężczyźni, a po drugiej stronie same kobiety.

– Zbyt łatwe i zbyt wolno.

Pod monitorem znajduje się stoper z czerwonymi cyframi. Mierzy czas z dokładnością do tysięcznych części sekundy. Teraz wskazuje 03:138. Trzy sekundy i sto trzydzieści osiem tysięcznych.

– Wioska liczy sto par mieszkańców. Jeśli rodzi się dwoje dzieci na jednego mieszkańca, ale dwudziestu trzech umiera, to ilu mieszkańców liczy wioska?

Kobieta jest zmęczona, ostatniej nocy ledwie spała, Mentor wymagał od niej ćwiczeń pamięciowych, przez prawie sześć godzin z rzędu recytowała liczby pierwsze. Zastanawia się.

– Sześciu... Nie. Pięciuset siedemdziesięciu siedmiu.

Cyfry zatrzymują się na 04:013.

– Zbyt wolno. Nie robisz postępów wystarczająco szybko.

– Muszę trochę odpocząć!

Kobieta czuje ciężkie powieki i lekką głowę. Mentor znowu bawi się ilością tlenu w pokoju. Ona po raz pierwszy się zastanawia, czy robi wystarczająco dużo, by osiągnąć swój cel. Czy uda jej się stanąć na wysokości zadania. Z drugiej strony w domu nikt na nią nie czeka. Nie ma też nic ważniejszego do roboty.

Ona tego chce. Potrzebuje tego.

Jest tego bardzo pewna. Tak pewna, jak jeszcze nigdy nie była pewna niczego.

Mentor codziennie mówi jej o osiągnięciu pełnego potencjału. O robieniu rzeczy, których nikt inny nie potrafi robić, o zajściu tak daleko jak nikt wcześniej. I ona się zgadza, jak gdyby każde wypowiedziane przez niego słowo było myślą, która rodzi się w jej własnej głowie. Zrobiłaby wszystko, żeby go zadowolić, by usłyszeć od niego pochwałę, komplement.

Ale jest taka zmęczona.

– Gdybym tylko mogła... – zaczyna.

Nie udaje jej się dokończyć zdania. Drzwi się otwierają i wchodzi trzech mężczyzn w niebieskich kombinezonach. Kobieta odwraca się zdziwiona, ale nie ma czasu, by się sprzeciwić. Jeden z nich unieruchamia jej ramiona, otaczając je rękami, i ją przewraca, drugi przytrzymuje jej głowę do podłogi.

Trzeci ma w ręku strzykawkę.

Kiedy kobieta ją zauważyła, powstrzymuje krzyk w połowie drogi między ulgą a tryumfem. Wiedziała, że do tego dojdzie. Od dłuższego czasu domaga się od Mentora, by to się stało. Mimo to się opiera, walczy. Ponieważ on właśnie tego od niej oczekuje.

W kabinie obserwacyjnej (nie przebywają już na Uniwersytecie Complutense, lecz w miejscu o wiele mniejszym i sekretnym, na terenie przemysłowym w pobliżu lotniska) Mentor rozmawia z niskim, trzęsącym się, łysym i wpół ślepyim osiemdziesięcioletkiem ubranym w marynarkę w szkocką kratę. Staruszek nie wygląda zbyt dobrze. Od dawna zjeżdża slalomem ze zbocza życia.

Nie zwracajmy jednak uwagi na jego wiek. Może to geniusz neurochemii, najwybitniejszy ze swojego pokolenia. Jego nazwisko przewijałoby się na liście kandydatów do Nagrody Nobla, gdyby nie był odrobinę niezrównoważony.

– Drugi raz jest pan świadkiem zabiegu. Powinien być pan już trochę spokojniejszy – mówi doktor Nuno, obserwując dyskomfort swojego towarzysza.

Mentor opiera o szybę rękę z zażółconymi od nikotyny palcami i obserwuje, jak substancja jest wstrzykiwana kandydatce.

– Do pewnych rzeczy człowiek nigdy się nie przyzwyczai, doktorze.

– Jak na przykład do wczesnego wstawiania, prawda? My, niskociśnieniowcy, nigdy do tego nie nawykniemy.

Mentor nie wspomina o subtelnej różnicy między wstawianiem skoro świt a patrzeniem, jak eksperymentalny środek jest wstrzykiwany w mózg istoty ludzkiej, mimo że ona pokazała, iż jest bardziej niż gotową ochotniczką.

– Powinien być pan dumny – ciągnie Nuno. – Hiszpania była w ogonie projektu Czerwona Królowa. Szefowie byli, że tak powiem, niezadowoleni z braku pańskich postępów...

„Jakbym o tym nie wiedział”.

– ...a nagle udaje się panu znaleźć nie jedną, lecz dwie odpowiednie kandydatki. W Brukseli było pewne poruszenie, wie pan...

„A o tym to nie wiedziałem”.

– „Mentor z Hiszpanii stał się niepewny”, mówili. Obawiali się, że postanowił pan przedstawić dwie kandydatki, żeby zamaskować to, jak długo zajęło znalezienie tylko jednej.

„Co jest prawdą. Częściowo”.

– Pojawiły się pomruki. Nikt nie przedstawił jednocześnie dwóch kandydatek i to z takim samym przekonaniem. Nie brakowało głosów domagających się poważnego audytu...

„Co oznacza danie mi kopa w dupę”.

– ...ale po ubiegłotygodniowym badaniu siedemset dziewięćdziesiąt cztery...

– Scott. Nazywa się Antonia Scott – przerywa mu Mentor.

– Dla mnie to tylko numery – odpowiada lekceważąco doktor, machając ręką, jakby odganiał dym ze świecy. – I o numerach chcę panu powiedzieć. Początkowe wyniki są nader obiecujące.

Nuno przez ponad godzinę był zamknięty z Antonią, robiąc jej wszelkiego rodzaju testy. Mentor nie mógł tego słuchać, ale oczywiście to zrobił. Nie lubi, gdy pod jego nieobecność ktoś zbliża się do jego ludzi.

Choćby tylko po to, żeby czuć się winny, kiedy widzi, jak cierpią.

– Próbuję panu powiedzieć, że mój raport dla Brukseli będzie wyjątkowo pochlebny. Tym bardziej, jeśli ta druga kandydatka osiągnie co najmniej w połowie tak dobre wyniki jak pierwsza. Jasne i proste.

– Jasne i proste – powtarza pośpiesznie Mentor.

Odwraca się. W pokoju dwaj mężczyźni puszczają kobietę. Nie wygląda na zbyt świadomą tego, co się dzieje. Zresztą prawie nie będzie pamiętała procesu, przez który tak bardzo pragnęła przejść. W przyszłości pojawiają się jakieś strzępy, obrazy, które zignorują fakt, że to ona poprosiła o to wszystko, i skoncentrują się na bólu i urazie, które pojawiły się później. Na razie tylko leży na podłodze ze skulonymi nogami, zagubionym spojrzeniem i rękami, którymi wstrząsa skurcz.

– Jeszcze nie wiedzą o swoim istnieniu, prawda?

– Nie. Mamy procedury, żeby uniknąć ich spotkania. Do kompleksu mogą wejść tylko z kimś. Zabiera się je prosto do modułu testów, zamyka się je w środku i nigdy nie opuszczają go bez nadzoru.

Nuno przytakuje z uznaniem.

– Jak w porządnym burdelach w Lizbonie.

– Trudno mi się do tego odnieść. Już skończyliśmy? – pyta Mentor, nie mogąc się doczekać powrotu do domu.

Doktor Nuno poprawia okulary, a na jego ustach pojawia się nieobecny uśmiech. Z walizki wyjmuje kopertę z papieru kraftowego i podaje ją Mentorowi.

– Mam już coś takiego – mówi Mentor, nie wyciągając ręki. Tak jak ktoś, kto ignoruje te osoby, które atakują cię na ulicy z podkładką z klipssem w dłoni, żebyś zapisał się do Lekarzy bez Granic.

– Nie, czegoś takiego nie.

Mentor niechętnie bierze kopertę. W środku jest segregator. W miarę jak przegląda znajdujące się w nim informacje, jego twarz traci kolor.

– To... bardzo się różni od metod, jakie stosujemy wobec Scott.

– Ta kandydatka też bardzo się różni.

– Co to ma niby znaczyć?

Doktor Nuno znowu się uśmiecha.

Mentor chciałby, żeby przestał to robić.

– Jeszcze się pan dowie, mój przyjacielu. Niewątpliwie będzie... interesująco.

Wybuch śmiechu

Jon opiera się o ścianę, tak że może jednocześnie widzieć Antonię i Blázquezę. Więzień patrzy to na jedno, to na drugie, a potem zwraca się do Jona.

– Czego chcecie?

– Przyjechaliśmy zadać kilka pytań na temat Raquel Planas Mengual, panie Blázquez – mówi Antonia.

Blázquez nie odwraca się do niej, dalej siedzi z szyją obróconą w stronę Jona.

– Dlaczego teraz? Dlaczego o tej porze?

Jon nie odpowiada. Nie trzeba się zanadto wysilać, żeby zobaczyć, co się dzieje.

– Proszę na mnie spojrzeć, panie Blázquez – nakazuje Antonia.

Więzień odwraca się do niej. Nie całkiem, tylko trochę.

– Spałem – mówi po chwili.

– Bardzo przepraszamy, że pana obudziliśmy, panie Blázquez, ale to bardzo pilna sprawa.

Blázquez ma na sobie dość czyste dżinsy. Próbuje wsadzić rękę do prawej kieszeni, ale nie pozwala mu na to łańcuch od kajdanek. Musi wstać, żeby móc wyjąć z kieszeni papierosy. Wymiętą paczkę marki Fortuna z zapalniczką w środku.

– Raquel nie żyje – mówi, wydmuchnąwszy dym. – Dlaczego to takie pilne?

Antonia dobiera swoje słowa z największą starannością. Nawet najdrobniejszy lapsus mógłby zaalarmować Blázquezę, który może zażądać adwokata albo po prostu odmówić rozmowy z nimi. Nie mają

czasu na negocjacje ani niczego do zaoferowania. Nie mogą mu też powiedzieć prawdy.

Mlakundhog.

W jawajskim, języku, którym posługuje się siedemdziesiąt pięć milionów Indonezyjczyków, oznacza delikatność tego, kto stąpa po jajkach, nie robiąc hałasu.

– Zajmujemy się sprawą, która jest powiązana z pańską, panie Blázquez. Jeśli mamy rację, mogłabym panu pomóc.

– Nie rozumiem, jak miałyby mi pani pomóc.

„Wystarczy, że nie będziesz kłamał”, myśli Jon.

– Nie mogę powiedzieć, panie Blázquez.

Mężczyzna zaciąga się ponownie, zamyślony. Znowu patrzy na Jona.

– Pan nic nie mówi?

Jon tak mocno wzrusza ramionami, że czuje, jak rana na karku protestuje, szwy go ciągną. Na jego twarzy mimowolnie pojawia się grymas bólu, który więzień bierze za drwinę.

– Kpicie sobie ze mnie? O to chodzi, prawda? Chodzi o skargi, które złożyłem. O moje listy. No więc zamierzam dalej je wysyłać. Zamierzam dalej opowiadać o tym, co mnie spotyka.

– A co pana spotyka?

– Jakby nie było widać – mówi Blázquez. Dłoń, w której trzyma papierosa, zatacza kciukiem półokrąg, wskazując twarz. Rany, nowe i stare.

Antonia patrzy w milczeniu na swojego partnera.

I Jon rozumie.

Następuje zmiana planów. Jeśli to, co widzą, jest prawdą (a twarz Blázqueza zdaje się to potwierdzać), bardzo trudno będzie mu o tym rozmawiać z kobietą. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak facet wygląda.

– Víctor – odzywa się Jon, siadając naprzeciwko niego – masz tu kłopoty?

Więzień natychmiast skupia się na Jonie. Coś w jego postawie (a może w jej braku) głośno się czegoś domaga.

Antonia z kolei wstaje, podchodzi do ściany, staje tyłem i udaje, że gdzieś dzwoni, rozmawiając bardzo cichym głosem.

– Jestem świecą – mówi Blázquez. – To mnie spotyka.

Jon nie jest zaznajomiony z więziennym żargonem z Mesety, czego wymaga sytuacja, i widać to w jego oczach.

– Kurwą z F. Kozłem ofiarnym – wyjaśnia więzień. – Zawsze się taki znajdzie, wie pan? Zawsze.

Drżącymi rękami próbuje zapalić kolejnego szluga. Jon mu pomaga, ścigając płomieniem końcówkę papierosa.

Teraz wszystko mu się zgadza.

Moduł F jest dla skurwysynów. Jeśli nie wsadzają tu kogoś słabego, kogoś, kto będzie dostawać wciry, leją się między sobą. A kiedy leją się między sobą, kończą martwi. A to wygląda fatalnie w przeglądach semestralnych. Martwi odbierają dużo punktów.

Słyszał już podobne historie. O ludziach, którzy zarobili pobyty full credit w Basauri, w Nanclares, w El Dueso. Historie, które równie dobrze mógłby opowiedzieć strażnik w zoo, ponieważ nie ma większej różnicy. Jeśli wpuszczasz jednego wilka na moduł, staje się królem, a życie jest wtedy zajebiste trudne. Jeśli wpuszczasz wszystkie wilki do jednego modułu, musisz prawie codziennie chodzić i wyciągać im kolce z tyłków. W przeciwnym razie ten sam kolec wyląduje w gardle innego.

Tak więc zostawiają po kilka owiec w każdym module. Żeby dzięki nim wilki ugasiły pragnienie krwi, ale tak, by ta nie zamieniła się w rzekę. Albo – co jeszcze gorsze – w nagłówki gazet.

– Patrząc na ciebie, każdy mógłby powiedzieć, że to ty jesteś jednym z tym skurwysynów.

Oczywiście to kłamstwo. Jon jednak nie może przestać widzieć – nałożonego na ten wrak człowieka, którego ma przed sobą – wizerunku samca alfa ze zdjęcia. Albo krwi Raquel Planas Mengual na podłodze.

„Tylko tego, kurwa, brakowało, żeby kobietobójca wybrał mnie na swojego protektora”, myśli Jon. „Chyba się z chujem na łby pozamieniał”, dodaje z tą typową dla siebie filozofią.

– Inspektorze, ja nie jestem taki. Nie powinienem tu być.

– Nic więcej nie mów. Spokojny człowiek, który stara się zarabiać na życie dla siebie i swojej rodziny. Niesłusznie oskarżony, prawda?

– Ja nie zabiłem Raquel. Ale to bez znaczenia, wszyscy mają to gdzieś. Chcę tylko odsiedzieć wyrok i stąd spieprzać, rozumie pan? Ale jak tak dalej pójdzie, to nie wyjdę stąd żywy. Uwzięli się na mnie.

– Kto?

– Wszyscy. Wszyscy. Ale głównie takich dwóch. Cuervajo, Asturyjczyk, skurwiel z plamami. I Siergiej, jego znajomek.

– Rusek?

– Nie, z Moratalaz. Zresztą, co za różnica, skąd. To świr. Zapowiedzieli, że się zemszczą.

– Jakiś powód musiałeś im dać.

– Nie słyszał mnie pan? Oni nie potrzebują powodów. Jedyne, czego potrzebuje tamta suka, to świecy. Żeby zapewnić rozrywkę na patiu i w czasie posiłków.

– Nie mówi się o tak o naczelnicy, Víctor.

– Mnóstwo razy prosiłem ją o pomoc. „Proszę pani, złamali mi nos. Proszę pani, złamali mi rękę. Proszę mi pomóc”. Dla mnie to kawał gówna i tyle.

Jon patrzy na Antonię, która wciąż stoi tyłem do nich. Nie wydaje się chętna do pomocy. Inspektor wątpi jednak, czy zdołałaby to zrobić. Mimo że jedną, pustą rękę trzyma na drugiej, jakby rozmawiała przez telefon, Jon dostrzega delikatne drżenie opuszek palców lewej dłoni.

– To pańska szefowa? – pyta Blázquez cichym głosem.

– Partnerka.

– Może chciałby jej pan powiedzieć, że tu nie ma zasięgu. Że może przestać robić z siebie błazna.

Inspektor Gutiérrez robi głupią minę. Potem, nie mogąc tego uniknąć, wybucha śmiechem. To suchy, powściągliwy śmiech. Śmieje się ku własnemu ubolewaniu. Śmieje się po raz pierwszy, odkąd nosi śmierć przykręconą do szkieletu. W tej studni udręki, w jakiej się znajdują (do

kompletu z tą, którą nosi w sobie), ten czysty, transparentny dźwięk unosi się przez chwilę, po czym rozpuszcza się niczym kropla wody w wiadrze smoły. A jednak zostawia coś po sobie. Odrobinę lekkości.

Jon obiecuje sobie, że nigdy, przenigdy (bez względu na to, czy będzie żył tysiąc lat, czy do końca terminu, jaki wyznaczył im White) nie przekaze Antonii Scott tego, co właśnie powiedział o niej więzień. Nigdy.

„Albo do czasu, gdy trzeba będzie dać jej nauczkę”, myśli Jon, wciąż śmiejąc się w duchu.

W tym momencie Antonia przerywa swoje okazjonalne „aha” i „uhm” wydawane do wyimaginowanego telefonu. Odwraca się i dołącza do rozmowy.

– Zrobimy tak, Víctor. Pan odpowie na nasze pytania, a ja zadbam, żeby przeniesiono pana do spokojnego modułu.

Jon patrzy na Antonię, niedowierzając w to, co właśnie usłyszał. Chciałby je pozbierać, ale jest za późno – słowa trafiły już w twarz Blázquez. Najpierw jego oczy rozświetla nadzieja. Spokojny moduł jest najbardziej pożądany. Bezpieczny, czysty, wiele cel jest pojedynczych. Dla osadzonych tam drzwi więzienia są otwarte przez parę godzin dziennie. Jakakolwiek bójka skutkuje przeniesieniem prowodyra do gorszego modułu, więc wszyscy się zachowują.

Jest tylko mały problem.

Który sprawia, że Blázquez podejrzliwie mruży oczy.

– Nie możecie tego zrobić. Mam w papierach brutalną zbrodnię. I przemoc wobec kobiet. Nie zgodzą się.

Jon uważa, że to fatalny pomysł. Facet przypuszczalnie zabił swoją dziewczynę. A jego partnerka wyskakuje z obietnicami.

– Zdziwiłby się pan.

– Chcę to na piśmie. Jak mnie przeniosą, porozmawiam z wami.

– To nie takie proste – mówi Jon, kręcąc głową.

Więzień odchyła się na krześle i krzyżuje ręce na piersi.

– Tak myślałem...

– Musi nam pan zaufać.

- I dać się ponieść, co? Już parę razy to tutaj słyszałem.

Jon wstaje i ciągnie Antonię za ramię.

- Możemy porozmawiać na zewnątrz?

Antonia gwałtownie wyrywa się Jonowi, ale wychodzi z nim na korytarz. Naczelniczka czeka na nich, oparta o ścianę, twarz ma skoncentrowaną, a wzrok utkwiony w ekranie telefonu. Sądząc po słowach „divine” i „sweet” dobiegających z urządzenia, inspektor Gutiérrez podejrzewa, że raczej nie pracuje.

- Już skończyliście? - pyta, nie przestając grać.

- Nie, proszę dać nam jeszcze chwilę - mówi Jon. A potem, zanim Antonia zdąży zarzucić mu to, w jaki sposób wyciągnął ją z pomieszczenia, zwraca się do niej: - Co to miało znaczyć?

Antonia jest bardzo spięta. Znowu ma to szkliste, niepewne spojrzenie.

- Nie waż się mnie więcej dotykać bez mojej wiedzy, a tym bardziej tutaj. - Oczywiście musi mu to wytknąć. - Nie możemy powiedzieć mu prawdy, Jon. Miałyby nad nami olbrzymią władzę.

- I najlepszym sposobem, by zaczął mówić, jest podarowanie mu tego, co obiecałaś?

- A dlaczego nie? Przyszliśmy tu z założeniem, że jest niewinny.

Jon zaciska usta, zaniepokojony. To wszystko wciąż budzi w nim mnóstwo wątpliwości.

- Nie wiemy tego. Wiemy jedynie to, co powiedział ci White. A co, jeśli ten gość jest jego pomagierem? Jeśli chce, żebyśmy go uwolnili za wszelką cenę?

Antonia patrzy na Jona. Patrzy na metalowe drzwi sali numer sześć. Znowu patrzy na Jona.

- Przyznaję, że facet nie wygląda na piłkarza z Primera División - mówi inspektor Gutiérrez po krótkim namyśle.

- A nawet gdyby. Nie mamy czasu na nic poza przetrwaniem dzisiejszej nocy. Dlatego wcześniej nie powiedziałam ci niczego o tej sprawie.

„To ja nie mam czasu”, myśli Jon. „I to ja powinienem podejmować decyzje”.

Ale mówi coś innego, bo teraz szwy już nie tylko go ciągną, lecz także kłują.

Antonia podchodzi do naczelniczki, która wciąż jest pochłonięta grą wideo.

– Przepraszam – mówi Antonia.

– Moment – odpowiada tamta. – Już od tygodnia próbuję przejść ten poziom. I nie mogę.

Antonia delikatnie zabiera jej telefon, tak delikatnie, że naczelniczka wciąż patrzy na swoją pustą dłoń, gdy uświadamia sobie, że już go nie ma.

– Hej!

Antonia jej nie słyszy. Z największą prędkością porusza palcem po wyświetlaczu, miażdżąc cukierki. Po pięciu sekundach oddaje jej urządzenie. Na ekranie widnieje napis POZIOM UKOŃCZONY.

Antonia czeka, aż naczelniczka zbierze szczękę z podłogi, a potem mówi:

– Jeśli to nie kłopot, chcielibyśmy prosić panią o przysługę.

Víctor

Raquel i ja byliśmy w sobie zakochani. Naprawdę zakochani. Cóż, bardziej ja w niej, wie pan? Tak myślę. Poznaliśmy się w siłowni kilka lat przed... przed tym. Ona mieszkała ze swoją matką. Nieznośna wiedźma, codziennie chodziła do kościoła. Nie, nie zamieszkaliśmy razem. Oczywiście często spała u mnie, owszem. Ale nie mogliśmy zamieszkać razem. Nie, chodziło przede wszystkim o jej matkę. Ile? Pewnie dwa razy w tygodniu. U mnie w domu, tak. Weekendy też spędzaliśmy razem. Lubiła podróżować, lubiła dostawać prezenty. Jej praca? Różnie bywało. Raz zarabiała sporo kasy, innym razem mniej. Była dekoratorką wnętrz, ale nie zawsze miała robotę. Każdemu projektowi poświęcała bardzo dużo czasu. Nie, nie chodzi o to. Rzecz w tym, że... wkładała w to całą swoją duszę, rozumie pan? Ja jej powtarzałem, Raquel, zaplanuj sobie wszystko, bo potem cierpisz, ale ona nie słuchała, taka już była. Zazdrość? Zazdrość o co? Ja? Mnie było wszystko jedno. Nie mówiłem jej, co ma robić. Ale kiedy przychodziła do siłowni i nakrywałem któregoś z klientów, jak gapił się na jej tyłek, kiedy była na rowerze stacjonarnym, to wtedy tak, cholera, człowiek nie jest z kamienia, to jasne, dobrze, chodzi o to, że... nie, nie. Nie w tym rzecz. Ale nie, ja nic jej nie mówiłem. Kłóciliśmy się, tak, ale nigdy nie podniosłem na nią ręki. Nie, nie. Tamtego dnia też nie. Od jakiegoś... od jakiegoś czasu była bardzo dziwna. Byliśmy na siebie trochę wkurzeni, choć nie mieliśmy powodu. Czasem świrowała, tak to jest z dziewczynami, czasem świrują, nie żeby... nie, nic nie było... Serio, nie. Czasem na WhatsAppie napisze się coś mocniejszego, można posunąć się za daleko. Ale nic na serio. Kiedy to się stało, był szósty czerwca... trzy, trzy dni się nie widzieliśmy. Nie, nie było w tym nic dziwnego. Już się zdarzyło... tak, raz. Wtedy miała okres, a wiadomo, jakie są dziewczyny, co ja będę panu mówił, inspektorze... A tym razem, no

myślę, że to samo, może potrzebowała przerwy, miała jakieś swoje sprawy. Dużo wiadomości? Nie wiem... parę. No, trzeba okazywać zainteresowanie. Ona mi tak powtarzała. Kocham cię, bo jesteś jak Don Kichot, ha, ha, ha, ha. Skurwiel jest wkurzony, ale okazuje zainteresowanie, ha, ha, ha. Tak, było... cholera. Wybaczcie. Dużo się z Raquel śmiałem, tak. I no cóż, tak, wysłałem jej dużo wiadomości, dobra, i co, przecież to nie przestępstwo. (*Milczy*). Ach, no to nie wiedziałem. No ale odpowiedziała mi, odpowiedziała, i to jeszcze tego samego wieczoru, napisała: „przyjdź do domu mojej matki, chcę z tobą porozmawiać”, no to poszedłem, jasna sprawa. Siłownia jest blisko, przy ulicy Alberta Aguilery. Tak, to franczyza. Nie, wspólników jest więcej i dwóch właścicieli. Nie, ja uczyłem się na Akademii Wychowania Fizycznego... ja pracuję, a oni wykładają forszę, tak. Ale dobrze mi szło, ludzie, lojalność... Wielu panienkom podobają się tacy faceci jak ja, doświadczeni. Pochodzę z Estrecho, tak. Jesteśmy szczerzy, tak, może nie mamy szkół, ale mamy gadane, a one to uwielbiają. Flirtować? Nie, nie. Jak dla mnie mogą sobie flirtować z osobistym trenerem, ale nie ze mną. Nie. No więc napisała i poszedłem. Czy od razu? No jasne, bez jaj, trzeba okazywać zainteresowanie.

Drzwi wejściowe

W tym momencie Antonia przerywa opowieść więźnia. Ćwicząc powściągliwość, pozwoliła mu przejść do sedna, zwierzyć się, a nawet dotrzeć do kluczowej części.

– Chciałabym, żeby teraz pan zwolnił, panie Blázquez. I mówił tak szczegółowo, jak to tylko możliwe.

– Dobrze, przyszedłem do mieszkania...

– Wcześniej. Przed. Wyszedł pan z siłowni. Pamięta pan, która była godzina?

– Nie muszę tego pamiętać. Mamy kontrolę przy wyjściu, godzina jest rejestrowana po przesunięciu kartą. Była ósma czterdzieści trzy.

– W porządku. A teraz krok po kroku.

– Wyszedłem na ulicę. Ruszyłem w stronę budynku Raquel.

– Trzymał pan w ręku telefon?

– Nie, chyba nie. Ręce miałem w kieszeniach.

– Co pan zrobił, kiedy znalazł się przy drzwiach wejściowych? Zadzwoił domofonem?

– To nie było potrzebne. Dozorca był na dole, a drzwi były otwarte, przytrzymywane drewnianym stoperem.

– O tej porze?

– W tym budynku zawsze jest dozorca, robią na trzy zmiany.

– Rozumiem. Przywitał się pan z dozorcą.

– Nie, no cóż, chyba. Skinąłem głową, jeśli dobrze pamiętam.

„Kłamię”, myśli Jon. „Z całym swoim doświadczeniem jest tylko małym pyszałkiem. Z tych, co ślinią się do tych na górze i miażdżą tych na dole”.

– A później?

– Poszedłem prosto do windy, co miałem robić. Przywołałem windę i wsiadłem. Kiedy dotarłem do drzwi, Raquel otworzyła.

– I po drodze nikogo pan nie spotkał.

– Nie, nikogo.

– Zadzwoił pan do drzwi?

– Nie, Raquel mi otworzyła, zanim podszedłem. Pewnie mnie słyszała.

– Proszę opisać mi Raquel.

– Ma kręcone włosy, jest dość wysoka, prawie jak ja...

– Chodzi mi o tamten moment. Co pan zobaczył, gdy otworzyła drzwi?

– Była bardzo blada. Od razu to zauważyłem, nie wyglądała dobrze, jakby miała doła.

– Stała za drzwiami czy otworzyła je szeroko?

– Szeroko. Powiedziała, żebym wszedł, żebym poszedł do salonu.

– Co pan zrobił?

– Próbowałem ją pocałować, ale ona się odsunęła. No więc ruszyłem do salonu. Ale musiałem się odlać, więc poszedłem do łazienki.

– Zanim wszedł pan do salonu czy po wejściu?

– Wszedłem do salonu jednymi drzwiami i wyszedłem drugimi.

– Czy w mieszkaniu był ktoś jeszcze?

– Nie. Mieszkanie jest małe, byliśmy sami.

– Przechodził pan obok pokoju Raquel?

– Nie, on jest dokładnie na środku, a łazienka obok pokoju jej matki.

– Zobaczył pan coś, przechodząc przez salon?

– Nie rozumiem. Sofy, stół, o to chodzi?

– Coś nietypowego. Coś, co zwróciło pańską uwagę.

Jon nie może wyjść z podziwu dla niezmiernie cierpliwości, jaką Antonia ma do tego człowieka. Jonowi natomiast zostało jej bardzo mało i wyczerpuje się wraz z upływem kolejnych minut. Z niepokojem patrzy na zegarek. Minęły już cztery z sześciu godzin, jakie dał im White. Biorąc pod uwagę, że zostało mu sto dwadzieścia minut życia, Jona kusi, by zastosować wobec Blázquezę nieco bardziej bezpośrednią metodę

przesłuchania. Odmianę boksu, w której jeden z przeciwników ma związane nadgarstki.

Jak gdyby wyczuła, co chodzi mu po głowie, Antonia wyciąga prawą rękę (tę znajdującą się najbliżej Jona) i porusza nią powoli w górę i w dół, zaledwie o kilka centymetrów. Jon nie wie, czy odbija niewidzialną piłeczkę, czy prosi go o spokój.

- Nie. Nie wiem. Telewizor był włączony.

- Jakiś konkretny kanał?

- Telecinco.

- I to było nietypowe.

- Raquel nie lubi telewizji.

- Co pan zrobił po wyjściu z salonu?

- Szedłem do łazienki, ale usłyszałem Raquel w jej pokoju. Jęknę. Zapytałem, czy coś jej jest, i ruszyłem do niej korytarzem.

- Tym, który oddziela pokoje od salonu.

- Skąd pani wie?

- Widziałam zdjęcia. Widział pan Raquel z korytarza?

- Nie, dopiero kiedy stanąłem przed drzwiami. Wtedy praktycznie się na mnie rzuciła.

- Zaatakowała pana?

- Nie. Złapała się mnie. Powiedziała, żebym zadzwonił po karetkę. Wtedy zobaczyłem krew na jej rękach.

- Tylko na rękach?

- Nie. Na ubraniu też. Zadźgali ją.

- Czy z korytarza widział pan pokój Raquel?

- Tak. Był pusty.

- I co pan zrobił?

- Zadzwoniłem pod sto dwanaście.

- Od razu?

- W tej samej chwili. Byłem strasznie zdenerwowany, ale pamiętam.

- A później?

- Raquel upadła na podłogę. A ja... stchórzyłem.

Zalega dość długa cisza.

Jon stara się nie ruszać. Antonia tak samo.

– Dla ścisłości, panie Blázquez – odzywa się ona całą wieczność później. – Wszedł pan dokładnie w tym momencie. Po tym, jak zadzwonił pan po karetkę. Zostawił pan swoją ranną dziewczynę na podłodze, samą.

W reakcji na bezwzględność słów Antonii więzień kuli się na krześle. Można by rzec, że chce zniknąć.

– Dlaczego? – pyta Jon.

Blázquez patrzy na niego, a potem na swoje otwarte dłonie i bierze paczkę papierosów. Jest pusta, tak jak jego wymówki. Ścisną ją z całych sił, aż celofan przestaje szeleścić, a na stalowym stole zostaje tylko zmięta kulka.

– Jak to dlaczego, ze strachu.

– To ciekawe, jak pan o tym mówi.

– Co ma pan na myśli?

– Nieudzielenie pomocy. Inni mężczyźni nie przyznaliby się do tego tak łatwo.

„Wstydziliby się”.

– Minęło kilka lat. Tego, co zrobiłem, nie da się już zmienić. Ale ja się zmieniłem.

Inspektor Gutiérrez często zastanawiał się nad tym, co Víctor Blázquez właśnie powiedział. Na temat zmiany. Czy ona w ogóle jest możliwa. A jeżeli tak, to co ją motywuje. Kraty, łomot spuszczone pod prysznicem. A może po prostu wyrzuty sumienia.

Rzecz jasna nie sposób tego osądzić i na tym polega nieszczęście jego zawodu. Policjant to nie lekarstwo ani remedium. Jedyne zamiatacz ulic, który zbiera kawałki czegoś, co się stłukło, i przesuwa je na pobocze. Pozwalając, by życie toczyło się dalej z jak najmniejszą liczbą wybojów.

Na pierwszym roku w akademii, za każdym razem, gdy Jon wchodził do sali, widział to samo zdanie napisane wysoko na tablicy. Było tam tyle

lat, że zaczęło się ścierać (fragmenty poprawiano raz i drugi), ale Jonowi i tak wyryło się w pamięci.

„Sprawiedliwość to dawanie każdemu tego, co mu się należy”.

W trakcie swojego pierwszego roku służby Jon zrozumiał, że to zdanie było niczym więcej jak zlepkiem pustych słów. Nie da się oddać Raquel Planas Mengual tego, co jej odebrano. Jon zrozumiał, czym tak naprawdę jest sprawiedliwość.

Sprawiedliwość to nie jest satysfakcja, to prawda w ruchu.

Ponieważ ta pierwsza jest niemożliwa, a ta druga to jego praca.

– Ma pan świadomość, że to, co nam pan powiedział, mocno komplikuje pańską sytuację – mówi mu.

– No cóż, inspektorze, trudniejsza sytuacja niż to... – odpowiada więzień, pokazując gestem wokół.

– Przyjechaliśmy, bo pojawiła się możliwość, by panu pomóc. Ale nie ułatwia nam pan tego.

– Ja jej nie zabiłem.

– Ale byliście w mieszkaniu sami.

– Wiem. Ale jej nie zabiłem. Powiedziałem to sędziemu, powiedziałem to ławie przysięgłych i powtarzam to wam.

– Jak w takim razie pan to wytłumaczy?

– Nie wiem – odpowiada, wzruszając ramionami. – Ale ja jej nie zabiłem.

– A więc sama się zadźgała?

– Lekarz sądowy powiedział, że nie.

– A pan nie ma żadnego wytłumaczenia.

– Nie.

– Na pańskim ciele znaleziono jej krew.

– Bo mnie objęła. Już powiedziałem.

– Co się stało później, Víctor?

– Pobiegłem do drzwi. Powiedziałem coś głośno, już nie pamiętam.

„Owszem, pamięta”.

- Wyszedłem na korytarz, chyba się potknąłem. Kręciło mi się w głowie. Nie pamiętam zbyt wiele, prawdę mówiąc.

- Zszedł pan po schodach? – pyta Antonia.

- Nie. To siódme piętro. Poszedłem do windy.

Słyszac to, Jon unosi brew. Ale nic nie mówi. To Antonia zadaje pytanie.

- Wcisnął pan guzik windy?

- Oba guziki. Ten od windy towarowej też. Żeby szybciej coś przyjechało. Wtedy natknąłem się na matkę Raquel. Wiedziałem, że to ona, poznałem po butach, takich białych, strasznie brzydkich. Od razu mnie zobaczyła przez szybę windy, ale tymczasem przyjechała towarowa. Wsiadłem do niej, zanim ona otworzyła drzwi.

Antonia nagle wstaje. Tak pospiesznie odsuwa krzesło, że Jon musi je przytrzymać, by nie przewróciło się na podłogę.

Kieruje się do drzwi, ale zanim wyjdzie, odwraca się jak porucznik Colombo.

- Jeszcze jedno. Raquel miała jakiś prochowiec?

Więzien patrzy na nią, zaskoczony zarówno jej reakcją, jak i pytaniem.

- Nie, o ile mi wiadomo... Ale tamtego dnia miała na sobie taki płaszcz.

- A pan?

- Też nie – odpowiada, teraz z większym przekonaniem.

- To wszystko, panie Blázquez – mówi, dając znać Jonowi. – Dziękujemy za pańską pomoc.

Prychnięcie

Antonia odzywa się dopiero wtedy, kiedy trzyma rękę na klamce audi.

– Mamy to, Jon!

Inspektor potrzebuje jeszcze chwili, żeby móc odpowiedzieć, bo musi złapać oddech. Przez całą drogę od kontroli bezpieczeństwa do samochodu biegł za Antonią, co wcale nie było łatwe.

„Jak na tak krótkie nogi, zasuwa niczym sprinterka”.

Taką szybkość tłumaczy częściowo chęć opuszczenia toksycznego więziennego środowiska, a częściowo ta szaleńcza energia, jaka ją ogarnia, kiedy znajduje jeden z elementów puzzli.

– Ty byś nie miała – mówi urywanym głosem, wsiadając do samochodu i przekręcając kluczyk w stacyjce.

Antonia, podekscytowana i natchniona, w ogóle go nie słucha.

– Trzeba jak najszybciej wrócić do Madrytu. Jedziemy na Santa Cruz de Marcenado.

– Teraz już tak? – pyta Jon, kierując się w tamtą stronę.

– Kto by pomyślał? A gdyby nie miała tych...

Podczas reedukacji Antonii w kwestii podstawowych zasad ludzkich interakcji (jak na przykład tego, że otaczający cię ludzie nie potrafią czytać w myślach) Jon sięga po inne strategię inteligencji emocjonalnej – wszystkie wysublimowane. W tym przypadku postanawia ubliżyć jej matce, i to dość głośno.

Osiemnaście sekund później Antonia załapuje, w czym problem. Bierze głęboki wdech i sprawia, że jej myśli płyną znacznie wolniej.

– Przepraszam – mówi, choć Jon wątpi, czy to prawda.

Wygląda jednak, że wciąż siedzi we własnej głowie. Chociaż przynajmniej próbuje udawać, że jest inaczej.

Ten wysiłek wydaje się inspektorowi Gutiérrezowi wzruszający. Kocha ją za to na tyle, żeby jeszcze przez kilka minut jej nie dusić.

– Zacznijmy od początku – mówi Jon. – Miałaś rację.

– W czym? – pyta Antonia niewinnie, tracąc punkty za poprzedni wysiłek.

„Ach, *ama*, gdyby ta kobieta wiedziała, że żyje na skraju śmierci”.

– Ten gość jej nie zabił – mówi Jon. – To jasne. Albo to, albo zasługuje na sześć Oscarów.

– Mówiłam, że jest niewinny. Ale znalazł się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. W kartotece miał przemoc domową. I niewykluczone, że podnosił też rękę na ofiarę.

– Powiedziałem, że jej nie zabił, a nie że jest niewinny. To bydlak, maczysty i tchórz. W dodatku kłamca. Opowiedział nam sporo bzdur, próbował nami manipulować, żeby zachować twarz i zrobić z siebie nieszczęśnika.

– Nic z tego nie usprawiedliwia jego odsiadki, Jon.

Inspektora Gutiérreza najbardziej wnerwia nie to, że Antonia ma rację. Najgorsze, że nie tak dawno temu wściekł się na nią za coś podobnego. I jej podejście nie uległo zmianie.

Jon natomiast uważa, że ci, którzy zabijają, powinni umierać ze strachu, że tchórze nie powinni być nagradzani. Antonia też, ale ona patrzy na cenę na rachunku. Jeśli ma cierpieć ktoś, kto na to nie zasługuje, woli ten rachunek porwać.

Ale dawanie za wygraną nigdy nie było dla niego przyjemne.

Dlatego się upiera.

– Może się przestraszył i pozwolił ofierze umrzeć albo miał przy sobie coś, czego policja nie powinna znaleźć.

– To nieudzielenie pomocy z uwzględnieniem okoliczności łagodzących, bo zadzwonił po karetkę.

- Pozwolił, żeby umarła sama, Antonia. Pozwolił umrzeć osobie, którą rzekomo kochał – mówi Jon.

Cichym, niskim tonem.

Powoli.

Nie dodaje nic więcej, zresztą wcale nie jest to potrzebne. Tym samym tonem opowiadałby o czymś niemożliwym, na przykład o psie z trzema głowami albo noszeniu granatowej koszuli do czarnego swetra. Wystarczy wyrazić to głośno, aby wszystko było jasne.

- To prawda. Ale spędził już kilka lat w więzieniu i wygląda na to, że odsiadka niezbyt mu służy.

- Już zadbałaś, żeby to zmienić. Przeniesieniem do spokojnego modułu.

- Jon, on jej nie zabił.

- To już wiem – przyznaje inspektor.

- Będziemy musieli go stamtąd wyciągnąć.

- To też wiem.

„Sprawiedliwość to nie jest satysfakcja, to prawda w ruchu”.

„I to nasza pieprzona praca”.

- No i tak – mówi z długim westchnieniem. – Wykluczaliśmy już jednego madrytczyka. Zostały nam jeszcze trzy miliony.

- Według spisu ludności z zeszłego roku jest nas trzy miliony trzysta dziewięćdziesiąt siedem tysięcy stu siedemdziesięciu czworo – informuje Antonia, zawsze gotowa do pomocy.

- No to jeśli nie masz nic przeciwko, będziemy chodzić od domu do domu. Zostało nam jeszcze półtorej godziny na rozwiązanie sprawy, zanim ten skurwiel mnie zabije.

Inspektor Gutiérrez kończy prychnięciem, które unosi się między nimi. Baskijski sarkazm i baskijska wytrzymałość chwieją się nieco, kiedy minuty, jakie ci zostały, spadają poniżej trzech cyfr.

- Jon – odzywa się Antonia po chwili.

- Co?

- Zaufaj mi.

- Wiesz może przypadkiem, kto zabił Raquel Planas Mengual?
- Nie. Nie wiem. Ale wiem, kto wie.

Co zrobili wtedy

Sala testów się zmieniała.

Teraz jest większa. Krzesło przytwierdzono do podłogi dwunastocentymetrowymi śrubami. Z sufitu zwisa pięć taśm z czarnego nylonu. Najszersza jest przeznaczona na talię. Pozostałe cztery na nadgarstki i kostki. Każda z nich na jednym końcu, na brzegu rzepu zaciskowego, ma wbudowaną elektrodę, która może uwalniać wyładowanie o napięciu pięćdziesięciu woltów.

Dziś kolej na taśmy.

Kobieta nie przejmuje się elektrodami. Zakłada się, że nie powinna pamiętać niczego z sesji treningowych. Kiedy zaczynają, siada przy stole. Przed sobą ma szklankę wody i dwie kapsułki. Czerwoną bierze na początku, popijając połową zawartości szklanki. Niebieską weźmie po zakończeniu. Ta zabiera wspomnienia.

Ale nie zawsze.

Na przykład zostaje wspomnienie o tym, że minutę po przyjęciu kapsułki dwaj mężczyźni ubrani w niebieskie kombinezony wieszają ją na taśmach głową w dół.

Zaczynają krzyczeć jej do uszu. Jeden do jednego, drugi do drugiego. Obrażając ją. Drażniąc. Opluwając.

Głos Mentora rozbrzmiewa przez głośniki.

– Z hałasu wyłania się umysł.

Kobieta oddycha głęboko i zamyka oczy. Stara się oczyścić swój umysł z krzyków, z gróźb. Jeden z mężczyzn wyjął nóż i przyłożył jej do gardła. Powoli, w miarę jak specyfik zaczyna działać, hałas przekształca się w jej pokarm. Wypełnia ją.

Skupia się na koanie. Paradoksalne pytanie, które mistrzowie zen zadawali swoim uczniom przed wiekami i które Mentor zadaje jej teraz

przed każdą sesją.

Z hałasu, z chaosu, ze strachu wyłania się umysł.

Otwiera oczy.

Sesja się zaczyna.

Naprzeciwko niej na ekranie pojawia się zdjęcie. Jedenaście osób stoi w rzędzie i patrzy w stronę obiektywu. Fotografia znajduje się na monitorze niecałą sekundę.

- Kto miał tatuaż na szyi?
- Numer trzy.
- Kto mógł stanowić zagrożenie?
- Numer osiem. Trzymał rękę za plecami.
- Jakiego koloru były szelki numeru osiem?
- Zielonego.

Kobieta wpada w pułapkę, zanim uświadamia sobie, że numer osiem nie miał szelek. Wstrząs dręczy jej dłonie i stopy, przyprawia ją o mdłości, o mało nie wymiotuje.

Taśmy wznoszą się, aż plecy i pięty kobiety niemal dotykają sufitu. Mężczyźni znowu krzyczą, potrząsają nią.

Ona wydaje z siebie wściekły, pełen frustracji ryk.

- Ze spokoju przychodzi myślenie - uprzedza ją Mentor - a musisz myśleć, żeby zauważać różne rzeczy. Nawet nie potrzebujesz pistoletu. I zdecydowanie nie potrzebujesz tej złości. Złość nigdy niczego nie rozwiąże. Spokój, i owszem.

- Skończ już tę gadkę i kontynuuj - przerywa mu kobieta.

Na ekranie pojawia się kolejny obraz. Tym razem to liczby. Osiem linijek po trzynaście cyfr w każdej.

Kiedy liczby znikają, uruchamia się stoper pod ekranem. Kobieta zaczyna powtarzać cyfry najszybciej jak może.

Stoper się zatrzymuje.

09:313.

- Ani jednego błędu. Tym razem prawie zrobiłaś na mnie wrażenie.

Taśmy opuszczają się o dwadzieścia centymetrów.

Zasady są jasne. Za każdą poprawną odpowiedź – dwadzieścia centymetrów. Jeśli dotkniesz podłogi, trening dobiega końca. Jeśli się pomylisz, jeśli nie odpowiesz wystarczająco szybko, następuje wyładowanie i wznosisz się do sufitu, tracąc cały postęp.

Siedzący w kabinie Mentor wzdryga się, gdy nagle zdaje sobie z czegoś sprawę.

Odkąd zaczęli, kobieta nie przestała się uśmiechać. Lejący się z czoła pot sprawia, że oczy zachodzą jej mgłą.

„Do podłogi zostało już tylko dwa i pół metra”.

Uśmiech ma przyklejony do twarzy, niczym opryszczkę. Tak samo przyjemny.

16

Matka

Kiedy docierają przed budynek przy Santa Cruz de Marcenado, dochodzi północ. Jon parkuje na drugiego i oboje ruszają do wejścia.

Ostatnie dwadzieścia minut Antonia poświęciła na wyjaśnienie Jonowi swojej strategii. A jest ona, by tak rzec, pospinana szpilkami.

– Zakładając, że twoja teoria jest właściwa, musimy sprawić, żeby przyznała się do tego przed upływem pięćdziesięciu ośmiu minut – mówi Jon.

– Potrzebujemy czegoś, żeby ją podejść.

– Jakiś pomysł?

– Nie mamy profilu ani wsparcia, nie mamy niczego. Trzeba będzie improwizować.

„A jakżeby inaczej”, myśli Jon.

Budynek, do którego idą Antonia i Jon, robi wrażenie nawet w nocy. Znają go wszyscy madrytczycy, choć pod różnymi nazwami. Budynek Księżniczka, San Bernardo, budynek wojskowych. Nie da się dotrzeć do ronda Ruiza Jiménez a i nie zerknąć na imponującą betonową konstrukcję usianą balkonami, z których zwisają wspaniałe pnącza.

Ponad pół wieku po jego powstaniu budynek (który nie ma oficjalnej nazwy) jest jedną z najbardziej emblematycznych konstrukcji w Madrycie. Niewiele osób jednak zna jego historię. Człowiek, który go zaprojektował, Fernando Higuera, był pariasem dla frankistów, którzy uważali go za komunistę, dla komunistów zaś faszystą, ponieważ przyjął pieniądze od tych pierwszych. Zmarł bardzo biedny, bardzo samotny i bardzo hiszpański, wszak nic nie jest tak bardzo nasze jak zmarnowany talent. To

architektoniczne dzieło sztuki, po którego schodach do głównego wejścia wchodzi teraz Antonia i Jon, było ostatnim kamieniem do jego trumny.

– Dawniej stał tu Szpital Księżniczki – wyjaśnia Antonia, kiedy zbliżają się do drzwi. – W latach siedemdziesiątych został zburzony, żeby zbudować mieszkania dla najważniejszych wojskowych.

Jon legitymuje się dozorcę, pokazując swoją odznakę, a ten przepuszcza ich bez słowa. Ani dokąd idą, ani która to godzina, ani w czym może pomóc.

– Dozorcy w Madrycie stracili mowę czy o co chodzi?

– To miejsce jest dość wyjątkowe – mówi Antonia, zauważając jego zdziwienie.

– Byłaś tu wcześniej?

– Raz. Odwiedzając kontakt Mentora. Ale tak, to może być jedno z nielicznych miejsc, gdzie ten herb, który właśnie pokazałeś, otworzy ci wszystkie drzwi.

Kiedy Jon to słyszy, niewielka satysfakcja, jaką czuł, zamienia się w ostrożność (jeśli istnieje człowiek, który jest kłębkiem sprzeczności, to właśnie inspektor Gutiérrez). Ale szybko znika.

Gdy tylko mija pomieszczenie dozorcę, podnosi wzrok.

I patrzy w górę, nie zatrzymując się.

Najbardziej widoczna część (z widokiem na plac i na ulicę Alberta Aguilery) jest paradoksalnie najmniejszą częścią całej budowli. W środku, o czym przekonuje się Jon, ulica rozdziela budynek na dwie części, robiąc miejsce dla patia pełnego balkonów ozdobionych wielkimi skrzyniami z kwiatami. Oprócz szkła jedynym elementem konstrukcyjnym jest beton, z którego zbudowano koliste kondygnacje, lekko rozszerzające się ku dołowi i łączące się z garażem podziemnym, ale otwartym na niebo. Powietrze, bardzo zimne na zewnątrz, tutaj jest łagodne, pięć lub sześć stopni cieplejsze niż na ulicy. Hałas samochodów zniknął i słychać jedynie delikatny szmer pnączy.

– Niesamowite – mówi Jon.

- Ten, kto to zaprojektował, został uznany za szaleńca - odpowiada Antonia, otwierając wewnętrzne drzwi klatki, do której się kierują.

„Na pewno ci, którzy nazwali go szaleńcem, nigdy tu nie byli”, myśli Jon, przyspieszając kroku. „Bo nikt, kto postawi nogę w tym miejscu, nie użyłby tego słowa”.

Idzie za Antonią. Na końcu krótkiego korytarza wyłożonego lustrami są dwoje drzwi, jedno szklane i jedno metalowe. Winda osobowa i dźwig towarowy.

Jon natychmiast robi się czujny.

- To tutaj się to stało - mówi.

Antonia wciska guzik windy, dużej, białej, ze słabym światłem w środku. Nowoczesnym, nie może mieć więcej niż siedem czy osiem lat. Dźwig towarowy ma inny guzik, ale czeka na dole.

- Wjedźmy osobno - mówi Antonia, otwierając drzwi windy, gdy ta przyjeżdża.

Jon wchodzi więc do dźwigu towarowego (nie żeby był gruby) i zauważa, że środek wygląda zupełnie inaczej niż w tamtym drugim. Nie tak elegancko, podłoga jest z plastiku, brakuje luster.

Wciska guzik siódmego piętra. Kiedy dociera na górę, Antonia już na niego czeka.

- To trwało znacznie dłużej - mówi enigmatycznie.

Po wyjściu z windy nie widzą drzwi mieszkań, bo te znajdują się na końcu długiego korytarza. Jon idzie, wpatrując się w podłogę.

- Zauważyłeś?

Jon wydaje pomruk, przytakując.

Blázquez im powiedział, że ofiara otworzyła drzwi, zanim do nich dotarł. Ale nie zadzwonił domofonem. Ani dzwonkiem.

„Pewnie mnie słyszała”.

Na podłodze leży gruba zielona wykładzina. Ściany są wyłożone jasnym drewnem.

Włoskie buty Jona nie wydają żadnego dźwięku.

„A adidasy Blázqueza tym bardziej”.

Są tu cztery pary drzwi. Dwa wejścia dla służby i dwa główne. Drzwi do mieszkania Raquel Planas Mengual są po prawej.

Dzwonek rozbrzmiewa ładnie. Tak jak w dawnych czasach. Jak dzwonek z brązu z delikatną pauzą w środku. Elegancki dzwonek.

Rozbrzmiewa, lecz nikt nie otwiera.

Jon dzwoni ponownie. Za pierwszym razem cierpliwie. Za drugim nie tak bardzo. Po minucie już tylko trzyma na przycisku palec wskazujący prawej dłoni. Po dwóch minutach dołącza pięść prawej ręki. Zaalarmowani sąsiedzi otwierają, a Antonia przegania ich, machając odznaką. Drzwi natychmiast się zamykają.

W ciągu tych wszystkich lat jako policjant Jon zauważył ciekawy fenomen, który powtarza się ze zdumiewającą regularnością. Komentował to ze swoimi kolegami, a palacze zaproponowali mu pewne porównanie. Autobus wyjeżdża zza rogu, kiedy ty zapalasz papierosa na przystanku, myśląc, że masz jeszcze czas.

Tak samo jak w chwili, kiedy przychodzi ci do głowy, że podejrzaney nie ma w domu i może powinienes wyważyć drzwi, i właśnie wtedy po drugiej stronie słyszać głos.

– Kto o tej porze?

– Pani Mengual, tu policja – mówi Jon, trzymając odznakę naprzeciwko wizjera.

– Skąd mam wiedzieć, że to policja, a nie złodzieje?

– Proszę pani, złodzieje nie walą w drzwi i nie budzą wszystkich sąsiadów.

Niezaprzeczalna logika sprawia, że drzwi otwierają się o kilka centymetrów, tyle, na ile pozwala łańcuch. Jon chce znowu pokazać odznakę, ale Antonia jest od niego szybsza.

– Podporuczniczka Scott z żandarmerii wojskowej – mówi, pokazując żółto-zieloną plaketkę. – Jestem tu w charakterze obserwatorki, na znak szacunku dla pani zmarłego męża.

Jon się zastanawia, ile takich identyfikatorów Antonia nosi w swojej torbie. Czy układa je kolorami. Biorąc pod uwagę, jak działa umysł jego

partnerki, prawdopodobnie zna na pamięć nawet ich numery, mimo że są fałszywe.

– Gdzie pani studiowała?

– W Toledo. Później byłam w opancerzonych w Badajoz.

– Mój mąż też.

– Ogromnie mi przykro z powodu pani straty.

Drzwi się zamykają, łańcuch zostaje zdjęty, drzwi się otwierają.

– Jest bardzo późno – narzeka kobieta.

Wysoka, chuda, o szorstkich gestach. Ma jakieś siedemdziesiąt pięć lat, ale wygląda na osiemdziesiąt. Ma na sobie bardzo cienką sukienkę w grochy z krzywo zapiętymi guzikami, zauważa Jon. Domyśla się, że pewnie już spała albo leżała w łóżku w koszuli nocnej lub w szlafroku. Przez cały ten czas, gdy nie otwierała, doprowadzała się do porządku.

– Wiemy, proszę pani. Ale to pilna sprawa. Kwestia życia lub śmierci, zapewniam – mówi Antonia.

– Wejdźcie zatem.

Przedpokój to niewielka przestrzeń, w której stoi tylko okrągły stolik z fotografiami Raquel i mężczyzny w wojskowym mundurze. Jon rozpoznaje pagony podpułkownika. Ramki są z czystego srebra.

Z przedpokoju drzwi prowadzą do pokoi i do kuchni. Zajrzawszy tam, Jon zaczyna rozumieć, co powiedział Blázquez. Mieszkanie jest małe, ale bardzo dobrze rozplanowane. Prawie nie ma korytarzy ani wnęk.

„Jeśli on jej nie zabił, skoro byli tu sami, jak to się, do cholery, stało?”

Odwraca się do Antonii, która zadaje sobie te same pytania, a przynajmniej tak się domyśla. Ale sądząc po tym, jak szybko poruszają się jej oczy, jak przyspiesza oddech i jak wróciło drżenie rąk, Jon wie, że jej umysł działa na pełnych obrotach.

– Przypuszczam, że o tak późnej porze nie chcecie herbaty ani kawy.

Kobieta wypowiada te słowa uprzejmie, ale bardzo wyraźnie daje do zrozumienia, jakiej odpowiedzi oczekuje.

– Dwie filiżanki herbaty, jeśli będzie pani tak miła – prosi Antonia, próbując zyskać trochę czasu, którego nie mają.

Drugie drzwi prowadzą do salonu. To jeden z tych salonów z lat siedemdziesiątych. Klejony parkiet, kominek dla ozdoby, szklany stół jadalniany, w razie gdyby przyszli goście. Sądząc po śladach krzesel na podłodze, zdarza się to dosyć często.

Po drugiej stronie jest telewizor kineskopowy, wyłączony. DVD z VHS. Stary kabinet między dwiema sofami. Niedzielna prasa na stoliku kawowym, spod spodu wystaje gazeta, w której premierem jest jeszcze Rajoy. Kolejne dowody na to, że życie w tym domu zatrzymało się dawno temu.

Podczas gdy kobieta krząta się w kuchni, Jon zagląda na korytarz. Drzwi prowadzące do pokoju kobiety są uchylone. Te prowadzące do pokoju córki – zamknięte.

Antonia wciska się między Jona a ścianę. Otwiera drzwi.

Łóżko, wciąż niezasłane. Komputer. Kurz nagromadzony na półkach, na monitorze, na klawiaturze.

Na podłodze, tuż przy wejściu, leży dywanik. Jeden z rogów, ten stykający się z drzwiami, jest zagięty. Dziwne miejsce na umieszczenie dywaniku.

Jon nie potrzebuje, żeby Antonia go podnosiła, by wiedzieć, co zasłania. Te miejsca na parkiecie, gdzie krew jej córki nie zeszła i nigdy nie zejdzie. Widać ślady, gdzie zmywak albo jakieś inne narzędzie zdarło lakier i tylko jeszcze bardziej uwydatniło poczerniałe drewno, zwłaszcza między złączeniami.

„Nawet szlifowanie by nie pomogło. Trzeba by zerwać całą podłogę”, myśli Jon.

17

Salon

Antonia puszcza róg dywanu, rzuca ostatnie spojrzenie na pokój i cofa się, gdy słyszy gwizdek czajnika.

Kiedy kobieta wchodzi do salonu z tacą w dłoniach, oboje siedzą na sofie. Jon natychmiast się podnosi, żeby pomóc jej z tacą.

– Mogliście już trochę powęszyc? – odzywa się gospodyni.

Gdy Jon to słyszy, porcelanowe filiżanki ze złotymi krawędziami brzęczą mu w dłoniach. Tacę stawia na stoliku z największą ostrożnością. Taką samą, jaką oboje wykazują się od tej chwili, ponieważ już ją zaalarmowali.

– Pani Mengual...

Kobieta w samą porę przerywa kiepską wymówkę Jona.

– Pani de Planas, inspektorze. W tym domu przechowuje się wspomnienie o tych, których już nie ma. Jedna kostka czy dwie?

– Wcale, dziękuję.

– A pani, podporuczniczko?

– Trzy, proszę pani. Bardzo dziękuję.

Kobieta delikatnie dodaje kostki, używając dwóch łyżeczek.

– Miałam szczypcę, ale złamały się dawno temu. Nie mogłam znaleźć takich samych. Wzięłam nawet jedną część do El Corte Inglés przy ulicy Princesa, myślałam, że może tam... ale nic z tego.

– Limoges? – pyta Jon, który trochę się na tym zna. W dzieciństwie wcale nie tak mało popołudni spędził na herbatce i ciastkach w domach u dam z fryzurami w stylu bouffant, w domach, które *amatxo* tak chętnie odwiedzała.

Pani de Planas przytakuje. Jej bouffant, ufarbowany na mocny rudy kolor, trzyma się dumnie, choć jest nieco przyklapnięty z boku, od poduszki. Co jest całkowicie zrozumiałe, zważywszy na okoliczności.

– To był prezent, który zrobił mi mąż podczas naszego miesiąca miodowego. Tuluza, Poitiers, Nantes, Paryż... Pojechaliśmy samochodem, zmieniając się za kierownicą. Najpiękniejsza podróż w naszym życiu. Rok później urodziła się Raquel, a potem oczywiście wszystko stało się znacznie trudniejsze.

– Ciężko pracowaliście?

– Mój mąż był podpułkownikiem, proszę pani. Miał niemało obowiązków. Przez kilka lat stacjonował nawet w... sami wiecie – ścisza nieco głoś. – Na skomplikowanym obszarze.

Antonia mruga zdziwiona. Jon nie potrzebuje zbyt wiele wyobraźni, by się domyślić, czym w latach ołowiu był dla wojskowego „skomplikowany obszar”. Wskazuje własną klatkę piersiową i Antonia rozumie.

– Dawno umarł pani mąż?

– Jedenaście lat temu. W kwiecie wieku. Jednego dnia czuł się dobrze, a drugiego spodnie były na niego za luźne. A potem spadały. Zanim mogliśmy cokolwiek zrobić, rak już go zjadł – mówi, podnosząc ręce i opuszczając je z powrotem na kolana. – Raquel... była zdruzgotana. A ja... możecie sobie wyobrazić. Był moim życiem, moim wszystkim. A potem ona...

Kobieta zaczyna płakać. Tak cichutko, że ledwie słychać. Łzy po prostu z niej wypływają, tak jak wino wyciekające spomiędzy szwów starego bukłaka, tak zniszczonego przez słońce i czas, że nie jest już w stanie zachować swojego kształtu.

– Wybaczcie moją reakcję – przeprosza kobieta, wyjmując z bocznej kieszeni sukienki jednorazową chusteczkę i wycierając sobie łzy. – Nie wiecie, co to znaczy stracić córkę.

Jon nie wie, ale sobie wyobraża. Jego matka, tam, na skomplikowanym obszarze, ma syna policjanta. On jest jej jedyną rodziną. Jon spędził wiele nocy, leżąc w łóżku, wpatrując się w sufit, zastanawiając się, co z nią będzie, jeśli jemu coś się stanie. Takie noce trwają całą wieczność, kiedy

następują po jednym z tych trudniejszych dni. Na przykład kiedy przeszedł przez tunel pełen materiałów wybuchowych, duszono go i strzelano do niego. Noce, które następują po takich dniach, nigdy się nie kończą, słońce wschodzi tylko do połowy i nie daje żadnego światła. Jedynie delikatnie łagodzi ostre, ząbkowane krawędzie koszmaru.

A ten koszmar bardzo przypomina obraz, który Jon ma teraz przed sobą. Samotna kobieta płacząca w pustym mieszkaniu, otoczona starymi, zakurzonymi fotografiami.

– Ja jestem matką, pani Mengual.

Kobieta podnosi zaczerwienione oczy i patrzy na Antonię.

– Taka młoda – mówi, choć słychać tylko łkanie. – Czy dziecko już złamało pani serce?

– Jeszcze nie – odpowiada Antonia, choć za jej oczami również są obrazy pełne ciemnych tuneli i samotnych kobiet w pustych mieszkaniach.

– Jeszcze to zrobi. A tymczasem proszę czerpać, ile się da.

Zalega cisza przerywana tykaniem zegara, który stoi na gzymsie kominka. Wydaje dźwięk, lecz wskazówki się nie poruszają, są opadnięte w pozycji wpół do siódmej. Jeszcze jeden znak, że czas poddał się w tym domu.

– Po co przyszliście?

– Myślę, że już pani wie – odpowiada Antonia łagodnym głosem.

– Nie, nie wiem – zaprzecza kobieta, potrząsając głową, lecz spuszcza wzrok.

– Myślę, że jednak pani wie. Myślę, że od lat czekała pani, aż zadzwonimy do jej drzwi. Przyszliśmy, bo w swoim czasie nie powiedziała pani prawdy na temat śmierci Raquel.

Kobieta pochyła się na fotelu.

– Nie możecie zostawić nas w spokoju? Czy nie dość już wycierpieliśmy?

Jon spogląda na zegarek. Zostało tylko dwadzieścia dziewięć minut.

– Skłamała pani, a teraz to kłamstwo może kosztować życie innej osoby.

Ta informacja zmienia wyraz twarzy kobiety.

– Nie... to niemożliwe.

– Zapewniam panią, że tak, pani de Planas.

– Mówię, że to nie jest możliwe!

– Proszę nam w takim razie opowiedzieć, co się wydarzyło tamtego wieczoru.

Kobieta (biorąc pod uwagę wygląd, trudno nie nazywać jej staruszką) wygina sobie palce na kolanach. Plecy ma proste, nogi złączone, ułożone bokiem. Francuska postawa – tak nazywały ją eleganckie damy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, bez cienia ironii.

– Jeżeli to zrobię, zostawicie mnie w spokoju?

– Nie mogę pani tego obiecać. Ale zapewniam, że jeśli powie nam pani prawdę, poczuje się pani lepiej.

Obietnica brzmi tak pusto, a mimo to pani de Planas prostuje się nieco i zaczyna mówić.

Jon bardzo dobrze zna ton głosu ofiar. Wie, jak opowiadają o swojej stracie. Kiedy mają zaczynać, wprowadzają same siebie w coś w rodzaju autohipnozy, usypiającej obojętności pełnej potknięć. Nic z tego nie ma w głosie tej kobiety. Pomimo zmęczenia i osłabienia jej słowa biegną oklepaną ścieżką.

– Wracałam z mszy na ósmą, w klasztorze Comendadoras. Tutaj obok. Przyjechałam windą i przez szybę zobaczyłam Víctora, który wsiadał do dźwigu towarowego. Nie zdążyłam z nim porozmawiać, wszedł do środka, zanim wyszłam. Ruszyłam do mieszkania. Kiedy byłam w połowie korytarza, zauważyłam, że drzwi wejściowe są otwarte. Weszłam, wołałam Raquel, ale nie odpowiedziała. Wtedy zobaczyłam jej rękę na korytarzu.

– Zawiadomiła pani policję?

– Nie. Nie zadzwoniłam. Pobiegłam, żeby być przy córce. Pani zrobiłaby to samo.

– A później?

Odchyła się nieco.

– Później nie pamiętam już niczego.

– Karetka przyjechała parę minut potem. Kiedy przyszli, pani przyciskała ranę na boku Raquel. Próbowali ją tu ustabilizować, a potem zabrali do szpitala.

Kobieta przytakuje, nie patrząc na nich. Jej wzrok jest zagubiony w jakimś punkcie na ścianie, w linii prostej z pokojem córki.

Antonia wstaje i zwraca się z niemą prośbą do swojego partnera. Inspektor Gutiérrez przytakuje, że zrozumiał.

– Zmarła w drodze do szpitala z powodu utraty krwi – dodaje Antonia, odwracając się do pani domu.

Ona nie odpowiada. Jej głowa podąża teraz za Antonią, która obchodzi sofę i kieruje się na korytarz.

Zamierza coś powiedzieć. Jej usta się rozdzielają.

– Powiedziała pani policji, że kiedy wychodziła pani do kościoła, Raquel była sama – kontynuuje teraz Jon, starając się zwrócić jej uwagę i zyskać czas dla Antonii. – Powiedziała pani, że córka chciała rozstać się ze swoim chłopakiem, że już jakiś czas wcześniej się od siebie oddalili. Że się pani o nią bała. I że widziała go pani, kiedy wjeżdżała windą.

– Tak – potwierdza kobieta ledwie słyszalnym głosem. – Właśnie tak to wyglądało.

I znowu cisza, podkreślająca kłamstwo. Jedynie miarowe tykanie zegara, który odmierza czas, lecz go nie wskazuje, zapewnia pozory życia w ciężkim i gęstym powietrzu. Upływa minuta, upływają dwie minuty. Palce kobiety wykręcają się pod ekstremalnym kątem, jej knykcie grożą, że przebiją przezroczystą skórę.

– Nie. Nie tak to wyglądało – mówi Antonia z korytarza.

Sto szesnaście sekund wcześniej

Antonia ledwie zwraca uwagę na rozmowę, która toczy się za jej plecami. Jest zbyt zajęta sprawieniem, żeby świat kręcił się wolniej.

Po wyjściu z więzienia Soto del Real małpy w jej głowie uspokoiły się na tyle, by pozwolić jej przetworzyć to, co powiedział więzień. Ale po wejściu do mieszkania ofiary małpy dają Antonii jasno do zrozumienia, że wyszły jedynie na chwilę po papierosy.

Gdy tylko widzi pokój ofiary, czysty i wysprzątanym, jej mózg robi wszystko, żeby nabałaganić, pobrudzić, pozmienić. Stara się przywrócić go do pierwotnego stanu.

W jej głowie

*(Małpy żądają. Małpy walczą ze sobą
o jej całkowitą uwagę, wrzeszcząc,
trzymając w górze różne rzeczy)*

Idżungła upiera się, by odzyskać kontrolę.

Antonia zamyka oczy i, podobnie jak wiele razy wcześniej, ucieka się do swojego osobliwego archiwum wyrażeń, by spróbować się uspokoić. Przeszukuje szuflady swojego mózgu, lecz znajduje nie słowo, tylko przysłowie.

Kkamagwi-ga nal ttae bae-ga tteoreojigo.

Po koreańsku: kiedy wrona zrywa się do lotu, spada gruszka.

To jeden z koanów, których nauczył ją Mentor. Pojawia się to wyrażenie, ale nie ma żadnego wyjaśnienia. Nie ma powiązania z rzeczywistością. Jedynie obsesyjne i męczące powtarzanie tego samego zdania.

„Dlaczego właśnie to, dlaczego teraz?”

„Czego nie zauważam?”

Antonia otwiera oczy.

Znowu skupia uwagę na korytarzu. W głowie odtwarza moment, w którym Víctor przechodzi przez salon, słyszy jęk w pokoju Raquel. Robi dwa kroki. Spotyka ofiarę dokładnie w tym samym miejscu, w którym ona się teraz znajduje.

Antonia przywołuje obrazy z miejsca zbrodni. Nie są zbyt dobre. Dywan na korytarzu jest inny, bez wątpienia zmieniony. Coś tu jednak jest. Na dywanie widać krew, ale coś się tu nie zgadza. Są rozpryski, ale krew kapie z przerwami.

A duża, okrągła, okropna plama na podłodze w pokoju znajduje się zaledwie dwa kroki dalej. Daleko od miejsca, w którym upadło ciało, na środku korytarza. Bez śladów łączących z...

„Kiedy wrona zrywa się do lotu, spada gruszka”.

„Oczywiście”, myśli Antonia. „Jak mogłam być tak ślepa?”

Trudno stwierdzić, czy gruszka spadła dlatego, że wrona zerwała się do lotu, czy wrona zerwała się do lotu, ponieważ spadła gruszka.

„Czego uczy nas ten koan, Antonia?”, dopytuje Mentor w jej głowie.

Że nasze postrzeganie określa to, co naszym zdaniem widzimy.

Że korelacja nie oznacza przyczynowości.

Z salonu dobiegają ją ostatnie strzępy rozmowy między panią de Planas a inspektorem Gutiérrezem.

– ...się pani o nią bała. I że widziała go pani, kiedy wjeżdżała windą.

– Tak – potwierdza kobieta ledwie słyszalnym głosem. – Właśnie tak to wyglądało.

– Nie. Nie tak to wyglądało – mówi Antonia.

18

Błąd

Niełatwo jest ustalić dokładny moment, w którym pani de Planas się załamuje. Być może wtedy, gdy słyszy Antonię z korytarza, a może kiedy widzi, jak wraca z nową pewnością siebie, z wyrazem przekonania na twarzy. Cała pewność natomiast najwyraźniej wyparowała z gospodyni i zdaje się, że jedyną siłą, jaka utrzymuje ją na fotelu, jest siła przyzwyczajenia.

Antonia staje naprzeciwko kobiety. Gdyby obie stały, Antonia byłaby niższa o dwie głowy. Teraz to ona wydaje się ogromnej postury, zmusza kobietę do patrzenia w górę.

– Kiedy policjanci panią przesłuchiwali, nigdy nie powiedziała pani, że zrobił to Víctor Blázquez. Powiedziała pani tylko, że widziała go, jak wychodził z mieszkania. Kiedy było oczywiste, że nie było tam nikogo innego.

– Nie skłamałam – szepcze kobieta.

– Nie, w tej sprawie nie – przyznaje Antonia. – I nie trzeba było nic więcej, prawda? Przypadek przemocy domowej, winny z historią maltretowania. Policjanci nie zastanawiali się ani chwili. Mieli winnego i to było wszystko, czego potrzebowali.

Antonia cofa się nieco i wskazuje leżącego na stole pilota do telewizora.

– Oczywiście były wskazówki. Na przykład włączony telewizor.

– Telecinco, ni mniej, ni więcej – dopowiada Jon.

Stacja, którą włączają tylko starsze osoby, by mieć towarzystwo. A nie dwudziestosześcioletnia dziewczyna, która nie lubi telewizji.

– Najbardziej zdziwiło mnie to, że Raquel otworzyła drzwi swojemu chłopakowi. To mi się nie zgadzało. To oznaczało, że kiedy przyszedł, jeszcze była żywa, blada i zdenerwowana, ale żywa. Blázqueza pograżyły jego własne zeznania, choć przez cały czas mówił prawdę.

– To był on – powtarza kobieta. Jest w coraz gorszym stanie, coraz bardziej załamana.

– Ale w końcu zrozumiałam, jaka jest prawda, kiedy Víctor powiedział mi o butach. To zawsze są te drobne szczegóły, które nie pasują do całości, pani de Planas.

„Przestań się delektować i streszczaj się, piękna, bo zostało nam czternaście minut”, myśli Jon, stukając paznokciem w tarczę zegarka.

Antonia patrzy na niego kątem oka, ale teraz mocno trzyma zdobycz za pysk i nie zamierza jej puścić. W takich sytuacjach wywołuje prawdziwy strach. Jon nie może przestać myśleć o historii psa Mentora i kościach.

– Nie wiem, o czym pani mówi – zaprzecza kobieta.

Antonia ją ignoruje.

– Oczywiście pani nie było w domu, ale znajdowała się pani blisko. Prawda przez cały czas była obok. W przeciwnym razie, jak to możliwe, że Víctor zobaczył pani buty w windzie, zanim pojawiła się pani twarz, zanim otworzyła pani drzwi? To bardzo proste. Pani nie wjeżdżała, tylko zjeżdżała z wyższego piętra, gdzie czekała pani, aż Víctor się zjawi.

„Sprawiedliwość to prawda w ruchu”, myśli Jon. A ta konkretna prawda spada na kobietę niczym tona cegieł. Jej ramiona się zapadają, jej usta opadają, tworząc półokrag nad drżącym podbródkiem.

– Chce pani mówić teraz, czy woli, żebyśmy skończyła?

Kobieta nie odpowiada. Jon uważa, że fizycznie nie zdoła się odezwać. Siła potrzebna do całkowitego zerwania opatrunku spada na Antonię.

– Tamtego wieczoru Raquel wróciła do domu i poprosiła panią o pomoc. Bardzo konkretną pomoc. Powiedziała, że niedługo przyjdzie Víctor i że pani powinna być w pobliżu i wejść, kiedy oboje będą w mieszkaniu. Potrzebowała świadka. Ale jakiego typu świadka?

„Ja pierdolę”, myśli Jon, który nagle wszystko rozumie.

– Pani wjechała na wyższe piętro i czekała. Pani córka wysłała wiadomość i czekała przy drzwiach. Raquel była bardzo błada, kiedy otworzyła drzwi swojemu chłopakowi. On sądził, że przyszedł po to, żeby się pogodzić, podczas gdy w rzeczywistości to była zasadzka. Ona czekała na niego ubrana w prochowiec. Víctor wszedł do salonu, a ona poszła do swojego pokoju. Wtedy zdjęła prochowiec i wydała z siebie jęk bólu, co zwróciło uwagę Victóra.

– Krew w pokoju... – odzywa się Jon.

Antonia przytakuje.

– Po zdjęciu prochowca krew, która nagromadziła się w ranie i na tym, czym ją zatkała, nagle wytrysnęła, tworząc na podłodze wielki rozbryzg.

„Tak jak wtedy, gdy krzyżujesz ręce pod prysznicem, po czym je opuszczasz. Woda się gromadzi, a potem opada z pluskiem”.

– Bo Raquel nie została ugodzona w tym mieszkaniu, pani de Planas. Morderca zranił ją niedaleko stąd. To ktoś, kogo znała, ktoś, kogo chroniła. I miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby zatkać ranę, włożyć prochowiec i wrócić do domu, żeby zrobić swojego chłopaka.

– To nie było tak...

– Raquel zapewne sądziła, że mają czas. Że jeśli zadzwoni po karetkę, medycy przybędą w samą porę, by się nią zająć. Ale nie wzięła pod uwagę tego, co się stanie po zdjęciu prochowca.

Antonia kładzie sobie ręce na brzuchu, potem je odsuwa i rozczapierza palce. Jon niemal widzi rozcięcie i wypływającą nagle krew. Ona mówi dalej, bardziej sama do siebie, żeby móc wszystko zrozumieć. W jej słowach pobrzmiewa zaciekłość – wręcz radosna – w miarę jak znajduje i na nowo kreśli prawdę o tym, co się wydarzyło.

– Co zatykało ranę? Chusta? Ręcznik? Wiem, że prochowiec nie należał do niej, bo był za duży, więc mógł należeć tylko do mordercy. Ale... ręcznik, chusta, cokolwiek to było... to musiało gdzieś leżeć. W tym całym chaosie z karetką i z policją pani zadbała o to, by zniknęło, prawda?

Kobieta nie odpowiada. Ale nie odrywa od Antonii oczu. W jej spojrzeniu jest tyle samo strachu, co nienawiści.

19

Uścisk

Antonia się uśmiecha, ale tylko w duszy. Wie, że wygrała.

Ale wie również, że to zwycięstwo jest końcem drogi i że jest niewystarczające. Wykonuje gest w stronę Jona, który natychmiast go odczytuje. Antonia dotarła do tego miejsca, ale nie może naciskać już dłużej. Teraz jego kolej.

Jon podchodzi do kobiety, klęka, bierze ją za ręce, kościste i z długimi palcami, które znikają w jego dłoniach.

– Niezbyt lubiła pani Víctora, prawda? Nie był wystarczająco dobry dla pani córki.

Cisza.

– Raquel poprosiła panią o coś, a pani zrobiła jedyne, co mogła zrobić. Pomóc jej – ciągnie Jon łagodnym i uspokajającym tonem. – Pomogła pani własnej córce chronić jej zabójcę.

Kobieta zaciska dłonie. To całe potwierdzenie, do jakiego jest zdolna po latach ukrywania kłamstwa swojej córki, ostatniej prośby, z jaką się do niej zwróciła. Mimo że była niesprawiedliwa i niewłaściwa, ona zgodziła się jej pomóc.

Ale to skromne wyznanie im nie wystarcza.

Czas się kończy. A wciąż nie mają jedyne, co jest im potrzebne.

Tego, kto to zrobił.

Ale zanim się dowiedzą, kto...

– Dlaczego pani to zrobiła?

– Bo on ją skrzywdził. Może jej nie zabił, ale rzucił ją w ramiona tego, kto to zrobił. I zostawił ją samą, inspektorze. Samą.

W spojrzeniu Jona jest promyk zrozumienia. Nie usprawiedliwienia, lecz zrozumienia. Wystarczająco. Ostatecznie wynika to z jego zawodu. Bycie policjantem częściowo polega na tym, żeby znajdować zrozumienie dla wszystkiego – nawet, przy odrobinie szczęścia, dla samego siebie. Pozwala uznać działania podejrzanego za dobre, zyskać jego zaufanie, żeby mówił dalej. Pozwala wypowiadać takie stwierdzenia, jak to następne, przeczuwając, że jest prawdziwe, bo przyniesie właściwą odpowiedź.

– Zdradził pani córkę.

– Z jedną z klientek siłowni. Raquel się dowiedziała i z nim zerwała.

– I zaczęła się spotykać z kimś innym.

Kobieta przytakuje powoli.

– Musimy poznać jego nazwisko.

– Raquel była w nim zakochana. To wszystko, co wiem.

– To ta osoba ugodziła pani córkę.

– Raquel powiedziała, że to był wypadek. Że nie miał innego wyboru.

Inspektor Gutiérrez wie rzeczy, które Jon odrzuca. Wie, że w którymś miejscu ludzkiej duszy mogą zrodzić się takie słowa jak tych jedenaście, które właśnie usłyszał.

I człowiek w nie wierzy.

To także wynika z jego zawodu. Zakładać, że w sposobie rozumowania ludzi istnieją zakamarki, zagięcia, moce, które pozwalają im łączyć przeciwstawne sformułowania w zdaniach twierdzących. „Tak bardzo cię kocham, że jeśli ze mną nie będziesz, to cię zabiję” oraz „To był wypadek, nie miał innego wyboru” wypływają z tego samego miejsca. Z tego uskoku między dwiema płytami tektonicznymi, na którym my, ludzie, budujemy nasze przekonania. Te budowle nazywamy miłością, rodziną, przyjaźnią. To, co robi człowiek, kiedy płyty poruszają się w przeciwnych kierunkach, to... Nikt nie wie tego przedtem i nie powinien osądzać tego zbyt surowo później.

„Cholerna empatia”, myśli Jon, trochę po to, żeby zamknąć temat.

– Proszę pani, nie możemy już dłużej zwlekać. W grze jest życie, nasz czas się kończy – mówi Antonia. Jej głos stał się stalowy. – Musi nam pani podać nazwisko. Już.

– Nie wiem – powtarza kobieta, potrząsając głową. – Nie wiem.

Antonia patrzy na zegarek.

Osiem minut.

Zaczyna zdradzać oznaki zdenerwowania (podobne do tych u ludzi) i chodzi dookoła salonu, trzymając się pod boki. Powtarzając w myślach to, co mają.

Nagle się zatrzymuje.

Przypomniała sobie coś ważnego.

Coś, czego nie mają.

– Telefon. Nigdy nie znaleziono telefonu Raquel. Policja sądziła, że zabrał go Víctor. Ale to nie on, prawda? Raquel dała go pani i to pani poprosiła go, żeby tu przyszedł. To pani napisała do niego wiadomość na WhatsAppie.

– Chcę, byście wyszli z mojego mieszkania – mówi kobieta, wyszarpując się z rąk Jona i wstając. – Zadzwoń do mojego adwokata.

– Dobry pomysł, proszę pani – zgadza się Jon.

A potem, pokazując próbkę ulicznego sprytu, dodaje:

– Może pani skorzystać z telefonu córki.

To najstarsza sztuczka świata – wspomnieć o ukrytej rzeczy i czekać, aż oczy podejrzanego mimowiednie powędrują w jej stronę. Wie o tym każdy handlarz narkotykami. Jon postanawia więc ruszyć do miejsca, w którym jeszcze nie sprawdzali.

Na nieszczęście pani de Planas, ona nigdy nie szmuglowała narkotyków. Nie ma takiego doświadczenia jak którykolwiek diler z siedzibą w parku Doña Casilda.

Tylko na moment odrywa swój pełen nienawiści wzrok od oczu Antonii.

Nie trzeba nic więcej.

Antonia podąża wzrokiem w kierunku popełnionego przez kobietę błędu (dwusieczna kąta między jej ciałem a ciałem Jona) na mebel, który stoi tuż za jej plecami.

Kabinet.

Jeśli jest coś, co charakteryzuje zamożne madryckie klasy (lub te, które chcą za takowe uchodzić) z ostatnich czterech stuleci, to właśnie kabinet. Drewniany mebel pełen szuflad stojący na czterech nogach. Pierwotnie służył do przechowywania akt, teczek i wszelkiego rodzaju papierów dokumentujących rodzinny majątek. Wykonywano je ze szlachetnych materiałów. Heban, mahoń, drewno cytrynowe. Zdobione skorupą żółwia czy kością słoniową. Te najstarsze mogą osiągnąć na aukcjach milionowe sumy, na nieszczęście dla dziedziczących je siostrzeńców. Ignoranci wyrzucają bowiem „to paskudztwo” na śmieci, żeby w jego miejsce postawić praktyczny regał z Ikei, seria Kallax, sześćdziesiąt dziewięć euro, drzwi osobno.

Antonia nie ma pojęcia, czy kabinet jest oryginałem z siedemnastego wieku, czy tanią podróbką, typową dla karierowiczów z początku dwudziestego stulecia. Ani nie potrafi rozpoznać różnicy, ani wcale jej to nie obchodzi.

Ją interesuje ukryte przeznaczenie kabinetu. Kabinetu, który zagubił się w czasach, kiedy pieniądze gromadzi się w bitcoinach, ale który miał istotne znaczenie, kiedy bito je z metali szlachetnych.

Jedna po drugiej zaczyna wysuwać szuflady i ustawia je na podłodze. Nie zwraca uwagi na ich zawartość: stare opakowania zapalek, małe albumy ze zdjęciami, kolekcja pocztówek. Teczka z deklaracją podatkową z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku.

– Zaraz, co pani robi?! – mówi kobieta, podnosząc głos.

Za późno. Antonia znajduje to, czego szukała, wysuwając dolną szufladę po prawej stronie. Z zewnątrz wydaje się, że boczne ściany wewnątrz mebla mają taką samą głębokość. Ale gdy przyjrzeć się bliżej, okazuje się, że po lewej stronie jest o kilka centymetrów mniejsza.

Antonia wkłada palce w tę przestrzeń i wyczuwa wypukłość utworzoną przez sznurek. Gdy za niego pociąga, wysuwa się szuflada głęboka na

jakieś cztery centymetry i długa na dwadzieścia. Idealne miejsce na przechowywanie cennych rzeczy. Woreczek ze złotymi monetami, plik banknotów...

Telefon w etui z Hello Kitty.

Antonia trzyma telefon w górze. Samsung Galaxy, model sprzed wielu lat. Raczej nie ma wątpliwości, do kogo należy.

Został starannie wyczyszczony szmatką, ale mimo to została jeszcze miedziana, zaschnięta plama na przycisku z przodu.

– Bez baterii – stwierdza Antonia, wciskając przycisk zasilania.

– W samochodzie mamy kable – mówi Jon. – Chodźmy szybko.

– Nie może pani go zabrać – odzywa się kobieta zduszonym głosem. Stała między nimi a drzwiami. – Tutaj są jej wszystkie zdjęcia.

Jon powstrzymuje przyływ współczucia. Zastanawia się, ile razy kobieta włączała telefon (w środku nocy, przy opuszczonych roletach, dwukrotnie przekręciwszy klucz w zamku), żeby oglądać te zdjęcia. Prawdopodobnie nie wiedząc, jak wydostać je z telefonu i nie mając nikogo, kto mógłby jej w tym pomóc.

– Niebawem go pani zwrócimy.

Antonia ją omija i kieruje się do wyjścia, ale Jon nie rusza za nią od razu. Myśli o *amatxo*, Bóg jeden wie, gdzie ona teraz jest, i o tym, jak ta kobieta ją uosabia, niczym nieszczęsny duch z przyszłych świąt Bożego Narodzenia. Postanawia wykorzystać kilka cennych sekund, żeby przystanąć obok kobiety i ją przytulić. Gdy to robi, czuje, jak blisko są kości pod słabym, zwiotczałym ciałem. Ona nie odwzajemnia uścisku (dumne życie nie pozwala na niefrasobliwość na ostatniej prostej), ale Jon czuje, jak jej ciało chłonie tę czułość, przyjmuje ją i akceptuje.

Szepcze jej coś na ucho, kilka słów pocieszenia, które słyszy tylko ona.

A potem biegnie za Antonią.

20

Telefon

– Sześć minut – mówi Jon, patrząc na zegarek.

– Uspokój się. Nerwy w niczym nie pomogą – odpowiada Antonia, wciskając guzik parteru jakieś piętnaście razy.

Winda jest szybka. Ale głowa Antonii jest jeszcze szybsza. Zaplanowała już, w jaki sposób dostanie się do informacji w telefonie, jeśli będzie potrzebne hasło.

– Naładujemy go przy pomocy kabla samochodowego. Zrobimy połączenie mostkowe z moim iPadem i użyjemy Heimdalla, żeby ominąć zabezpieczenie. Będziemy mogli zobaczyć ostatnie wiadomości Raquel.

– Zauważyłaś, że mówisz w liczbie mnogiej?

– Jasne, kiedy mam na myśli ekipę, zawsze mówię w pierwszej osobie liczby mnogiej.

„Całkowicie odporna na sarkazm”, myśli Jon. Wciska guzik parteru, może dzięki temu winda będzie zjeżdżać szybciej.

– Masz jakiś pomysł, jak powiemy White’owi, że rozwiązaliśmy sprawę?

– Zadzwoni – odpowiada Antonia.

Pomija „chyba”. W słowniku Antonii jest to słowo tabu, tak samo jak kula dla płaskoziemcy.

– Wszystko będzie dobrze – dodaje z uśmiechem.

To jeden z tych dobrych uśmiechów. Z tych, które sprawiają, że po obu stronach ust powstają dołeczki, tworząc idealny trójkąt z tym, który przecina podbródek. Z tych, których ostatnio nie rozdaje zbyt wiele. Jon go niestety przegapia. A przecież tak lubi uśmiechy Antonii, o mocy dziesięciu tysięcy watów i możliwości całkowitego oświetlenia

pomieszczenia. Jon go przegapia, ponieważ jest bardzo zajęty ratowaniem jej życia.

Oto co się dzieje w ciągu sekundy i jedenastu setnych:

Przy prędkości dziewięciuset metrów na sekundę pierwsza seria kul nie znajduje oporu w drzwiach windy i niszczy je, zanim spadnie na ziemię. Przeszklona kabina i zewnętrzne drzwi tworzą tarczę zdolną spowolnić albo odbić kule, o czym strzelec doskonale wie. Dlatego pierwsza salwa jest bardzo krótka, delikatne naciśnięcie spustu karabinu szturmowego, które wystrzeliwuje w sumie pięć pocisków.

Dwa pierwsze niszczą drzwi, gdy te się otwierają, rozbijając je na kawałki. Kolejne dwa trafiają we framugę windy. Po uderzeniu o stal oba się okruszają, a siła uderzenia posyła je, prawie bez głębokości penetracji, w stronę bocznej ściany szybu windy.

Piąty robi w drzwiach dziurę, w której zmieściłby się stolik kawowy, po czym przelatuje nad głową Antonii Scott i zatapia się, tworząc ogromną pajęczynę, w lustrze po drugiej stronie.

Odległość, która zapobiegła temu, by najinteligentniejsza osoba na świecie straciła organ, który ją taką czyni, wyniosła zaledwie trzy centymetry.

Te trzy centymetry Antonia zawdzięcza nie sile przypadku, tylko sile Jona Gutiérreza. Ułamki sekund przed tym, jak winda znalazła się na parterze, dostrzegł na korytarzu odbitą w lustrze ciemną postać trzymającą broń dużego kalibru

Jon instynktownie, bez ceregieli, pociągnął swoją partnerkę za kurtkę, żeby przesunąć ją za siebie i osłonić swoim ciałem. Kąt nie był najlepszy, więc Antonia unika kuli, która przelatuje nad nią, ale uderza prosto w poręcz. Nie łamie sobie nosa (o mały włos) ani górnych siekaczy (jeszcze mniej niż o mały włos), ale uderzenie jest wystarczające, żeby strumień krwi zalał jej usta.

Do tego czasu dociera do nich huk pierwszej serii, ale nie zwracają na to większej uwagi. Antonia dlatego, że zwija się z bólu (każdy, kto

kiedykolwiek oberwał w miejsce pod nosem, zrozumie dlaczego), a Jon dlatego, że jest zajęty wyciąganiem z kabury służbowego pistoletu jedną ręką, a drugą próbuje wcisnąć za siebie Antonię.

I tak kończy się sekunda i jedenaście setnych i zaczyna się koszmar.

– Za mną! – krzyczy Jon, widząc, że Antonia się sprzeciwia.

Jon próbuje przycisnąć się do ściany windy, co nie jest wcale łatwe. Ma zaledwie pół metra kabiny, gdzie można się schronić, a kąt w stosunku do strzelca nie jest idealny.

„Kiedy nie masz się czym zasłonić, ukryj się za kulą”, przypomina sobie Jon z czasów akademii. Świetna rada, gdy siedzisz w sali i dyskutujesz o ekspozycji taktycznej. Nie tak dobra, kiedy jesteś obsrany ze strachu i wciągasz brzuch, żeby nie wystawał poza krawędź twojej osłony.

Jon prostuje nieco rękę i strzela na wariata przez otwór w drzwiach. Trzy kule, które służą jedynie temu, żeby strzelec lepiej określił jego pozycję i kąt strzału.

Korytarz nie jest całkiem prosty. Przed drzwiami jest mała wnęka, za którą ustawił się napastnik. Na przeciwległej ścianie są lustra, które uratowały Antonii życie, przynajmniej na razie.

Trzeba podkreślić to „na razie”, ponieważ sądząc po tym, jak się wierci, wygląda na to, że Antonia jest zdecydowana umrzeć.

– Puść mnie! – krzyczy, choć ze względu na krew w ustach brzmi to bardziej jak „fuśmie”.

Przez otwór wpada kolejna seria. Jon nie słyszał kliknięcia, ale wie, że agresor przełączył tryb automatyczny na ręczny. Kule – tym razem trzy – lecą jedna po drugiej, ale jest między nimi przerwa. Premedytacja.

Jon nie myśli rzecz jasna o takich subtelnościach. On czuje je na skórze. To rezultat dwóch dekad treningów, które nie skończyły się wraz z dołączeniem do projektu Czerwona Królowa. Raz w tygodniu, cztery razy więcej niż przedtem. Ale nadal są elementy, których trening nie obejmuje, i wtedy człowiek musi zdać się na instynkt.

Kule trafiają w róg windy z bliskiej odległości, obsypując Antonię i jego odłamkami szkła. Gdy tylko ginie echo trzeciego strzału, Jon się wychyla

(tylko trochę) i oddaje strzały. Kolejne trzy. Tym razem celuje i trafia w róg, za którym ukrywa się napastnik. Odrywa wielkie kawałki tynku, nie uszkadzając zbytnio betonu, ale zyskując kilka cennych sekund.

Znacznie łatwiej byłoby mu celować, gdyby nie musiał przytrzymywać Antonii.

– Możesz się uspokoić? – mówi, przyciskając ją ze wszystkich sił do ściany windy.

Antonia wciąga powietrze, połyka krew i pomimo bólu, adrenaliny i strachu udaje jej się odezwać tak, by Jon zrozumiał.

– Telefon – mówi.

Jon spogląda na podłogę, a to, co widzi, mrozi mu krew w żyłach. Teraz rozumie, dlaczego jego partnerka próbuje się wyszarpać i uciec.

Przy pierwszej serii Antonia upuściła na podłogę telefon Raquel Planas.

Cała nadzieja, jaką mają na rozwiązanie sprawy, zanim skończy im się czas (a Jon przeczuwa, że musi go już być bardzo mało), leży teraz przysypana odłamkami szkła i metalu, metr od ich stóp.

„Dlaczego nigdy, nigdy nie może być łatwo?”, zastanawia się Jon.

– Stój spokojnie – nakazuje jej ponownie.

– Muszę go podnieść.

Jon oddaje strzał, co spotyka się z niemal natychmiastową odpowiedzią napastnika.

Cztery strzały, w krótkim odstępie czasu, akurat kiedy ona próbowała wyciągnąć rękę pod chwytem Jona. Przykrywa ich deszcz iskier, kiedy jedna z kul niszczy oświetlenie na suficie. Antonia wydaje krzyk bólu i chowa ramię.

W oddali słychać syreny policyjne i Jon uświadamia sobie, że toczą wyścig z czasem, jednocześnie jednak czas gra na ich korzyść. Przynajmniej jeśli uda mu się sprawić, żeby Antonia stała na tyle spokojnie, żeby on mógł powstrzymać strzelca.

– Mogę go dosięgnąć. Jeszcze tylko trochę.

– Antonia... odpuść – mówi Jon.

Ona na niego patrzy i w jego oczach dostrzega coś, czego nie widziała nigdy przedtem. A może i widziała, lecz nie potrafiła rozpoznać. Prośba o zaufanie, w takiej samej walucie, jaką on deponował na jej rachunku w ciągu tych miesięcy spędzonych razem.

Antonia zamyka oczy i przestaje walczyć.

Jon przytakuje z nikczemnym uśmiechem.

„Może umrę, ale wcześniej załatwię tego skurwiela”, myśli.

Nie ma czasu na okrzyk bojowy, więc wydaje z siebie jedynie gardłowy, głęboki i szorstki dźwięk, kiedy wysuwa połowę tułowia z windy i opróżnia magazynek (pięć ostatnich kul, jakie mu zostały) w kierunku pozycji strzelca, akurat w tym momencie, gdy on również się wychylił. Napastnik się kuli i oddaje ogień bez patrzenia, a syreny są coraz bliżej.

Jon, który się cofnął, żeby zmienić magazynek i zaczerpnąć powietrza, cierpliwie czeka na odpowiedź strzelca, ale ona się nie pojawia. Niczego też nie słyszy. Jedynie głosy policjantów po drugiej stronie patia oświetlonego światłami budynku.

Przez chwilę się waha, czy się wychylić, by zobaczyć, co się dzieje, ale nie ma czasu, by podjąć decyzję, ponieważ właśnie w tym momencie dzieją się trzy rzeczy jednocześnie.

Jeden: telefon Antonii zaczyna dzwonić, ale Antonia nie odbiera, ponieważ

Dwa: siedzi w kucki, próbując sięgnąć po telefon Raquel Planas, pokryty odłamkami szkła. Kiedy go podnosi, zrozpaczona spogląda na Jona. Kula trafiła prosto w urządzenie, tak że jedna połowa zostaje jej w palcach, a druga zwisa, połączona z resztą tylko na wpół rozerwanym kablem. Ale najbardziej przerażające jest nie to, tylko to, że

Trzy: Jon zaczyna słyszeć tykanie bardzo blisko swojego ucha, a także nieprzyjemne wibrowanie pod skórą, które wprawia kręgi w drganie i sprawia, że szczęka zębami.

Czas się skończył.

White właśnie aktywował bombę, którą Jon nosi na karku.

Tykanie

„Nie. Nie. Nie”.

Antonia patrzy na Jona, wciąż siedząc w kucki, trzymając jeszcze resztki telefonu Raquel Planas w zakrwawionych palcach. Zwisająca połowa właśnie spadła z trzaskiem, powodując chrzęst potłuczonego szkła.

Na suficie światło windy zapala się i gaśnie, rzucając upiorne błyski na spoconą skórę inspektora Gutiérreza, który jest błądliwy jak wampir na kwarantannie.

– Antonia...

Ona na niego patrzy, próbując myśleć. Co wcale nie jest proste pośród nieustannie dzwoniącego telefonu i tykania, którego częstotliwość zwiększa się coraz bardziej.

– Uspokój się. Jedyne, co muszę zrobić, to...

Nie kończy zdania, ponieważ przerywają jej głosy.

– Policja, ręce do góry!

Antonia wciąż siedzi w kucki, kiedy umundurowany funkcjonariusz pojawia się na korytarzu, depcząc łuski zostawione przez strzelca.

Jon stoi z pistoletem w ręce, tyłem do policjanta.

Sparaliżowany.

– Nie będę powtarzał! – krzyczy policjant, a następnie powtarza: – Ręce do góry!

– Jon – odzywa się Antonia, podnosząc ręce.

Jon nie reaguje. Przerazenie usztywnia mu mięśnie, w miarę jak tykanie na karku narasta. Ma napiętą twarz, zaciśniętą szczękę. Jedyne, co

się w nim porusza, to strach w jego oczach, skrząc się niczym diamenty w świetle lampy.

Antonia odwraca się w stronę policjanta. Nie podoba jej się to, co widzi.

Żółtodziób. Bojaźliwy. Z palcem na spuście. Fatalne połączenie.

– Inspektorzy Scott i Gutiérrez. Numery odznak dwa siedem cztery pięć jeden i jeden dziewięć trzy dwa trzy – mówi Antonia.

– Najpierw proszę rzucić broń, a potem pokazać odznakę – nakazuje funkcjonariusz, nie przestając celować.

– Ja mogę pokazać...

– Nie opuszczać rąk!

– Proszę pana, mamy tu materiały wybuchowe. Proszę cofnąć się o trzy metry i zabezpieczyć teren.

– Rzucić broń!

– Proszę pana – mówi Antonia. Zastanawia się, jak przydać swojemu głosowi autorytetu, i wreszcie postanawia pójść za radą najlepszego. – Wkurwia mnie pan. Jeśli w tej chwili pan nie posłucha, jutro będzie pan zatrzymywany do kontroli drogowej w Albacete. Rozumiemy się?

Antonia musiała trafić w czuły punkt, bo wygląda na to, że policjant reaguje. Celuje pistoletem w sufit i nieco się cofa, rozmawiając przez radio.

Telefon znowu dzwoni.

Antonia wkłada rękę do kieszeni.

Odbiera.

– Terminy są po to, żeby ich dotrzymywać – odzywa się White. Jego głos, metaliczny i nieprzyjemny, przepelnia wściekłość.

– Byłoby łatwiej, gdyby nie wysłał pan płatnego zabójcy, żeby nas zabił. Po drugiej stronie zalega napięta cisza. Z nutką konsternacji.

– Obawiam się, że nie nadażam, pani Scott.

– Białe, wysokie, w kominiarce. Dżinsy i czarna skórzana kurtka. Miał karabin szturmowy Colt Canada. Model C7 albo C8 Carbine, nie

widziałam dobrze, było ciemno i do nas strzelał. Zanim skończył się czas, nawiasem mówiąc. Ma pan kogoś takiego wśród swoich ludzi?

Znowu cisza. Dłuższa i jeszcze bardziej napięta.

– Nie. Obecnie nie. Choć muszę powiedzieć, że nie wykluczałem, że się zjawi.

– Dawny niezadowolony pracownik?

– Nic z tych rzeczy. Ale obawiam się, że nie gra w naszej drużynie.

– Pan i ja nie jesteśmy w tej samej drużynie, panie White.

– Tak pani myśli? No cóż, jeszcze zmieni pani zdanie. Wciąż potrzebuję odpowiedzi w sprawie pierwszego zlecenia.

– Raquel Planas nie została zabita przez swojego chłopaka.

– Łatwe. Tego dowiedziała się pani już kilka godzin temu. Prawdopodobnie przeglądając policyjny raport, prawda?

– Miałam swoje podejrzenia – przyznaje Antonia.

Czuje, że White odwołuje się do jej ego, i czuje także, jak reaguje – niechętnie. Ale nie może pozwolić sobie na błędy. Węszy w tym pułapkę, więc mówi dalej.

– Ofiara była w związku z kimś innym, z kimś, kogo poznała pod koniec swojej relacji z Victorem Blázquezem.

– Nazwisko.

– W kim się zakochała i kto dźgnął ją z nieznanego powodu – kontynuuje Antonia coraz szybciej. – Przekonała swoją matkę, żeby pomogła jej kryć sprawcę ataku.

– Nazwisko – powtarza White.

– Ale wszystko potoczyło się źle, rana była poważniejsza, niż sądziła...

– Wnioskuje, że nie zna pani nazwiska.

Tykanie na karku Jona staje się jeszcze szybsze, aż tworzy jeden ciągły i śmiercionośny dźwięk.

– To niesprawiedliwe, pieprzony draniu! – krzyczy Antonia.

– Nie. To nie jest sprawiedliwe.

Antonia stara się nie ulec łzom – albo złości – i chwytą lewą rękę Jona. Lewą. Tę wolną, bo w prawej inspektor Gutiérrez ściska broń w ostatnim

geście godności wobec tego, co nieuniknione. Starania Antonii na niewiele się jednak zdają.

– To płacz? – pyta White po chwili milczenia.

– Dobrze pan wie, że tak – odpowiada ona.

– Tak ważny jest dla pani inspektor Gutiérrez? Czy może płacze pani tylko dlatego, że poniosła klęskę? Proszę się dobrze zastanowić, zanim pani odpowie.

Antonia zastanawia się, która z tych opcji jest właściwa. Doskonale wie, jak powinna się czuć, co byłoby słuszne. Nie tak jednak odpowiada. Nie wie zbyt dobrze, jak ma się czuć, tak więc przeszukuje swój ogromny pałac pamięci, aż znajduje odpowiednie słowo.

Fa'atanmaile.

W języku samońskiego oznacza spojrzenie psa w lustro. Uczucie, jakiego doświadczasz, kiedy walczysz z wizerunkiem samej siebie, ponieważ nie potrafisz rozpoznać go jako własnego.

Bierze głęboki wdech i odpowiada.

– I jedno, i drugie.

White zdaje się analizować prawdziwość jej słów przez niekończące się sekundy.

– Wierzę pani – mówi w końcu. – Postanowiłem więc, że wstrzymam karę.

Antonia zastanawia się przez chwilę, czy dobrze usłyszała.

– Dlaczego?

Znowu cisza. A potem:

– Mam swoje powody. A teraz proszę odpocząć. Niedługo przyślę następne zlecenie.

– Jestem panu bardzo wdzięczna – mówi Antonia.

Naiwnie – uświadamia to sobie, gdy tylko wypowiada te słowa. To odbicie dobrego wychowania, pozostałość po cywilizowanych manierach (albo syndromu sztokholmskiego), na które nie ma miejsca w sytuacji życia lub śmierci, jak w tym wypadku.

White wybuchą śmiechem, krótkim, suchym, bez śladu humoru.

– Niepotrzebnie. Wciąż musi pani zapłacić cenę klęski. Ale teraz zrobi to pani na raty. I z odsetkami.

Rozłącza się.

Tykanie nagle ustaje.

Antonia i Jon patrzą na siebie. Oboje mają łzy w oczach.

Oboje się odwracają, aby ich nie widzieć.

CZĘŚĆ TRZECIA

SANDRA

*Powziąć jedną tylko, jedyną myśl – ale taką, która
rozsadziłaby wszechświat na kawałki.*

**Emil Cioran,
przeł. Ireneusz Kania**

1

Materac

Dochodzi trzecia nad ranem następnego dnia, a Jon nadal przewraca się z boku na bok.

Nie jest całkiem obudzony, ale i nie śpi. Jest mgliście świadomy ciepła i ciężaru swojego ciała na materacu najnowszej generacji. Znacznie lepszego niż ten, który ma w swoim mieszkaniu. W slipkach, z kołdrą skotłowaną w nogach, godzinę po położeniu się do łóżka znajduje odpowiednią pozycję i odpływa. Nie udaje mu się jednak całkiem zasnąć.

Częściowo dlatego, że obudził się o trzeciej po południu, po dziewięciu godzinach snu. Nie jest przyzwyczajony do wstawania o takiej porze i kładzenia się niedługo potem.

Częściowo dlatego, że w jego głowie bez przerwy pojawiają się obrazy tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin.

Więzienie.

Kobieta.

Winda.

Tykanie, które wciąż nie zniknęło z jego uszu.

I to, co stało się później.

Było mnóstwo wyjaśnień.

Zbyt dużo.

Najpierw te, których musieli udzielić policji w sprawie strzelaniny. Tylko te niezbędne, ale dość nerwowe. Właściwe organy są wyjątkowo dociekliwe, kiedy dochodzi do wymiany ognia przy użyciu broni o dużej mocy w budynku pełnym wojskowych. Nawet jeśli dziewięciu na dziesięciu z nich jest już na emeryturze, a reszta dostaje ulotki z domów

seniora ze złowieszczyymi tytułami takimi jak „Twój czas się kończy” albo „Witajcie w poczekalni Boga”. „Cóż, może nie dokładnie z takimi, ale podobnymi”, myśli Jon, który starości boi się bardziej niż strzałów.

Ale mniej niż bomb.

Wymówienie słów „materiały wybuchowe” w budynku pełnym wojskowych też nie pomogło zmniejszyć dociekliwości policji. Przyjechało kilku saperów o mniejszej wyobraźni niż pan White. Szukali wszędzie, tylko nie pod skórą inspektora Gutiérreza, który w tym czasie czekał owinięty kocem i z całkiem dobrą kawą w dłoniach. Patrzył w nieskończoność lub w jej proporcjonalnie najbliższą część, którą okazało się centralne patio z hortensjami i glicyniami. Właśnie kwitły, jak zwykle późną zimą.

Jon stał tam, na rogu, nie odzywając się, podczas gdy wokół niego noc majaczyła, niczym ptak w płomieniach.

Ochroniarz przy wejściu był opatrywany przez sanitariuszy, bo intruz uderzył go w głowę, wykluczając go z gry. Kilkunastu techników biegало jak kurczaki bez głów, kilku inspektorów latało tu i tam. A Jon tymczasem pozwalał, by Antonia zajęła się PR-em. W normalnych okolicznościach to nie byłby dobry pomysł.

Albo w ogóle w żadnych okolicznościach.

Jon nie zwracał na rozmowę większej uwagi. Czy raczej docierała do niego przez zasłonę, tak jak wtedy, gdy jesteś w wannie i ktoś krzyczy w sąsiednim pokoju. Dochodzących strzępów słuchał bez zainteresowania, z obojętnością, jaką obdarza cię świat, kiedy poczułeś śmierć. Śmierć, która nie puka do drzwi twojego domu, tylko zajmuje go, zameldowuje się w nim, wymienia zamki i posyła ci całusy przez okno.

Było kilka głośniejszych wypowiedzianych słów, były zdziwione spojrzenia, komentarze rzucane po cichu (ale niewystarczająco) w stylu „kim jest ta idiotka”.

Później przyjechał Mentor (a wraz z nim zaczęły się telefony od ważnych ludzi) i pytania zniknęły. Z większym oporem niż zwykle, biorąc pod uwagę miejsce, sytuację i liczbę patrzących w piżamach z balkonów

emerytów, przyzwyczajonych do wysyłania regimentów i wydawania sprzecznych rozkazów.

W końcu Mentor do niego podszedł. Skrzywił się nieco, widząc stan, w jakim Jon się znajdował, i prawdopodobnie dlatego, że stanął na tyle blisko, żeby czuć jego zapach. Inspektora Gutiérreza otaczała chmura potu i spalona adrenalina. Niezbyt przyjemna woń.

„Przynajmniej Antonia nigdy nie będzie na to narzekać”, pomyślał Jon, zdając sobie sprawę, że jego praca nie była pozbawiona zalet.

Było więcej wyjaśnień. Krótszych, prawdziwszych. Antonia i Jon pojechali z nim samochodem do kwatery projektu Czerwona Królowa, wzięli prysznic i poszli do swoich pokoi. Jest tam specjalny moduł z małutkimi pomieszczeniami, gdzie można spać. Nie żeby w środku dało się wymachiwać kotem, trzymając go za ogon, ale Jonowi wystarczyło, by mógł odpocząć – dzięki antybiotykowi i zastrzykowi zaaplikowanemu troskliwie przez doktorkę Aguado.

Obudzili się po porze obiadowej.

Zwołali spotkanie.

Zamienili kilka słów.

Uświadomili sobie, jak bardzo mają przejebane.

– Podsumowując – odezwał się Mentor po długiej i ponurej ciszy. – Nie mamy tożsamości zabójcy Raquel Planas, bo telefon jest zniszczony. Coś w chmurze?

Aguado pokręciła głową.

– Nie mamy też zielonego pojęcia, dlaczego White kazał wam wyjaśnić sprawę tego zabójstwa – ciągnął Mentor.

Antonia pokręciła głową.

– Całkowicie wykluczaliśmy możliwość, że White jest powiązany z Victorem Blázquezem – powiedział Mentor. – Który na razie jest jedynym beneficjentem naszych wysiłków.

Jon pokręcił głową.

I jego kosztowało to najwięcej.

Po tym, co wyznała pani de Planas, byli zobligowani do działania, żeby zmienić sytuację Blázquez. Prawdopodobnie musieliby zadzwonić do inspektorów, którzy swego czasu zajmowali się tą sprawą. To przyniosłoby podwójny skutek. Po pierwsze, inspektorzy przypomnieliby sobie, że źle poprowadzili śledztwo, opierając się na uprzedzeniach i wsadzając do więzienia niewinnego człowieka. Po drugie, dostaliby szansę naprawienia błędu, jako że sami przedstawiliby prokuraturze swoje nowe „wnioski”. To z kolei wielu osobom przyniosłoby wstyd, u znacznie więcej osób wywołałoby wzburzenie i niemal na pewno zakończyłoby się karą więzienia dla pani de Planas. Dokładnie dwóch lat, żeby nie spędziła za kratkami ani jednego dnia, ponieważ jakakolwiek kara dwóch lat lub mniejsza nie jest w Hiszpanii odsiadywana.

Oczywiście zajmowali się *cold case* sprzed prawie czterech lat. Taka sprawa w najlepszym wypadku wymagałaby miesięcy pracy, ogromnej ekipy, środków. A w najgorszym byłaby niemożliwa do rozwiązania.

Oni oboje rozwiązali ją w ciągu sześciu godzin.

A mimo to...

Ani trochę nie traktowali tego jako zwycięstwa.

„Sprawiedliwość to prawda w ruchu”, pomyślał Jon. „I także jedyna gra, w której wszyscy przegrywają”.

– I to nie wszystko – dodał Mentor – bo oprócz tego pojawiła się trzecia część tej historii. Tajemniczy strzelec z doświadczeniem w posługiwaniu się bronią palną, który ma ciężki karabin szturmowy. Nie znamy ani jego tożsamości, ani jego motywacji, ani jego związków z White’em, ani powodu, dla którego chciał się was pozbyć. I mamy tylko jego ogólny rysopis.

– Mamy też nagrania zarejestrowane telefonami z balkonów – zaznaczył Jon, zawsze chętny do pomocy.

– Racja, racja. Sześć filmików nagranych przez siedemdziesięciolatków. Biorąc pod uwagę jakość telefonów, warunki oświetleniowe i trzęsące się ręce dziadków, w rezultacie mamy wspaniałą plamę – stwierdził Mentor, wskazując ekran w sali zebrań, na którym rzeczywiście było widać plamę.

– A wy macie tu coś nowego? – zapytał Jon.

– Absolutnie nic – odpowiedział Mentor bardzo głośno i bardzo szybko, patrząc na doktorkę Aguado, która się nie odzywała. – Wciąż nie mamy za co pociągnąć. Co znowu zostawia nas na łasce tego, co nakaże nam White. Naszą jedyną strategią jest czekanie.

– Jedenaście na dwanaście razy to najlepsze, co można zrobić – oznajmiła Antonia, starając się, by zabrzmiała wiarygodnie ta statystyka, którą wzięła oczywiście z dupy.

– A zatem zero podejrzanych, zero identyfikacji, zero tropów. To właściwe podsumowanie, czy o czymś zapomniałem?

Antonia, Jon i Aguado skinęli głowami.

– Podsumowując jeszcze dobitniej, mamy przejebane – zakończył Mentor.

Jon przyznał mu rację wtedy i przyznaje mu ją teraz.

W kwaterze zadbano o to, żeby pokoje, choć skromne – raczej kajuty na tym betonowym jeziorze, jaką jest hala – były dobrze wyposażone. Na przykład w materac. Lateks i wiskoelastyki. Z tych drogich, podobnie jak poduszka. Z tych, które idealnie przystosowują się do kształtu ciała, reagując na jego ciężar i temperaturę. Dopasowując się do każdego zagłębienia. Jon się zastanawia, czy poduszka odnotuje także to miejsce na jego karku, gdzie bomba tworzy małą wypustkę. Wiskoelastyk ma efekt pamięci, pozostawiony odcisk zostaje na nim przez chwilę, zanim wróci do pierwotnego kształtu.

Jon się zastanawia, jak długo przetrwa pamięć. Gdyby na przykład teraz wybuchła bomba. Gdyby jego kark pękł, a siła eksplozji posłałaby kawałki metalu i kości do rdzenia przedłużonego, od razu go zabijając. Czy jego serce przestałoby bić, zanim zniknąłby efekt pamięci na poduszce? Czy jego odcisnięty kształt wciąż by tu był, kiedy Antonia weszłaby do pokoju?

Jon wyobraża sobie dwóch sanitariuszy przenoszących jego ciało na nosze. Później, nieco bardziej realistycznie, wyobraża sobie trzech. Jak go podnoszą, ciągną zwłoki i zabierają je do laboratorium doktorki Aguado. Trasa jest krótka, to zaledwie dwadzieścia metrów. Tam lekarka sądowa

zbada pozostałości po wybuchu, grzebiąc w jego mózgu, desperacko szukając jakiegoś tropu między fragmentami. Oddzielając kawałki, które jeszcze kilka minut wcześniej były Jonem Gutiérrezem. Jeszcze ciepłe w dotyku.

Antonia oczywiście by płakała. A potem zakasałaby rękawy i zabrała się do szukania zemsty, bez ustanku. A może znowu by się załamała i zamknęła na swoim poddaszu na kolejne trzy lata.

Z Antonią Scott nigdy nic nie wiadomo.

Może pojawić się tam, gdzie najmniej się jej spodziewasz.

Na przykład waląc w drzwi do twojego pokoju o trzeciej dwadzieścia sześć w nocy.

Kiedy otwiera, Antonia stoi przed nim w majtkach i staniku, ubrania trzyma w jednej ręce, adidasy w drugiej, a telefon w ustach.

Jon wyjmuje go, widząc, że próbuje coś powiedzieć.

– Przyszła wiadomość – mówi, kiedy Jon uwalnia jej usta. – Pół minuty temu.

Jon patrzy na ekran, podczas gdy Antonia ubiera się na korytarzu w wielkim pośpiechu.

ULICA CISNE 21.

– Gdzie to jest?

– Nie wiem – odpowiada ona, walcząc z zapięciem guzików koszuli.

Jon jest jeszcze śpiący, ale następne wypowiedane słowo stara się oblec w największą złośliwość, na jaką go stać o tej porze.

– Ty nie znasz jakiejś ulicy w Madrycie, piękna?

– W Madrycie jest dziewięć tysięcy sto osiemdziesiąt siedem ulic, Jon. Nie mogę znać wszystkich.

Antonia mruga (ma jeszcze ślad od poduszki na policzku, potargane włosy i rozgrzaną twarz) i robi pauzę oceniającą, wkładając nogi w nogawki spodni.

– To znaczy mogłabym. Ale tak nie jest. Poszukaj w Google!

Jon wklepuje nazwę w aplikacji.

- Powiedziałaś Mentorowi?
- Przesłałam mu wiadomość.

Mapa aplikacji się otwiera, podczas gdy sygnał w ułamku sekundy łączy się z systemem lokalizacji przez satelitę, znajduje położenie telefonu Antonii i wyświetla mapę okolic lotniska, by następnie wyznaczyć trasę do ulicy Cisne 21; a to wszystko w czasie krótszym, niż zajmuje przeczytanie na przykład czterdziestu ośmiu słów.

- Pokaż mi - mówi Antonia, zapinając pasek.

Jon odwraca telefon, pokazując lokalizację. Ona przygląda się uważnie przez półtorej sekundy.

Wtedy Jon pojmuje, dlaczego Antonia zrobiła coś tak dziwnego, jak wyjście półnago na korytarz i przekazanie mu telefonu, by odszukał adres. Pojmuje to dokładnie w tej chwili, kiedy ona mówi:

- Ubierz się, czekam w samochodzie.

Biegła boszo, ale miała wystarczającą przewagę.

„Co za...”

Co zrobili wtedy

– Nie jest gotowa, żeby zacząć, doktorze Nuno.

Po drugiej stronie szyby kobieta, nieświadoma swojej przyszłości, w której będzie zadawać ogromny ból wielu osobom, dokłada wszelkich starań, żeby uporządkować szereg liczb w sekwencje logiczne. Do głowy ma przymocowane elektrody, ubrana jest tylko w szpitalną koszulę.

– Jak długo trenuje? – pyta lekarz, choć doskonale wie.

– Zarówno ona, jak i Scott przekroczyły zalecany czas. Ale nie mogę sprawić, żeby kontrolowała swoje emocje. To bardzo frustrujące.

– Jak zareagowała na mieszanekę?

Doktor Nuno wyciąga rękę usianą żyłakami przypominającymi burzę z fioletowymi błyskawicami po papier, który podaje mu Mentor.

– Wyniki są bardzo dobre. Nawet lepsze niż wyniki Scott.

– A mimo to nie mogę jej ustabilizować. Kapsułki okazały się nieskuteczne.

Nuno odchrząkuje, bierze głęboki wdech i wtedy Mentor przeczuwa, że wygłosi wykład. Nie pierwszy raz mocno go kusi, żeby wysłać ochroniarzy, by go unieszkodliwili, zabrali w ciemną uliczkę i dyskretnie sprawili, żeby zniknął. Mógłby to zrobić. I nikt by nie protestował.

Nuno jednak milczy. Jakby stracił wątek tego, co zamierzał powiedzieć. Albo coś w środku zmusiło go, by zachował to dla siebie, zanim będzie za późno.

Kiedy się odzywa, jego głos jest zmieniony. Nie płynie już rzeką sarkazmu. Brzmi o oktawę niżej. W jego słowach jest więcej prawdy. Wbrew temu, czego można by się spodziewać, to jeszcze bardziej martwi Mentora.

- Lata temu prowadziłem eksperyment, który zmienił mój sposób postrzegania świata. To, co panu opowiem, jest powszechnie znane, z łatwością może pan znaleźć ten eksperyment. Ale moich osobistych wniosków... nie.

Nuno opiera się o ścianę, jakby dźwigał na barkach ciężar całego świata.

- W eksperymencie wzięło udział pięćdziesiąt osób, dwudziestu ośmiu mężczyzn i dwadzieścia dwie kobiety. Przywiązaliśmy ich do krzeseł. Nie było to zbyt mocne krępowanie, po prostu musieliśmy ich zmusić, żeby patrzyli na ekran. Później zaczęliśmy odtwarzać karuzelę zdjęć. Ciasta, pulchne dzieci, kudłate psy. Do tego włączyliśmy wesołą muzykę, idealnie pasującą. Louis Armstrong, niejaka Katy Perry, takie rzeczy, które lubią młodzi. Poczęstuje mnie pan jednym?

Mentor podaje mu papierosa. Nuno tworzy daszek przy pomocy dłoni, które tak się trzęsą, że Mentor się obawia, że go oparzy. Lekarz wydmuchuje dym, a potem kontynuuje.

- Między te obrazki wrzucaliśmy wyjątkowo brutalne zdjęcia. Ludzkie ciała rozerwane wskutek wypadku drogowego, fragmenty zamordowanych osób, rany ropne, deformacje twarzy. Najgorszy rodzaj rzezi i śmierci, jakie można znaleźć. A proszę mi wierzyć, bardzo się postaraliśmy.

W tonie Nuno jest coś takiego, co sprawia, że Mentor się wzdyga. W jakiś sposób wyobrazony horror jest zawsze gorszy niż ten prawdziwy. Co kilka chwil później okazuje się prorocze.

- Badane osoby wykazywały objawy reakcji na stres. Przyspieszone tętno, podwyższone ciśnienie krwi, spocone dłonie. Należało się tego spodziewać. Nie spodziewaliśmy się natomiast tego, co stało się później.

Lekarz obserwuje końcówkę papierosa, która spala się powoli. Zdmuchuje popiół, który spada na podłogę, odsłaniając żar, rzucający na jego pomarszczoną twarz pomarańczowe tony w półmroku sali dowodzenia.

- Zdjęcia wyświetlały się w sposób losowy. Brutalny obraz mógł się pojawić co piętnaście fotografii pozytywnych, co sześć, co trzydzieści. Nie

było ustalonego wzorca.

– Algorytm też nie uwzględniał reakcji badanych? – pyta Mentor.

– Czysta przypadkowość. Biały szum.

Nuno upuszcza papierosa na betonową podłogę i stawia na nim nogę. Nie rozdeptuje go ani nie trze o nawierzchnię. Po prostu trzyma na nim podeszwę, ufając, że fizyka zrobi swoje.

– Niewiarygodne było to, że po odpowiedniej liczbie godzin niektóre osoby zaczęły wykazywać objawy stresu tuż przed wyświetleniem zdjęcia.

– To niemożliwe – stwierdza Mentor. – To, o czym pan mówi...

Nuno potrząsa głową.

– To nie był pojedynczy przypadek. Działo się tak u siedmiu z pięćdziesięciu osób. U dwóch mężczyzn i pięciu kobiet. Cała siódemka zachowywała się tak samo. Identycznie. Przedwczesna reakcja zachodziła w osiemdziesięciu czterech procentach przypadków.

– Nie może być, doktorze. To jakby przewidywać przyszłość.

– To, mój drogi panie, jest wielką bzdurą. Zbyt dużo czasu poświęca pan na te popłuczyny zwane telewizją. Nie, chodzi o to, że w mózgach tych osób zdolności poznawcze zaczęły się wzmacniać. A konkretnie intuicja.

– Intuicja może zadziałać, jeśli widzę chwiejącego się człowieka i ona podpowiada mi, że spadnie ze schodów. Ale w tym wypadku...

– Ale za kogo się pan uważa? Pan nie ma zielonego pojęcia o niczym, co wiąże się z mózgiem, przyjacielu – mówi Nuno. Kiedy się złości, jego portugalski akcent staje się wyraźniejszy i śpiewny, co pozbawia reprimendę mocy. – I ja też nie. Nikt nie ma.

Mentor przetrawia przez kilka chwil to, co właśnie usłyszał.

– Co się stało z eksperymentem?

– Nie był kontynuowany.

– Ale...

– To, co robiliśmy, uznano za pogwałcenie zasad etyki. Modyfikowaliśmy mózgi uczestników, wykorzystując traumę. Wielu z nich tygodniami miało koszmary.

Zapada cisza. Długa.

– Pojawiły się groźby – przyznaje Nuno cichym głosem. – Padły słowa ciężkiego kalibru.

– Jak ciężkiego?

– Tortura. Mengele. Takiego kalibru.

„I słusznie”, myśli Mentor, przelękając ślinę.

Obaj odwracają się w stronę szyby. W sali kobieta zaczęła nowy cykl testów. Ale nie jest w stanie dokończyć zadań. Wstaje, wrywa sobie elektrody, chodzi w kółko, niczym zwierzę w klatce.

– Scott jest od niej zupełnie inna – zauważa Nuno. – Obie mają zadziwiające umiejętności. Ale są różne. Stąd takie... osobliwe metody, jakie dla niej opracowałem.

Mentor w końcu rozumie, co mówi doktor. Ta pewność nie pojawia się u niego nagle, niczym podstępne pchnięcie nożem albo drzwi, które walą cię prosto w nos. Nie, ujawnia się raczej krok po kroku, niczym przedmiot, który macasz w ciemności, całymi godzinami próbując odgadnąć, co to jest, aż pojmujesz, że trzymałeś, dosłownie, gówna.

Jedyne, czego ten drań chciał, to przeprowadzić na niej eksperyment. Zrealizować to, czego nie mógł doprowadzić do końca przed laty.

– Skurwysyn z pana, doktorze Nuno.

– Po raz pierwszy w całym projekcie Czerwona Królowa mamy dwie. Wymienne. Warto było spróbować – mówi Nuno, wzruszając ramionami. Kiedy człowiek jest tak stary, że nie siadają na nim nawet zielone muchy, w zamian zyskuje pewną obojętność.

Mentor patrzy na niego, nie mogąc uwierzyć w ten chłód. Przygląda się i udaje mu się dojrzyć w jego oczach coś na kształt poczucia winy.

– Ta kobieta coś w sobie miała. Wewnętrzną konfigurację, która, jak sądziłem, posłuży jej do ochrony.

– Co ma pan na myśli?

– Naprawdę pan tego nie widział? Proszę się jej dobrze przyjrzeć, Mentorze. Niech pan popatrzy uważnie. Ale proszę nie patrzeć na nią tak jak do tej pory, jak na kawałek mięsa, które można wykorzystać dla

odniesienia własnego sukcesu. Pan i ja się pomyliliśmy, każdy z nas na swój sposób. A teraz będzie pan musiał podjąć decyzję.

Nuno opuszcza salę.

Mentor zostaje, obserwując niedopałek papierosa, który lekarz nadepnął. Delikatna strużka śmierdzącego dymu wciąż wydobywa się z poczerniałej końcówki.

„Ostatecznie człowiek nie może ufać niczemu”, myśli Mentor.

2

Adres

Jon ubiera się w rekordowym tempie i dociera do samochodu, kiedy Antonia kończy jeszcze sznurować adidasy. Za późno. Usiadła już za kierownicą. A Jon był takim idiotą, że zostawił kluczyki w stacyjce.

– Będę jechać ostrożnie – obiecuje mu Antonia poważnym tonem, widząc, jak sterczy, prawdopodobnie zastanawiając się, czy wywlec ją stąd, czy jednak nie.

– Przestrzegając ograniczeń prędkości? – dopytuje Jon, bo to przecież nie to samo.

– Przestrzegając ograniczeń prędkości.

Jon jej wierzy. Wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Natychmiast. W jakiś dziwnie klarowny sposób uświadamia sobie (podczas gdy obchodzi samochód, otwiera drzwi od strony pasażera, zapina pas), że jego połączenia mózgowie poprzestawiały się tak, żeby ślepo ufać Antonii Scott. Tak samo jak zrobiło to jego ciało, żeby ją chronić. Jakaś część jego odrzuca, nie bez powodu, tę bezwarunkową służalczość. Nie bez powodu, ale też nie z dojrzałością. W odrzuceniu własnego celu jest coś dziecinnego, małego i egoistycznego.

Mocno zatrząskuje drzwi samochodu, żeby odepchnąć od siebie tę myśl.

– Nie przyszła druga wiadomość? – pyta Jon, wskazując telefon Antonii, który położyła na desce rozdzielczej.

Dla Jona to najważniejsze pytanie. W przypadku poprzedniego „zlecenia” White’a w pierwszej wiadomości dostali adres miejsca, w którym popełniono zbrodnię, a w drugiej czas wykonania: sześć godzin.

Pytanie o drugą wiadomość to pytanie o to, ile mu zostało.

Możliwe, że na świecie są dwa rodzaje ludzi. Ci, którzy chcą znać dokładną godzinę swojej śmierci, i ci, którzy wolą nic o tym nie wiedzieć. Ze smacznym stekiem w żołądku, wypiwszy parę piw i uderzając dłonią w stół, inspektor Gutiérrez odpowiedziałby, nie wahając się ani chwili, że należy do tej pierwszej kategorii. Z jego stu kilogramów wagi dziewięćdziesiąt osiem należy do silnego chłopaka z północy. Tego, który w środku zimy kąpie się nago w rzece, podnosi kamienie i jest gotów rozkwaśnić nos każdemu, komu przyjdzie do głowy obrazić *amatxo*.

Ale.

Może te dwa procent, leżące na łóżku i odprężone po stosunku, dwa razy zastanowiłoby się nad tym stwierdzeniem. Pomyślałoby, że lepiej nie wiedzieć, zaprzeczając chłopakowi z północy.

– Tylko pierwsza – odpowiada Antonia, uruchamiając silnik.

Jon uzmysławia sobie, że fakt, iż nie musi zaczynać odliczania, nie musi widzieć zmniejszających się liczb, przynosi mu znaczną ulgę.

„Mieć bombę przykręconą pod skórą jest fantastyczne dla wewnętrznego olśnienia”, myśli Jon, notując w myślach, że przy najbliższej nadarzającej się okazji musi wyrazić swoją wdzięczność panu White'owi.

Tak czy owak (w końcu Bilbao to Bilbao, a policjanci to policjanci) odpowiada poirytowany chłopak z północy.

– No to świetnie. Wiemy już przynajmniej, o co chodzi?

– Nie, jeszcze nie. Mentor się tym zajmuje. Ale kiedy się dowie, chcę uzyskać przewagę.

W sposobie, w jaki wymówiła to zdanie, Jonowi coś zgrzyta.

Nie chodzi o zdanie samo w sobie, tylko o to, że jego ton przypominał ton rozmowy, jaką odbyła z White'em przez telefon. Jon nie zrozumiał całości. Jego angielski nie jest zbyt dobry, seriale ogląda z dubbingiem. Ale załapał wystarczająco. Słowo *both* (i jedno, i drugie) chodzi mu po głowie od zeszłej nocy.

– Dla ciebie to tylko gra, prawda?

– Tak uważasz?

- Uważam, że masz z tego dobrą zabawę. Nawet jeśli nie chcesz przyznać się do tego sama przed sobą. Ale myślę, że dobrze się bawisz.

Tak prosto z mostu brzmi grubiańsko. Choć Jon próbował tego uniknąć. Ale taka jest prawda.

„Mam prawo być wkurzony, do cholery”.

„A skoro tak, to dlaczego, do diabła, czuję się tak źle?”

Kiedy wjeżdżają na aleję Logroño, Antonia robi jedną ze swoich pauz oceniających, a później jeszcze jedną i jeszcze jedną, i gdy wreszcie wydaje się, że zdecydował się mówić, dzwoni telefon.

Głos Mentora toruje sobie drogę przez zestaw głośnomówiący.

- Mam już informację. Cisne dwadzieścia jeden to budynek jednorodzinny. Dane z katastru wskazują na to, że dziesięć lat temu pewne małżeństwo kupiło działkę i postawiło sobie dom.

Nie dodaje nic więcej.

- I? - pyta Jon.

- I to wszystko - mówi Mentor. - Nie mam więcej informacji, jeśli chodzi o ten adres.

- A na tej ulicy?

- Też sprawdziłem i nic. Najpoważniejsza zbrodnia w okolicy to morderstwo-samobójstwo pary starszuchów w latach dziewięćdziesiątych.

- Odległość?

- Sześć przecznic.

Jon kręci głową. Wydaje się zbyt daleko - zarówno w czasie, jak i przestrzeni - żeby to mógł być błąd.

Nagle, otwierając szeroko oczy, uświadamia sobie, o co chodzi.

Dlaczego jeszcze nie dostali drugiej wiadomości.

Antonia ma taki wyraz twarzy, który Jon widział już wcześniej i który nauczył się rozpoznawać. Szkliste oczy, napięta szczęką. To oznacza, że jej mózg pracuje szybciej niż normalnie, szybciej niż to, co może przetworzyć. I że doszła do tego samego wniosku co on, tyle że kilka sekund wcześniej. Dlatego wciąż jedzie sto dwadzieścia kilometrów na godzinę i patrzy na niego, czekając, aż zwolni ją z danej obietnicy.

Ponieważ w budynku przy ulicy Cisne 21 nie popełniono żadnej zbrodni.

Jeszcze.

- Ty decydujesz - mówi Antonia, kładąc rękę na dźwigni zmiany biegów.

Jon mocno chwyta się stalowych uchwyty i tylko przytakuje w odpowiedzi.

- Mentor - odzywa się znowu Antonia - zawiadom policję, niech przyślą radiowóz pod Cisne dwadzieścia jeden z włączoną syreną. My jesteśmy w drodze.

- Dlaczego powiniem...?

Jon przerywa połączenie, żeby ograniczyć niepotrzebne rozproszenie uwagi.

Antonia oddycha głęboko, liczy od dziesięciu do jednego. Wydaje się, jakby siedziała bardziej wyprostowana, ramiona ma wyżej. Jej oczy nie są już szkliste, zamieniły się w dwa promienie laserowe. Wrzuca szósty bieg i wciska gaz do dechy, wydobywając z silnika V8 podekscytowany ryk. Wydawało się, że tak samo jak ona, silnik czekał na ten moment, żeby uwolnić cały swój potencjał.

O tej porze na drodze panuje niewielki ruch.

Mimo to, kiedy jadą z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę (i wciąż rośnie), te nieliczne pojazdy wyglądają jak nieruchome przeszkody, ściany, o które można się rozbić.

- Sześć minut.

Jon nie ma takiej cudownej zdolności liczenia, jak Antonia, ale wie, że to dużo.

- Jeszcze dwadzieścia jeden kilometrów, piękna.

- Właśnie - odpowiada, wykonując gwałtowny skręt kierownicą, żeby wyminąć ciężarówkę, która jakby wyłoniła się znikąd (a tak naprawdę z pasa włączania), i przyspiesza jeszcze trochę, aż licznik przekracza dwieście kilometrów na godzinę.

Poprzedniej nocy Jon nie widział, jak przed oczami przelatuje mu całe życie. „Dzięki Bogu”, myśli, „umieranie i tak jest już na tyle kiepską sprawą, żeby w dodatku robić to, oglądając hiszpańskie kino”. Prerażenie, jakie wywołała w nim bliskość śmierci, było inne. Coś w rodzaju ciemności, tunelu. Przestało reagować nie tylko jego ciało, lecz także oczy. Ledwie mógł zarejestrować to, co się działo.

Strach, jaki odczuwa teraz, siedząc z kostkami dłoni zbielełymi od mocnego ściskania uchwytu i stopami wbitymi w podłogę auta, jest zupełnie inny. Teraz wszystko, co widzi wokół siebie (latarnie, pozostałe pojazdy, barierka ochronna tak bardzo podobna do tamtej, którą Antonia przebiła kilka miesięcy temu), wydaje mu się niebezpieczne.

„Rozpoznawanie różnego rodzaju strachu. Kolejne z małych doświadczeń, jakie zawdzięczam panu White’owi”, myśli.

– A teraz w której jestem fazie? Strachu?

– O czym ty mówisz? – pyta Antonia, nie odrywając oczu od jezdni.

– O tej całej doktorce Kubrick. O fazach żałoby. Zaprzeczenie, strach, te wszystkie bzdury.

– Kübler-Ross. Do twojej wiadomości, ta teoria jest dość kwestionowana.

Jon powstrzymuje śmiech zaskoczenia.

– Może pożyję na tyle długo, że zdołasz mnie kiedyś rozśmieszyć, piękna.

„Chociaż zważywszy na okoliczności”, myśli, kiedy samochód przejeżdża zaledwie kilka milimetrów od golfa, który wygląda, jakby był wbity w asfalt, „to bardzo wątpliwe”.

Dziewięć minut wcześniej

„Szczęście tkwi w małych rzeczach”.

Tak przynajmniej głosi napis na kubku, prezent od koleżanki z pracy z okazji urodzin sprzed dwóch tygodni. Aura zastanawia się nad tym, upijając łyk herbaty. To już szósty, jaki jej podarowała. Według niej – ironicznie.

Ten kubek (którego zawartość uparła się wypić do końca), tej nocy uratuje Aurze życie, choć ona jeszcze o tym nie wie.

Aura ma tendencję do zostawiania zapomnianych kubków obok mikrofalówki, na stole w salonie i w wielu strategicznych miejscach w domu. Rano poświęca zwykle kilka minut, żeby poszukać i przechwycić tych świadków swojego roztargnienia, w różnym stanie porzucenia. W trzech czwartych, w połowie i bardzo często – czego się wstydzi – całkiem pełnych.

Cel jest taki, żeby je pozbierać i opróżnić, zanim przyjdzie gosposia i wypomni jej to z bezlitosnym uśmiechem i krótkim „Aj, proszę pani”, co wywołuje w Aurze ogromną niezręczność.

Po przeszukaniu domu przy zlewie powstaje zwykle małe więzienie. Kubki – ze swoimi motywacyjnymi przekazami w pastelowych kolorach, częściowo zasłoniętymi nitkami, z których zwisa papierek z nazwami producenta i rodzajem herbaty – przypominają jej okazanie, które często ma miejsce w filmach, kiedy to więzień trzyma przed sobą tabliczkę z numerem.

„Szczęście tkwi w małych rzeczach”.

Tej nocy szczęście tkwi w powieści, która nie pozwala jej zasnąć (musi dotrzeć do punktu kulminacyjnego), oraz w rooibos, który uparła się wypić, mimo że już wystygł. W przeciwieństwie do niej. Jak zawsze, zanim zacznie się jej okres, organizm domaga się od niej pilnych potrzeb.

Jaume nie był dziś zbyt pomocny. Wrócił z biura bardzo zmęczony i po kolacji przysnął na sofie. Z wielkim trudem zdołał zebrać siły, żeby dotrzeć do łóżka i włożyć piżamę, zanim całkiem padł.

Osiem lat różnicy między nimi (ona – czterdzieści trzy, on – pięćdziesiąt jeden) zaczyna już być zauważalne. Wszystko jeszcze funkcjonuje mu we właściwych miejscach, ale powoli odczuwa się już pewną niechęć, początki zmęczenia.

Aura się zastanawia, ile zostało im jeszcze czasu, zanim zaczną spać w osobnych łóżkach. Wciąż się kochają (szesnaście lat małżeństwa, hipoteka, dwie śliczne dziewczynki) i są względnie szczęśliwi. Czasami nawet bardzo. Aura nie potrafi znaleźć choćby jednego powodu, by nie zostać z tym mężczyzną, który chrapie obok niej przykryty kołdrą, przez resztę swojego życia. Ich małżeństwo nie jest idealne (czy takie istnieje?), ale zagrożenia zwykle pojawiają się z zewnątrz. Kłopoty w pracy, w dalszej rodzinie albo po prostu dlatego, że świat staje na głowie. Ale oni się kochają, a to już więcej, niż ma wiele innych par.

Co jednak nie rozwiązuje obecnego problemu Aury, a rzecz w tym, że – cytując jej przyjaciółkę Mónicę – jest napalona jak suka. Mónica ma troje dzieci, zero mężów i zdrowe libido. To właśnie ona podarowała jej zabawkę, której potrzebuje w tej chwili.

– Rozwiąże wszystkie twojego problemy. Wystarczy trzydzieści sekund. Pim, pam i gotowe.

Z początku Aura nieco się wstydziła. Nigdy nie była zbyt pruderyjna w sprawach seksu. Normalna sprawa w rodzinie raczej konserwatywnej, lecz z pretensjami do nowoczesności. Chodziła do prywatnej szkoły, ale w łazience rozmawiała o tym z koleżankami. Jednakże między rozmowami a prezentem w postaci wibratora Satisfyer na urodziny otrzymanym w samym środku przyjęcia (open bar na caipirinha, 45,95!) istnieje pewna różnica.

Po otwarciu pudełka, widząc, co to jest, natychmiast je zamknęła, oblewając się delikatnym rumieńcem. Ale goście (dwie koleżanki z pracy, kuzynka i siostra) natychmiast rozpoznały, co to jest, i z zaskakującą radością i naturalnością zaczęły wymieniać zalety

urządzenia. Aura poczuła przez moment, z odrobiną frustracji, że nie idzie z duchem czasu. A więc teraz można już o tym rozmawiać. Na swoją obronę powiedziała, że z opisu wyglądało to na odkurzacz ręczny.

Mimo to wsadziła go do torebki i o nim zapomniała. Aż parę dni później, sobotniego poranka (dziewczynki były na lekcji tenisa, Jaume grał w golfa) przypomniała sobie o prezencie. Wzięła prysznic i dała urządzeniu szansę. Umieściła je we właściwym miejscu i przez pierwsze dwadzieścia sekund czuła niejake rozczarowanie. A nagle, „oooch”, fajerwerki.

Nie żeby ten wynalazek doprowadził ją do szaleństwa (w jej głowie błyskawicznie pojawiło się porównanie paelli z homarem do ryżu instant), ale na co dzień Aura zarządza funduszami inwestycyjnymi w prywatnym banku ze średnią roczną rentownością dla klientów na poziomie 8,32 procent. Doskonale potrafi rozpoznać wartość dodaną, gdy ma ją przed sobą.

Co prowadzi do kolejnego problemu, bo tego nieszczęsnego gadżetu nie ma akurat pod ręką. Schowała go w swojej torbie sportowej w łazience na parterze, z dala od niedyskretnych spojrzeń. Niestety także w odległości krótkiego spaceru.

Przez chwilę Aura zastanawia się, czyby sobie nie odpuścić. Bo w łóżku jest jej tak przyjemnie pod urokiem Dana Browna. To jej ulubiony autor, ponieważ od dwudziestu lat raz za razem wydaje tę samą powieść. Aura co roku otrzymuje sześciocyfrową premię właśnie dlatego, że potrafi rozpoznać wartość dodaną w tym, co przewidywalne.

Ale potrzeba ostatecznie bierze górę.

„Szczęście tkwi w małych rzeczach, w litowej baterii”, myśli, żeby zachęcić się do wstania.

Najlepsza decyzja, jaką podejmie w swoim życiu, dzięki uprzejmości Mr. Wonderful. Chrząć się, rzeczywistość.

Aura wysuwa jedną nogę z łóżka, uważając, by nie obudzić męża. Czuje ciarki, kiedy bosym dużym palcem po omacku szuka kapci. Ogrzewanie podłogowe jest tak ustawione, żeby w nocy zużywać mniej

prądu. Nie może ich znaleźć, a nie chce jej się schylać pod łóżko, więc postanawia pójść bosą.

To druga najlepsza decyzja, jaką podejmie w swoim życiu, dzięki uprzejmości lenistwa. Chrząć się, woluntaryzm.

Aura wychodzi z sypialni, mija pokoje dziewczynek i dochodzi do schodów. To duma tego domu. Wspaniałe stopnie z drewna zingana, przyciągającego wzrok i drogiego w imporcie, „nieco tańszego, jeśli zastosuje się małą sztuczkę”, powiedział jej stolarz. „Mała sztuczka” polegała na zapłacie gotówką, bez zwracania sobie głowy fakturami. Aura i Jaume dzięki małej sztuczce mogli sobie pozwolić na piękne schody, bardzo trwałe i z bardzo ładnego, szlachetnego drewna. „I ani trochę nie skrzypi”, dodał stolarz.

Trzecia najlepsza decyzja w jej życiu dzięki uchyleniu się od zobowiązań podatkowych. Wal się, odpowiedzialność.

Aura znajduje się w połowie schodów, kiedy uświadamia sobie, że coś się dzieje.

Coś złego.

Istnieje wyraźna różnica między osobami, które mieszkają w bloku, a tymi, które mieszkają w domu wolnostojącym. Ci pierwsi rozwijają w sobie poczucie bliskości, zażyłości. Ludzi mają nad sobą, pod sobą i po bokach. Prawdopodobnie także naprzeciwko. Znają ich zwyczaje, ich ruchy. A także ich przekonania.

Aura zawsze mieszkała w domu. Najpierw z rodzicami, a później tutaj. Szesnaście lat spędzonych w jednym miejscu daje szereg pewników. Poczucie przestrzeni. Temperatura, światło, odległość do ścian. To wszystko jest przedłużeniem jej samej.

Niczego nie słyszy. W filmach zawsze pojawia się skrzywienie, uderzenie w coś na piętrze, dzwoniący telefon i pytanie, czy wiesz, jak się miewają dzieci – „ze środka domu!”.

Aura wie, że coś tu jest nie tak. Na gołych kostkach czuje delikatny strumień powietrza, którego nie powinno tu być. Ponieważ dochodzi od drzwi prowadzących do ogrodu, od drzwi, które osobiście sprawdziła, czy

są zamknięte. Jak co wieczór od szesnastu lat. W przeciwnym razie nie może spać.

Powoli cofa się na górę. Krok po kroku. Bez ani jednego skrzygnięcia drewna („mała sztuczka!”) w drodze powrotnej do głównej sypialni.

Część jej (część racjonalna, cywilizowana, część poważna) podpowiada, żeby nie histeryzowała, że z pewnością zapomniała zamknąć drzwi, że przecież nie włączył się alarm w ogrodzie ani przy wejściu, że to wpływ powieści kryminalnych na jej wyobraźnię, niech wraca do łóżka.

Druga jej część potrząsa Jaumego za ramię, aż ten się budzi, wystraszony.

– O co cho...

Aura zasłania mu dłonią usta, a sama przykłada sobie palec do warg. Przez kilka chwil Jaume myśli, że Aura obudziła go po to, żeby się z nią kochał (przez sen dostrzega w jej oczach pożądanie). Aura jest zbyt przestraszona, żeby umieszczać to wysoko w swojej mentalnej skrzynce odbiorczej. Mgliście zdaje sobie sprawę, że wpadło parę załączników, ale są one zakopane pod tym, na którym wielkimi czerwonymi literami napisano W NASZYM DOMU JEST WŁAMYWACZ.

Aura tworzy wersję tej wiadomości za pomocą ust i gestów, aż w końcu Jaume mruga i natychmiast reaguje, odsuwając kołdrę i wstając z łóżka. Kieruje się do garderoby i szpera w niej, aż znajduje stary kij golfowy, który leży tam od dziesięciu lat – tak na wszelki wypadek. Z myślą o takiej chwili jak ta.

W piżamie, już z dość mocno zarysowanym brzuchem i głęboki zakolami, z kijem golfowym w ręce – z zewnątrz mógł wyglądać śmiesznie. Aura ma własne zdanie. Czuje specyficzne ciepło, będące wynikiem strachu, adrenaliny i jej stanu hormonalnego. I myśli o tym, że gdy tylko minie ten fałszywy alarm, zamierza pieprzyć się ze swoim mężem, jakby nie było jutra.

Jaume idzie korytarzem z kijem w pogotowiu, za nim Aura, która w typowym dla dwudziestego pierwszego wieku odruchu złapała swój telefon komórkowy. Zamierza zadzwonić pod numer alarmowy przy najmniejszej oznace zagrożenia. Nie wcześniej. Aura nade wszystko

obawia się, że zrobi z siebie idiotkę. To strach jeszcze z dawnych czasów, z jej konserwatywnego wychowania, bycia środkową siostrą. Nieważne.

Może gdyby od razu zadzwoniła pod sto dwanaście, rezultat byłby inny.

Trudno powiedzieć. I to jest najbardziej wkurzające.

Włamywacz pojawia się na szczycie schodów, to ubrany na czarno cień. Nie słyszeli go. I to jest negatywna strona drewna, które nie skrzypi, które nie rozróżnia uzbrojonych ludzi, nachodzących twój dom.

Jaume reaguje instynktownie: krzyczy i zadaje cios kijem golfowym, który trafia intruza w ramię. Raz, drugi raz. Intruz wydaje z siebie krzyk bólu i zaskoczenia i podnosi rękę, żeby chronić się przed trzecim uderzeniem, akurat w chwili, gdy Jaume robi zamach. Kij przełamuje się na pół w pobliżu główki, która spada po schodach i znika w otworze między stopniami.

Nie istnieje wzór matematyczny na wyrażenie odwagi, żadne równanie w stylu: majątek plus męstwo dzielone przez nieświadomość równa się iks. Ale gdyby istniał, to jeden ze współczynników zmieniłby się całkowicie. Wyjście na korytarz swojego domu uzbrojonym w kij golfowy, żeby sprawdzić ewentualne włamanie, to jedna sprawa. Druga, zupełnie inna, to stawienie czoła napastnikowi z nożem myśliwskim, podczas gdy ty trzymasz w rękach kawałek aluminium i plastiku.

Jaume się cofa, popychając Aurę, która stoi za nim i wciska przycisk połączenia alarmowego.

- Czego?! Wynocha z naszego domu! - krzyczy Jaume wysokim, piskliwym głosem, złamanym z powodu paniki. Za plecami słyszy, jak Aura podaje ich adres operatorce, ale tak naprawdę chciałby, żeby uciekła (a on razem z nią) i żeby oboje zamknęli się w łazience. Jednak w tej chwili ich ciała to jedyne, co znajduje się między włamywaczem a pokojem ich córek.

- Zadzwoniłam na policję - mówi Aura tryumfalnym tonem, podnosząc telefon. Jak gdyby powołanie się na Najwyższą Władzę, która pokazuje łajdakom, gdzie jest ich miejsce, czyli z dala od domów Dobrych

Ludzi, którzy Pracują i Prawie Zawsze Płacą Podatki, miało pełnić funkcję bariery ochronnej przeciwko wszelkiemu złu.

Zakłęcie nie robi najwidoczniej żadnego wrażenia na włamywaczu, który stawia krok w ich stronę, prawą ręką masując sobie ramię, gdzie uderzył go Jaume. W lewej trzyma nóż i to może być zdecydowanie najgorszy widok, jaki Jaume kiedykolwiek widział. Kawałek metalu ząbkowanego w pobliżu rękojeści, zakrzywionego i ostrego na drugim końcu.

Jaume jest pewien, że już kiedyś taki widział. Pewien obrazek z dzieciństwa przemyka mu przez głowę. Siedzi na podłodze w salonie w rodzinnym domu, je kanapkę z masłem i cukrem, podekscytowany widokiem umięśnionego bohatera o nagim torsie, który wbija identyczny nóż w jednego ze złych żołnierzy Wietkongu. Wszyscy chłopcy z jego szkoły chcieli mieć taki nóż i jego rodzice podarowali mu taki, w samą porę, by mógł się pochwalić podczas szkolnej wycieczki. Tamten nóż był jednak tanią, plastikową imitacją i szybko wylądował w koszu.

Ten, który widzi przed sobą, jest prawdziwy. To najprawdziwsze, co kiedykolwiek widział.

Nieznajomy się nie odzywa, nie otwiera ust, jedynie stawia jeden krok, a potem drugi, aż jego twarz zostaje oświetlona nikłym światłem pochodzącym z lampki do czytania Aury, której nie zgasiła.

– Nie. Ty... Dlaczego?

Intruz nie odpowiada, tylko odrzuca rękę do tyłu, by wziąć zamach, i atakuje nożem, którego ostrza cofający się Jaume unika o włos. Podczas tego ruchu uderza biodrem Aure, która przewraca się na podłogę. Telefon wypada jej z ręki, ale ona nawet nie zdaje sobie z tego sprawy. Jedyne, co ją teraz interesuje, to odsunięcie się od dwóch postaci, które uwikłały się w walkę na środku korytarza.

Jaume jest wysoki i dość silny, ale nawet Aura (która podobne sceny widywała tylko w filmach i nigdy nie zwracała na nie zbyt wielkiej uwagi) może zauważyć, że nie jest on żadnym rywalem dla człowieka z nożem. Finał jest nieuchronny, jedyne, na co przyda się opór jej męża, to doprowadzenie do tego, by odłożyć go nieco w czasie.

W tej chwili Aura oddałaby wszystko, co ma, byle zyskać kilka sekund. Dom, samochody, karty kredytowe. Wszystko za kilka dodatkowych sekund, aż do przyjazdu policji.

Jaume przytrzymuje za rękę napastnika, lecz nie trwa to długo. Ten uderza go w głowę, później w szyję i wreszcie udaje mu się uwolnić rękę, w której trzyma nóż. Wbija mu go w brzuch, wyjmuje i wbija ponownie.

W tym momencie opór Jaumego dobiega końca. Aura z przerażeniem obserwuje, jak jej mąż zaczyna wymiotować krwią – nie, nie wymiotować, raczej krew wylewa mu się z ust, jakby były już pełne i nie mogły pomieścić więcej. Opada na kolana, jego ciało się trzęsie, drży. Słychać dźwięk łamanych kości, co przywodzi Aurze na myśl obrazy z urazówki. Kule. Białe, nieskazitelnie biały gips, którego wypełnienie bazgrołami zajmie ich córkom dłuższą chwilę.

W innym życiu, w innym świecie.

Podczas gdy jej mąż upada na parkiet, wydając z siebie ostatnie agonalne rżenie, Aura potrafi myśleć jedynie o tym, jak krótko to trwało. Jak mało czasu zdołał im kupić, jej i dziewczynkom.

Włamywacz („teraz morderca, to jest morderca”, myśli Aura) nie zostawia niczego przypadkowi. Dłonią w rękawiczce chwyta Jaumego za włosy i ciągnie, żeby go podnieść, odsłaniając gardło. Ostrze noża umieszcza pod prawym uchem i kreśli półkole aż do lewego ucha. Dalej trzyma głowę mężczyzny, aż ma pewność, że cięcie jest precyzyjne, a później po prostu rozprostowuje palce, by ponownie padł na podłogę, pozwalając, by grawitacja i fizyka zrobiły resztę.

„Nie krzycz. Nie krzycz. Nie krzycz. Dziewczynki nie mogą tego zobaczyć, dziewczynki nie mogą go widzieć, nie mogą wyrzec, nie mogą, nie mogą, nie pozwól na to. Nie”.

Aura próbuje się podnieść. Ma wyciągnięte ramiona, zakrywa przestrzeń na ścianie między drzwiami do pokojów każdej z córek. Przez chwilę wyobraża sobie, że wchodzi do jednego z nich, żeby chronić jedną z dziewczynek. Ale to oznaczałoby pozostawienie tej drugiej na pastwę losu. Pokusa jest duża, ogromna, atrakcyjna.

Aura poznała w swoim życiu wiele żądz. Żądę seksu (bez dramatów), żądę pieniędzy (bez uprzedzeń) i żądę narkotyków (bez ekscesów). Wszystkie były mniej lub bardziej przejściowe. Ponad nimi wszystkimi, ta najbardziej krępująca i najbardziej obecna, nieposkromiona, żądza jedzenia (najbardziej grzeszna i ta, którą dzieli – wie o tym – ze wszystkimi swoimi przyjaciółkami).

Ale wszystkie te żądze razem błędną wobec absolutnie niepohamowanego, potężnego i bezwzględnego pragnienia, by otworzyć tych dwoje drzwi. Po drugiej stronie dziesięciocentymetrowej ściany córki śpią w swoich łóżkach. Smacznie. Spokojnie. Ich małe i delikatne ciała są przykryte kołdrami, u Amandy świeci się lampka nocna, u Patricii nie, bo jest już duża. Ich włosy pachną jeszcze szamponem po kąpieli, mają rozchylone usta i błyszczące wargi.

Aura musi wejść do tych pokoi, żeby chronić dziewczynki, żeby je przytulić. Potrzebuje tego tak, jak nigdy nie potrzebowała niczego w swoim życiu. Ale nie może tego zrobić. Nie może, ponieważ jest dwoje drzwi. Nie da się wybrać, tak więc zostaje pomiędzy, trzymając się za ramiona skrzyżowanymi na piersi rękami i z plecami opartymi o ścianę, odpychając się piętami, żeby wstać. W ostatniej i żalostnej próbie, licząc na to, że jej ciało posłuży za tarczę, posłuży kupieniu kilku dodatkowych sekund, zanim przyjedzie policja.

Napastnik podnosi głowę i patrzy na Aurę.

Przechodzi nad ciałem Jaumego i zbliża się do niej. Znajduje się w odległości mniejszej niż pół metra. Jego niebieskie, wodniste oczy patrzą na drzwi (z imionami dziewczynek ułożonymi z drewnianych liter, z tych, które sprzedają w Tigerze po półtora euro za jedną), a potem znowu na Aurę.

Podnosi dłoń w rękawiczce i dotyka nią ust, nie odzywając się. Następnie wskazuje jedno drzwi, drugie, a w końcu jej oczy.

Aura rozumie.

Aura przytakuje.

Mocno zaciska powieki i zęby. Kiedy nóż wbija się w jej brzuch, Aura powstrzymuje krzyk,

(„niekrzyczniekrzyczniekrzycz”)

powtarzając sobie, że ten ból to ratunek dla jej córek, to szczęście, to czas, to Patricia odbierająca dyplom ukończenia studiów, to Amanda, która dostaje wymarzoną pracę, może zobaczyć je obie, w przyszłości, są szczęśliwe, w zamian za rezygnację z ostatniego uścisku, w zamian za oddanie swojego życia w milczeniu, nie wydając ani jednego dźwięku, nie budząc ich, w zamian za ten ból, ten ból jest

(nieznośny)

życiem, wytrzymaj, wytrzymaj, wytrzymaj...

To wszystko dzieje się tuż przed tym, jak wszystko staje się czarne, kiedy słyszy syreny.

3

Lego

Audi przyjeżdża na ulicę Cisne 21 w zaskakująco nienaruszonym stanie.

„To bożonarodzeniowy cud”, myśli Jon w marcu.

– Jak dalej będziesz tak jeździć, to w końcu zwrócą ci punkty z prawka.

– Jakiego prawka?

Jon patrzy na Antonię, przekonuje się, że mówi całkiem serio, i oddycha głęboko, głęboko, głęboko, żeby się uspokoić, nim odezwie się ponownie.

Nie robi tego jednak, ponieważ Mentor (on ma do tego talent) wcina się, telefonując.

– Właśnie zadzwoniono pod numer alarmowy z adresu, pod którym jesteście – mówi.

– Wysłałeś radiowóz?

– Od razu, jak mi powiedzieliście. Niedługo powinien tam być.

– Wezwij też karetkę – nakazuje Antonia posępnym tonem.

Rozłącza się i wysiadają z samochodu. Na zewnątrz budynku panuje spokój. Dom jest zbudowany w nowoczesnym stylu. Białe ściany, stal corten, płaski dach. Ogrodzenie z kamienia i aluminium, brama wjazdowa.

Nietknięta.

– Co robimy? – pyta Antonia

Inspektor Gutiérrez się waha. Kolejna decyzja wiąże się z odwieczną debatą wśród funkcjonariuszy w takich przypadkach jak ten. Wchodzić z wrzaskiem czy wchodzić na palcach. Podejrzany może być w środku, a jeśli powiadomią go o swojej obecności, mógłby wyrządzić krzywdę właścicielom.

„Poza tym ostatnio i tak już mieliśmy sporo emocji”, myśli Jon. „Ostatnie, na co mam ochotę, to powiadomić o swoim wejściu kogoś, kto jest uzbrojony”.

– Powoli.

– W takim razie czyni honory – prosi go Antonia, wskazując zamek.

Jon wraca do samochodu, wyjmując ze schowka swoje pudełko z wytrychem i innymi rzeczami. Wraca do swojej partnerki, która przyswieca mu latarką z telefonu, podczas gdy Jon wykorzystuje umiejętności, jakich pewnego popołudnia osiem lub dziewięć lat temu nauczył go Luisi. „Zamki w willach są najlepszej jakości”, mówił Luisi. „A jeśli zatrzaskowe, to już w ogóle”.

Ten jest zatrzaskowy, ale Jon to nie Luisi, więc otwarcie go zajmuje mu prawie minutę. Przez chwilę ściska go w żołądku na myśl o tym, że włączy się alarm. Tuż pod domofonem widział tabliczkę Securitas Direct.

– Żadnego alarmu – mówi Jon, patrząc na Antonię, która spodziewała się takiego samego rezultatu.

– Nie wygląda jak wille takich, co wieszają tabliczkę dla ozdoby – odpowiada ona, marszcząc czoło.

– Trzymaj – mówi Jon, podając jej inną rzecz, którą właśnie wyciągnął ze schowka.

To kabura z Sig Sauer P290 „Antonii”. W cudzysłowie dlatego że oficjalnie należy do niej, ale według niej – nie. „Ja go nie chcę, piękna, takie maleństwo, przecież palec mi się nawet nie zmieści, weź go. Nie chcę go, ty go weź”, i tak w kółko.

– To nie jest konieczne.

– Weź go albo nie wchodzisz.

Antonia zgadza się niechętnie, wiedząc, że teraz Jon podejdzie do bagażnika i będzie kazał jej włożyć kamizelkę kuloodporną. Żeby więc odwieść go od tego ostatniego, przyspiesza kroku w stronę domu, podczas gdy Jon klnie pod nosem. Musi zadowolić się tym, że przynajmniej jest uzbrojona. Jako że nie ma tu innego światła niż blask księżycy i odległe

lampy latarni, dziękuje w duchu, że właściciele ułożyli chodnik z białego granitu, nawet jeśli tylko dwadzieścia metrów.

Zatrzymuje się na trzynastym metrze.

Fasada jest usiana ogromnymi wysokimi na trzy metry szybami, które wizualnie łączą przedni ogród z salonem. Jedna z tych szyb to drzwi.

Otwarte.

W oddali słycać policyjną syrenę.

„Dyskrecja poszła się chrzanić”, myśli Jon.

– Zaczekajmy – szepcze do Antonii.

Antonia potwierdza gestem.

W takiej sytuacji, gdy element zaskoczenia został zaprzepaszczoney, najlepiej jest poczekać minutę lub dwie i mieć wsparcie funkcjonariuszy. Tak podają wszystkie podręczniki. Zamienić zaskoczenie na przewagę liczebną.

Wtedy Antonia patrzy na ziemię. A tam, niedaleko drzwi, widzi coś, co zwraca jej uwagę. Schyla się po to.

To kawałek żółtego plastiku. Z boku jest na wpeł oderwana naklejka. U góry są cztery kółka. Na każdym z nich jest napis LEGO.

Kilka miesięcy temu, przed świętami Bożego Narodzenia, Jon poszedł z Antonią do Sarasús, sklepu zabawkowego w pobliżu jej domu, żeby kupić prezent gwiazdkowy dla jej syna Jorgego. Ekspedient opowiedział im wszystko, co powinni wiedzieć o Lego i serii Duplo. Z elementami dwukrotnie większymi niż normalnie, żeby dziecko nie mogło ich połknąć. Zalecany wiek: od roku do pięciu lat.

Nikt im nie powiedział, że w domu są małe dzieci. Antonia rzuca plastikowy element na trawnik i wsadza głowę do środka.

„Zdrowy rozsądek poszedł się chrzanić”, myśli Jon.

Nie pozostaje mu nic innego, jak tylko za nią iść. Porusza się bardzo powoli, żeby o nic się nie potknąć. Jon wyjmuje z kieszeni kurtki swoją taktyczną latarkę i świeci przed obojgiem.

Jest coś niepokojącego we wchodzeniu do cudzego domu w środku nocy, wiedząc, że w środku jest potencjalny napastnik. Każdy cień staje

się zagrożeniem, każdy kąt – wycelowaną w ciebie bronią, każdy obraz na ścianie to twarz, która obserwuje cię z chciwością złodzieja, pożądaniem gwałciciela albo apetytem potwora. Jon nieświadomie wstrzymuje oddech. Kroki stawia inaczej, opierając ciężar na zewnętrznej części stopy, a nie na pięcie. Zwraca też uwagę na każdy szmer, każdy szept.

Wtedy na piętrze rozlega się hałas.

Uderzenie, stłuczone szkło.

Jon dogania Antonię i zmusza ją, żeby szła za nim, niemal ciągnąc ją, zanim wbiegnie po schodach. Które są, jak zauważa Jon, bardzo ładne. Gustowne. I wcale nie skrzypią, myśli, kiedy stawia stopę na pierwszym stopniu.

W sumie stopni jest siedemnaście.

Krew zaczyna się na czternastym, niemal całkowicie zabarwiając go na czerwono. Spływa po trzynastym i nieznacznie plami dwunasty, po czym skapuje na podłogę w salonie.

Inspektor Gutiérrez nie ma innego wyjścia, jak nadepnąć na krew. Nie da się jej ominąć. Musi wejść po tych stopniach, oprzeć się o nie, żeby móc zajrzeć i sprawdzić, czy korytarz jest czysty.

Nie jest. Krew na schodach płynie ze zwłok mężczyzny. Kawałek dalej leży kobieta z raną w brzuchu.

Wtedy słyszy bulgotanie.

Antonia przemyka obok niego jak błyskawica, nachyla się nad kobietą, przewraca ją na plecy i jednocześnie zaczyna uciskać ranę.

– Żyje? – szepcze Jon.

– Ledwo.

Jon mija Antonię i idzie dalej. Korytarzem. W sypialni świeci się światło rzucające trójkątny rozproszony blask, w którym można dostrzec czerwone ślady. Jon nie potrzebuje ekspertki od rozprysków krwi jak Antonia Scott, żeby się domyślić, w jakim kierunku uciekł zabójca.

Antonia gestem pokazuje w tamtą stronę – mimo wszystko. A potem najlepiej jak może próbuje zatamować ranę kobiety, która wygląda na nieprzytomną. Jej oczy są puste, ale wciąż oddycha.

Po chwili Jon wraca ze złymi wieściami.

– Wybił jedną z szyb i zeskoczył do ogrodu na tyłach. Powiem policjantom, że...

Antonia potrząsa głową i gestem pokazuje, żeby mówił ciszej.

– Nie. Zadzwoń do Mentora i powiedz, żeby przekazał policjantom, by tu nie wchodzili. I tak już wystarczająco zanieczyściliśmy miejsce zbrodni. Niech wejdą tylko medycy.

Dźwięk syreny policyjnej dotarł już na miejsce i umilkł. Na zewnątrz słychać głosy funkcjonariuszy, radio. W oddali rozbrzmiewa syrena karetki. Dźwięk jest bardziej nagły, rozkazujący i zawodzący niż w radiowozie.

– Wytrzymaj – mówi Antonia po cichu.

Jon tymczasem zajmuje się wypełnieniem poleceń Antonii. Kiedy kończy, sprawdza, czy dziewczynkom nic się nie stało. Uchyła tylko oboje drzwi. Pokoje są nienaruszone, a dziewczynki wydają się spać normalnie, nieświadome, że gdy się obudzą, znajdą się w świecie, który w ogóle nie będzie przypominał ich świata. Że obudzą się w koszmarze.

„Są małe”, myśli Jon. „Wyjdą z tego. Tylko za jaką cenę”.

Kiedy pojawiają się medycy, Antonia się odsuwa, żeby robili swoje. Kiedy oni próbują ustabilizować kobietę, ona podchodzi do Jona. Ręce, koszulę, a nawet spodnie ma we krwi.

– Powiedział, że za to zapłacę. Z odsetkami – mówi Antonia chłodnym głosem i z lodowatym wzrokiem.

Przerażającym wzrokiem.

– Skąd wiesz, że...?

– Przysłał mi wiadomość. Kiedy wchodziliśmy. Miałam wyciszony telefon, ale zobaczyłam powiadomienie na zegarku.

Antonia podciąga rękaw (kurtka jest już zniszczona) i pokazuje mu nadgarstek.

„MASZ SZEŚĆ GODZIN.

W.”

4

Zdanie

Reszta nocy to chaos. Brudny i nerwowy chaos.

Psycholożka i jeden z krewnych zabierają dziewczynki. Wyjście jest skomplikowaną operacją. Ponad dziesięć osób, łącznie z dwoma strażakami, współpracuje ze sobą, żeby wyciągnąć je z domu przez okna ich pokoi; nie można dopuścić, żeby zobaczyły korytarz, nie można dopuścić, żeby choć przez chwilę widziały ten horror. Antonia nie bierze w tym udziału, to Jon dba, żeby przynajmniej w głowach dziewczynek nie zostały obrazy, które zmusiłyby je do pamiętania tak traumatycznego zdarzenia. Nie zobaczą już swojego ojca. Prawdopodobnie już nigdy nie wrócą do tego domu.

„Przynajmniej będą mogły uniknąć najgorszego”, myśli Jon, kiedy z powrotem wchodzi do środka i rozgląda się dookoła. Kuchnia ze sprzętami najwyższej klasy (Neff, Gaggenau), kryty basen, ogólnie cały dom, wszystko w tym miejscu mówi językiem pieniędzy. Nie są bogaci, a przynajmniej nie w ścisłym sensie tego słowa. Nie tak jak Ortizowie albo Truebowie, ludzie, dla których pieniądze są pojęciem, a nie rzeczywistością, z którą trzeba walczyć. Ale tym dziewczynkom rzecz jasna niczego nie będzie brakować.

Później zastanawia się dwa razy i uświadamia sobie, że nikogo nie okłamuje. A biorąc pod uwagę, że jest swoim jedynym interlokutorem, to jedna wielka ściema.

Bo będzie im brakować.

Będzie im brakować wszystkiego.

Powstanie dziura, której nigdy nie zdołają zappełnić. My, ludzie, jesteśmy historiami, a historia tej kobiety i jej córek nie może być

opowiedziana w żaden inny sposób, jak tylko poprzez tragedię. Dorosną i będą względnie szczęśliwe. Oby. Zawsze jednak będzie obecna pustka, która wszystko wchłonie, studnia bez dnia, która wciągnie całą radość i światło.

Inspektor Gutiérrez wie co nieco o poczuciu winy, ale w porównaniu ze swoją partnerką jest ledwie żółtodziobem. Spotyka Antonię na dole przy schodach, czekającą cierpliwie, aż doktorka Aguado pozwoli jej wejść na górę. Dzięki interwencji Mentora technicy kryminalistyki i sędzia śledczy dali im parę godzin. Tak więc do domu nie może teraz wejść nikt, z wyjątkiem ich trojga.

– Już są bezpieczne – mówi Jon, wskazując ulicę, gdzie bardzo powoli obracają się światła radiowozów.

Antonia się nie odzywa. Nie wykonuje żadnego gestu. Po prostu stoi ze skrzyżowanymi rękami. Kłębek poczucia winy i złości wciśnięty w metr pięćdziesiąt pięć wzrostu.

– Wiem, co myślisz. I mylisz się – zauważa Jon.

– Był tu, kiedy przyjechaliśmy. Gdybyśmy tylko...

– Zranił kobietę i zostawił ją tam, gdy usłyszał syreny. Wiesz dlaczego?

– Oszacował, że umrze, zanim przyjadą.

– A tak się nie stało, bo my już byliśmy przed drzwiami. Uratowałaś życie tej kobiecie. Jechałaś jak szalona, weszłaś do domu, zatamowałaś ranę.

– Co powiedzieli medycy?

– Nic – kłamie Jon.

Tak naprawdę medycy powiedzieli, że sprawa wygląda kiepsko i że nie dają żadnych szans. Takimi słowami. Ale nie ma potrzeby podsycania ogniska, do którego Antonia i tak już dorzuca wystarczająco drew.

– Minuta. Gdybyśmy tylko przyjechali minutę wcześniej...

– Skarbie – mówi Jon, który ma już tego powyżej uszu. – Gdyby moja matka miała koła, toby była rowerem.

Antonia spuszcza głowę.

– Zawsze jest tak samo. Nieważne, co zrobimy, co osiągniemy. Na końcu, nocami, pamiętasz tylko tych, których nie mogliśmy uratować.

Jon wie, że to prawda. Ale trudno, co zrobić.

Tak powiedziałyby *amatxo*. Jon ciągle o niej myśli. Zastanawia się, gdzie może być. Zastanawia się, czy pamiętała, żeby zabrać balsam nawilżający do nóg, bo bardzo się jej wysuszają.

Zastanawia się, jak może pocieszyć Antonię, ale nie przychodzi mu do głowy nic mądrego ani specjalnie głębokiego. „Weź się w garść, życie toczy się dalej” to nie jest jedno z tych zdań, które można znaleźć w internecie napisane wielkimi literami obok czarno-białego zdjęcia. Ale to właśnie ma i to jej oferuje.

– Nie zostaje nam nic innego, jak wziąć się w garść, skarbie.

Antonia podnosi głowę, a na jej ustach pojawia się nieśmiały uśmiech.

– Przepraszam. Zazwyczaj rozmawiam o takich rzeczach z babcią Scott.

– Jeśli chcesz, zawinę sobie wałki na głowie.

– Babcia Scott nie używa wałków, a tobie by nie pasowały.

„Odporna na poczucie humoru. Odporna”, myśli Jon.

Co zrobili wtedy

Kiedy doktor Nuno opuszcza salę, Mentor przygląda się kobiecie. Ma na sobie rozciętą z tyłu szpitalną koszulę, a pod spodem tylko bieliznę. Sportową, czarną. Włosy ma w kolorze słomkowego blondu, oczy o nieokreślonej barwie, raczej szare. Jej skóra ma dziwny odcień, ciemny, ale nie wygląda na zdrowy. Jest spięta, umięśniona niczym zawodniczka startująca w chodzie na dwadzieścia kilometrów.

Patrząc na nią, po raz pierwszy coś rozumie. Jej wspaniała inteligencja jest innej natury niż w przypadku Antonii. Ma spryt schwytanego zwierzęcia, spryt wilka, który wyczuwa najwolniejszą owcę. Paradoksalnie jednak nie to go przeraża. Mentor najbardziej obawia się tego, że radykalna różnica między Scott a nią tkwi w zdecydowanie głębiej.

To kwestia woli.

Antonia Scott biegnie nawet wtedy, kiedy wyścig się kończy. Kiedy spada z klifu i upada. I nawet upadając, Antonia zwyczajnie nie chce uderzyć o ziemię.

Natomiast ta kobieta...

– Chcę ci zadać pytanie – odzywa się Mentor przez głośniki w sali.

Ona nie przestaje chodzić w kółko, ale jej szyja odwraca się gwałtownie w stronę szyby. Wciąż się rusza, lecz jej oczy już nie. Są utkwione w jednym punkcie, jak u mangusty.

– Dzień twojego pierwszego testu. Podaaś mi bardzo nietypową odpowiedź. Chciałbym wiedzieć, dlaczego doszłaś do wniosku, że musisz podjąć taką decyzję, jaką podjęłaś.

– Na platformie jest więcej osób niż na tankowcu. To najbardziej logiczne rozwiązanie – mówi z urywanym oddechem.

– Tak, to właśnie powiedziałaś wtedy – przypomina Mentor. – A teraz powiedz mi prawdę.

Ona nagle się zatrzymuje. Wciąż ma przyspieszony oddech. Nie udaje jej się nabrać do płuc wystarczająco powietrza. Gdyby nie wyrwała sobie systemu kontroli, Mentor zobaczyłby, że saturacja krwi spadła do niebezpiecznie niskiego poziomu. Ale nie jest mu to potrzebne, ponieważ wyraźnie widzi, jak wiele kosztuje ją utrzymanie się na nogach.

– Znowu bawisz się ilością tlenu, Mentor? – pyta łamiącym się głosem.

– Jaką cudowną maszyną jest mózg. Dwuprocentowa zmiana ilości tlenu w hipokampie i następuje zaburzenie funkcji wykonawczych. Między innymi zmniejsza się zdolność do kłamstwa.

Kobieta opiera się o lustro. Spoczone czoło przyciska do szkła. Lewą pięścią uderza w nie resztą sił. Mimo to Mentor cofa się nieco. Gdyby nie dwanaście milimetrów szkła między obojgiem, mogliby się niemal pocałować.

„Albo mogłaby mnie zabić”, dochodzi do wniosku Mentor.

W wielu aspektach jest tak, jakby widział ją po raz pierwszy. Bez zasłon, jakie ona zarzuciła, albo tych, które on sam chciał zarzucić.

– To była najkrótsza droga do zwycięstwa – odpowiada kobieta między długimi oddechami.

– Wreszcie jakaś prawda – mówi Mentor, wciskając przycisk, który uwalnia tlen ze ścian.

W rurach na dachu słychać delikatne syczenie. Potrzeba jeszcze kilku sekund, zanim zapełni trzydzieści metrów kwadratowych sali testów.

– Nie takiej chciałeś, prawda?

– Ani ja, ani rodziny osiemdziesięciorga członków załogi tankowca.

– To było tylko ćwiczenie teoretyczne!

– Przy którym nie okazałaś nawet cienia wątpliwości.

– Bez trupów nie ma chwały. Żałować tego to tak, jakby żałować skórek pomarańczy.

– Zrobiłabyś wszystko, żeby wygrać? – pyta, a ciarki przechodzą mu po plecach.

Mentor ledwo reaguje, kiedy ona przewraca się na podłogę, półprzytomna. Wciąż nie może się pogodzić z własną porażką.

Być może dlatego nie słyszy ostatniego zdania, jakie wypowiada kobieta. Wszepetanego, resztkami tchu, do zimnego betonu.

„Dla ciebie zrobiłabym wszystko”.

Do pomieszczenia wchodzi dwaj mężczyźni w niebieskich kombinezonach i podchodzą do niej.

Podniosą ją. Udziela jej pomocy. Odprowadzają ją do wyjścia.

Nie ma już dla niej miejsca w projekcie Czerwona Królowa.

Nic z tego się jednak nie dzieje.

Ona wie, że zaślona opadła. Że nie ma już potrzeby, by się powstrzymywać. By się ukrywać. Teraz on zobaczył ją taką, jaka jest. W pewnej mierze to ulga. Uwolnienie.

Nadszedł moment, żeby ujawnić się całkowicie.

Kiedy pierwszy z mężczyzn kładzie rękę na jej ramieniu, ona staje się martwym ciężarem, chcąc zmusić go, by nachylił się bardziej. Właśnie wtedy reaguje.

Pociąga go za nadgarstek, aż jego szyja znajduje się na wysokości jej ust. Rzuci się na mężczyznę i mocno gryzie. Skóra rozrywa się pod jej zębami. Nie może ich zamknąć do końca, ale wystarczająco uszkadza gardło. Mężczyzna nawet nie wydaje z siebie krzyku, ponieważ nie pozwala mu na to pogruchotana krtań. I tak ma co robić – próbuje się nie udusić, chwytając się za otwartą ranę, z której tryska krew.

Drugi mężczyzna stoi jak wryty, kiedy odbywa się ta krótka rzeź.

Jedna sprawa to związanie, zakneblowanie i obrażanie bezbronnej kobiety dla naukowego eksperymentu

(i dość dobrej pensji w samym środku kryzysu, bo gdzie ja znajdę inną pracę w moim wieku, a na dodatek wracam do domu w samą porę, żeby pomóc dzieciom w odrabianiu lekcji),

a druga, zupełnie inna, to patrzeć, jak wbija zęby w szyję twojego kolegi z pracy.

Reaguje dopiero wtedy, kiedy kobieta odwraca się do niego. W ustach prawie nie ma krwi, jej resztki spływają po brodzie i kapią na białą

koszulę. Tym, co go przeraża, są oczy, ze źrenicami małykami niczym główki szpilek.

To właśnie wtedy mężczyzna rzuca się do wyjścia. Jest już prawie przy kłamce, kiedy coś ciągnie go do tyłu. Niedużo, zaledwie kilka centymetrów. Kładzie rękę na szyi, w miejscu, w którym kobieta go dusi za pomocą kabli od elektrod. Upada na plecy, prosto na nią, próbując się uwolnić. To na nic. Jeden z kabli pęka, pozostałe wyslizgują mu się z palców, rozszarpują mu skórę. Stara się podnieść, odsunąć się od niej, ale jedynie zwiększa nacisk na szyję. W ostatnich chwilach świadomości, z fioletowym językiem wystającym z ust, czuje, jak jej stopy wczepiają się w jego ramiona, upewniając się, że zadanie zostało ukończone.

Kiedy kolejni trzech mężczyźni wpadają do pomieszczenia, ona wciąż zwiększa nacisk na jego szyję. Jest wycieńczona, ale nie przestała ciągnąć.

Ani się uśmiechać.

Miejsce zbrodni

– Możecie wejść – rozlega się głos Aguado ze szczytu schodów po upływie kilku minut.

W domu są teraz włączone wszystkie światła. Schody wyglądają jak kadr z filmu *American Psycho*, krew zasycha na podłodze z mikrocementu. Tę dekorację uzupełnia kombinezon ochronny Aguado. Lekarka sądowa rozłożyła folię, aby zabezpieczyć problematyczne stopnie.

Na korytarzu nie ma wiele do oglądania, sądząc po małej liczbie znaczników z numerami, jakie ustawiła Aguado. Ślady napastnika, plamy krwi i niewiele więcej.

Jednakże Antonia Scott robi wszystko po swojemu. Ignoruje pomarańczowe plastikowe trójkącki Aguado i daje się ponieść swojemu ćwiczeniu, chłonie każdy szczegół miejsca zbrodni. Przesuwa wzrok z jednego elementu na drugi w nieustającej pętli, w której są następujące przystanki:

Poręcz schodów, gdzie jeden z nitów jest lekko poluzowany.

Ułożenie ciała, twarzą do dołu, ręce pod tułowiem.

„Piżama, rana obronna, cięciauraztwarzyzbardzobliskatowymagawyjaśnieniadośćprosz...

– Będzie potrzebować jednej z tych – szepcze Aguado do Jona, który stanął obok niej, w bezpiecznej odległości.

Pokazuje mu małe metalowe pudełeczko.

– Ja się tym zajmę, doktoroko.

Wrywa jej pudełeczko z pożółkłych od nikotyny palców i chowa je do kieszeni. Zazwyczaj od Aguado mocno czuć tytoń, ale w ostatnich dniach zapach się utrwalił, jakby był do niej przyklejony.

- Nie da jej pan kapsułki? - pyta zdziwiona.

- Nie, jeśli mogę tego uniknąć. W Maladze miała kryzys i sobie poradziła.

- Nie pierwszy raz. Proszę...

Wydaje się, że doktorka chciała mu coś powiedzieć, ale Jon kończy temat bez mrugnienia okiem.

- Wyjdzie z tego własnymi metodami.

- Nie sądzę, żeby to było najlepsze rozwiązanie, zważywszy, że...

Aguado nie kończy zdania. Ale nie musi tego robić. Jon już wie, co ma na myśli.

„Zważywszy, że od tego zależy twoje życie”.

- Ufam jej.

- Rozumiem - odpowiada ona, przeciągając nieco sylaby. - Pańska decyzja.

Sceptyczny i uprzejmy głos Aguado brzmi jak „to twój pogrzeb, idioto”, ale mimo to Jon nie ma wątpliwości. Albo ma ich bardzo niewiele.

Albo dużo, zgoda, ale trzyma się jak przystało na prawdziwego mistrza.

Nie zamierza zdradzić Antonii.

„Ważniejsze od pozostania przy życiu jest pozostanie człowiekiem”.

- Ufam jej - powtarza. Bardziej do samego siebie.

6

Schody

Obiekt zmartwień Jona nie wzbudza w tej chwili zbyt dużego zaufania.

Chwieje się, opiera o ścianę, trzymając się rękami za głowę. Nie przypomina osoby, która osiągnęła szczyt równowagi, ani zewnętrznej, ani wewnętrznej. Oddycha głośno i szybko i wydaje się, jakby milimetry dzieliły ją od ataku paniki.

Liczy do dziesięciu, wydychając powietrze między każdą cyfrą, schodząc po stopniach coraz niżej, aż do miejsca, w którym potrzebuje się znaleźć, aż do ciemności. Dokąd nie jest w stanie dotrzeć.

Koany prawie na nic się nie zdają. Słowa już jej nie przytrzymują.

„Musisz znaleźć swoją historię”, powiedział jej Mentor. „Swoją historię. Pośród złości i spokoju”.

W Maladze nie zeszła po schodach, tylko pokonała most. Swoją historię znalazła wtedy we wspomnieniu o matce. Udała się do takiego miejsca w samej sobie, gdzie nie była nigdy przedtem. Wróciła zraniona, lecz silniejsza.

Nie chce ponownie korzystać z tego miejsca. Ból jest zbyt duży, zbyt świeży. Odkąd to się zaczęło (a Antonia jest prawie pewna, że ten początek zbiega się z momentem, w którym Jon pojawił się w jej życiu), jej rytuały spokoju, jej trzy minuty dziennie stały się sporadycznym luksusem. A w ciągu ostatnich dni były wręcz niemożliwe. Spokój nie jest żadną opcją. Poczucie winy podąża za nią wraz z każdym stawianym krokiem. Czasami odnosi wrażenie, że jeśli obróci się wystarczająco szybko, zdoła zobaczyć ich za sobą. Cały szereg martwych osób, które zostawiła porzucane na ziemi przez swoją nieporadność, przez swoją niekompetencję. Dlatego że nie jest wystarczająco silna.

„I być może na tym polega problem”, zastanawia się, stojąc na środku schodów w swoim umyśle, w odległości zaledwie dwóch stopni od ciemności. „Może się myłę. Może myli się Mentor”.

Wtedy robi czegoś, czego nie robiła nigdy przedtem.

Odwraca się.

Za nią nie ma ośmiu stopni, tak jak wcześniej. Teraz jest ich więcej, znacznie więcej. A schody nie są proste, lecz kręte. Obracają się wokół siebie, a im wyżej, tym stają się węższe.

Antonia zaczyna wchodzić.

Otwiera oczy.

Nagle świat staje się coraz wolniejszy, coraz mniejszy. Znika elektryczność, która mrowiła ją w rękach, w klatce piersiowej i na twarzy.

Bierze ostatni wdech i przekonuje się, że mały w jej głowie siedzą prawie po cichu. Nie jest tak jak po połknięciu czerwonej kapsułki, nic nie może jej zastąpić. Ale nie pamięta, kiedy ostatni raz

(nigdy)

miała taką

(jasność umysłu)

ciszę.

Kieruje wzrok na miejsce zbrodni. I zaczyna widzieć.

– Zabójca wszedł drzwiami od ogrodu. Mają czujnik nacisku, więc domyślam się, że musiał wyłączyć alarm. Chyba że sami zapomnieli wyłączyć, w co nie wierzę. Doktorko?

– Sprawdzę to – mówi Aguado.

Antonia nie odpowiada, wciąż jest w swojej bańce, wizualizując szczególnie miejsca zbrodni, każdy jeden, niemal jakby mogła przewinać film w swojej głowie. Czy raczej – nakręcić go od nowa. Ponieważ w swoim umysłowym schemacie przedstawia postaci, aż pasują jej do dowodów.

– Wszedł po schodach i tu natknął się na męża. Jak się nazywa?

– Jaume Soler. Ona Aura Reyes.

- Jaume zaatakował go kijem golfowym. Napastnik musiał się bronić...

Antonia podnosi rękę, a potem skręca ciałem w bok. Następnie się schyla i bierze kij golfowy, który Aguado już spakowała i oznakowała. Ogląda go uważnie.

- Jest mańkutem. Podniósł rękę, żeby się chronić, tę samą, w której trzymał nóż.

- Skąd...?

- Ślady na kiju golfowym. Jeden z nich został popchnięty na poręcz.

Wskazuje miejsce, w którym nity nieco się poluzowały.

- Walka trwała bardzo krótko. Wpół śpiący i niewytrenowany człowiek nie ma nic do powiedzenia w starciu z doświadczonym mordercą.

Antonia patrzy na ciało leżące na podłodze, a potem na ścianę, gdzie krew kobiety zostawiła nieregularny półokrąg na pomalowanej farbą ścianie.

- To on był celem - mówi.

- To mogła być kobieta.

- Najpierw ugodził jego, a potem ruszył do niej.

- Może chodziło o pozbycie się zagrożenia, jakie stwarzał mężczyzna.

Antonia wskazuje ranę na boku denata. Rozdarcie piżamy jest niewielkie, mimo że rana krwawiła obficie.

- Proszę zwrócić uwagę na nacięcie między żebrami. Myślę, że kiedy zrobi pani autopsję, okaże się, że nawet nie musnął kości.

- Zgadzam się. To robota zawodowca. Precyzyjne pchnięcie - przyznaje Aguado.

- Jej rana była... inna. Rana na brzuchu, jak rana pierwotna? Zawodowiec nie robi takich rzeczy. To on był celem. Ona była...

Jon, który milczał przez cały ten czas, uważnie przysłuchując się wymianie zdań Antonii z Aguado, wybiera ten moment, żeby się wtrącić.

- Deserem. Bawił się z tą kobietą. Ale zjawiliśmy się my.

Nie dodaje „Tak więc mimo wszystko uratowaliśmy jej życie”, bo nie jest w nastroju, żeby znosić protesty Antonii. Ale i tak rzuca to zdanie w przestrzeń, żeby miała się przynajmniej czego chwycić.

Antonia przytakuje, bardzo poważna.

Oczy ma płonące, błyszczące.

Gdyby Jon nie wiedział, że nie miała jak tego zrobić (ponieważ pilnował jej bardzo uważnie), podejrzewałby, że znowu wzięła jedną z czerwonych kapsułek. Ale nie. Wygląda na to, że tym razem udało jej się zapanować nad tym własnymi metodami. Wciąż ma nieregularny puls i w dalszym ciągu przechyla głowę, może próbuje słuchać tych swoich małych albo się od nich odsunąć. Ale tym razem przynajmniej nie uciekła ani się nie obwinia.

„Małe zwycięstwa”, myśli Jon.

– Możliwe. Ale nie przyjechaliśmy wystarczająco szybko – mówi, wskazując ciało na podłodze.

„Wraz z porażkami”, myśli Jon.

– Możemy go odwrócić?

Aguado przytakuje i nachyla się nad ciałem. Zwinnie (i dzięki doświadczeniu, wszak odwracała dziesiątki ciał) wkłada przedramię pod klatkę piersiową ofiary, żeby ją podważyć. Drugą ręką ciągnie za kość biodrową. Denat natychmiast się odwraca.

Jon też się nachyla i z przerażeniem obserwuje ranę na szyi, głęboką i nieprzyjemną. Wygląda jak drugie usta w nieodpowiednim miejscu. Makabra, która obraża wzrok i zdrowy rozsądek.

Trudno na to patrzeć i nie odwrócić oczu, co właśnie robi Jon. Kiedy jednak przekręca głowę, natyka się na Antonię. Siedzi w kucki i jej twarz jest znacznie bliżej, ma ją niemal naprzeciwko siebie, a nie jak zwykle z góry albo z boku.

I tak inspektor Gutiérrez znajduje się kilka centymetrów od dramatu. Jest uprzywilejowanym świadkiem dezorientacji i zdziwienia w jej oczach, które nie odrywają się od dwóch zimnych i nieruchomych oczodołów denata.

– Nie – mówi.

Nie dodając nic więcej, Antonia podnosi się bardzo powoli i kieruje do sypialni.

Jon i doktorka Aguado wymieniają spojrzenie. Ona daje mu znak i Jon rusza za Antonią, która przystanąła przy oknie w sypialni.

Nawet z korytarza może dostrzec, że się trzęsie.

Jon podchodzi, stąpając po parkiecie dość głośno, żeby jej nie przestraszyć. Staje obok niej i patrzy przez okno. Wychodzi na wschód, więc rano słońce zalewa łóżko. Aberracja w opinii Jona, który nie cierpi nawet najmniejszego światła podczas odpoczynku. Gdyby mógł, spałby w baku paliwa.

Słońce jeszcze nie wzeszło, ale światło na zewnątrz przechodzi z barwy indygo do magenty. Na ulicy policjanci opatulają się kurtkami i tupią, próbując odegnąć chłód. Czworo ciekawskich sąsiadów zniknęło już w swoich domach.

W środku oddech Antonii skrapla się na szybie, tworząc delikatną chmurę, półokrąg w niemal identycznym kształcie jak krew kobiety na ścianie, za ich plecami. To coś, z czego ani Jon, ani Antonia nigdy nie zdadzą sobie sprawy.

– No i? Opowiesz mi, co takiego zaskoczyło Antonię Scott? Tę kobietę, która zwykle patrzy na rozszarpane ciała z obojętnym wyrazem twarzy?

Jon zarzuca przynętę i czeka.

Mija minuta.

Mijają dwie minuty.

– Nie poganiam. Nie żeby nam się spieszyło czy coś – mówi Jon, kiedy od czekania nadymają mu się nozdrza.

Antonia dalej patrzy przez okno ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Kiedy zaczyna mówić, robi to irytująco powoli, jak gdyby każde słowo wydobywała za pomocą kilofa i szpadla z przeszłości pogrzebanej pod całą toną skał.

– Byłam tak bardzo zaskoczona, bo ten mężczyzna nie żyje od czterech lat.

Trup, cztery lata wcześniej

– Nawet nie spróbowałaś karczochów.

Antonia patrzy na swojego męża, następnie na pusty talerz i znowu na swojego męża.

– Już nic nie zostało – odpowiada, nie rozumiejąc.

Marcos się uśmiecha. To słodki, lekko krzywy uśmiech. To ten rodzaj uśmiechu, jaki pojawia się na twojej twarzy, kiedy widzisz dziecko, które ledwie uchodzi z życiem, wkładając palce do gniazdka, albo uczestnika teleturnieju, który wybrał oczywiście niepoprawną odpowiedź – „chodzi o sól”, myślisz, kręcąc głową, i uśmiechasz się półgębkiem.

– Chcesz, żebym zamówił coś innego? – pyta, znając już odpowiedź.

– Nie. Nie jestem głodna.

Marcos patrzy na swoją żonę, następnie na pusty talerz po flakach po madrycku i znowu na swoją żonę.

– Niesamowite, jak możesz przeżyć, jedząc tak mało.

Antonia ma mgliste poczucie, że Marcos sobie z niej drwi, ale nie przywiązuje do tego większej wagi. W ciągu ostatnich dni prawie nie mieli czasu, żeby ze sobą pobyc, więc korzysta z okazji. Kiedy on wyciąga rękę nad stolikiem, ona ją chwyta i mocno ściska. Nie da się w ten sposób zrobić Marcosowi krzywdy. Jego kwadratowe dłonie są twarde, szorstkie, jakby były wyrzeźbione z tego samego kamienia, z którym on pracuje na co dzień.

– Moja kolej – mówi ona, wyciągając rękę, kiedy kelner przynosi rachunek.

– Moja kolej – mówi on, starając się ją ubiec.

To stary zwyczaj.

Odkąd zaczęli się spotykać, walczyli ze sobą o to, kto płaci rachunek. Z początku dla Antonii to była kwestia dumy, ponieważ Marcos pochodzi z dobrze sytuowanej rodziny. Ona też, ale po zerwaniu więzi z ojcem jest zdana na siebie.

Teraz Antonia ma pięciocyfrową miesięczną pensję, a więc może rywalizować z Marcosem na równych warunkach. Jego rodzice już nie żyją, ale zostawili mu w spadku budynek, w którym mieszkają.

Opłaty za wynajem zapewniają im co miesiąc niezłą sumkę, nawet po zapłaceniu wszystkich rachunków. Najemcy to w większości hipsterzy. Chętni przepłacać, byle tylko mieszkać jak najbliżej centrum, jak najbliżej barów z piwem rzemieślniczym i kawiarni estetycznie kompatybilnych ze swoimi *stories* na Instagramie.

Marcos może się poświęcać rzeźbie, która jest jego pasją. Sztuka go pochłania i wypełnia, robi gigantyczne postępy. Miał już dwie w miarę przyzwoite wystawy i wszystko wskazuje na to, że jego kariera niebawem wystrzeli. Ma czas dla swojego syna, a to najważniejsze, zwłaszcza że Antonia pracuje o dziwnych porach i spędza długie okresy poza domem. Ze względu na swoją pracę jako „konsultantka” policji. Pracę, która intryguje Marcosa, nigdy jednak o nią nie pyta, ponieważ Antonia dała jasno do zrozumienia, że nie będzie o tym mówić.

– Nie chcę – tak brzmiało jej całe wyjaśnienie.

Marcos nauczył się rozumieć ten aspekt życia swojej żony. Doprowadza go do szału, ale wie, że jest to część tego, co czyni ją wyjątkową. Wiąże się to z podstawowym elementem jego zawodu. Wydobyć piękno świata, nawet jeśli na pierwszy rzut oka jest ono ukryte.

Podobno pewnego dnia Michał Anioł znalazł kawałek marmuru karraryjskiego na dziedzińcu katedry we Florencji, na którym trwały roboty budowlane. Młody rzeźbiarz miał dwadzieścia sześć lat i nie bał się wyzwań. Tamten kawałek skały zjadany przez chwasty był uważany za przeklęty. Nawet rzeźbiarz Agostino di Duccio zrobił w nim wielką dziurę i zostawił. Pięć metrów marmuru, którego nikt nie chciał.

Michał Anioł przyglądał mu się miesiącami, chodził wokół niego, siadał na nim, a nawet przykładał do niego ucho. Studenci i zakonnicy

przechodzili obok i patrzyli na niego, jakby był szalony.

Pewnego dnia Michał Anioł sięgnął po dłuto i wziął się do pracy. Nie miał gipsowego odlewu ani żadnych szkiców. Po prostu zaczął kuć. Po tygodniu poprosił, by wokół marmurowego bloku wzniesiono duży mur. To, co zamierzał zrobić, wymagało prywatności.

Zajęło mu to cztery lata.

Pewnego dnia Michał Anioł obwieścił, że za kilka godzin każe zburzyć mur. Cała Florencja zebrała się na dziedzińcu i w okolicy, mieszkańcy byli zaintrygowani i przekonani, że młodzieniec poniósł klęskę. Robotnicy rozwalili cegły. A świat po raz pierwszy mógł podziwiać *Dawida*. Arcydzieło renesansu, a być może i całej historii ludzkości.

Oniemiały ze zdumienia i podziwu, biskup Florencji podszedł do Michała Anioła i zapytał go, jak zdołał zrobić coś tak idealnego. Michał Anioł wzruszył ramionami i rzekł:

– Dawid znajdował się w bloku marmuru, ja tylko usunąłem to, co zbędne.

Marcos nie jest Michałem Aniołem, ale wykonuje ten sam zawód. I wie, że z najtrudniejszych bloków wydobywa się najpiękniejsze rzeźby. Jego miłość do Antonii jest ogromna właśnie dlatego, że nie jest łatwa. Ponieważ wymaga wysiłku, ale przynosi satysfakcję. Ponieważ ona poświęca się, tak samo jak on, bez reszty. Dlatego kocha ją do szaleństwa.

Mimo że niekiedy Antonia całkowicie wyprowadza go z równowagi. Jak na przykład teraz.

Nie przestaje patrzeć na zegarek, a przecież została jeszcze godzina, zanim niania będzie musiała wyjść.

– Jorge jest w dobrych rękach. Rozluźnij się. Zjedzmy lody.

Antonia kręci głową.

– Muszę wykonać kilka telefonów. Nie masz nic przeciwko, żebyś wyszedł sam? Zrekompensuję ci to.

Marcos wzdycha, ale wyczuwa słabość, więc robi z tego użytek, żeby się targować.

- Zależy.

- Od czego?

- Od tego, czy rekompensata ma jakiś ukryty cel.

- Oczywiście, że nie, jaki znowu cel...?

Antonia milknie, kiedy widzi gest, jaki Marcos wykonuje palcem wskazującym prawej dłoni oraz palcem wskazującym i kciukiem lewej dłoni. Uśmiecha się, gani go nieco i się rumieni – te trzy rzeczy jednocześnie. Widząc to, Marcosowi robi się ciepło na sercu, podobnie jak w innych mięśniach.

- Dziś w nocy możemy porozmawiać o polisemii – poddaje się Antonia – jeśli masz jakieś nowe słowo do naszego wyjątkowego słownika.

- Mam jedno. Z łaciny. Potem ci powiem.

Marcos daje jej buziaka, żegna się i rusza w stronę drzwi. Antonia go obserwuje, jeszcze z resztkami delikatnego uśmiechu, który znika w chwili, gdy on wychodzi. Z kieszeni kurtki wyciąga małe metalowe pudełeczko i wyjmuje z niego czerwoną kapsułkę, którą ma przy sobie w razie nagłego wypadku. Siekaczami rozgryza żelatynę, uwalniając upragniony gorzki proszek, po czym bierze go pod język, żeby śluzówka wchłonęła chemiczny koktajl i z największą prędkością przeniosła go do krwiobiegu.

Czeka trochę, czując, jak świat wokół niej zwalnia, po czym koncentruje się na zagrożeniu za swoimi plecami.

- Mam nadzieję, że wie pan, gdzie i z kim zadziera – mówi głośno, nie odwracając się.

Mężczyzna zajmujący stolik za Antonią wstaje i podchodzi do miejsca, które właśnie opuścił Marcos.

- Za pozwoleniem.

- Nie potrzebował pan go, kiedy śledził nas na całej ulicy Preciados, ani kiedy wchodziliśmy do sklepów i robiliśmy zakupy. Ani kiedy wręczył pan pieniądze kelnerowi, żeby usadzono pana przy tym stoliku – wylicza Antonia.

Mężczyzna ma jakieś czterdzieści pięć lub czterdzieści sześć lat. Jest wysoki, barczysty, nieco przygarbiony. Kataloński akcent. Nosi okulary, ma małą bródkę i to przymrużone spojrzenie krótkowidza, typowe dla osób, które spędzają wiele godzin przed komputerem. Może księgowy. Nie został wyszkolony do przemocy. W głowie Antonii poziom czujności spada z niebezpieczeństwa do zaniepokojenia. Słusznie zrobiła, pozwalając, by śledził ich całymi godzinami, nie zawiadamiając Mentora. Po jego zachowaniu domyśliła się, że chce z nią tylko porozmawiać. Ale nie przy Marcocie.

– Przysiągłbym, że mnie pani nie widziała – mówi mężczyzna. – Naprawdę jest pani tak niesamowita, jak mówią.

– Kto tak mówi?

– Wszyscy. A przynajmniej ci, którzy wiedzą o tym, co się stało w Walencji.

Antonia nieco wnikliwiej przygląda się swojemu rozmówcy.

„Zdecydowanie żaden z niego księgowy. Koszula jest dobrej jakości, droga. Mankiety błyszczą delikatnie wokół guzików. Marynarka jest wygodna, ale nie chodzi w niej do pracy. Siada przed komputerem, ale nie wkłada jej, żeby chodzić do biura, na materiale nie ma charakterystycznego śladu, tego wybrzuszenia, kiedy się ją wieszka, ani tego zagniecenia, kiedy zostawia się ją na oparciu krzesła. Wkłada ją tylko wtedy, gdy wychodzi na ulicę. Żadnego krawata. Paznokcie przycięte, włosy dobrze ostrzyżone”.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Doskonale pani wie, o czym mówię, i ja też.

– Chciałabym poznać pańskie nazwisko.

– Przyszedłem powiedzieć pani to, co powinna pani wiedzieć, a nie to, co by pani chciała.

I tak oto ten obcy mężczyzna zaczyna opowiadać jej dziwną i bez wątplenia nieprawdziwą historię. O płatnym zabójcy. Wyjątkowo niebezpiecznym człowieku.

– Każde morderstwo może upozorować na przypadkową śmierć. Nawet te najbardziej skomplikowane. Pracował w Ameryce, na Bliskim Wschodzie, w Azji... Od kilku miesięcy działa w Europie.

Mężczyzna podaje jej fotografię. Antonia nie wyciąga ręki, więc kładzie ją przed nią. Między szklanką wody a cukiernicą.

Zdjęcie zostało zrobione z daleka i przedstawia eleganckiego około trzydziestopięcioletniego mężczyznę. Jasne falowane włosy. Właśnie ma wsiąść do samochodu. Antonia myśli, że przypomina nieco tego szkockiego aktora, który grał w filmie *Moulin Rouge*. Ale trudno powiedzieć. Zdjęcie jest niewyraźne.

– To jego jedyna istniejąca fotografia. Zresztą on nie wie, że ona istnieje. W przeciwnym razie nie spocząłby, dopóki by jej nie zniszczył i nie zabił wszystkich, którzy ją widzieli. Lubuje się w takich teatralnych gestach.

– Dlaczego pan mi to wszystko opowiada?

– Ponieważ ten człowiek to demon, pani Scott. Jest bezwzględny i odznacza się nadludzką inteligencją. Żeby go zatrzymać, potrzebny jest ktoś taki jak pani.

– Ja? Ja jestem filolożką.

– Na pewno nie jest pani aktorką – mówi mężczyzna, kładąc sobie rękę na brzuchu.

Nie ulega wątpliwości, że jest głodny i spragniony. Śledził ich przez cały dzień i nie miał czasu niczego zamówić. Siedzą na tarasie jednej z najlepszych restauracji w Madrycie, na dachu budynku. A plac Puerta del Sol, Brama Słońca, w samym środku czerwca i o czwartej po południu, w pełni zasługuje na swoją nazwę.

Antonia podnosi palec i natychmiast zjawia się jeden z kelnerów. Po chwili wraca z butelką wody dla mężczyzny i kawą dla niej.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego śledził mnie pan przez cały dzień. Mogłabym pójść na policję.

– Pani Scott, samo istnienie tego... osobnika, tak go nazwijmy, jest powodem, dla którego stworzono projekt Czerwona Królowa.

„Zdecydowanie informatyk. Nie żaden dyrektor, to nie pasuje do jego sposobu mówienia ani poruszania się. Inżynier, zewnętrzny konsultant”, dochodzi do wniosku Antonia. „Akcent z Barcelony. Może to jedna z tych osób zaangażowanych w nowe narzędzie, które zaczęli testować przed Walencją? Komputery są w Barcelonie”.

– Niezbyt mądre jest używanie tych dwóch słów w miejscu publicznym.

– Jestem zdesperowany. Potrzebuję pani pomocy. I proszę mi wierzyć, nie będzie mogła pani odmówić. Nie po tym, jak pani opowiem, co wiem.

Antonia pochyła się na stolikiem.

– A zatem proszę mówić. Zostało mi pięćdziesiąt minut do podwieczorku. Proszę zacząć od swojego nazwiska. Proszę powiedzieć, co łączy pana z projektem Czerwona Królowa. I proszę mnie nie oszukiwać. Jeśli naprawdę pan wie, kim jestem, wie też, że to sprawdzę.

Mężczyzna odchyła się na oparcie, uciekając od Antonii. Spogląda przez ramię i za siebie. Stoliki pustoszeją, w miarę jak klienci kończą swoje posiłki. Wokół nich nie ma już nikogo.

– Tutaj... tutaj nie – mówi jednak mężczyzna. – Porozmawiamy kiedy indziej. Proszę pomyśleć o tym, co pani powiedziałam.

Wstaje niezdarnie, uderzając oparciem swojego krzesła o to stojące za nim. A potem odchodzi, nie oglądając się za siebie.

Antonia jeszcze przez chwilę siedzi przy stoliku, myśląc o tym dziwnym spotkaniu. Nie mówi ani słowa, z wyjątkiem chwili, kiedy podchodzi kelner, żeby zabrać pustą butelkę po wodzie. Antonia na to nie pozwala. Potem bierze serwetkę i chwyta butelkę za szyjkę, uważając, by nie dotknąć dolnej części, tam, gdzie mężczyzna kładł palce.

7

Bilet

– I to wszystko – mówi Antonia, która przez całą opowieść nie oderwała wzroku od okna.

Na zewnątrz słońce pojawiło się na horyzoncie. To będzie jeden z tych mroźnych madryckich poranków. Na niebie nie ma ani jednej chmury, żadnego śladu ciepła. Jon myśli, i nie on pierwszy, że zimą w Madrycie słońce bardziej chłodzi, niż ogrzewa.

– I już więcej się z nim nie zobaczyłaś?

– Nie. Dwa dni później White wtargnął do naszego mieszkania. Doprowadził do tego, że Marcos zapadł w śpiączkę. Mnie o mało nie zabił. Resztę już znasz.

„Nie”, myśli Jon. „Nie znam reszty”.

„Nie wiem nic o tych trzech latach. Nie wiem, co zrobiłaś, jak bardzo się zatraciłaś”.

„Nie wiem, ile zostawiłaś po drodze. Co straciłaś wtedy i co zyskujesz teraz. Bo pozbieranie cię do kupy to jak układanie cholernych puzzli bez wzorcowego obrazka. Po ciemku. Ze związanymi oczami”.

„Nie wiem, ale się dowiem. Jak sama zawsze mówisz. Jeśli mi pozwolisz. Gdybyś mi pozwoliła”.

Jon chce na nią krzyczeć. Chce ją przytulić. Chce być tysiąc kilometrów stąd, bez bomby na plecach i z piwem w rękę.

Ale świat to nie jest cudowna fabryka ekstrawaganckiego Willy’ego Wonki. Jedyne bilety, jakie zdobędziesz na pewno, nie jest złoty ani nie zabierze cię w magiczne miejsce z rzekami czekolady, tylko w zupełnie inne.

A na bilecie Jona godzina odjazdu zbliża się coraz bardziej.

- Rozumiem, dlaczego nie chciałaś mi o tym powiedzieć wcześniej.
- Dwa dni, Jon. Miałam pełne dwa dni, żeby coś zrobić. A mimo to...
- Nie zrobiłaś nic, bo uznałaś, że to bełkot jakiego szaleńca. Ale i tak pobrałaś jego odciski, prawda?

- Tak. Ale powiedziano mi, że ten człowiek nie żyje.

- Wygląda na to, że nie.

- Jeszcze do tego wrócimy. Najpierw sprawdźmy, kim jest ofiara. Nie moje związki z tym są najważniejsze, tylko to, żeby się dowiedzieć, kto go zabił - mówi Antonia, odchodząc od okna.

- Mylisz się.

Antonia odwraca się z dziwnym wyrazem twarzy. Jest bardziej zaskoczona niż zaintrygowana.

O ile pamięta, Jon nigdy wcześniej nie powiedział czegoś takiego.

- Twój mózg. Sposób, w jaki musi funkcjonować... jest zaprogramowany na dowody - mówi Jon, wskazując swoją głowę. - Na analizowanie ich i wyciąganie wniosków. To wszystko, z czym mamy do czynienia, ten cały bałagan, próbujesz ułożyć na nowo w swojej głowie...

„To samo ja robię z tobą”.

- ...kawałek po kawałku, kolorami. Te wszystkie „co” i „jak” odsuwają cię od tego, co najważniejsze.

Antonia milczy, patrząc na podłogę, jakby odpowiedź znajdowała się w jakimś nieokreślonym punkcie między palcami jej stóp.

- Zgoda. Najważniejsze jest „dlaczego”.

- To nie może być przypadek, że to właśnie ten człowiek powiedział ci o Whicie cztery lata temu, a teraz nie żyje. Ktoś tak pilnie strzegący swojej prywatności, że eliminuje każdego, kto wie o jego istnieniu?

- Chcesz mi powiedzieć, że to on go zabił?

- To bez sensu. Skoro zaciera ślady, zabijając Solera, dlaczego miałyby zlecać nam rozwiązanie sprawy tego morderstwa?

- Morderstwa, do którego wiedział, że dojdzie. Pamiętaj, że najpierw podał nam adres. I dopiero kiedy tu byliśmy, przysłał drugą wiadomość.

- To nadal nie ma sensu.

- Może to część jego gry.

- To błędne koło. Zabił go, bo z nami gra. Twoje najważniejsze pytanie pozostaje otwarte. Dlaczego?

Jon kładzie opuszkę palca na ustach, jak zawsze, kiedy zamierza rzucić jakieś głębokie stwierdzenie.

- Nie mam, kurwa, pojęcia.

Antonia pociera twarz, przeczesuje ręką włosy (nie poprawiając panującego na głowie bałaganu) i wreszcie wypowiada to samo stwierdzenie, które właśnie rzucił inspektor Gutiérrez, tyle że w wersji Scott.

- Pracujmy nad tym, co już wiemy. Czas ucieka.

Dziadek do orzechów

Kiedy wracają na korytarz, doktorka Aguado zbiera swoje narzędzia. Jona zawsze fascynowało to, jak wiele przyrządów i gadżetów nosi ze sobą lekarka sądowa. Linijki, skalówki, liny, lupy, aparaty fotograficzne, słoiki z wszelkiego rodzaju proszkami, produktami chemicznymi i odczynnikami, plastikowe torebki i puste pojemniki wszelkich możliwych rozmiarów. Fascynuje go to, że opanowała posługiwanie się tymi wszystkimi rzeczami, ale jeszcze bardziej fascynuje go pewien pozornie mniej znaczący szczegół. Kiedy kończy pracować, tak jak teraz, z powrotem wkłada każdą z tych rzeczy do swoich dwóch stalowych walizek, nie pozostawiając ani jednego spinacza. To niesamowita umiejętność, którą człowiek może zrozumieć, kiedy kupuje jakiś produkt wykonany w Chinach, wyjmuje go z pudełka, przekonuje się, że nie działa, i próbuje wsadzić go z powrotem do pudełka w identycznym stanie, w jakim je dostał.

- Nic tu po mnie. Miejsce zbrodni zostało zbadane, resztę domu zostawiam technikom, choć nie sądzę, żeby było tam cokolwiek do zrobienia.

- Profesjonalna robota - zgadza się Antonia.

- Coś poszło nie tak. W przeciwnym razie zastałby ich bezbronnych w łóżku i zabił, nie robiąc takiego bałaganu.

- Może kobieta coś zobaczyła - zgaduje Jon. - Będziemy musieli z nią porozmawiać.

- Jest na OIOM-ie w szpitalu La Zarzuela. Poprosiłam Mentora, żeby postawił przed jej drzwiami ochronę. Jeśli widziała zabójcę, może ten

zechce tam pójść, by dokończyć dzieła. Ja tymczasem wracam do kwatery i zagonię wszystkich do pracy. Może coś znajdziemy.

– Dziękuję, doktorko – mówi Antonia.

Po wielu minutach sprawdzania domu (z policyjnego punktu widzenia tak zwyczajnego i nudnego jak każdy inny) oboje spotykają się jednocześnie przed drzwiami gabinetu Jaume Solera.

To zaskakująco skromnie urządzone miejsce. Regał pełen książek na temat języków programowania i podręczników oprogramowania. Jon zwraca uwagę, że na grzbiecie jednego z nich pewne nazwisko rzuca się w oczy.

– Wygląda na to, że facet był też pisarzem – mówi, wyjmując jedną z książek i pokazując Antonii.

„Deep learning and high-level programming languages by Jaume Soler, Ph. D.”, widnieje na okładce. Ilustracja przedstawia prosty rysunek mózgu stworzonego z jedynek i zer.

Nie ma więcej książek autorstwa Solera, za to mnóstwo rodzinnych zdjęć. Największe z nich wisi na ścianie, w pobliżu biurka. Fotografia z dnia ślubu właścicieli domu. W ślubnym garniturze Jaume wydawał się znacznie młodszy i miał minę idioty. „Wszyscy panowie młodzi robią minę idioty, ale ta jest godna konkursu”, myśli Jon.

Trudno jest ocenić szczęście małżeństwa na podstawie zdjęć, ale przez te wszystkie lata pracy w policji inspektor Gutiérrez rozwinął w tym celu pewien mięsień. Mięsień, który najwidoczniej nie jest odpowiednio rozciągnięty, ponieważ Jon nie potrafi wysunąć żadnych wniosków na podstawie tego, co widzi. Pan Soler należy do osób z takim wyrazem twarzy, z którego nie da się wyczytać, czy skrywa za nią inteligencję, czy ukryte motywy. I Jona wyjątkowo to niepokoi.

Za chwilę się przekona, że ma całkowitą rację, ale na razie jest zbyt zajęty czymś innym, co wywołuje u niego dysonans poznawczy.

– Czegoś tu nie rozumiem. Skoro facet jest informatykiem, to dlaczego na półkach nie ma ani jednego Funko? Ani jednej figurki z Pogromców

Duchów, nawet żałosnego Dartha Vadera... Czegokolwiek?

– Myślałam, że nie lubisz banałów.

– O jakie banały ci chodzi?

– Stereotypy. Jak ten, że wy, geje, ubieracie się ekstrawagancko.

– Skarbie, mam na sobie zielony garnitur od Dolce & Gabbana. Przez ciebie prawie w nim umieram.

Jon zbyt późno uzmysławia sobie, że nie mówi wyłącznie o tym, że Antonia wybrała mu strój jak na imprezę zamiast któregoś z neutralnych garniturów, które zwykle wkłada do pracy. Od razu żałuje tych słów, ale na szczęście z pomocą przychodzi mu typowa dla niej głuchota na sarkazm.

– Ja uważam, że jest elegancki.

– Ale nie na miejsce zbrodni.

Bierze głęboki wdech i rozgląda się dookoła.

– Nie wiem, piękna. Ten gość nie wygląda mi na czystego. Coś mi tu nie pasuje.

Antonia grzebie w szafce stojącej obok biurka. Jej dłonie w lateksowych rękawiczkach zdają się dźgać różne przedmioty – głównie artykuły papiernicze – chaotycznie i bez wyraźnego powodu.

– Z heurystycznego punktu widzenia intuicja to informacja nieprzetworzona racjonalnie, która może wywołać efekt poznawczy z pominięciem logicznych procesów myślowych.

Jon zastanawia się, co właśnie usłyszał.

– Żebym ja cię chociaż zrozumiał.

Antonia z kolei zastanawia się, jak przetłumaczyć Jonowi to, co właśnie powiedziała. Nie zna żadnego słowa w żadnym języku, które by to oddało, ma jednak osobiste doświadczenie, którym podzieliła się z Jonem i do którego teraz się odwołuje. On jest jedyną żyjącą osobą, która o tym wie – oprócz jej babci.

– Może – mówi powoli, bo wciąż trudno jest jej opowiadać o tym na głos – ty też masz jakąś małpę, która coś ci pokazuje.

To Jon rozumie doskonale. Problem polega na tym, że małpa się nie zjawia, gabinet nie jest zbyt duży, a jedyne miejsce, które zostało do

przeszukania, to biurko. Mahoniowy blat na dwóch koźlach. Nowy model, jeden z tych, których wysokość można kontrolować prostym wciśnięciem guzika. Na biurku stoją laptop na stalowej podstawie, dwa trzydziestocalowe monitory oraz mechaniczna klawiatura.

Antonia wciska przycisk zasilania na komputerze i pojawia się ekran logowania. Uważnie przygląda się komputerowi, po czym wychodzi z pomieszczenia, sadząc długie susy. Długie jak na nią, ma się rozumieć. Zdumiony Jon rusza za nią tylko po to, by się przekonać, że zatrzymuje techników, dźwigających nosze, na których położyli wielki czarny worek.

– Proszę jeszcze chwilę poczekać – zwraca się do nich Antonia.

Potem biegnie do wyspy kuchennej, grzebie w szufladach i szybko wraca z czymś metalowym i podłużnym w dłoni.

– Dziadek do orzechów? Po co ci dzia...

Antonia nie odpowiada, tylko rozsuwa suwak worka i wyciąga prawą rękę denata. Cel, w jakim przyniosła dziadka do orzechów, staje się jasny, kiedy podnosi palec wskazujący trupa i ściska z całej siły na wysokości stawu międzypaliczkowego bliższego. Pierwsza próba nie przynosi żadnego rezultatu. Za drugim razem rozlega się głuchy, nieprzyjemny trzask. Jak otwieranie pistacji owiniętej w gotowaną szynkę.

– Och.

To jedyne, co mówi Jon. Okrzyk na tyle ambiwalentny, że może oznaczać cokolwiek w różnym przedziale, począwszy od:

„Och, a więc do tego był ci potrzebny dziadek do orzechów”

na „Och, chyba odjęło ci rozum” skończywszy.

Kiedy nadchodzi czas, by użyć drugiego narzędzia, które przyniosła sobie z kuchni (nożyce do ryb), Jon nie potrzebuje już patrzeć. Nie żeby mógł to robić, bo próbuje nie dopuścić do tego, żeby technicy nie zwalili się Antonii na głowę. W sposób dość energiczny, który polega na złapaniu jednego za klatkę piersiową, a drugiego za ramię. Na szczęście są bardziej przyzwyczajeni do podnoszenia szalek Petriego niż trzystukilogramowych kamieni, więc radzi sobie całkiem nieźle. Przynajmniej do czasu, aż Antonia utnie palec denata i wróci do gabinetu, zostawiając Jona z niewdzięcznym zadaniem udzielania wyjaśnień.

- Posłuchajcie, no więc...

9

Palec

Kiedy Jon wraca do gabinetu Jaumego Solera (po nerwowych dziesięciu minutach), Antonia siedzi przed komputerem, pochłonięta jego zawartością. Na mahoniowym blacie obok czytnika linii papilarnych leży porzucony palec, za pomocą którego należało się zalogować.

– Mogę cię o coś prosić?

Antonia wydaje z siebie coś, co przypomina leniwy pomruk zgody.

– Czy mogłabyś więcej nie okaleczać zwłok ofiar bez wcześniejszego poinformowania mnie o tym? Jeśli nie proszę o zbyt wiele.

Kolejny leniwy pomruk.

Jon obchodzi biurko i staje za nią. Kiedy mija chęć, by ją udusić (kiedy mija wystarczająco, bo przy Antonii to uczucie nie opuszcza cię nigdy), przygląda się temu, co robi.

Antonia dostała się do plików na komputerze i przegląda folder po folderze, szukając czegoś zrozumiałego. Na razie bez powodzenia. Za każdym razem, gdy otwiera folder, znajduje pozorny galimatias.

– Rozumiesz coś z tego?

– Nie. To są bloki kodu, pliki projektowe, ale nic, co mogłabym zrozumieć. Ty wiesz coś o programowaniu?

– Dla *amatxo* programowałem VHS, żeby nagrał jej się program *Aquí Hay Tomate*. Tyle ci wystarczy?

– Obawiam się, że nie – odpowiada Antonia i na powrót skupia się na ekranie.

– Jeśli to, czego szukamy, jest powodem, dla którego go zabito, możemy zacząć od tradycyjnego miejsca: jego pieniędzy. Może poszukasz

w swojej magicznej faszystowskiej satelicie, a mnie zostawisz komputer? Wygląda na to, że i tak zrozumiem z tego tyle samo co ty.

Antonia niechętnie, ale ustępuje Jonowi miejsca. Sięga po swój iPad i otwiera aplikację Heimdall. Po kilku minutach podnosi głowę i pokazuje Jonowi konta zmarłego.

– Na pewno nie wiodło im się źle – ocenia Jon, gwizdząc na widok łącznego salda.

Prawie dwa miliony euro. Do pełnej sumy brakuje kilku centów.

– W żadnym wypadku – przyznaje Antonia.

– Wiadomo, skąd ta kasa?

– Są miesięczne przelewy na pięćdziesiąt tysięcy euro. Od LLC, zagranicznej spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

– Zawsze z tej samej?

– Tak. Sprawdzę, kim są.

Antonia walczy z aplikacją, podczas gdy Jon siedzi z nosem w komputerze. Dla obojga te zadania są zwyczajnie nudne. A przy końcowym odliczaniu, które wisi nad ich głowami, stają się wręcz nieznosne. Co kilka minut spojrzenie Jona wędruje w róg ekranu, gdzie zegar nieubłaganie zmierza do kolejnej ostatecznej godziny, jaką wyznaczył im White.

Gdy człowiekowi towarzyszy niepokój, utrzymanie koncentracji staje się znacznie trudniejsze. Umysł Jona wymyka się na chwilę i błąka się, snując dziwną refleksję. Że jego życie nie może być rozliczane tylko na podstawie godzin, które mu pozostały, lecz także w niewypowiedzianych słowach. Te wszystkie słowa, które zostaną w nim, nie trafiając do swojego celu. Niektóre z nich przyniosłyby mu ostateczną ulgę, gdyby przekazał je osobom, którym jest jeszcze winien prawdę.

I są jeszcze inne słowa.

Te, które leczą, te, które ratują.

Bez wątpienia dla *amatxo*.

Dla Antonii też.

Dla samego siebie, bo samemu sobie winien jest najwięcej.

„Zawsze sobie powtarzamy, że jutro będzie nowy dzień, że będziemy mieć czas, żeby wszystko naprawić. Aż się okazuje, że nie”.

Antonia rzuca iPad na biurko gestem największej frustracji. To dla niej tak nietypowe, że Jon patrzy na nią przestraszony.

– Już nie mogę – mówi.

– Nie zawieźdź mnie teraz, tylko bez takich, piękna.

Antonia kręci głową i opiera się o biurko.

– Nie ma nic. Firmę od przelewów znalazłam na wyspie Jersey. To raj podatkowy. A poza tym nic. Tak, jakby nie istniała.

Jon drapie się po karku, co robi zwykle, kiedy musi pomyśleć. Tyle że ten gest, tak dla niego typowy, staje się przypomnieniem o zagrożeniu, kiedy jego palce natrafiają na wybrzuszenie na skórze oraz bliznę. Natychmiast zabiera rękę.

– Powiedziałbym ci, żebyśmy wrócili do domu i przespali się z tym problemem. Ale nie mamy czasu.

– Wiem. Wiem. A czuję, że wszystko mamy przed nosem. Że mieliśmy przez cały czas. Odkąd...

Zazwyczaj Jona strasznie wkurza to, co właśnie powiedziała Antonia. Ta mina pod tytułem: „tym, co powiedziałaś, podsunąłeś mi pewien pomysł, chociaż nie masz zielonego pojęcia, co to za pomysł, a teraz moje procesy myślowe działają pełną parą i nie będę zadawać sobie trudu, żeby ci to tłumaczyć”. Jednak tym razem czuje całkowicie zrozumiałą ulgę.

Antonia znowu bierze do ręki iPad i wklepuje coś z największą prędkością.

– Przelewy zaczęły się cztery lata temu.

– Przed czy po tym, jak się z nim spotkałaś?

– Miesiąc później przyszedł pierwszy. Bądź tak miły i otwórz aplikację kalendarza.

Ikona znajduje się na pasku narzędzi, dobrze widoczna. Podwójne kliknięcie i otwiera się, wyświetlając cały bieżący miesiąc. Każdy dzień jest wypełniony notatkami z dziwnymi nazwami.

„Zmontować blok 34HCV”.

„Usuwanie błędów str.substring”.

– Niczego nie rozumiem.

– Ani ja. Cofnij się o cztery lata.

Jon przechodzi wstecz miesiąc po miesiącu. Aż do czerwca, który wszystko zmienił.

– To jest dzień naszego spotkania – mówi Antonia wskazując jedenastego czerwca.

W kalendarzu nie ma ani jednej notatki. Pusty dzień, dziwne jak na człowieka, który ma wypełnione wszystkie inne.

Jest tylko jeszcze jeden pusty dzień.

Tydzień wcześniej.

– Wiesz, co to za dzień? – pyta Antonia cienkim głosem.

Jon wie, że słyszał już tę datę. Nagle słyszy głos Víctora Blázquez.

„Kiedy to się stało, był szósty czerwca...”

– Niemożliwe – mówi Jon. – Myślisz, że...?

– Poszukaj w mailu.

Jon robi, o co prosi. Próbuje na wszelkie możliwe sposoby, ale nic z tego. W skrzynce mailowej Solera nie ma prawie żadnych wiadomości. Niemal wszystkie są w spamie. Reklamy albo milionowe oferty od gwinejskich spadkobierców – typowe rzeczy. Reszta to maile od rodziny, faktura za telefon, za prąd...

– Nie. Jest za sprytny, żeby zostawić tu jakiś ślad. Pomóż mi z tym. Jak wy, faceci, ukrywacie w komputerze rzeczy, których nie może zobaczyć wasza partnerka? Albo partner?

Zastanowiwszy się przez chwilę, Jon odpowiada:

– W folderze, który się nazywa RZECZY, w środku ma drugi folder, który się nazywa MAŁO CIEKAWY, a w środku tego drugiego kolejny, który się nazywa NIE MA TU ŻADNEGO PORNO.

– Sprawdź w zdjęciach.

Jon ponownie otwiera wyszukiwarkę plików i ustawia tak, żeby pokazywała tylko foldery ze zdjęciami.

– Jest ich mnóstwo.

- Ułóż z nich mozaikę i włącz przewijanie – mówi Antonia, patrząc na zegar. Została tylko godzina.

- Nie da się tak pracować – mówi Jon.

Foldery przewijają się na ekranie, pozornie wszystkie identyczne. Aż uwagę Antonii zwraca jeden z nich.

- Zatrzymaj. Otwórz ten.

Ikona, którą wskazuje Antonia, to normalny folder, z tą tylko różnicą, że w rogu ma maleńką kłódkę.

Nazwa folderu to Zasoby Graficzne.

- Myślę, że to może być odpowiednik RZECZY – mówi Jon, klikając na niego dwa razy.

Folder się nie otwiera. Otwiera się natomiast aplikacja zabezpieczenia biometrycznego. Antonia podnosi palec denata i ostrożnie kładzie go na czujniku. U góry jest światelko, które cały czas świeci się na czerwono.

- O co, do diabła, teraz chodzi?

- Czujniki pojemnościowe działają tak, że wykrywają elektryczność naszego ciała. To właśnie pozwala odczytać odcisk. Im dłużej jesteś martwy, tym mniejsza elektryczność.

- W ten sposób ukradłaś czerwone kapsułki? – pyta Jon ni stąd, ni zowąd.

- Widziałeś, żeby Mentorowi brakowało palców?

- Nie chodzę i nie liczę ludziom paliczków.

- A ja nie chodzę i nie kradnę kapsulek. Nie miałam potrzeby – odpowiada Antonia, która nadal walczy z czujnikiem, bez powodzenia.

- W automacie do kawy w kwaterze, jeśli wypluwa ci euro, wystarczy potrząść nieco bok maszyny i polyka – sugeruje Jon. Trochę po to, żeby pomóc, a trochę dla jaj.

Antonia patrzy na niego przez chwilę, przechyliła nieznacznie głowę. Jakby rozważała sugestię. A potem przysuwa końcówkę palca do rękawa marynarki Jona.

- Ej!

Antonia ignoruje jego protesty i trze palcem o materiał. Potem odrywa i kładzie na czujniku, który natychmiast świeci się na zielono.

– Elektryczność statyczna. Dobrze pomyślane.

Jon nie ma czasu, żeby za bardzo kłąć, bo folder się otwiera i ujawnia im swoją zawartość.

„Ujawniać to właściwe słowo”, myśli Jon, widząc ten cały pokaz skóry, pośladków, narządów płciowych i gruczołów sutkowych.

Pięćdziesiąt cztery zdjęcia.

Na wszystkich pojawia się ta sama kobieta. Pozycje – typowe do sytuacji. Nazywa się to sekstingiem. Twarz widać na niewielu. Ale nie potrzeba więcej niż jednego. Jon je otwiera, żeby potwierdzić to, co oboje już wiedzą.

„Mówiłem, że ten gość coś ukrywa”.

Patrząc do aparatu w sugestywny sposób, i kompletnie naga, do zdjęć pozuje Raquel Planas.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy jej mordercę. Trochę późno, ale dobrze nam idzie. Idzie nam zajebiście – mówi Jon, desperacko waląc w biurko.

Co zrobili wtedy

Ostatecznie życie w domu wariatów nie jest takie złe.

Noce prawie nie istnieją. Leki, które wpychają ci do gardła (przez pierwsze noce siłą, później, w miarę jak twój duch się poddaje, już z nie tak dużą), sprawiają, że znikasz. Usuwiają sny, koszmary. Zniknął ten lekki nieprzerwany sen, który trwał od chwili, gdy zamykałaś oczy, do chwili, gdy pęcherz przejmował kontrolę. W jego miejsce opada czarna, ciężka i gęsta zasłona. Strzępy tego ciemnego aksamitu zwisają z twoich powiek, gdy się budzisz.

Rozumiesz śmierć – naprawdę – kiedy wprowadzają cię w ten błotnisty, gęsty sen. Rozumiesz, jak to jest rozplątać się w nicości. Przestać być.

To pierwszy raz, gdy kobieta śpi. Ze swoich poprzednich dwudziestu trzech lat nie pamięta ani jednej nocy zwyczajnego odpoczynku, prawdziwego spokoju.

Z dystansem i obojętnością, jakie wywołuje w niej lekarstwo, zaczyna analizować swoje poprzednie życie. Nie na absurdalnych terapiach narzucanych jej przez psychiatrów. Na tych bowiem tylko milczy i chowa się w sobie. Nie, robi to w chwilach, kiedy zostawiają ją w miarę samą, parkują w kącie wspólnej sali, przywiązana do wózka inwalidzkiego obok pozostałych gości. Tak ich nazywają.

Coś w niej się zmieniło i dopiero teraz zdaje sobie z tego sprawę.

Sen maskuje braki. Logika życia domaga się spania. Tak robią normalni ludzie. Mogą położyć się ze łzami w oczach, zrozpaczeni, załamani, pokonani. Z pragnieniem, by zadać stukrotnie większe cierpienie tym, którzy wywołali je w nich.

Po przebudzeniu jednak nic nie jest takie jak poprzedniego wieczoru. Gniew zniknął. Zamienił się we wczoraj, we wspomnienie. Wielu

wyczuwa, wyczuwamy, że w otaczającej nas rzeczywistości jest coś mętnego. W systemie, w pozostałych ludziach, w nas samych. Ale życie daje nam łapówkę i kupuje sobie naszą ciszę prezentem w postaci snu.

Ona jednak nie zapominała, nie mogła zapomnieć. Liczy noce, długie niczym węże. Jej nienawiść nie słabła po przebudzeniu. Wprost przeciwnie. Każda bezsenna noc, każdy koszmar na jawie (z przymkniętymi oczami, świadoma ciężaru pościeli na swoim ciele, zimnego potu między szyją a poduszką) tylko wzmacniały jej złość.

W szpitalu psychiatrycznym po raz pierwszy poznała wartość snu. Tego „nie-bycia”, które wszystko resetuje, które przerywa proces nienawiści.

Dzień po dniu zachodzi w niej zmiana. Ogólnie rzecz biorąc, to nic wielkiego. Pozostałe istoty ludzkie nadal postrzega jak przedmioty, tak samo zbędne jak kawałek papieru toaletowego, tak samo rozdeptywalne jak karaluch. Nie ma nic oprócz niej. To się nie zmieniło. Teraz jednak czuje pewien spokój w obliczu tego, co nieuniknione.

Raz jeden z sanitariuszy (ten sam, który zwykle przez wiele minut ugniata jej piersi, kiedy przywiązuje ją do łóżka na noc) zapomina przywiązać jej do wózka lewą rękę. Ona patrzy tępo na kawałek ciała od łokcia do opuszek palców. Przez pierwsze dni nieustannie marzyła o takiej chwili.

Teraz dni zamieniły się w miesiące. Ma pełny brzuch, odurzony mózg. Przytyła. Jej włosy to katastrofa, skóra jest tłusta i poszarzała. Nie poznaje się w lustrze.

Nie poznaje też swojej ręki z nieprzywiązanym nadgarstkiem, który zwisa obojętnie. Przez chwilę myśli, żeby wysłać polecenie, polecenie, by się ruszyć, by usunąć to drugie mocowanie. Przez głowę przemykają obrazy jej samej, jak wpada do pokoju sanitariuszy, łapie jednego za szyję, chwytą jakiś przedmiot (może być długopis), żeby mu zagrozić, żeby zmusić go do otwarcia drzwi.

To byłąby proste. Ale nie znajduje sił ani powodu.

Pewnej nocy wracają koszmary.

To się dzieje ot tak. Jeden jedyny koszmar w samym środku nocy. I nie może już zasnąć.

Przez cały dzień jest wyczerpana, niespokojna, wierci się. Sanitariusze znowu patrzą na nią uważnie. Uznali, że została już poskromiona, ale na powrót zrobiła się czujna. Od dawna nie wyrządza im krzywdy, ale wygląda na to, że oni o tym nie zapomnieli.

Ona też to zauważa. Udaje. I czeka.

Następnej nocy nie może już spać.

Bez słowa sprzeciwu bierze tabletki, które jej dają. Otwiera usta, by pokazać, że je połknęła, a pielęgniarka sprawdza za pomocą latarki każdą kąt jej jamy ustnej.

Czuje, jak delikatnie przechodzą jej przez gardło. Czasami jakaś utknienie w połowie drogi, wywołując to jakże nieprzyjemne i lepkie uczucie. Ale zawsze przynoszą efekt.

Nie tym razem.

Spokojnie leży na łóżku, kiedy ją przywiązują – tej nocy nie ma obłąpiającego sanitariusza, a ona się cieszy, ponieważ wątpi, czy dałaby radę się kontrolować. Zamykają drzwi, a ona zamyka oczy.

Uszami zaczyna odkrywać świat, który wcześniej był zasłonięty. Nocą szpital psychiatryczny się przeobraża. Przez ścianę dochodzą ciche jęki. Z drugiej strony też dobiega kwilenie. Słyszy, jak jej sąsiadka się masturbuje. Mimo że widziała ją za dnia (odrażająca baba, która zwykle wymiotuje na siebie podczas posiłku), to połączenie dyszenia, pocierania i chlupotania wywołuje w niej lekkie podniecenie. Na szczęście także krótkotrwałe.

Upływają minuty, może godziny, i na korytarzu rozlegają się czyjeś kroki. Towarzyszy im mocny zapach środka dezynfekującego oraz metaliczny i synkopowany stukot kół wózka. Słyszy, że lewe koło jest wyraźnie felerne. Zastanawia się, jak to możliwe, że rozpoznaje coś takiego. Wydaje jej się, że słyszy również dźwięk muzyki odtwarzanej przez słuchawki. Nie rozpoznaje głosu sanitariusza, to ktoś, kogo nigdy

przedtem nie spotkała. Podśpiewuje coś zaskakująco czystym głosem („Twoje ciało i moje / wypełniają pustkę / w górę i w dół”).

Piosenka jest chwytna. Obiecuje sobie, że kiedyś jej poszuka. W poprzednim życiu bardzo lubiła muzykę, była murem, który chronił ją przed głupotą ludzi.

Z refrenem w głowie pokonuje stopień w dół w swoim śnie. Tylko jeden. W połowie drogi między surowością jawy a spokojem ciemności. Terytorium zamieszkane przez potwory i wyścielone zębami. Spędza tam noc, uciekając chwiejnym krokiem, nie zasypiając i nie budząc się całkiem.

Następnego poranka wraca nienawiść.

Wspomnienia pojawiają się po deserze.

Obiad podają o wpół do pierwszej. Mdły makaron, posklejany ryż, tajemnicze mięso, zielona galaretka. Zależy od dnia. Sztuńce są z cienkiego plastiku, żeby nie kusily. Uwalniają jej rękę, ale dziś udaje, że kompletnie jej odbiło, jak czasami się zdarza. Jedna z sanitariuszek z niechęcią wpycha jej łyżki do buzi, wycierając jej brodę, kiedy sobie o tym przypomni.

Po obiedzie ogląda telewizję. Z pełnymi brzuchami i przy usypiającym szepcie odbiornika, z głośnością ustawioną prawie na minimum, wspólna sala jest spokojnym miejscem, w którym wyraźnie słychać pochrapywania i bekanie pacjentów.

Zaczynają się wiadomości. Informacja z ostatniej chwili pochodzi z Walencji. Zdjęcia z góry pokazują plac Ratuszowy. Z budynku urzędu miasta wydostaje się gęsta chmura dymu, prawie zasłaniając palmy. Fontanna jest wyłączona, ulice zamknięte. Esplanada jest pełna radiowozów i wielkich ciężarówek z połączeniem satelitarnym.

Głos prezenterki dobiegający z offu mówi o cudzie. O bohaterstwie. Nieznany członek sił porządkowych uratował setki istnień ludzkich. Kelnerka – blondynka w jasnym uniformie z plakietką z imieniem – mówi do kamery rozczochna i ze smugami sadzy na twarzy.

- Ona uratowała mi życie. Gdziekolwiek jest, chcę jej tylko podziękować.

Teraz zdjęcia pokazują policyjny kordon. Po drugiej stronie funkcjonariusze pokrzykują, wydają polecenia, biegną w tę i we w tę. Na bardzo krótką chwilę ktoś pojawia się w tle. To tylko mgnienie, ale kobieta została wytrenowana, żeby rozpoznawać twarze i chłonąć najdrobniejsze detale.

Jej reakcja jest natychmiastowa. Wstaje z krzesła, otwiera oczy i wydaje suchy, dziki szczeł. Oczy sanitariuszy kierują się w jej stronę. Jeden sięga rękami na plecy, gdzie trzyma rozkładany kij do obrony. Nie, nie zapomnieli. Ale ona też nie zapomniała o siniakach, jakie kij ze stali i polipropylenu zostawił na jej pośladkach, łydkach i plecach. Czasami bez wcześniejszej prowokacji. Tak więc się kuli, chowa głowę, przymyka powieki, aż stają się dwiema cienkimi skośnymi liniami i nie odrywa wzroku od tego, co pokazują w telewizji.

Kobieta z ciemnego samochodu już nie wysiada. Ale ona ją rozpoznała.

To jej rywalka.

Zawsze wiedziała, że jest jeszcze jedna. Wysiłki, by kontrolować jej poruszanie się po hali, istnienie drugiej sali testów, z której ona nigdy nie korzystała, a obok której przechodziła każdego dnia. Zawsze była pogrążona w ciemnościach. Zawsze pusta. Jej sala znajdowała się dalej, na końcu hali.

Pomimo nieustannego pilnowania raz, wykorzystując chwilę nieuwagi, udało jej się wymknąć do toalety. Obserwowała tę drugą przez okienko w drzwiach prowadzących do sali. Drobną, proste czarne włosy, zielone oczy. Na jej widok poczuła odrobinę fascynacji. Ta Druga. Taka sama jak ona. Ktoś wyjątkowy, niepowtarzalny. Ktoś obdarzony niemal niezemską inteligencją, z umiejętnością dostrzegania tego, czego nie widzi nikt inny, robienia tego, czego nikt inny nie potrafi zrobić. Tak powiedział jej Mentor.

Kilka sekund później fascynacja zamieniła się w nienawiść. Kiedy matematyka wzięła górę i zrozumiała, że dwie takie same osoby są mniej wartościowe niż jedna.

Nienawiść zmieniła się w złość (o wiele bardziej niebezpieczną niż nienawiść, piekło nie zna takiej furii, jak ta u rozzłoszczonej kobiety), kiedy usłyszała Mentora przez głośniki.

– Nie możesz ujarzmić rzeki, Antonia. Musisz poddać się prądowi i zamienić jej siłę w swoją.

– Kontrolować, oddając kontrolę? To nie ma sensu.

– Nie wszystko ma sens i wcale nie musi go mieć. Poddaj się rzece, Antonia.

Antonia. Do Tej Drugiej zwracał się po imieniu. Łagodnie, czule.

Żadnej brutalności i pogardy, z jakimi kierował się do niej.

Wróciła do toalety, krew pulsowała jej w skroniach, w ustach czuła wściekłość i żelazo. Nieświadomie ugryzła się w wargę, zraniła sobie wewnętrzną część dłoni od mocnego zaciskania. Zastanawiała się, czy on coś zauważy, kiedy przyjdzie, żeby poprowadzić jej trening. Całymi godzinami fantazjowała o takiej możliwości. Że on wchodzi do sali, bierze ją w ramiona i przytula, pytając, co jej się stało.

To się nie zdarzyło.

Wiadomości się kończą, popołudnie mija, nadchodzi noc. Na powrót zamykają ją w jej pokoju, znowu ją wiążą. Znowu zamyka oczy.

– Powiedziałbym, że wyglądasz okropnie, bez wątpienia.

Głos rozbrzmiewa obok niej, w pokoju. Ona podnosi się na tyle, na ile pozwalają jej mocowania. Kilka centymetrów.

Światło wpadające przez zakratowane okno tworzy ciemny kąt w rogu pokoju. Tej nocy cień jest gęstszy, a jego kształty – inne. To z tego miejsca dochodzi głos. Metaliczny, stanowczy. Mówi do niej po angielsku, w języku, którym ona posługuje się dość biegle.

– Kim pan jest?

- Na miłość boską, co za akcent. Nad tym też będziemy musieli popracować.

Ona się wierci. Nie boi się – nigdy się nie boi – ale czuje się zagrożona. A w obliczu jakiegokolwiek zagrożenia zawsze reaguje tak samo. Niczym dzikie zwierzę.

- Czego pan chce?

- To pytanie nie jest na razie ważne.

Przestaje walczyć z mocowaniami (skóra, stal, wszędzie kłódki – daremny trud) i zastanawia się przez dłuższą chwilę. Ale podczas treningu czegoś się nauczyła. Nauczyła się zadowalać głos po drugiej stronie. Głos, który kontroluje jej los. Zrozumiała, jaka władza tkwi w tym głosie o nieznanej twarzy. W przyszłości podłość wynikająca z tej władzy pomoże jej zadać cierpienie Carli Ortiz. Teraz służy jej w inny sposób.

Skoro nie ma znaczenia, kim jest ani czego chce... W takim razie liczy się jedynie to, co o nim wie. Że znajduje się w miejscu, w którym nie powinien się znajdować, nie został zauważony albo zadbał o to, by nie miało to znaczenia. To oraz bardzo nieprawdopodobny zbieg okoliczności, że jej lekarstwo przestało działać.

- Ważne jest to, co może pan zrobić.

Mężczyzna zwleka z odpowiedzią całą wieczność. Tak długo, że mało brakuje, by zasnęła, i zaczyna wierzyć, że ta czyjaś obecność w pokoju jej się tylko przyśniła. Szaleństwo czai się skulone.

- Nigdy bym się tego nie spodziewał – odzywa się wreszcie. – Po tylu latach samotności. Razem dokonamy rzeczy wielkich.

Ona parska zirytowana – nie może się powstrzymać.

- Już to kiedyś słyszałam.

- Ja nie jestem taki jak twój dawny mentor.

- Wcześniej wezwano mnie do walki po stronie aniołów. Nie wyszło dobrze – mówi ona, szarpiąc pasami. Słysząc metaliczny zgrzyt kółek przymocowanych do stelaża.

- To wezwanie pochodzi z przeciwnej strony, moja droga. To stymulujące – odpowiada mężczyzna, podnosząc się.

Sandra zastanawia się przez chwilę. Ostatecznie się zgadza. Jeśli zamierzają dać jej rolę czarnego charakteru, to niech tak będzie. Tak czy inaczej, czarne charaktery zawsze były najciekawszymi postaciami.

Kiedy mężczyzna wstaje, światło wpadające przez okno oświetla jego twarz. Ma jasne, falowane włosy oraz białą i delikatną skórę. Przypomina nieco tego aktora, który grał ojca w filmie *Nieosiągalny*.

– Czekałam na Ciebie w samochodzie z włączonym silnikiem – mówi, kierując się do drzwi. – Pospiesz się.

– Chwila. Nie uwolnisz mnie pan?

On się odwraca i rzuca na łóżko długopis. Ten odbija się od pościeli i stacza niżej, prawie w zasięgu jej prawej dłoni.

– Jeśli jesteś tym, kim mam nadzieję, że jesteś, poradysz sobie sama.

10

Wizyta

– Masz jakąś teorię? Bo w tej chwili by nam się przydała.

– Nie lubię układać teorii. Ostatecznie naginasz fakty, żeby się w nich zmieściły.

Inspektor Gutiérrez się krzywi, próbując dotrzymać Antonii kroku na korytarzach szpitala La Zarzuela. Teraz to już nie jest kwestia zwinności, to kwestia wyczerpania. Antybiotyki i stres dały mu popalić i od wielu godzin nie jadł niczego porządnego. Z drugiej strony zostało im zaledwie pięćdziesiąt dziewięć minut. Tak więc wciśnięcie hamulca nie mieści się w jego planach.

– To jasne, że w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie przeczytałaś żadnej gazety. Nie wiesz, że teraz panuje moda na mówienie ludziom tego, co chcą usłyszeć?

– Nie rozumiem. Wiadomość jest albo dobra, albo zła – mówi Antonia, omijając biegnącą pielęgniarkę.

– Nie masz o niczym pojęcia. Teraz ludzie myślą tak: „Jak to może być błędne, skoro ja właśnie tak myślę?”. Może ten twój pan White jest jednym z takich.

– To nie jest mój pan White. I nie wygląda mi na takiego.

– Dobra. W takim razie powiedz, co mamy. Sam pomyślę nad teoriami.

Stara się, żeby w jego głosie nie dało się wyczuć desperacji. To nieudana próba, ale lepsze to niż nic.

Antonia wydaje się nieobecna, jak dzieje się wtedy, gdy jej mózg robi te swoje rzeczy. Wagi, przekładnie, pomiary. Niechętnie, ale zgadza się na prośbę Jona.

– Mamy morderstwo Raquel Planas sprzed czterech lat. Od jej matki wiemy, że zabójcą był jej kochanek. – Antonia skręca w drugi korytarz, podążając za niebieską strzałką i napisem Oddział Intensywnej Terapii. – Kochankiem okazuje się inżynier informatyk, który zostaje zamordowany cztery lata później.

– Nie zapominaj, że śledził cię na ulicy.

– Nie zapominam. Tydzień po śmierci Raquel Planas kontaktuje się ze mną Jaime Soler, by prosić mnie o pomoc. A ja...

Resztę pomija, a Jon nie naciska.

– Trzy lata później – ciągnie Antonia – zjawiasz się ty. Musimy złapać mordercę, który porywa i szantażuje osoby na wysokich stanowiskach. Morderca był tylko kukiełką w rękach Sandry i White’a.

– Sztuczka, żeby cię oszukać.

– Patrząc z perspektywy czasu, cały *modus operandi* śmierdział właśnie nim. Teraz to wiemy. Sandra znika, ale przedtem ostrzega nas, że White jest w drodze.

– Kiedy pojawia się ponownie, atakuje Czerwone Królowe z innych krajów. Podczas gdy my byliśmy zajęci w Maladze.

– Po naszym powrocie porywa ciebie. Umieszcza ci to w karku. Zamienia nas w swoje marionetki, żebyśmy zbadali trzy zbrodnie. Raquel Planas. Jaime Soler.

To wszystko.

Niemają.

Niewystarczająco.

– Niezbyt pomogło – mówi Jon, wzdychając.

– Nie – przyznaje Antonia. – Zostało nam jeszcze pięćdziesiąt siedem minut. I w dalszym ciągu najpilniejsze jest rozwiązanie sprawy zabójstwa.

Co do tego Jon się zgadza.

Strach, jaki poczuł w windzie, jeszcze całkiem nie zniknął. Przeniósł się tylko w inne miejsce. Z centralnej części jego gigantycznej klatki piersiowej (wiążąc go, zamrażając, nie pozwalając mu nawet myśleć) zsunął się do brzucha. To narastające uczucie ciężkości, zimny i lepki

kwas, który zwiększa swoją objętość i gęstość, w miarę jak zostaje coraz mniej czasu.

Jon nigdy nie miał zdiagnozowanego ataku paniki. Ale gdyby opisał swoje objawy psychiatrze, lekarz prawdopodobnie użyłby tych słów. A oprócz tego przepisałby mu połowę apteki. Oczywiście Jon prędzej by się zabił, niż poszedł na wizytę do czubkologa, bo Bilbao to Bilbao, a policjanci to policjanci i tak dalej.

Przy wejściu na OIOM natykają się na dwie przeszkody. Pierwsza ma kształt i wygląd policjanta, ale odsuwa się błyskawicznie, gdy tylko Jon się legitymuje.

Druga, mniejsza i w szpitalnym uniformie, to dyżurna pielęgniarka, która absolutnie nie ma zamiaru ich wypuścić. Jon musi wykorzystać cały swój urok i swoją gadkę, żeby mogli dostać się do środka. Sprawa życia i śmierci, rozumie pani.

Pielęgniarka wyraża zgodę, pod warunkiem że Jon i Antonia włożą ochraniacze na buty, czepki, maseczki i rękawiczki.

– Jak się czuje?

– Jeśli nie będzie zakażenia, wyjdzie z tego. Ostrze uszkodziło żołądek i mało brakowało, by zniszczyło wątrobę.

– Jest przytomna?

– Niedawno się wybudziła. Jest jeszcze bardzo osłabiona, dostaje potężne dawki morfiny.

– Ale może rozmawiać?

– Pięć minut.

„Jak byśmy mieli więcej”.

– Proszę nie wspominać o jej mężu, dobrze? – krzyczy pielęgniarka, zanim zamkną się za nimi drzwi ciśnieniowe.

OIOM to przygnębiające i nieprzyjazne miejsce. Wszystko, co ich otacza, jest sterylne, hałasuje, umiera albo się spieszy. Cztery stany reprezentowane przez powietrze, urządzenia, chorych i tych, którzy się nimi zajmują.

Nawet przez maseczkę Jon widzi, że Antonia nie czuje się dobrze. Ma rozbiegany wzrok i trzyma się za brzuch.

– Co...?

– Nie teraz, proszę cię. Porozmawiamy później.

Inspektor Gutiérrez troskę o swoją partnerkę odkłada do zadań do wykonania, ponieważ właśnie dotarli do łóżka Aury Reyes. Od innych oddziela je półtorametrowej wysokości parawan. Kobieta jest podłączona do monitorów i kroplówki. Mruga, kiedy widzi, że nadchodzą.

– Kim jesteście? Gdzie Jaume? – pyta wysuszonym i szorstkim głosem.

Jon siada przy łóżku, żeby nie onieśmielać kobiety swoją posturą. Antonia zajmuje miejsce koło niego.

– Pani Reyes, jesteśmy z policji. Inspektor Gutiérrez, moja partnerka Antonia Scott.

Kobieta ma spojrzenie utkwione w jakimś punkcie nad głowami swoich gości. Kiedy jednak słyszy słowa „z policji”, w jej wnętrzu coś się dopasowuje i przestrasza, poszczególne elementy układają się na swoich miejscach (zapach środka dezynfekującego, odległy ból z powodu odniesionej rany, dyskomfort, jaki powoduje wenflon w rękę), a ona uświadamia sobie, że wcale nie budzi się z koszmaru, który zniknie, gdy tylko wstanie, by przygotować śniadanie dla dziewczynek.

– Moje córki. Moje córki – mówi, próbując się podnieść.

Jon delikatnie kładzie rękę na jej ramieniu (nie musi nawet naciskać, bo kobieta jest słaba jak ptaszek), nie chcąc dopuścić, żeby się ruszała i zrobiła sobie krzywdę.

– Dziewczynki czują się dobrze. Są ze swoją babcią, bezpieczne i spokojne. Dziś nie pójdą do szkoły, będą oglądać drugą część *Krainy lodu* i odcinki *Świnki Peppy*.

– Chcę z nimi porozmawiać.

– Później, proszę pani, obiecuję. Nie mamy dużo czasu. Najpierw musi pani odpowiedzieć na kilka pytań.

– Powiedziałam, że chcę z nimi porozmawiać! – mówi Aura w sposób najbardziej zbliżony do krzyku, jaki może wydać kobieta, która o włos

uniknęła śmierci i wciąż ma na szyi ślady palców.

Jon jest zmuszony zmarnować cenne sekundy na znalezienie numeru telefonu babci. Wreszcie udaje mu się je skomunikować. Rozmowa jest krótka. Dziewczynki o niczym nie wiedzą i odpowiadają wesoło, ich głosy nie przystają do sytuacji. Będzie jeszcze czas, żeby poznały prawdę. Jednak w jakiś sposób szczęśliwa niewiedza córek ma na Aurę Reyes działanie znieczulające. Jej ciało się rozluźnia, oczy znowu błędzą po suficie.

– Pani Reyes, musimy zadać pani kilka pytań. To ważne.

– Teraz chcę porozmawiać z Jaumem.

Nowa prośba jest wypowiedziana zupełnie innym tonem. Pilna potrzeba zamieniła się w coś innego. Być może w wyrażenie życzenia. Jon ma świadomość, że kobieta mówi jakby przez chmurę, zza mgły, która tłumy jej głos.

„Proszę nie wspominać o jej mężu”, powiedziała im pielęgniarka.

Ale trzeba ją wybudzić z tego snu, w jaki najwyraźniej zapadła. Ich czas się kończy. Tak więc Jon przygotowuje się do przekazania złych wieści. Nie pierwszy raz to robi. Oprócz papierkowej roboty to najbardziej znienawidzona przez policjantów część ich pracy. Stopień wyżej nad możliwością dostania kulki w łeb.

Jon próbuje sobie przypomnieć poprzednie tego typu sytuacje, choć na niewiele się to zdaje. Podobnie jak w przypadku zimnego prysznicu, ten rodzaj interakcji z rzeczywistością nie poprawia się wraz z doświadczeniem. Możesz próbować złagodzić cios najlepiej jak potrafisz, ale wcześniej czy później musisz odkręcić kran, wcześniej czy później na twoją skórę spadnie lodowata woda, wcześniej czy później ześlizgnie się do krocza.

– Pani Reyes... – zaczyna Jon.

– Jaime nie żyje. Nie mogliśmy nic zrobić, przykro mi – kończy Antonia z delikatnością miotacza ognia.

„Masz jaja, piękna”, myśli Jon.

Kobieta nie reaguje. Jej twarz przypomina białą kartkę, jej oczy są nieruchome. Jedyne, co świadczy o tym, że żyje, to nieustanne pikanie monitora pracy serca.

I w tym momencie doświadczenie inspektora Gutiérreza do czegoś się przydaje. Bo Jon widział już wcześniej tego typu reakcję. Twarz ocalonej osoby pozostaje nieruchoma, w miarę jak wiadomość przenika do jej świadomości, zamieniając kartkę na białą. To tak, jakby podpalić ten papier. Zaczyna się od rogu, nieśmiało, niepewnie. Płomień, który można ugasić jednym dmuchnięciem. W miarę jednak jak posuwa się dalej, staje się nie do zatrzymania, ujawniając pod spodem prawdę.

Aura drży i zaczyna płakać.

– Ogromnie nam przykro, ale musimy znaleźć zabójcę, pani Reyes. To ważne – mówi Jon po kilku sekundach.

– Co... co chcecie wiedzieć?

Relacja Aury jest bardzo krótka, nie mówi nic, czego już by nie wiedzieli. Wstała, miała przeczucie, że ktoś jest w domu, zawiadomiła męża. Wszystkie tego typu opowieści zawierają zwykle nieznośny moment (w przypadku Aury następuje on wtedy, gdy zabójca podrzyna gardło Jaumemu) i rozdzierający lament (dla Aury – to, że od razu nie zadzwoniła na policję).

Inspektor Gutiérrez obiecuje sobie – tak jak ktoś, kto przysięga pójść na kolanach do Lourdes, jeśli Dziewica wyleczy mu dziecko bez nóg – że odwiedzi tę kobietę, by ją uspokoić, by pomóc jej to przezwyciężyć, aby mogła zrozumieć, że nie mogła zmienić przeznaczenia. Dla Jona, zaledwie pięćdziesiąt minut od śmierci, to jedna z tych obietnic, które składa się bezkarnie. Bo tak naprawdę domyślasz się, że dziecku nie urosną nóżki, bo nikt nie chce iść na kolanach do groty na południu Francji.

– Wie pani, czym się zajmował pani mąż? Dla kogo pracował? – pyta Antonia, kiedy widzi, że kobieta skończyła opowiadać.

- Jest konsultantem. Jest... robi programy informatyczne. Chyba coś dla rządu.

- Dla rządu? Jest pani pewna?

- Nie lubi mówić o swojej pracy.

Teren jest zbyt abstrakcyjny. Jon daje znać Antonii, żeby kontynuowała, wskazując zegarek. Ona postanawia więc wrócić do poprzedniej nocy.

- Proszę nam opowiedzieć o napastniku.

- Nie pamiętam wiele. Był... był ubrany na czarno i miał na sobie coś w rodzaju czapki. Jak te narciarskie.

Antonia nie ma czasu na żadną ze swoich standardowych procedur. Nie może wykonać portretu pamięciowego, nie może też przeszukać zdjęć znanych już przestępców.

- Miał zasłoniętą twarz?

- Nie. To był... nie wiem, chyba blondyn. Trochę starszy od pana - mówi Aura, wskazując Jona. - Ale mniej...

- Jeszcze szczuplejszy - precyzuje inspektor.

- Nie widziałam go dokładnie. Nie widziałam zbyt wiele, przykro mi.

- Muszą państwo już iść - mówi pielęgniarka, wyłaniając się zza parawanu. - Pacjentka jest wycieńczona.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - prosi Antonia.

- Proszę mnie nie zmuszać, żebym wezwała ochronę. - Pielęgniarka nie daje za wygraną.

Antonia ją ignoruje i odwraca się do Aury, której wygląd świadczy o tym, że naprawdę jest wycieńczona. Rany, smutek i rozmowa wycisnęły z niej wszystkie siły, wyczerpując ją zupełnie. Ale Antonia nie może tak po prostu odejść. Nie z pustymi rękami.

Tak więc zadaje ostatnie pytanie.

- Musiała pani zobaczyć coś, co wydało się pani nietypowe - prosi niemalże błagalnym tonem.

- Miałam wrażenie, że mój mąż go zna - mówi Aura po chwili zastanowienia.

- Dlaczego tak pani uważa? - pyta Antonia, nachylając się w stronę kobiety.

- Nie wiem. Kiedy ten człowiek go zaatakował, mój mąż coś powiedział. Nie pamiętam dokładnie. „Ty nie, zaczekaj” albo coś takiego.

11

Nachylenie

– To niemożliwe. Nie uda nam się – mówi zrozpaczony Jon.

Ostatecznie pielęgniarka wywlekła ich z OIOM-u. Nagle oboje stoją na szpitalnym parkingu. Bez tropu, bez żadnej nowej informacji. Bez celu.

Antonia dzwoni do Aguado, która informuje ją, że nie ma nowych wieści. Dalej na własną rękę sprawdzają informacje, które mają, ale na razie nie robią postępów.

Nie musi przekazywać Jonowi tego, co usłyszała, bo wszystko ma wypisane na twarzy.

– Nie poddamy się – mówi Antonia.

– Już nie ma czasu.

– Mamy trzydzieści siedem minut. Dopóki nie skończy nam się czas, będziemy działać tak jak zawsze. Zrozumiałeś?

Jon się nie odzywa.

Pokonuje kilka kroków, jakie dzielą go od samochodu, i siada na masce. Wyszedłszy na ciepłe słońce, na chłodne powietrze, na nieprzyjemny wiatr, który potrząsa suchymi liśćmi, zdaje sobie z czegoś sprawę.

Jest bardzo zmęczony. To jedyne, o czym może myśleć. O tym, jaki jest zmęczony.

Jon doświadczył już wszystkich rodzajów zmęczenia, jak każdy czterdziestoczteroletni człowiek. Jest zmęczenie, które wyczerpuje do tego stopnia, że nie daje spać. Jest zmęczenie, które sprawia, że ma się ochotę płakać. Jest zmęczenie, które powoduje smutek, duży smutek.

To zmęczenie jest inne.

To zmęczenie wykracza daleko poza płacz, daleko poza smutek. To zmęczenie paraliżujące, bolesne, które przyczepia się do skóry i kości.

To zmęczenie nadziei.

– Nie dają już rady, piękna. Zrozum to.

Antonia na niego patrzy, próbując go rozszyfrować. Do głowy przychodzi jej pewne słowo.

Karōshi.

Po japońsku to śmierć z wyczerpania.

Słowo jest pospolite. Mało ciekawe, banalne. Kiedy Marcos je zaproponował, ona wrzuciła je na dno szafy, jak robi się z prezentami teściowej, która ma lepsze intencje niż gust.

Odrzuca je więc i szuka dalej.

Dharmaniṣṭhuya.

W kannada, z rodziny języków drawidyjskich, którym posługują się czterdzieści cztery miliony ludzi w Indiach, oznacza łaskawość nachylenia. Uczucie, którego doświadcza wyczerpany wędrowiec, kiedy na swej drodze znajduje pochyłość.

Antonia nie może zaproponować Jonowi zbyt wiele, kiedy wszystko sprzyścięło się przeciwko nim. Może mu jedynie zaoferować szansę, by walczyć dalej, do samego końca. Odebrać Jonowi możliwość myślenia. Popchnąć go w dół zbocza. Zaoferować mu łaskawość nachylenia. Skoro nie ma nic innego, to przynajmniej zmniejszy swój niepokój i swój strach na końcowej prostej.

Tak więc wyjmuje telefon i dzwoni. Nigdy nie sądziła, że zadzwoni pod ten numer. Do kogoś ze swojej przeszłości, kto bez wątplenia nie spodziewa się, że zadzwoni.

Tak bardzo się nie spodziewa, że nie odbiera telefonu.

„Nie pozostaje nic innego, jak do niego pojechać”, myśli Antonia.

– Posłuchaj mnie, Jon. Wsiadaj do samochodu. Mam pewien pomysł.

Inspektor Gutiérrez bardzo powoli odwraca głowę i patrzy na Antonię zdziwiony. Nie ma sznurków, za które można pociągnąć. Żadnego. A przynajmniej żadnego, który przyniósłby jakiś rezultat w tak krótkim

czasie. Jedyne, o co prosi jego wyczerpanie, to by padł na ziemię i czekał na śmierć. A może, by wszedł do baru i zjadł kanapkę z szynką, której nigdy nie zdąży całkiem strawić.

– Jeśli nie chcesz ze mną jechać, to chociaż zejdź z maski – prosi Antonia.

Jon porusza jedną nogą, porusza stopą, napęnia płuca powietrzem, co zajmuje mu trochę czasu. Wreszcie się prostuje, wydając z siebie głośne westchnięcie, z rodzaju tych, które zmieniają kierunek wiatru.

„Po co to robię?”, zastanawia się, patrząc na zegarek. Po co iść dalej, skoro wiesz, że to wszystko na nic?

Bo się boi i to go zawstydzia.

Bo Antonii wciąż zależy.

Bo owszem, ważny jest sposób, w jaki mężczyzna idzie na dno.

Bo nie pozwoli, żeby – kiedy za trzydzieści siedem minut stanie się najgorsze – ta przekłeta konusowata mądralińska i arogantka mogła mu coś zarzucić. Tylko tego by brakowało.

Tak więc wstaje.

Po cokolwiek.

– Mam nadzieję, że nie marnujesz mojego czasu, piękna – mówi, starając się uśmiechnąć. – Bo w ciągu moich ostatnich trzydziestu siedmiu minut życia chciałbym zjeść porządną kanapkę.

12

Sala

Komenda Główna Policji w Pinar del Rey znajduje się jakieś piętnaście minut jazdy samochodem od szpitala La Zarzuela. Ponieważ prowadzi Antonia, ten czas skraca się o połowę.

– Jedyne, co przychodzi mi do głowy – odzywa się Antonia, przejeżdżając z największą prędkością przez wiadukt nad aleją Burgos – to dowiedzieć się, dlaczego go zabito. Może dzięki tej informacji zdołam ponegocjować z White'em.

– Myślałaś o tym, że to mogło być zabójstwo bez motywu?

– Nie istnieje coś takiego jak zabójstwo bez motywu. Po prostu go nie widzimy.

Jon odchyła się na oparcie fotela i kuli się instynktownie, gdy Antonia wyprzedza po prawej samochód, który z kolei wyprzedza inny pojazd. Kolumny na wiadukcie przemykają tak blisko, że może dostrzec ziarenka betonu.

„Nie patrz. Nie krzycz. Nie protestuj”, myśli Jon.

„Jeśli cię zabije, to podczas próby ratowania ci życia. Nie możesz wybrzydzac”.

– Wiesz, co tak naprawdę mnie wnerwia? Że w komputerze nie miał prawie żadnych maili. Bardzo dziwne. Kto w dzisiejszych czasach nie kontaktuje się mailowo?

– Na przykład ty i ja – mówi Antonia. – Ludzie, którzy swoją pracę muszą utrzymać w tajemnicy.

Jon myśli o tym ostatnim zdaniu i umieszcza je w kontekście tego, czego dowiedzieli się do tej pory.

- Chcesz mi powiedzieć, że Soler nie tylko wiedział o Czerwonej Królowej? Że mógł być aktywną częścią projektu?

- Wtedy tak podejrzewałam. Tyle że kiedy powiedziano mi, że nie żyje, jego tożsamość była inna.

Obracanie głowy, żeby spojrzeć ze zdumieniem na Antonię, to nie najlepszy pomysł, kiedy jest ci słabo, jesteś wycieńczony i siedzisz w samochodzie jadącym z prędkością blisko dwustu kilometrów na godzinę. Jon musi się powstrzymać, żeby nie zwymiotować niewielkiej zawartości żołądka.

- Co wiesz o swoim poprzedniku? - pyta Antonia, żeby odwrócić jego uwagę.

- Niewiele. Tyle, co powiedział mi Mentor.

- Doprecyzuj.

Może inspektor Jon Gutiérrez nie jest najinteligentniejszym człowiekiem na świecie, ale nie jedzie z najsubtelniejszą kobietą na ziemi, tak więc od razu zdaje sobie sprawę, co robi Antonia. Postanawia się więc zabawić.

- Że był nieznośnym przystojniakiem. I żyłście jak pies z kotem.

- Całkiem trafne. Do tego bardzo bystry, bardzo zręczny i straszny karierowicz.

- To ten, do którego masz ustawione automatyczne wybieranie numeru, odkąd wsiedliśmy do samochodu? - pyta Jon, wskazując telefon w uchwycie na desce rozdzielczej, raz za razem wybierający numer, który nie odpowiada.

- Zaraz go poznasz.

Wjechać na teren głównej siedziby policji z prędkością dwustu kilometrów na godzinę bynajmniej nie jest dobrym pomysłem ze względu na barierkę ochronną i funkcjonariuszy uzbrojonych w karabiny szturmowe przy wejściu. Tak więc czekają niecierpliwie w kolejce samochodów. Antonia tymczasem szuka czegoś w internecie, czyta i zapamiętuje. Następnie dzwoni do doktorki Aguado, która pracuje,

wykorzystując wszystkie dostępne dane; Antonia chce się dowiedzieć, czy udało się poczynić jakieś postępy.

Nic.

Następny na liście jest Mentor. Który nie ma dobrych wiadomości. Tylko jedną złą.

– Chodzi o giermka Holandii. Kilka godzin temu znaleziono go w celi. Powiesił się.

Antonia nie reaguje. Ale się nie rozłącza. Zawiesza spojrzenie w jakimś punkcie między przednią szybą audi, niekończącym się rzędem samochodów i barierką na środku.

– Zanim rozłączysz się bez pożegnania... – odzywa się Mentor.

Antonia sądzi, że znowu będzie mówił o giermku, ale tak nie jest.

– Parę lat temu wyznałem, że ci zazdroszczę – ciągnie bardzo powoli i bardzo cicho, niemal szeptem. Wydaje się, jakby miał się za chwilę rozplakać. – Chciałem cię zapytać, czy to pamiętasz, ale wiem, że tak. Ty pamiętasz wszystko.

– Pamiętam to – odpowiada Antonia. – Tuż przed tym, jak wstrzyknąłeś mi to, co mi wstrzyknąłeś.

– No więc już nie.

Rozłącza się.

Antonia, nie wiedząc za bardzo dlaczego, sądzi, że właśnie poprosił ją o przebaczenie.

Dostanie się do drzwi budynku zajmuje im sześć cennych minut. Antonia sprawdza coś przy wejściu i w końcu ciągnie Jona korytarzami aż do jednej z sal szkoleniowych w zachodnim skrzydle gmachu. Kolejne trzy minuty.

Został kwadrans.

Oboje wpadają do sali (pomalowanej w kolorze zielonych wymiocin i z motywacyjnymi plakatami na ścianach), natykając się na trzydziestu czterech policjantów w dresach, mocno zdziwionych. I jednego w mundurze, stojącego na podium (tablica z rozrysowanymi schematami,

flaga Hiszpanii, portrety króla panującego i króla na wygnaniu), jeszcze bardziej zdumionego.

Zdumienie zamienia się w zdenerwowanie, kiedy Jon ogłasza:

– No już, chłopcy, na przerwę. Musimy porozmawiać z profesorem.

Uczestnicy szkolenia wstają powoli, podczas gdy oburzony profesor zwraca się do nowo przybyłych:

– Tak się nie robi, Antonia.

– Inspektorze Gutiérrez, to nadinspektor Raúl Covas – mówi ona.

Jon nie odpowiada. W tej chwili jest pod wpływem, dodatkowo spotęgowanym stresem, syndromu Stendhala. Lub jego seksualnego odpowiednika, dokładniej mówiąc. Nadinspektor Covas, dawny partner Antonii, jej pierwszy giermek. Facet koło pięćdziesiątki, metr osiemdziesiąt, włosy w kolorze mahoni, oczy szare, ramiona, że palce lizać. Jon wpatruje się w ciało policjanta jak ktoś, kto utknął przed mapą Disneylandu, nie mogąc się zdecydować, gdzie pójść najpierw.

„To owszem, jest powód, by żyć”, myśli Jon.

– Wydaje mi się, że kiedy widzieliśmy się ostatni raz, powiedziałaś mi, że to ostatni raz, gdy się widzimy – zwraca się do Antonii Covas, ignorując Jona, a w jego głosie prawie nie wyczuwa się urazy.

– Raúl, zależy nam na czasie. Od tego jest uzależnione życie kolegi. Muszę z tobą pomówić.

Czoło Covasa nieco się rozluźnia.

– Czego chcecie?

– Cztery lata temu zleciłam ci załatwienie pewnej sprawy. Ostatniej. Chcę, żebyś opowiedział mi wszystko, co pamiętasz.

13

Czekanie

Nigdy nie lubiła czekać.

Kto lubi?

Oczywiście jeśli w aspekcie behawioralnym twojej diagnozy psychologicznej napisano: „impulsywna, potrzebująca mocnych wrażeń, niestabilna, skłonna do łamania zasad i nieprzestrzegania obowiązków”, to znaczy, że czekanie podoba ci się nieco mniej niż normalnie. Czekanie ją irytuje, przykuwa ją do dziwnej próżni między pauzą a działaniem.

Jak zawsze obgryza zadziory przy paznokciach. I jak zawsze ją boli. Uświadamia sobie, że to zły nawyk. Jak zawsze.

Siedząc w samochodzie na pustej ulicy z muzyką w AirPods na cały regulator (Los Ronaldos, *Saca la lengua*, 1988), Sandra myśli o tym, że odkąd White wyciągnął ją z wariatkowa, nie robi prawie nic innego, tylko czeka.

To ciekawe, jak czyste, autentyczne szczęście nie zostawia śladu w naszych sercach, podczas gdy mętne wody smutku plamią wszystko dookoła. Każdy dzień, jaki Sandra spędziła, czekając na ten moment, był dniem niepokoju, dniem agonii, dniem zmarnowanym. To prawda, że przy nim nauczyła się wielu rzeczy. Nowych umiejętności, których nie było w podręczniku Mentora. Na przykład: dźgnąć kogoś widelcem w podstawę czaszki. Pozwolić, żeby sztuciec zatopił się w miękkim ciele aż po rękojeść, dosięgając rdzenia przedłużonego i zabijając w jednej chwili. Mogła to przećwiczyć już dwukrotnie, za każdym razem były to wyjątkowe momenty, które przechowuje z wielką przyjemnością i wspomina je od czasu do czasu. Pierwszy: na stacji benzynowej w środku nocy. Żadne wyzwanie, nie licząc poradzenia sobie z kamerami monitoringu i innymi

nowoczesnymi przeszkodami. Drugi: w wybranym losowo domu jednorodzinym z dala od innych zabudowań w wybranym losowo miasteczku. Oba morderstwa nie miały innego celu, jak tylko rozwój osobisty.

Nauczyła się również obsługiwać i detonować materiały wybuchowe. Nie tak jej bliskie jak ostre przedmioty, ale mimo to pasjonujące. Nauczyła ją stary, nudny Węgier wielkości i kształtu metra sześciennego. Węgrowi brakowało lewego przedramienia (wbrew pozorom stracił je, wyciągając rękę w niewłaściwym momencie, kiedy jechał bardziej pijany niż *mon chéri*), co ograniczyło jego zawodowe możliwości.

Węgier opowiedział jej o wszystkich swoich brudnych sztuczkach, wyjawiał szokujące sekrety tych, którzy wykorzystują fizykę i chemię, aby wyrządzić możliwie najwięcej szkód. Delektowała się każdym najmniejszym odkryciem, obojętną subtelnością i wyrachowaniem – nieodłącznymi elementami tego fachu. Wisienką na torcie było oczywiście wysadzenie w powietrze samego Węgra po zakończeniu szkolenia. Staruch przyjął to z zaskakującym sportowym duchem. Przywiązany do krzesła i w ogóle, pośród pojękiwań przekazał jej jeszcze kilka uwag na temat detonatora i laski dynamitu, którą miał zawieszoną na szyi.

Naturalnie były też prawdziwe zlecenia. Ale nie tyle, ile by chciała. Przez cały czas miała wrażenie, że White traktuje ją jak szczeniaka na krótkiej smyczy.

„Dziwne, że na noc nie wkłada mnie do pudła”, myśli często.

Ale White miał nad nią dziwną moc. Sandra wielokrotnie próbowała szukać z nim konfrontacji, usiłowała poznać jego granice, wytrącić go z równowagi. A w chwili szczególnej potrzeby domagała się pójścia z nim do łóżka. Żadna z jej prób zbliżenia, żaden z wybryków czy ekscesów nie przyniósł żadnego rezultatu. Niekiedy próbowała schlebiać mu tymi łagodnymi słówkami, jakich używa się po to, żeby zwabić kota przez dziurę w płocie. Ale prawie zawsze pozostawał nieugięty.

Nieugiętość to najskuteczniejsza metoda kontroli.

Ale dowiedziała się na temat White'a czegoś jeszcze. Po tym, jak raz za razem wypytywała go, dlaczego jej pomaga.

– Mam egoistyczny powód, a tego ci potrzeba, bo egoistyczne powody to jedyne, w co powinnaś wierzyć – wyjaśnił jej.

Egoizm to coś, co Sandra potrafi przyswoić. Kiedy White zaczął wreszcie wprowadzać swój plan w życie, poczynając od Ezequiela, Sandra przyjęła imię, które nosi obecnie.

Zrozumiała też, że jej własna zemsta, jej osobisty cel to tylko zwykła ozdoba. Dodatek do większego planu.

Jest gotowa pograć jeszcze trochę. Dopóki jej to pasuje.

A później...

Później nadejdą zmiany.

Spotify przerywa odtwarzanie, ponieważ przychodzi połączenie. Odbiera, stukając w bezprzewodową słuchawkę.

– Wykonaj moje instrukcje – nakazuje White.

– Nie skończył się jeszcze czas, jaki jej dałeś.

– Zmieniam zasady.

„To może oznaczać tylko jedno”, myśli Sandra.

– Już się dowiedziała?

– Dowie się za parę minut. A potem przyjdzie prosto do ciebie. Scott jest inteligentniejsza, niż sądziłem. – Robi pauzę, a potem dodaje: – Nie przewidziałem, że dotrze tu tak wcześniej.

Sandra wie, dlaczego tak powiedział. White nie artykułuje ani jednego słowa, nad którym wcześniej by się dokładnie nie zastanowił. Wie, dlaczego chwali jej rywalkę, kobietę, której ona nienawidzi ponad wszystko. On sądzi, że w ten sposób zdoła ją sprowokować, ożywić, obudzić w niej uczucia złości i frustracji.

Nie wie jednak, że nie jest to potrzebne. Że ona ma nieskończony zapas obydwu tych paliw.

„To jest mój sekret. Zawsze jestem wściekła”.

White jest piekielnie inteligentny. Ale ona też. I podczas gdy on sądzi, że ją kontroluje, ona prowadzi własną grę. Kiedy on sądzi, że potrząsa jej przed oczami czerwoną szmatą, nie zdaje sobie sprawy, że jednocześnie ujawnia coś na temat samego siebie.

„Nigdy nie przypuszczałam, że to nadejdzie tak szybko”.

To prawda. Ten plan, który Sandra zamierza teraz wykonać, jest czwarty na liście wielu opcji. Miesiące temu, kiedy przygotowywała wszystkie elementy, żeby wyciągnąć Scott z jej samotności na poddaszu, kiedy miała już wszystko, by gra się rozpoczęła, nawet nie brała tego pod uwagę.

Co oznacza, że jej geniusz jest omylny.

To się właśnie dzieje z kontrolą: nie działa tylko w jedną stronę. Żeby pociągać za sznurki marionetki, musisz przywiązać je do własnych palców.

I pewnego dnia może się okazać, że marionetka też zaczyna za nie pociągać.

Sandra się uśmiecha, nie odpowiada. Pozwala mu uwierzyć, że jego komplement pod adresem Scott ją zdenerwował, tak jak sądził. I czeka, aż on się odezwie. Małe pociągnięcie za sznurek.

– Lepiej już ruszaj. Właśnie na to tak długo czekałaś.

– Możesz na mnie liczyć – mówi Sandra, nie przestając się uśmiechać.

Rozłącza się. Jeszcze raz sprawdza oba pistolety, poprawia płaszcz i wysiada z samochodu. Podgłośnia muzykę w słuchawkach i zaczyna iść w stronę działki na końcu ulicy.

Nie ma tu nic specjalnego.

Jeszcze jedna hala przemysłowa z ogrodzonym parkingiem, renomowaną nazwą firmy produkującej kruszywo, budynek zbudowany z aluminium i betonu.

Kwestionariusz

Spotkanie z byłym, nawet jeśli nie chodzi o partnera uczuciowego, zawsze jest emocjonującym doświadczeniem. Gdy dochodzi do niego na trzydzieści minut przed tym, jak twojemu nowemu partnerowi eksploduje bomba ukryta w karku, wyzwanie jest jeszcze większe.

Dlatego Antonia, podczas gdy czekali, żeby dostać się na teren komendy, poświęciła kilka sekund na zasięgnięcie informacji. Wyszukiwanie w Google od razu zaprowadziło ją do kwestionariusza w kobiecym magazynie „Telva” (*Spotkanie z twoim eks: jak nie wyjść na idiotkę*), z ważnymi informacjami na każdą okoliczność.

Punkt 1: Udawaj, że to przypadkowe spotkanie.

Ta część została już spalona za sprawą nagłego wtargnięcia do sali szkoleniowej i osiemnastu nieodebranych połączeń, więc Antonia przechodzi do kolejnego.

Punkt 2. Zachowuj się naturalnie.

– Odciski, które ci dałam, żebyś sprawdził tożsamość faceta, który mnie śledził, kiedy byłam z Marcosem. Co pamiętasz?

Nadinspektor prostuje się, robi kółko na podium i poprawia sobie nieco fryzurę, bo trzy czy cztery włosy leżały nie na swoim miejscu.

– Niewiele. Dałam ci raport, prawda?

Punkt 3. Nie okazuj zaniepokojenia.

– Dałeś. Ale muszę wiedzieć, co sam zapamiętałeś. To bardzo ważne, Raúl.

Covas się uśmiecha (na policzku tworzy się drobna zmarszczka protekcjonalności) i patrzy na Antonię z góry na dół. Z uwagi na różnicę wzrostu i podium wygląda, jakby stał na pierwszym piętrze.

– Myślałem, że ty niczego nie zapominasz.

Antonia obalała ten mit tak wiele razy, że już jej się to znudziło. Zwłaszcza mając na uwadze okoliczności tamtej prośby. Była sama w swoim szpitalnym pokoju. Minął tydzień od ataku na Marcosa i na nią. Raúl przyszedł ją odwiedzić, a ona zleciła mu, żeby poszedł do jej mieszkania po szklaną butelkę (teraz w szufladzie biurka, owinięta w folię) i sprawdził odciski.

Raúl wrócił dopiero po tygodniu. Wtedy Antonia ledwie się odzywała. Smutek i poczucie winy rosły w niej niczym chwast, zawiadnęły nią zupełnie. Prawie nie mogła ruszać lewą ręką, miała już dość środków uspokajających. Kawałki kuli wciąż w niej tkwiły w oczekiwaniu na drugą operację, rozszarpując ją w środku.

I owszem, Raúl podał jej kartkę, przekazał parę informacji i to było wszystko. Ale Antonia nie zarejestrowała z tego raportu prawie niczego. W tamtym czasie zaczęła już schodzić do piekła depresji i samobójczych zamiarów.

Ale Antonia przypomina sobie

Punkt 4: Unikaj dramatyzowania

i tylko mówi:

– Raúl, proszę. To bardzo poważna sprawa.

– W porządku – odpowiada po chwili. – Nie było zbyt wielu informacji. Sprawdziłem odciski, tak jak mnie prosiłaś. Facet nazywał się Enrique Pardo, pracował w banku, ale po kryzysie został bezrobotnym. Dzień przed tym, co spotkało twojego męża, skoczył pod pociąg metra. Tak więc od razu odrzuciłem go jako podejrzanego.

Następny punkt kwestionariusza natychmiast staje się przydatny.

Punkt 5: Nie rób wyrzutów.

Ponieważ Antonia ma prawo czuć się nieco zdradzona przez Raúla, który zostawił ją w tamtym szpitalnym pokoju niczym beznadziejny przypadek i dalej rozwijał swoją karierę. Być może jemu to ciąży, być może ma własne żale. Egoistyczne, banalne, dziecinne, jak to zwykle bywa w przypadku mężczyzn. Tak więc Antonia stara się, żeby w jej głosie

nie było słycać emocji, i zadaje pytanie z czysto zawodowego punktu widzenia.

– A zatem jak wyjaśnisz to, że zamordowano go dziś w nocy?

– Co? Nie... niemożliwe – zdumiewa się Covas.

– Może metro poruszało się tak wolno jak ta rozmowa – wtrąca Jon i zdesperowany wskazuje Antonii zegarek.

– Ani nie nazywał się Enrique Pardo, ani nie rzucił się pod metro. Jego nazwisko to Jaume Soler, konsultant informatyczny, który mógł być powiązany z projektem Czerwona Królowa. Skąd wzięłeś tę informację?

– Insynuujesz, że nie wykonałem mojej pracy jak należy?

– Nie byłby to pierwszy raz.

– Mylisz się. Osobiście pojechałem do prosektorium, żeby to sprawdzić.

Jon już dłużej nie wytrzyma. Patrzy na zegarek. Zostało tylko osiem minut. Czuje, że się dusi, więc zdejmuje płaszcz i marynarkę, otwiera okno tuż przy biurku profesora. Flaga Hiszpanii prawie nie powiewa, ale delikatny wietrzyk przywraca nieco koloru na zmienioną twarz Jona. Opiera o parapet swoje wielkie ręce i wyciąga potężną szyję w poszukiwaniu tlenu. Szwy na ranie są stąd dobrze widoczne.

Antonia patrzy na swojego partnera, również odczuwając niepokój, pośpiech i desperację.

– Osobiście pojechałeś do prose...

Antonia się zatrzymuje.

Świat też.

„Jaka ja byłam ślepa”, myśli.

Karişkırkır.

Po kirgiskiu, języku używanym przez trzy miliony osób w Azji Środkowej, to wilk przebrany za bujany fotel, na którym siedzisz od dłuższego czasu i go nie widzisz. Poczucie głupoty, jakie cię ogarnia, kiedy to, czego szukasz, znajduje się przed twoim nosem od samego początku.

Powoli przenosi wzrok na ranę Jona. Teraz, kiedy zesza opuchlizna i nie ma śladów krwi, jest lepiej widoczna. Antonia zwraca uwagę na

szycie. Szew materacowy poziomy. Wykonany prostą igłą. Bardzo dobre szycie, niemal bez zarzutu.

I na końcu węzełek motylkowy.

Bardzo, ale to bardzo trudno jest zrobić tak mały i tak idealny węzełek.

Antonia Scott widziała tylko jedną osobę, która je tak wykonuje. Po mistrzowsku.

„Jaka ja byłam ślepa”, powtarza sobie w myślach.

– Kto rozmawiał z tobą w prosektorium?

Nadinspektor Covas nie pamięta nazwiska. Ale może opisać. W przypadku twarzy atrakcyjnych kobiet pamięć nigdy go nie zawodziła.

INTERLUDIUM

Chronometr

Jon pokazuje Antonii chronometr z końcowym odliczaniem, kiedy zostało tylko kilka sekund, żeby wszystko się skończyło.

„Żeby wszystko się skończyło”, myśli Jon.

Mocno chwytają się za ręce.

Co za marna i żałosna śmierć.

Chce popatrzeć Antonii w oczy, chce się z nią pożegnać.

Ale patrzy na chronometr.

To silniejsze od niego.

Sześć sekund.

Pięć sekund.

„Jakie to żalosne”, myśli znowu.

Cztery sekundy.

Trzy sekundy.

„Umrzeć, patrząc na chronometr”.

Dwie sekundy.

Sekunda.

I nic.

Jon puszcza rękę Antonii, kiedy po kilku chwilach, gdy powietrze się zatrzymało, pojmuje – z niewytłumaczalnym rozczarowaniem – że to końcowe odliczanie nigdy nie było przeznaczone dla nich.

CZĘŚĆ CZWARTA

WHITE

Piekło jest prawdą widzianą zbyt późno.

Thomas Hobbes

1

Miła twarz

Funkcjonariusz w recepcji się uśmiecha. Niechętnie, ale się uśmiecha. Ostatecznie kobieta ma miłą twarz.

Nikt nie okazałby nieufności wobec tak miłej twarzy jak ta.

Nie widzi żadnego powodu, żeby położyć rękę na broni pod kontuarem (glock siedemnaście czwartej generacji), ponieważ kobieta wygląda niegroźnie. Małe krople deszczu pokrywają jej płaszcz i włosy. Dlatego jest przygarbiona i trzyma ręce w kieszeniach.

To nie pierwsza zdezorientowana osoba, która wchodzi do hali w poszukiwaniu informacji, a nawet po to, żeby powęszyć. W ciągu tygodnia zjawia ich się tu co najmniej kilka. Przed nim – obok telefonu i starej, wysłużonej klawiatury – leży wymięta kartka w foliowej koszulce, zawierająca szereg zdań, którymi należy odwrócić uwagę lub zniechęcić ciekawską osobę. Rzadko kiedy są jednak potrzebne, wystarcza krótkie „nie mam pojęcia” albo „to mój pierwszy dzień” lub też „nie ma już nikogo”.

Funkcjonariusz pracuje tu zaledwie od dwóch miesięcy. Dopiero co ukończył akademię i kiedy aplikował na to stanowisko, wyobrażał sobie o wiele bardziej emocjonujące rzeczy. Jak niemal wszyscy pracownicy zewnętrzni projektu Czerwona Królowa, wie o tym miejscu tylko to, co mu powiedziano. Że jest to tajna jednostka policji i po krótkiej służbie wyjdzie stąd z dobrymi referencjami.

Nakazano mu, żeby był dyskretny, żeby z nikim nie rozmawiał o swojej pracy i żeby trzymał obcych z daleka. Nie licząc pracowników pomocniczych, ma słuchać tylko czterech osób, które noszą identyfikatory z czerwoną obwódką. Nie da się ich pomylić: jeden to szef,

nieciekawy około pięćdziesięcioletni facet, który przez cały dzień bez przerwy wychodzi na papierosa. Druga osoba to niziutka kobieta, która była tu zaledwie parę razy i chyba jest jakąś naukowczynią czy kimś takim. Kolejna osoba to baskijski inspektor, wielki, ale nie żeby był gruby. Jego polubił. Za to, że jest miły, i za to, jak usilnie się stara, by nie było widać, że jest gejem.

Ostatnia osoba, której musi słuchać, teraz jest obok niego i szuka czegoś w torebce. Fajna ta lekarka sądowa. I ładna. Podobają mu się jej długie blond włosy i ten piercing. Parę razy próbował zaprosić ją na drinka, ale ona zawsze uprzejmie odmawiała. Zaczyna podejrzewać, że nie grają w jednej drużynie, ale mimo to jest gotów spróbować jeszcze raz. Może bliżej weekendu, kiedy w centrum handlowym będzie można obejrzeć jakiś dobry nowy film. W wieku dwudziestu trzech lat jego bogate doświadczenie z kobietami podpowiada mu, że żadna nie oprze się planowi w postaci filmu i restauracji Gino's. Któż mógłby.

Kobieta jest już tylko kilka kroków od kontuaru, ale jeszcze się nie odezwała. Nie przywitała się ani nie otworzyła ust. Tylko się uśmiecha i porusza głową w rytmie muzyki, którą słyszy tylko ona.

Teraz, gdy funkcjonariusz widzi ją z bliska, jej twarz nie wygląda już tak miłą.

– W czym mogę pomóc? – pyta.

Kobieta staje przed kontuarem i wyjmuje ręce z kieszeni. W każdej z nich trzyma pistolet. On nie wie, że każdy z nich to SIG-Sauer P226, bo na broni zna się ledwo ledwo. Na ich widok żołądek kurczy mu się ze strachu i zaskoczenia. Sięga po swoją, lecz jest już za późno. Strzał nie pada z naprzeciwka, ale on nawet się nie orientuje.

Z jakiegoś powodu świat postanowił zmienić swoją konfigurację. Kontuar (który przez osiem godzin dziennie jest całym jego horyzontem) podnosi się, przekręca się z jego prawej strony, a razem z nim podłoga.

„Strasznie dziwne”, myśli, zanim wokół wszystko stanie się czarne.

Doktorka Aguado chowa jeszcze dymiącą broń z powrotem do torebki. Piętnaście lat obchodzenia się z trupami nauczyło ją smutnej prawdy: zrobienie z kogoś człowieka kosztuje całe życie ciężkiej pracy; skończenie z nim – zaledwie delikatnego pociągnięcia za spust.

Po raz pierwszy zrobiła coś takiego. Od tygodni myślała o tym momencie, obawiając się, że nie da rady. Że w ostatniej chwili się wycofa. Że po prostu mechanizmy obronne, które wszczepia nam społeczeństwo (świadomość, religia, empatia), przejmą kontrolę i nie pozwolą jej umieścić kulki w mózgu młodego funkcjonariusza, podczas gdy ten był zajęty patrzeniem na Sandrę.

Tak się nie stało.

Przez kilka chwil po wystrzale, kiedy zapach kordytu wciąż unosi się w recepcji, lekarka sądowa bada się w środku i nie znajduje większych zmian. Oczywiście są nerwy i chęć oddania moczu, lecz nie wykrywa spodziewanego istotnego pęknięcia w swojej duszy. Zabójstwo zamyka jedne drzwi i otwiera inne. Przez umysł doktorki Aguado przemyka ulotna wizja rzeczywistego Boga, jego prawdziwa natura. Widoczna twarz, jego nieskończona kreatywność nie wymaga mikroskopów ani szczypiec, żeby ją odkryć. Wystarczy przespacerować się po lesie albo popatrzeć na pływającego dziobaka.

Trudniej jest dostrzec tę drugą twarz, nieskończoną i zbrodniczą obojętność Stwórcy wobec swoich stworzeń. Można ją zauważyć podczas oglądania jakiegoś zdjęcia z Auschwitz lub Mauthausen, ale to będzie rozumowanie zastępcze, z drugiej ręki. Trzeba przyłożyć pistolet do lewej skroni zdrowego, niewinnego młodzieńca i pociągnąć za spust. W następnej sekundzie czekasz na to, że rozstąpi się ziemia, że buchną piekielne płomienie, że oczyszczający ogień zstąpi z chmur i strawi twoje grzeszne ciało.

Tak się nie dzieje.

Właśnie teraz widzisz ukrytą twarz Boga, bez żadnych pośredników. Widzisz, jak bardzo ma to wszystko gdzieś.

– Dobra robota, doktorko – mówi Sandra, podchodząc do niej i wyjmując z ucha słuchawkę.

Aguado trzęsie się ręka.

– Proszę się uspokoić. Nie pora na strach. To przyjdzie później.

Doktorka chowa rękę do kieszeni.

– Butle są umieszczone w systemie wentylacyjnym – mówi. –

Poprosiłam wszystkich, żeby poczekał na mnie w sali zebrań.

Sandra przytakuje z napiętym uśmiechem.

– A... on?

– W swoim gabinecie.

– Dobra robota – powtarza Sandra, na powrót wkładając słuchawkę do ucha. – Może już pani iść. I proszę nie zapomnieć wykonać swojego telefonu.

Eleganckim skrzyśem ciała odwraca się do niej plecami i rusza do wejścia.

2

Butla

Istnieje pewna niepisana zasada pamięci polegająca na tym, że ma ona tendencję do przechowywania miejsc, które były dla nas ważne, z pewnymi błędami w skali. Wystarczy tylko wrócić do pokoju naszego dzieciństwa czy do auli na uniwersytecie, żeby się przekonać, że to miejsce jest znacznie mniejsze i zwyczajniejsze, niż je zapamiętaliśmy. My możemy nie urosnąć ani o milimetr, ale miejsce kurczy się niesamowicie.

To samo tyczy się miejsca, w którym bezlitośnie cię torturowano, o czym Sandra przekonuje się po wejściu. Zagrożenie, ciemność, strach i trauma zniknęły. Zamieniły się w nią.

Sandra rusza w stronę modułu, gdzie znajduje się sala zebrań, przechodząc obok modułu treningowego, nawet nie rzucając na niego okiem. Zamiast obejść MobLab zaparkowany tuż przy laboratorium Aguado, ustawia się bokiem i przesuwa między nimi, żeby nie zauważono jej przez drzwi sali zebrań. Nie tracąc rytmu i nie przestając podśpiewywać.

– „Będziesz liczyć noce długie jak węże, znowu będziesz spać pod łóżkiem” – śpiewa cichutko, niemal bezgłośnie.

Kiedy dociera do celu, obchodzi go dookoła i przykuca obok aparatury, która służy za klimatyzator. Rzeczywiście są tu umieszczone dwie zielone butle ze swoimi literami i ostrzeżeniami, naklejką z czaszką i skrzyżowanymi piszczelami – czarnymi na żółtym tle. Aguado zrobiła swoje. Ona musi tylko odkręcić kurki.

Okrąża moduł w przeciwną stronę i podchodzi do drzwi. Zagląda przez szybę. W środku wokół stołu konferencyjnego siedzi jedenaście osób ze znudzonymi minami. Żadna z nich nie zdaje sobie sprawy, że

Sandra oplata kławkę łańcuchem i zamyka na grubą kłódkę. Najwyraźniej nie są też świadome, że przez kratkę wentylacyjną wpada delikatna pomarańczowa mgiełka. To przepis starego Węgra, mieszanka bromoocjanu etylu i iperytu. Nie byłby z niej jednak dumny. „Jeśli nie wybucha, to co to za zabawa”, mówił z tym swoim akcentem pełnym słodkich samogłosek i przeciąganych liter jot.

Sandra uwielbia zabawę, ale także praktyczność. Kiedy teren przemawia na twoją korzyść i masz kilka miesięcy na zaplanowanie ataku na stróżów prawa, to można bawić się szczegółami, jak wtedy, gdy przygotowała podwójną eksplozję przeciwko ekipie, która przyszła ratować Carlę Ortiz.

W tym wypadku, na terenie przeciwnika i bez odpowiednio wcześniejszego powiadomienia, trzeba zrezygnować ze szczegółów i po prostu wykonać zadanie.

– „Zastukam do drzwi, ukryjemy się, będziemy rzucać kamienie, by wyglądać na niegrzecznych” – podśpiewuje oparta o drzwi.

Ze środka dobiega pierwszy krzyk alarmu.

Czuje potrzebę – fizyczną, nagłą, kategoryczną – by zajrzeć przez szybę i na własne oczy zobaczyć efekt swoich wysiłków, ale jest jeszcze trochę za wcześnie. Któraś z tych osób mogłaby mieć broń, a nie wierzy zbyt w solidność szyby. Tak więc czeka jeszcze kilka chwil i wyobraża sobie, co się dzieje w środku.

Siedzący najbliżej kratki wentylacyjnej nie są pierwszymi, którzy coś zauważą, ponieważ symptomy zaczynają się od języka. Puchnie, robi się dwa razy grubszy, w ustach pojawia się dziwny smak.

Zdziwienie ustępuje miejsca panice, kiedy uzmysławiasz sobie, że oddychanie staje się trudniejsze, w miarę jak trujący gaz ściska drogi oddechowe po drodze do płuc. Kiedy zaczynają piec cię oczy i zmniejsza się ilość tlenu w mózgu, krzyczenie jest już niemożliwe.

Krzyczą ci, którzy znajdują się dalej i widzą, że twoja twarz nabrała dziwnego czerwonego koloru i że próbujesz rozpiąć sobie koszulę, żeby złapać oddech. W najostrzejszych przypadkach system nerwowy

przejmuje kontrolę i sprawia, że paznokciami rozrywasz sobie gardło, całkowicie tracisz wzrok i padasz na podłogę.

Do tego czasu osoby znajdujące się najbliższej pierwszych ofiar rzuciły się im z pomocą, pytają, co się z nimi dzieje, nachylają się nad nimi. Ponieważ gaz jest cięższy niż powietrze, to najgorsza decyzja, jaką mogli podjąć. Oni są następni – przewrócą się na tych pierwszych, przygniatając ich ciężarem swoich ciał i swoimi skurczami, przyspieszając ich śmierć.

Ci znajdujący się najdalej, obok drzwi, mają jeszcze kilka cennych sekund, by zareagować, zwłaszcza gdy stoją.

I rzeczywiście – reagują.

Sandra czuje, że ktoś popycha drzwi, najpierw z siłą, potem z desperacją. Jedno uderzenie, drugie, trzecie. Łańcuch wytrzymuje, choć Sandra źle obliczyła odległość między ogniwami, a ten, kto pcha, musi być dość silnym mężczyzną.

Drzwi uchylają się kilka milimetrów.

Przez szczelinę nie ucieka wystarczająca ilość trucizny, żeby mogła się okazać groźna w tej otwartej, wysokiej na sześć metrów przestrzeni. Mimo to Sandra wyczuwa odrobinę zapachu.

Kwaśny, metaliczny, żrący.

Przypomina jej zapach płynu do czyszczenia broni. Kiedy nitrobenzen spływa po lufie, rozpuszczając resztki węgla, prochu i miedzi.

Sandra odsuwa się parę metrów, z obrzydzeniem. Oczy jej nieco łzawią. Nic poważnego. Większe jest jej rozczarowanie wynikające z tego, że nie może cieszyć się widowiskiem. Patrzenie przez szybę nie wchodzi w grę, więc jednym okiem zerka na drzwi, a drugim na listę odtwarzaną w telefonie. Zapęta piosenkę, której właśnie słucha (utwór jedenasty na płycie), bo wydaje się najbardziej odpowiednia.

W sali zebrania walenie w drzwi ustało. Ale teraz wszyscy są już nieżywi lub umierający, z różową pianą wydobywającą się z opuchniętych i zakrwawionych ust. Zawartość tej piany to tkanka śluzowa ich własnych płuc. Widok, który chciałaby obserwować na żywo, ale nie będzie to już możliwe z powodu uchylonych drzwi – i jej błędu w obliczeniach długości łańcucha – ale to nie czas na samokrytykę.

W rytmie dialogu między gitarą elektryczną a perkusją, którym rozpoczyna się piosenka, Sandra wraca do butli z gazem. Zakreca kurki, dzięki czemu będzie mogła przynajmniej szybko rzucić okiem na salę w drodze powrotnej. Marna pociecha – widzieć piłkę w bramce to nie to samo, co patrzeć, jak do niej wpada. Ale trudno, co robić.

Prostuje się w samą porę.

Wystrzał ze strzelby rozwała mechanizm klimatyzatora dokładnie w tym miejscu, w którym zaledwie sekundę wcześniej znajdowała się jej głowa. Zamiast przebić jej czaszkę, niszczy połę jej płaszcz Burberry. Z limitowanej edycji, kaszmir i jedwab, ponad cztery tysiące euro.

Wściekłość zalewa Sandrę bardziej, niż gdyby strzał rozwalił jej głowę. Gdyby tak się stało, ostatecznie nie dowiedziałyby się o zniszczeniu. Reaguje natychmiast, rzucając się na ziemię i odpowiadając ogniem.

Grzechy, które wracają

Mentor chowa się za MobLabem. Przednia część furgonetki pochłania strzały. Kule kalibru dziewięć milimetrów rozwalają przednią szybę, przednie prawe koło i jeden z reflektorów. I wtedy Mentor wie, że ma przerąbane. Bo prawie nie miał szkolenia z broni, stracił element zaskoczenia...

„A ta walnięta jebana suka doskonale wie, co robi. W końcu sam ją tego nauczyłem”.

Skulony ze strachu, wielokrotnie przeklina się za własną głupotę.

Niespełna dwie minuty temu wyszedł ze swojego gabinetu w kierunku automatu z kanapkami, kiedy zauważył Sandrę tuż przy drzwiach sali zebrania. Zobaczył też łańcuch i natychmiast połączył fakty. Przyklejony do ściany hali, prześlizgnął się do swojego samochodu i wziął strzelbę z przedniego siedzenia.

W tym momencie poczuł potrzebę – fizyczną, nagłą, kategorię – by pobiec do drzwi wyjściowych i wziąć nogi za pas. Nie było niczego, co mogłoby mu w tym przeszkodzić. Popatrzył raz w tamtą stronę, a potem znowu na środek hali. Tam, mordując prawie całą jego ekipę, znajdował się owoc jego grzechów. To, co zamiótł pod dywan i co wyczołgało się spod niego, silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Odbezpieczył broń.

„W końcu wiadomo przecież, co powiedział Czechow na temat broni”, pomyślał, po czym ruszył w stronę owocu swoich grzechów.

W tej chwili, schowany za furgonetką, Mentor żałuje, że nie pobiegł do wyjścia. Żałuje, że nie trafił celu – łatwo i w plecy. Żałuje wielu rzeczy, ale przede wszystkim tego, że papierosy zostawił w płaszczu. Tak dobrze wie, że umrze w ciągu najbliższych pięćdziesięciu sekund, że najbardziej wnerwia go to, że nie może zaciągnąć się ostatni raz.

„Z drugiej strony definitywnie rzucę palenie”, myśli, okrążając MobLab w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Ucieczka nie wchodzi w grę. Z miejsca, w którym stała Sandra, ma bardziej niż zasłonięte wejście i drogę do samochodu. Jedyna możliwość to otoczenie jej, zastawienie na nią pułapki.

Między furgonetką a laboratorium Aguado

(„mam nadzieję, że nie ma jej w środku, mam nadzieję, że zdołała uciec”)

jest wystarczająca luka, żeby przejść bokiem. Ma szerokość dużego lusterka bocznego i jeszcze trochę. Jeśli tam wejdzie, jeszcze będzie miał szansę. Nawet jeśli ona postanowi okrążyć furgonetkę od tej strony, natknie się na lufę strzelby wycelowaną prosto w jej obrzydliwą miłą twarz.

„W takiej sytuacji nawet ja nie mogę spudłować”, myśli.

Trzymając lufę przed sobą, Mentor wchodzi do szczeliny. Stawką jest życie lub śmierć, pięćdziesiąt na pięćdziesiąt. A przynajmniej jeśli uwzględnimy możliwości, jakie przyszły mu do głowy. Bo tego, że dostanie po kostkach pod podwoziem samochodu, nawet nie wziął pod uwagę. Mgliście przechodzi mu to przez myśl, kiedy znajduje się w wąskiej alejce między metalową karoserią a betonową ścianą, ale jest już za późno. Zostaje mu tylko iść dalej. Metr. Dwa metry.

Kiedy jest w połowie drogi, tak blisko lusterka bocznego, że może niemal musnąć go lufą strzelby, słyszy śmiech.

Ostry, kłujący śmiech niczym ostrze noża.

Sandra śmieje się jeszcze chwilę, jakby nie potrafiła się opanować. To rodzaj śmiechu, który pochodzi z jakiegoś bardzo dalekiego miejsca i

który może doprowadzić cię do szaleństwa.

Mentor czuje, jak lodowata pięść grzebie w jego trzewiach, drapie wewnętrżności, utyka w przelyku. Ona stoi tuż za nim.

– „I kiedy domyślą się, kto to zrobił, powiemy, że nie, to żaden z twoich kumpli, tam już nikt nie został” – podśpiewuje cichutko.

– Proszę... – mówi Mentor, zamykając oczy.

Kropla potu, a może to łza, spływa mu po policzku i dociera do kącika ust. Na języku pojawia się delikatny słony smak. Próbuje przełknąć ślinę i z trudem mu się to udaje.

– Rozwiąż to – mówi Sandra, dość dobrze naśladowując ton Mentora z sesji treningowych. – Jesteś w bardzo wąskim miejscu, celując przed siebie z długiej broni. Nie masz jak przełożyć broni do drugiej ręki, a twój wróg jest tuż za twoimi plecami. Co robisz?

On oczywiście nie odpowiada. Ale ona robi krok w jego stronę i umieszcza lufę pistoletu pod jego pachą. Przez przeponą koszulę czuje chłód metalu.

– Nie mogę nic zrobić – odpowiada.

– Zbyt łatwe i zbyt wolno – stwierdza Sandra.

Wbija lufę broni w jego nerw pachowy. Wstrząs nieznośnego bólu przeszywa ciało Mentora i sprawia, że kurczą się mięśnie jego lewej ręki. Z prawej wypada strzelba. W kroczu czuje wilgoć i ciepło.

– Strzelaj wreszcie, kurwa.

Sandra mlaszcze z dezaprobatą. Jakby sama myśl, że sądził, iż tak łatwo się uwolni, była dla niej obraźliwa.

– Wiesz co? Chciałam jedynie, żebyś mnie pokochał. Ale ty nigdy mnie nie dostrzegałeś. Nigdy się nie dowiedziałeś, kim jestem.

– Jesteś błędem. Oto kim jesteś. Błędem z przeszłości.

Ona znowu się śmieje.

To inny śmiech od tamtego poprzedniego.

Prostszy.

Niemal dziecinny.

Zbliża się do niego, aż przykleja twarz do jego twarzy i zniża głos. Teraz jest dawną przyjaciółką, która powierza na ucho jakiś sekret.

– Tak, masz rację. Ale z o wiele wcześniejszej, niż sądzisz.

Zanim strzeli mu w głowę, słodkim głosem śpiewa mu refren piosenki.

Po strzeleniu mu w głowę poprawia mu przeredzone na przodzie włosy.

– Zrobiłabym dla ciebie wszystko.

4

Siedem migawek

Ani Jon, ani Antonia nie będą wyraźnie pamiętać następnych godzin swojego życia, oprócz kolekcji migawek, momentów zatrzymanych w czasie, bez spójności między sobą.

1. Jon wciska konwulsyjnie przycisk połączenia w telefonie samochodowym. Antonia jedzie poboczem przy zjeździe na M-40. Lewe boczne lusterko kosi boczne lusterko samochodu, który znalazł się zbyt blisko. Deszcz fragmentów szkła, plastiku i kabli zostaje zawieszony w powietrzu.
2. Jon włącza policyjne radio (ukryte pod deską rozdzielczą samochodu) w samą porę, by usłyszeć wezwanie do pobliskich załóg. Jego ręce tworzą, będący wyrazem niedowierzania, trójkąt równoboczny wokół skroni. Na tego typu rzeczy Antonia zwykle zwraca uwagę, lecz nie tym razem.
3. Dwie furgonetki policji i samochód straży pożarnej czekają przy wyjeździe z zakamuflowanej kwatery. Czekają na polecenia, które nie nadchodzą. Niebieskie światła syren rzucają upiorne błyski na zwyczajną halę przemysłową. Pośród krzyków policjantów Antonia rusza do środka, a za nią Jon.
4. Strażak z maską tlenową na twarzy opuszcza siekierę na łańcuch, który blokuje wejście do sali zebrania. Ogniwa wylatują w powietrze i delikatna pomarańczowa chmura wydostaje się

przez otwarte drzwi. Ciała w środku już jakiś czas temu przestały się wić w konwulsjach śmierci, ale niejedno spojrzenie jest zwrócone w stronę wejścia. Jak gdyby jeszcze nie do końca stracili nadzieję.

5. Antonia schyla się nad ciałem Mentora, żeby zamknąć mu oczy. Jej palce muskają jego powieki. Medycy zostawili mu rozpiętą koszulę, stwierdziwszy zgon. Jeden z nich rozmawia z Jonem kilka metrów dalej. Jon ma zmienioną twarz. Medyk ma usta wysunięte do przodu, jakby przygotowywał się do złożenia pocałunku. Tworzą właśnie piątą literę słowa „niemożliwe”.
6. Antonia płacze, przedramię oparte o karoserię audi, lewa ręka trzyma ramię Jona, który próbuje ją pocieszyć, choć na nią nie patrzy. Jon odprowadza wzrokiem nosze, na których zabierają ciało jego szefa. Deszcz się wzmaga, a koła noszy, wpadając w szczeliny na chodniku, rozpryskują małe kropki.
7. Dzwoni telefon. Antonia gwałtownie wciąga smarki i wyjmuje urządzenie z kieszeni. Jon patrzy jeszcze w drugą stronę, więc mija chwila, zanim się odwróci. Antonia ociera łzy grzbietem dłoni, niedowierzając, kto do niej dzwoni.

5

Telefon

Antonia odbiera.

– Dzwoni pani, żeby prosić o wybaczenie?

– Nie. Wiem, że go nie dostanę – mówi Aguado. – A przynajmniej nie w tym życiu. Dzwonię, żeby się pożegnać.

Kiedy nie potrafisz dobrze przeanalizować własnych emocji ani ich zakomunikować, jak dzieje się w przypadku Antonii; kiedy to, co dla innych jest oczywiste, dla ciebie stanowi łamigłówkę, rozwijasz mechanizmy adaptacyjne. Nie ma jednak takiego mechanizmu adaptacyjnego, który mógłby przyswoić i przetworzyć to, co Antonia czuje w tej chwili. Mieszanka emocji jest przytłaczająca.

– Jak pani mogła? Jak?

– Nie miałam innego wyjścia. Trzyma mnie w garści, tak samo jak panią.

Antonia nie może się powstrzymać i naraz wyrzuca z siebie wszystko, co nagromadziło się w niej w ciągu tych straszliwych minut. Wszystkie wnioski, które wpadły na swoje miejsce, małe elementy wielkiej maszyny, które wreszcie ułożyły się na swoim miejscu.

– Od dawna, prawda? To pani dała Covasowi fałszywy raport, z którego wynikało, że Jaime Soler zmarł. I to pani powiedziała Sandrze o Whicie, czy było na odwrót? Zmanipulowała pani także ślady w domu Laury Trueby, ślady pierwszej zbrodni Sandry?

– Obawiam się, że ma pani rację w wielu kwestiach.

– Kiedy ja robiłam wszystko, by ją znaleźć, by dzięki niej dotrzeć do White'a, co zrobiła pani? Wyniosła pani czerwone kapsułki z magazynu, żeby „mi pomóc”. I nie ma wątpliwości, że także pani zasugerowała

Mentorowi, że byłoby idealnie, gdybyśmy zbadali sprawę z Malagi. Dzięki temu my byliśmy zajęci, podczas gdy wy przygotowawaliście potężne uderzenie...

Milknie dopiero wtedy, gdy czuje na swoim ramieniu rękę Jona. Antonia stoi oparta o samochód, w deszczu. Ma mokre włosy i pokiereszowaną duszę. Ręka Jona jest niczym balsam, delikatna ulga, która pozwala jej trzymać się rzeczywistości.

– Nie mogę powiedzieć pani nic więcej. Przykro mi.

– W takim razie po co pani dzwoni? On o to poprosił? Przypuszczam, że to też jest część jego gry.

Po drugiej stronie linii Aguado milczy. Antonia może niemal usłyszeć, jak pozbywa się swoich wymówek i usprawiedliwień. Odrzuca je bez mrugnienia okiem. Ktoś, kto zaszedł tak daleko jak ona, nie może też mieć zbyt wielu skrupułów.

– Zrobiłam to, bo on mnie poprosił.

– I w ten sposób dziś zabiła pani dwanaście osób.

– Zabiłabym i dwieście, gdyby mi nakazał. Bez zastanowienia.

– Co on na panią ma? Jak zdołał panią złamać? – pyta Antonia, rozpaczliwie pragnąc zdobyć choćby strzęp informacji.

– Tego pani nie powiem. Ale na pewno jest pani w stanie sobie to wyobrazić.

Owszem, Antonia sobie wyobraża.

Tak naprawdę szczegóły nie mają tu znaczenia. Dziewczyna, brat, matka. Bez względu na to, komu z osób bliskich Aguado grozi White, potwierdza się tylko to, o czym Antonia już wiedziała. Dla miłości każdy zrobi wszystko, nawet najstraszliwszą rzecz. Miłość to najpotężniejsze, co istnieje.

– Mogła się pani zwrócić do mnie. Pomogłabym.

– Używając... jak to wczoraj nazwał inspektor? Mózgu zaprogramowanego na dowody?

– Razem...

Aguado jej przerywa.

– Pani nie wie, do czego on jest zdolny. Jak potrafi wszystko uprzedzić. Nieważne, ile by pani przewidywała i obmyślała, on i tak będzie pierwszy. Nikt nie może go pokonać, Scott. Nawet pani.

Antonia czuje dreszcz, nie tylko z powodu deszczu, który spływa jej po włosach, wciska się za kołnierzyk koszuli i moczy jej plecy, biustonosz, przedziera się do pasa po białej i delikatnej skórze. Nie, jej chłód wypływa ze środka na zewnątrz.

– Nigdy nie miałam nawet najmniejszej szansy na wygraną, prawda?

– On tylko dał pani uwierzyć, że to możliwe. Jest pani niczym więcej jak latawcem w środku huraganu.

– A pani? Myśli pani, że teraz pozwoli pani odejść? Ot tak, po prostu? Kiedy wie pani to, co wie?

– Taka była nasza umowa.

– Zabije panią – ostrzega ją Antonia.

– Możliwe.

Antonia zniża głos do szeptu.

– Niech się pani modli, żeby tak było. Bo jeśli nie on, to ja panią zabiję. Znajdę panią, Aguado. Zapłaci pani za to, co zrobiła.

Delikatny szept wydany przez drobną i załamana kobietę. Drobinkę w obojętnym wszechświecie.

Drobinkę, która nie przeszkadza deszczowi i marcowemu wiatrowi.

Deszcze i marcowy wiatr nic nie wiedzą. Aguado owszem. Dlatego lodowaty dreszcz przebiega po jej plecach. Resztę swojego życia będzie musiała przeżyć ze świadomością, że jest adresatką tej obietnicy.

– Nie wątpię, że będzie pani próbować. Żegnaj, Antonio.

6

Korek

Kiedy Aguado się rozłącza, Antonia wybucha.

Gdyby była kimś innym – weźmy na przykład inspektora Jona Gutiérreza, ponieważ teraz stoi najbliżej Antonii – i musiałyby radzić sobie z emocjami, które przetwarza w tej chwili, prawdopodobnie zrobiłaby to poprzez atak złości. Na przykład wyrwałaby z latarni śmietnik. Krzyczałaby i deptała go, aż zamieniłby się w parocentymetrowej grubości arkusz plastiku.

Dla Antonii to nie jest takie proste.

Ona czuje równocześnie ból z powodu straty i udrękę ze względu na własną ślepotę. Przede wszystkim jednak zdradzone zaufanie.

Kiedy ludzie pozwalają, żeby inni się do nich zbliżyli, robią to z jakiegoś powodu. Czasami to zbliżenie następuje stopniowo, niemal niezauważalnie. Ale bez względu na to, jak powoli się to dzieje, zawsze jest pewien moment. Coś, co zmienia oznaczenie, jakie twarz tej osoby ma w naszym osobistym folderze. Czy to będzie kolega z pracy, sąsiad, ktoś, kogo poznałeś w mediach społecznościowych – zawsze jest coś takiego. Gest, spojrzenie, jakieś zdanie. Wspólny śmiech, jakaś wspólna myśl. Nie zawsze pamiętasz to w sposób wyraźny i świadomy, ale jeśli nieco się wysilisz, zdołasz sobie przypomnieć. Ten dzień, tę godzinę i tę dokładną minutę, kiedy podpis pod zdjęciem zmienia się ze znajomego na przyjaciela.

Dla Antonii, kogoś, kto ma bardzo mało tych pierwszych i jeszcze mniej tych drugich, dla kogoś, kto ma niezgłębioną pamięć i niebywałe umiejętności analityczne, te momenty są niezapomnianymi kamieniami milowymi.

W przypadku Mentora stało się to pewnego dnia po jednym z treningów, na samym początku ich znajomości. Była spocona i wyczerpana, wątpiła we własne umiejętności. Czowała się – tak jak wszystkie naprawdę inteligentne osoby – oszustką. A on podszedł do niej z ręcznikiem w ręce i powiedział:

– Zazdroszczę ci.

Tylko tyle. Jedno zdanie. Szczere i prawdziwe. Zaskakujące, jak zaskakująca może być tylko prawda. W prawdziwym świecie jest całe mnóstwo idiotów, którzy uważają się za inteligentnych, zdolnych trenować reprezentację piłki nożnej, przeprowadzić operację na otwartym sercu i rozwiązać problem imigracji. W każdym z tych tematów w ciągu kilku minut wydają niezaprzeczone opinie. Osoby naprawdę inteligentne wątpią we wszystko i we wszystkich, ale przede wszystkim wątpią w same siebie.

Mentor, wypowiadając tamto zdanie, zmienił oznaczenie pod swoim zdjęciem. Antonia nadal go nienawidziła (wciąż go nienawidzi ze względu na wszystkie kłamstwa), ale tak, jak nienawidzi się kogoś, kto nie może na ciebie napluć.

A w przypadku inspektora Gutiérreza? Och, to proste.

Tuż po wyjściu z gabinetu Laury Trueby, kiedy Antonia w bólu innej matki zobaczyła odbicie własnego, Jon był przy niej. Pojechał z nią do szkoły, by zobaczyć Jorgego. Nie zadawał zbyt wielu niewłaściwych pytań, co dla Jona jest nie lada wyczynem. Zrobił dla niej tortillę ziemniaczaną. Antonia wybaczyła mu nawet, że dodał cebulę. Nie żeby mogła wyczuć smak (bo jak wszystko, smakowała jej jak papier), ale nie da się zakamuflować tekstury małych kawałków między zębami.

Antonia, która nie mogłaby usmażyć jajka, nawet gdyby od tego zależało jej życie, jest świadoma małych aktów miłości. Wartości, jaka kryje się za pozornie drobnym gestem, jakim jest gotowanie dla drugiej osoby. Wskakuje ci na twarz, jak w przypadku tych pudełek z papierowym węzem w środku. Siedzisz sobie spokojnie i bach, tona miłości leci prosto w twarz.

Dzięki tamtej tortilli ziemniaczanej Jon zmienił oznaczenie pod swoim zdjęciem. I nie poprzestał na tym. Dalej je zmieniał, aż nie zostało już żadne inne. Ewolucja „nieznajomy”, „kolega”, „przyjaciel”, „rodzina” zakończyła się na słowie złożonym z trzech liter. Jot, o, en. Dla Antonii nie da się być już kimś więcej.

A jak to było z doktorką Aguado?

Antonia przywołuje w myślach moment, kiedy spotkały się po raz pierwszy, w domu Laury Trueby. Była tylko podekscytowaną lekarką sądową, ponieważ Antonia przeczytała jej raport. Była ciekawa tego małego potwora odpowiedzialnego za to, co się stało w Walencji. Podziwiała ją, a przynajmniej tak przekazał jej później Jon.

Oznaczenie pod zdjęciem Aguado zmieniło się kilka dni później. Kiedy Antonia przeżywała jedną z najmroczniejszych chwil. Ezequiel uciekł po wyczerpującym i bezowocnym pościgu. Antonia dyskutowała sama ze sobą, szarpała się z niespójnościami tej sprawy. Było dla niej jasne, że ten morderca jest innego rodzaju zwierzęciem niż ci, których znała. Oczywiście miała rację, tyle że z niewłaściwych powodów.

Tamten moment wątpliwości i niepewności owej bezsennej i niespokojnej nocy zastał ją przy łóżku Marcosa. Trzymała go za prawą dłoń, wpatrując się w ścianę i koncentrując się na dźwięku elektrokardiogramu w leśnej ciszy szpitala. Ze łzami w oczach, zrozpaczona, zdruzgotana, pokonana. Miała ochotę po stokroć zwrócić cierpienie tym, którzy zadali je innym.

W tym stanie osłabienia zadzwoniła Aguado. Jej głos po drugiej stronie linii był niczym latarnia, niczym lina, której można się chwycić na środku wysokich fal. Ochrypli od nikotyny i zmęczenia, szorstki od alergii – albo odwrotnie. Samotność zamienia duszę w suchą gąbkę, która z wdzięcznością przyjmuje każdy płyn, jaki na nią spada.

Aguado ją okłamywała, podczas gdy Antonia trzymała bezwładną dłoń swojego męża pograżonego w śpiączce. I to ona była współniczką tych, przez których Marcos trafił na to łóżko.

W jakiejś mierze to była najgorsza obelga ze wszystkich.

To wszystko przemknęło przez głowę Antonii Scott od chwili, gdy Aguado się rozłącza, a ona odsuwa telefon od ucha.

Opowiedzenie o tym zajmuje trochę czasu.

Kiedy Aguado się rozłącza, Antonia wybucha.

Ból z powodu straty, udręka ze względu na własną ślepotę, zdradzone zaufanie. W żadnym języku nie istnieje słowo, które zdołałoby podsumować ten komunikacyjny korek w mózgu i w sercu Antonii.

Jej ciało decyduje za nią. Żołądek ściska się raz, dwa razy. Przy trzecim skurczu Antonia wymiotuje niewielką zawartość żołądka przez otwartą szybę audi.

Jon, który zamierzał właśnie podeptać śmietnik, zamienia agresję na uprzejmość (wyjmuje z kieszeni czystą chusteczkę i podaje ją Antonii), a furię na żal – żałuje mianowicie tego, że zostawił otwartą szybę.

– Pieprzona suka – mówi Antonia pośród kaszlu i odruchów wymiotnych.

Pluje, ale w ustach wciąż czuje smak tego samego co wcześniej. Straty, zaślepienia i kłamstwa. Wymieszanego z żółcią. Wreszcie znajduje odpowiednie słowo:

Rozpacz.

Bierze chusteczkę od Jona, wyciera sobie usta i brodę.

– Możesz ją zatrzymać, piękna – mówi Jon, kiedy Antonia mu ją zwraca.

– Pieprzona suka – powtarza, zaciskając chusteczkę w pięści i waląc w dach samochodu.

– Nie możesz też za bardzo przesadzać z przekleństwami, skarbie – prowokuje ją Jon. – Trzeba znaleźć złoty środek.

– Jak możesz sobie żartować w takim momencie? – wyrzuca mu Antonia, odwracając się i atakując Jona zaciśniętą pięścią.

Z całych sił uderza w jego klatkę piersiową z rezultatem, jakiego można się było spodziewać. On przyjmuje ciosy z otwartymi ramionami, dając jej czas, oferując jej siebie, czekając. Kiedy wreszcie jest gotowa,

kiedy w środku nie zostało już więcej wściekłości, a jedynie smutek, tylko ją przytula, gdy ona opada na jego tors. Dopiero wtedy ośmiela się otoczyć ją ramionami i pozwolić, żeby pośród smarków i łez zniszczyła mu prany na sucho garnitur.

Przestrach

– Czekają na ciebie w środku – mówi Jon, kiedy Antonia się od niego odsuwa.

Wyciera łzy, pociąga nosem – chusteczka jeszcze się przydaje. Potem otwiera drzwi od strony pasażera, widzi bałagan, jakiego narobiła na tapicerce, zastanawia się i siada z tyłu.

Jon delikatnie stuka w szybę.

Antonia ją opuszcza.

Jon opiera się o drzwi.

– Miejsce zbrodni jest już czyste. Musimy...

– Nie wrócimy do środka – odpowiada, nie patrząc na niego.

– Antonia...

– Nie. Już wiemy, kto to był.

– Antonia...

– Kto zajmuje się miejscem zbrodni?

Jon patrzy przez ramię i uświadamia sobie, że nie zna odpowiedzi.

– Nie wiem. Był ktoś z policji, ale rozmawiał z gościem z CNI. W drodze był też sędzia...

– No właśnie.

Jon nagle pojmuje, o czym myśli Antonia. Zwykle oni zjawiali się na miejscu zbrodni tylnym wejściem, nie pytając nikogo i nie prosząc o pozwolenie. Jeśli pojawiał się jakiś problem, musieli tylko wykonać jeden telefon. Po kilku minutach w magiczny sposób wszystkie drzwi stawały dla nich otworem, wszystkie przeszkody znikwały, wszystkie wyboje się wyrównywały.

Problem polega na tym, że osoba, która to wszystko dla nich załatwiła, teraz leży na betonowej podłodze w hali przemysłowej w kałuży własnej krwi.

– Nie możemy zostawić go tam samego, Antonia.

Ona rozgląda się wokół, patrzy na wszystkich obcych ludzi, którzy wchodzą do budynku i z niego wychodzą, nieznajome twarze, światła stroboskopowe. Chaos, który pochłonie ich bez litości, jeśli nie rozegrają tego dobrze.

– Na tym miejscu zbrodni nie jesteśmy śledczymi, Jon. Znamy ofiary, wiemy, kim są zabójcy. Teraz jesteśmy w kręgu podejrzeń.

– Ale...

– Jeśli tam wejdziemy, już nie wyjdziemy. Wsadzą nas do sali przesłuchań, a nie mamy czasu do stracenia – mówi Antonia, wskazując jego kark.

– Co zatem proponujesz?

– Lecieć nisko. Przez chwilę. Muszę pomyśleć.

Inspektor Gutiérrez bębni palcami w dach samochodu, zastanawiając się, co powiedziała Antonia. Na ich nieszczęście to wszystko prawda. Bez swojego parasola ochronnego są tylko zwykłym policjantem oficjalnie zawieszonym i bezrobotną filolożką.

– I tak będą nas szukać.

– Musimy uciekać przez kilka godzin. Zresztą nie pierwszy raz.

Jon uśmiecha się pomimo zmęczenia i okrąża samochód. Siada za kierownicą i spogląda przez ramię na tylne siedzenie.

– Dokąd, miss Daisy?

Antonia odpowiada mu spojrzeniem, w którym widać zagubienie graniczące z bezradnością.

– Nieważne – mówi Jon. – Znam idealne miejsce dla takiej kobiety jak ty.

Toblerone

Stacja benzynowa Repsol przy alei Aragón, naprzeciwko stacji kontroli pojazdów, może i nie znajduje się w przewodniku Michelin ani nie otrzymała żadnej nagrody TripAdvisor, ale w zamian ma cholesterol zapakowany w najlepsze marki. A nawet nowe toblerone nadziewane fundukiem, które robi furorę.

Antonia bierze dwadzieścia euro, które podaje jej Jon, i kupuje tyle czekoladek, na ile jej wystarcza. Zjada je, siedząc na ławce blisko miejsc do tankowania, tak blisko, że słyszy szum zbiorników.

Jon tymczasem sprząta samochód. Odkurza w środku, porządnie czyści i spryskuje odświeżaczem powietrza, aż pachnie wymiocinami z wanilią, a nie samymi wymiocinami.

Kiedy kończy, wchodzi do sklepu, żeby sprawdzić, co może kupić, co nie byłoby śmiertcionośne. Rzut okiem na ladę potwierdza to, czego się obawiał: jedzenie jest tak koszmarnie, że można zobaczyć biegnące po ladzie paciorkowce, które od niego uciekają. Ostatecznie decyduje się na kanapkę z suchą polędwicą – najmniej odpychającą opcję z obszernej karty lokalu.

– Gdyby Mentor zobaczył, jak to jesz... – zaczyna Antonia.

Jon wyjmuje z ust nitkę z polędwicy, żeby móc odpowiedzieć.

– Gdyby nie dał się zabić, nie siedzielibyśmy tu, prawie że uciekając.

– Znowu to robisz – odpowiada Antonia po długim milczeniu.

– Co takiego?

– To, co robisz. To nie jest śmieszne.

– Piękna, ty nie poznałabyś, co jest śmieszne, nawet gdybym skopał ci tyłek. A żarty to sposób radzenia sobie z bólem.

Antonia wkłada do ust ostatni trójkąt toblerone, przeżuwa go powoli, bardzo poważnie zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedział jej Jon.

– Myślisz, że mógłbyś mnie nauczyć?

– Nie.

Jon zgniata czerwono-biały papier po kanapce, próbuje wrzucić go do pobliskiego kosza, pudłuje, schyla się, żeby podnieść papier, strzepuje okruszki z marynarki, wraca do Antonii, która wciąż spogląda na niego wyczekująco.

– Nie patrz tak na mnie. Nie mogę cię tego nauczyć.

– Nauczyłeś mnie przeklinać.

– To nie to samo.

– Wyjaśnij mi dlaczego.

– Bo to nie jest to samo. Bo ból jest sprawą osobistą i poczucie humoru też. Tylko ty masz władzę nad tymi dwiema rzeczami.

– Nie rozumiem. Zazartowałeś, gdybym umarła?

Jon, który nie spał całymi nocami, cierpiąc z powodu możliwości, że tak się stanie; który musiał usunąć ją z drogi jadącej terenówki; który przez nią zarobił niejedną strzał; który zeskoczył z dachu, żeby ją ratować i jeszcze kilka innych rzeczy, które nie są tu istotne, myśli o tym, jak pękłoby mu serce, gdyby ta mała istota z brudnymi włosami zniknęła ze świata.

– Jeszcze całkiem byś nie ostygła, a już bym rżał – potwierdza bardzo poważnym tonem.

Antonia parska śmiechem. Co jest rzadszym zjawiskiem niż kometa Halleya. Ma piękny śmiech, krystaliczny, harmonijny. Nawet zaraźliwy. Mimo to Jon uważa za swój święty obowiązek zachowanie prostych ust i zaciśniętych szczęk.

– Co cię tak bawi? – pyta cicho.

– *Algor mortis*. Oziębienie pośmiertne. Oblicza się je przy pomocy równania Glaistera. Bardzo specyficzną metodą.

– Jaką?

– Termometrem w odbycie.

Święty obowiązek Jona idzie w diabły.

Śmieje się.

Śmieje się z całych swoich sił z kruchości istnienia, z termometrów w dupie i z własnej bezbronności.

Śmieje się i Antonia do niego dołącza, aż w końcu oboje płaczą.

– Nie chcę być jeszcze bardziej samotna – mówi.

– Wiem.

– Nie, nie wiesz, Jon. Jest coś, o czym ci nie powiedziałam.

Antonia wyjaśnia mu, co zrobiła tamtej nocy, kiedy on został porwany. O czym zamierzała mu powiedzieć, kiedy Sandra go odurzyła, zapakowała do samochodu i zabrała.

Jak podjęła najtrudniejszą decyzję w swoim życiu. O odłączeniu aparatury, która utrzymywała Marcosa przy życiu.

Opowiada mu o tym, jak jego ciało osłabło jeszcze bardziej w ciągu tych miesięcy. Kończyny się skurczyły, skóra stała się matowa i wiotka. Uwidaczniając diagnozę. Lekarze już lata temu pozbawili ją nadziei. „Nie ma żadnej szansy”, powiedzieli. Ale Antonia im nie uwierzyła. Odwróciła się plecami do rozsądku, ponieważ była zbyt dumna, żeby przyznać się do nieodwracalnego błędu.

– A później poznałam ciebie i wszystko zmieniłeś – mówi mu.

Opowiada mu, jak Jon ponownie przywrócił ją do życia. Unaoczniał jej, że może się mylić. Nie mówi mu o swoim codziennym rytuale, o pragnieniu śmierci, o swoich trzech minutach. O tym, co utrzymuje ją przy zdrowych zmysłach. Ponieważ w duszy są takie obszary, którymi nie można się dzielić, bez względu na to, jak bardzo kochasz drugą osobę i jej ufasz.

Opowiada mu o tym, co znaczyło dla niej na powrót poczuć się żywą, tylko po to, by zobaczyć, jak to, co kochała, zostało zniszczone albo znajdowało się w niebezpieczeństwie.

– Najpierw Marcos, potem Jorge, potem Mentor. Teraz ty.

Jon słucha opowieści w milczeniu.

Kiedy ona kończy, opowiada jej swoją.

– Wiem, co to znaczy, że obwiniasz się za całe zło tego świata. Mam przyjaciela, który wybrał się w góry w wieku ośmiu lat. Miał przy sobie dwa pęta chorizo, pół bochenka chleba i pół butelki pomarańczowej fanty. Wszystko dlatego, że chłopak ze szkoły powtarzał mojemu przyjacielowi, że jego ojciec odszedł z domu z jego winy. Zanim zapadła druga noc, dwóch funkcjonariuszy Gwardii Obywatelskiej wyciągnęło go z owczarni. Gdyby to od niego zależało, zostałby tam na zawsze.

Antonia zastanawia się nad tym chwilę i patrzy na Jona z czułością, nic nie mówiąc.

– Dobra, powiem ci. Ten przyjaciel to ja – wyjaśnia.

– Już się domyśliłam.

– Naprawdę jesteś najinteligentniejszą kobietą na świecie – ironizuje Jon. A potem poważnie. – Ale nie musisz być najsamotniejszą.

Ona się uśmiecha, jest to nieśmiały uśmiech wdzięczności, i wstaje.

– Mogę wiedzieć, dlaczego opowiadasz mi o tym teraz? – pyta Jon.

– Bo zostawiłeś telefon w samochodzie.

Inspektor Gutiérrez maca kieszeń ze zdumieniem. Potem spogląda na Antonię, która też nie ma przy sobie swojej torby. Patrzy na samochód zaparkowany w pobliżu myjni. Jakies dziesięć metrów dalej.

– Nie rozumiem.

– To bardzo osobista sprawa. Nie chciałam, żeby on to usłyszał.

Wtedy Jon przewija. Do tamtej chwili, kiedy obudził się bez telefonu na wózku inwalidzkim. Przeskakuje kilka rozdziałów. Aż do momentu, kiedy Aguado dała mu nowe urządzenie z tym samym numerem.

Sumuje te dwa momenty, dodaje do nich płynną, rozmytą i eteryczną pewność, że White wydaje się zawsze wiedzieć, gdzie znajdują się w każdej sekundzie.

I który zawsze jest dwa kroki przed nimi.

Jakby...

– O kurwa.

– Właśnie.

- Podszłuchiwał nas od samego początku?

Antonia przytakuje powoli. Pozwala mu, żeby wyciągnął własne wnioski. Czasami potrafi myśleć.

- Używając mikrofonu w moim telefonie?

Kolejne przytaknięcie.

- I być może także w moim. Zostawiłam wszystko w samochodzie. Telefon, iPad, zegarek.

Jon kręci głową z niedowierzaniem.

- Od kiedy to wiesz?

- Podejrzewałam to, odkąd wszystko się zaczęło. Bo ja zrobiłabym dokładnie to samo. Gdybym wiedziała to, co wiem od kilku minut.

- Słucham?

- Aguado wypowiedziała zdanie, które usłyszałam od ciebie w domu Solera. „Mózg zaprogramowany na dowody”.

- Ty i ja byliśmy w innym pokoju. Nie mogła tego usłyszeć – mówi Jon.

- Myślę, że zrobiła to celowo, żeby nas ostrzec, za plecami White'a.

Jon nabiera głęboko powietrza, a kiedy je wypuszcza, robi to z westchnięciem, które porusza martwymi liśćmi, opakowaniem po cukierkach i jednym z tych kawałów papieru, którym wycierasz sobie rękę po zatankowaniu i które walają się po ziemi.

- To wcale nie uwalnia jej od winy.

- Nie. Ale myślę, że jednak chciała nam pomóc.

- Zaraz, zaraz – mówi Jon, który wciąż powoli przyswaja nową informację. – To oznacza, że... skoro wiesz, że podszłuchiwał nas od początku...

- Ne powiedziałam ci, bo byłoby to po tobie widać, Jon.

- Skarbie, przecież ty nie umiesz kłamać – stwierdza inspektor z rozpaloną twarzą. – Jesteś najgorszą kłamczuchą, jaką widziałem.

- A ty nie umiesz kamuflować swoich emocji.

„Szach-mat”.

„A to jędza”.

Jon musi przyznać, że gdyby o tym wiedział, to mając na uwadze wszystko, przez co przeszli, ile wycierpieli, i zważywszy na jego osobistą historię konfrontacji (a mówiąc po ludzku, bicia się) z przeszkodami, na które natyka się w życiu, być może byłoby po nim widać.

– A więc... to wszystko, co mówiłaś o tym, że nie masz pojęcia, w którą stronę iść, ani co robić, to było...

– W głównej mierze prawdą.

– W głównej mierze – przedrzeźnia ją ponuro.

– Chyba domyślam się, co się dzieje.

– I nic mi nie powiesz, prawda?

– Skoro już wiesz, to po co pytasz? – odpowiada Antonia z niewinnym spojrzeniem.

Wiadomość

Antonia wraca do samochodu, tym razem ponownie na miejsce pasażera, względnie czyste. Zapach i tak jej nie przeszkadza.

Kiedy Jon siada obok niej, musi odsunąć telefon, który został na siedzeniu. Włożywszy go do kieszeni, czuje strach i wstręt wobec urządzenia, które wcześniej przyniosło mu same dobre rzeczy.

„No cóż, kilka dobrych rzeczy. Jak na przykład Grindr”.

Inspektor Gutiérrez zdaje sobie sprawę, że ona miała rację od samego początku. Nie da się zapomnieć o tym, że w samochodzie razem z nimi była trzecia osoba, dodatkowa para uszu. Ta sama zasada, która obowiązuje w Big Brotherze: nieważne, jak bardzo starają się to sprzedać jako rzeczywistość, wszystko jest grą. Postanawia więc mówić jak najmniej.

Ponieważ o bombie na karku nie da się rzecz jasna zapomnieć.

– Jak myślisz, co się teraz stanie? – pyta Antonię, starając się brzmieć naturalnie. A więc przytłoczony, zmęczony i przerażony.

– Napisze do nas. Musi nam jeszcze podać trzeci adres. Trzecie zabójstwo, które musimy wyjaśnić.

– Myślisz, że ten chory pojeb...

Antonia otwiera szeroko oczy i daje mu znać ręką. Jon próbuje się hamować. Trudno jest zapomnieć, że mówisz do tej samej osoby, która trzyma twoje życie w garści i może je zakończyć wciśnięciem guzika.

– ...może dać nam teraz rozwiązanie?

– O czym ty mówisz?

– Kiedy szukałaś rozwiązania sprawy zabójstwa Raquel Planas, nie mogłaś go znaleźć. Kiedy szukałaś mordercy Solera, znalazłaś mordercę

Planas, którym okazał się sam Soler.

– Nie mylisz się – stwierdza Antonia po chwili zastanowienia.

– Może miałaś rację z tym, co powiedziałaś wcześniej. Może po prostu nie da się wygrać tej gry.

– Jon, przecież wiedzieliśmy, że wszystko było ukartowane. To psychopatyczny zabójca, a nie sąd najwyższy.

– Nie, chodzi mi o to, że nigdy nie zamierzał wcisnąć tego guzika – mówi Jon, wskazując swój kark. – To znaczy do tej pory. Nie wiem, co się stanie teraz, ale jestem przekonany, że tak naprawdę zależało mu na tym, byśmy dotarli do tego miejsca.

– Nie wiem. Nie wiem – odpowiada Antonia. – W tej chwili jestem zbyt zmęczona, zbyt pusta, zbyt pokonana. Zrobię, o co mnie poprosi, dopóki będziesz to miał. Nie widzę innego wyjścia. A ty zrobisz to, co ja ci powiem.

Inspektor Gutiérrez słucha swojej partnerki z nieufnością. Nie wie, jak ocenić to, co właśnie powiedziała.

Okazuje się, że pan White interpretuje lepiej od niego.

Jon się uśmiecha – nie może tego uniknąć. Nagle wszechobecny i potężny White stracił nieco ze swojej siły, ze swojej tyranii. Ponieważ gdyby nie wiedział, że jego telefon stał się niezamierzonym mikrofonem, Jon narobiłby pod siebie, słysząc wiadomość

(dwa piknięcia, wibracja)

przychodzącą na telefon Antonii akurat w tej samej chwili, gdy ona dokończyła swoje zdanie.

Z perfekcją i synchronizacją godną montażysty dźwięku z Hollywood.

Jon, który ma słabość do kina, pewnego dnia zakochał się w filmie dokumentalnym, który obejrzał na temat pracy Skipa Lievsaya w *Milczeniu owiec*. Był pod wrażeniem tego, że udało mu się zmiksować dźwięk tak, że głosy aktorów z jednej sceny zaczynały być słyszalne, kiedy nie skończyła się jeszcze poprzednia scena. To nadrzędna pozycja

narratora, który wie przed nami, co się wydarzy, i to wywołuje poczucie zagrożenia.

Tak naprawdę jednak Jon nie obawiał się tego, że White ich słyszy.

Obawiał się, że jest wszechmocny.

„A taki nie jest. To tylko pan z mikrofonem”.

„Pokonamy go. Może i jest bardzo bystry. Możliwe nawet, że jest bystrzejszy od Antonii. Może i ma wszystko przemyślane”.

„Ale jeśli koniec końców muszę wybierać między nim a mną, jeśli muszę go załatwić, zrobię to. A to jest siła, której on nigdy nie zdoła dorównać”, myśli Jon.

Antonia tymczasem podnosi telefon i patrzy na wiadomość.

I twarz jej się zmienia.

Pokazuje Jonowi ekran telefonu.

I Jonowi też się zmienia.

Tym razem nie musi szukać w Heimdallu informacji o zbrodni popełnionej pod tym adresem. Nie musi nawet ustawiać GPS-u, żeby pomógł im tam trafić.

Ponieważ o zbrodni, którą tam popełniono, ona wie aż nadto.

Ponieważ adres, który właśnie przyszedł na jej telefon, zna najlepiej na świecie.

MELANCOLÍA 7

Adres Antonii Scott.

10

Poddasze

Dotarłszy na ostatnie piętro, znajdują drzwi na poddasze.

Zielone. Strasznie stare. Łuszczące się.

Otwarte. Na oścież.

Jon ostrożnie wyjmuje broń i staje przed Antonią. Już wiele miesięcy temu udało mu się oduczyć ją złego nawyku zostawiania otwartych drzwi.

Nie żeby w mieszkaniu wiele się zmieniło. Nadal jest prawie puste, nie ma tam niczego, co byłoby warto ukraść. Nie licząc pięknego plastikowego fikusa stojącego w przedpokoju.

Jon idzie korytarzem, trzymając broń obiema rękami. Kuchnia jest pusta, w ciemnościach. Dawna pracownia Marcosa też.

Z głównego pokoju wystaje tylko lufa pistoletu wymierzona prosto w jego prawą skroń. Jon odpowiada na uprzejmość, celując w mrok.

Wystarczą dwa kroki do przodu, by dostrzec uśmiechniętą twarz Sandry. Twarz, która budzi takie samo zaufanie, jak kolacja jedzona przez szczura.

– Inspektorze – wita się ona.

– Walnięta suko – wita się on.

– Dobrze byłoby schować broń.

– Ty pierwsza, skarbie.

Sandra uśmiecha się jeszcze szerzej, rozciągając usta do granic możliwości.

– Z wielką przyjemnością – mówi, chowając pistolet pod płaszczem. Potem wyjmuje ręce i je pokazuje, niczym magik, który wsadził właśnie gołębia do kapelusza. Brakuje tylko, by pokazała gołe przedramiona.

– Jon.

Antonia ostrzega go od wejścia. Jon jednak wciąż nie opuszcza broni. Lufa znajduje się niecałe dwadzieścia centymetrów od twarzy Sandry.

Delikatny nacisk, to wszystko, co byłoby potrzebne.

„Małe pociągnięcie za spust i eliminujemy jednego szkodnika z tego świata”, myśli Jon. „Zabójczynię policjantów”.

Pokusa – fizyczna, nagła, kategoryczna – napina wszystkie mięśnie jego ciała. Jego ramię jest sztywne jak poprzeczka na boisku piłkarskim. Mogłaby się na niej zawiesić cała drużyna Athleticu. Końcówka pistoletu wyraźnie pulsuje w rytmie jego serca.

Sandra patrzy, lecz jej uśmiech nie słabnie. Co najwyżej zmienia się jego natura. Staje się perwersyjny, niemalże zmysłowy. Robi krok w stronę Jona i nachyla się nieco w stronę pistoletu. Przez moment Jon sądzi (to przez jej spojrzenie, to spojrzenie, które obwieszcza, że brakuje jej piątej klepki), że Sandra wystawi język i przejedzie nim po lufie. Ale ona tylko opiera o nią czoło.

Inspektor Gutiérrez czuje w nadgarstku wibrację, która dociera do niego z samego końca lufy. Przez chwilę może wyczuć szaleństwo przez metal.

– Nie odważysz się – szepcze Sandra gładkim niczym gad głosem. – Nawet jeśli dopiero co zabiłam twój szefa i wszystkich twoich kolegów. Nie odważysz się. Prawda, grubasku?

„Och, co to, to nie”, myśli Jon.

Nie pociąga za spust, ponieważ mała i blada ręka łąduje na czarnej, oleistej stali. Bardzo powoli i bardzo delikatnie zmusza go do opuszczenia broni.

Jon odrywa oczy od jadowitego i drwiącego spojrzenia Sandry i podąża za drżącym i pełnym gniewu wzrokiem Antonii. Przez korytarz, aż do salonu.

Na zewnątrz zachodzi słońce.

W środku pan White siedzi na podłodze, na środku pokoju, w pozycji lotosu. Czterdzieści kilka lat. Ubrany w czarne spodnie i białą koszulę. Ma

bose stopy. Przed nim leży brązowa skórzana teczka zawiązana na czerwony filcowy sznurek.

– Proszę, pani Scott – odzywa się po angielsku. – Proszę wejść i zamknąć drzwi.

– Nie – mówi Jon, ubiegając ją.

– Inspektorze, pańska podświadomość jest tak blisko powierzchni, że widzę wystający peryskop – mówi White niezdarkim hiszpańskim.

Pokazuje mu małe urządzenie, które trzyma w dłoni. Wielkością i kształtem przypomina dawny pilot do garażu. Jon domyśla się, co aktywuje ten pilot. Intuicji towarzyszy silne swędzenie przy ranie na karku.

– Proszę łaskawie zostać na zewnątrz – dodaje White wobec niezdecydowania Jona.

– Nic mi się nie stanie – mówi Antonia, mijając swojego partnera.

Zanim zamknie za sobą drzwi, wydaje mu ostatnie polecenie, wskazując głową w stronę Sandry.

– Postaraj się jej nie zabić, Jon.

– Niczego nie obiecuję.

Antonia się odwraca i stawia czoło White'owi.

– Zajmuje pan moje miejsce – mówi po angielsku, wskazując dokładny punkt na podłodze, gdzie zawsze siada.

White sprawia wrażenie, jakby jej nie usłyszał, i wskazuje miejsce na podłodze naprzeciwko.

– Proszę usiąść. Jest pani u siebie.

Fala wściekłości zalewa twarz Antonii. Kiedy poprzednim razem spotkała White'a, przeszła bardzo podobny proces. Uciszyć małpy, nie pozwolić, by przepelniła ją furia, ustalić jakąś strategię.

Tamtym razem nie była uzbrojona. Teraz ma przy sobie swój P290 w maleńkiej kaburze, ledwie widocznej pod kurtką.

Ręką wykonuje ruch w jej stronę. Drobny.

– Szybszy niż kula – mówi on, podnosząc dłoń, w której trzyma pilota.

Ona doskonale o tym wie. Nawet nie zaprzęta sobie głowy obliczeniami, choć liczby pojawiają się przed nią, niemal widoczne, ze wszystkimi zerami. Ale nie ma ludzkiego sposobu, żeby zdążyła wyciągnąć broń i wpakowała mu kulkę w łeb, zanim on przycisnie guzik, który zabiłby Jona.

Uwięziona w połowie drogi między gniewem a zdrowym rozsądkiem, nie ma innego wyboru, jak wystawić obie ręce przed siebie.

White cieszy się z tego ruchu. Jak ktoś, kto obserwuje dobrze wyszkolonego psa.

„Ostatecznie większość zwierząt lepiej wygląda w klatce”, myśli Antonia, odnosząc się do swoich własnych.

Bardzo powoli siada na wprost White'a.

Z tej perspektywy pokój wygląda dziwnie.

I o to mu właśnie chodzi.

A skoro o małpach mowa, to tutaj zjawia się kilka. Żeby krzyczeć, żeby zwrócić jej uwagę na męczyznę siedzącego naprzeciwko niej. Szczegóły ją zalewają, narzucają własne przytłaczające warunki.

– Proszę oddychać głęboko – mówi White. – Pani i ja stoimy przed naszym ostatnim problemem. A nikt nie lubi pospiesznych zakończeń.

Antonia doskonale potrafi rozpoznać ton groźby w głosie swojego rozmówcy. To, co powinno zwiększyć jej nerwowość, wywołuje w niej odwrotny efekt.

– Co pan robi w moim domu?

– Pomyślałem, że nadszedł już czas, byśmy odbyli nasze pierwsze spotkanie – odpowiada, wzruszając ramionami.

– Cierpi pan na jakieś zaburzenia pamięci oprócz zaburzenia w płacie czołowym?

White kręci głową z dezaprobatą.

– Stare uprzedzenie. Uszkodzenie w moim układzie limbicznym, w moim płacie czołowym zrobiło ze mnie psychopatę. Podły od kołyski. Pozbawiony empatii. Tak pani myśli?

– Nie mam najmniejszych wątpliwości.

– Nie będę zwracał sobie głowy dyskusją z panią, pani Scott. Proszę posłuchać, tak naprawdę cieszę się, że wywołała pani ten temat. Przed laty była pewna osoba, która także zwróciła się do mnie takimi słowami. Jedyna, która ośmieliła się to zrobić. Nie skończyła zbyt dobrze.

– Czego pan chce, panie White?

– I na dodatek lekarz. Był lekarzem, wie pani? Ale lekcja lekarza trwała stosunkowo krótko. Zabrałem jego córkę i zostawiłem w piwnicy ciało opiekunki. Nie trzeba było nic więcej.

Antonia, nie pierwszy ani nie ostatni raz, przypomina sobie swój niepokój i swój strach w tunelu, kiedy Jorge przebywał w rękach Sandry.

– Tym razem go pan nie tknie.

– Cóż, to kwestia dyskusyjna – mówi White, otwierając teczkę, która leży na podłodze, między nimi. Wyjmuje zdjęcie i kładzie je naprzeciwko Antonii.

„Nie”.

„To niemożliwe”.

11

Teoria

Antonia patrzy na zdjęcie przez kilka sekund. Zostało zrobione na ulicy, przy pomocy teleobiektywu. Pomimo odległości oraz faktu, że zdjęcie jest niewyraźne, twarzy nie da się pomylić. Staruszka na wózku inwalidzkim, kobieta, dziecko.

– Hotel Las Flores, San Salvador. Oaza spokoju w bardzo niebezpiecznym kraju, gdzie życie jest niewiele warte. Mam kontakty w Mara Salvatrucha. Za zabicie chłopca wzięliby sześć tysięcy dolarów. Za te dwie prawdopodobnie nic. Ostatecznie we wszystkich usługach najdroższe jest przemieszczenie się. „Tam, gdzie posyłasz jedną kulę, posyłasz trzy, kretynie” – kończy po hiszpańsku.

Naśladowany salvadorski akcent jest między znośnym a fatalnym.

Ale to wystarczy, żeby Antonia z trudem przełknęła ślinę.

– Zrobiliśmy wszystko, o co nas pan poprosił.

White łączy opuszki palców, tworząc z dłoni daszek.

– Ach, ale to niezupełnie prawda, czyż nie? Nie zdołaliście rozwiązać na czas sprawy pierwszego zabójstwa. Ani drugiego. A dług powoli rósł, pani Scott.

– Zabił pan dwanaście osób – mówi Antonia, starając się, żeby strach nie ujawnił się w jej głosie. Nieskutecznie.

– Obawiam się, że to była sprawka mojej asystentki. Ona miała rachunki do wyrównania ze swoim szefem. Niezadowolona pracownica, te sprawy, rozumie pani.

Emocje w ciele Antonii zmieniają się niczym światła na parkiecie tanecznym. Strach, gniew, nienawiść, cierpienie. Znowu czuje potrzebę

sięgnięcia ręką na plecy. On siedzi tu bezbronny, naprzeciwno. To mogłoby uratować życie Jorgego, Carli, babci Scott.

Za cenę życia Jona. Jego życie za trzy inne.

A jednak rachunki jej się nie zgadzają.

– Pani lekcja była nieco dłuższa niż w przypadku tamtego lekarza. Ale pani jest wyjątkową osobą, pani Scott. Tak naprawdę zmusiła mnie pani do ponownego przemyślenia wszystkiego, co wiem.

– Czego pan chce? – szepcze Antonia.

– Mam nadzieję, że pani nie zanudzam. Jeśli tak będzie, proszę mi powiedzieć. Widzi pani, mam pewną teorię. To mała teoria, na którą wpadłem lata temu, kiedy studiowałem na uniwersytecie. Pewien profesor wyjaśnił nam, że emocje to zmiany, które przygotowują człowieka do działania. A ja pomyślałem... Jeśli stworzymy w człowieku odpowiednie emocje, możemy kierować jego działaniami z zewnątrz. Jak...

Znowu potrząsa w powietrzu pilotem, który trzyma w dłoni.

– To odrażające – mówi Antonia, wyraźnie zdegustowana.

Ale jednocześnie, i choć nigdy nie mogłaby przyznać tego na głos, również nieco zafascynowana.

White to zauważa. Zwrócił uwagę na to, że jej głos stał się o ton wyższy, a źrenice nieznacznie się rozszerzyły.

On mówi dalej. Na tym polega słabość geniuszu. Potrzebuje publiczności.

– Mój profesor pomyślał to samo. Jedenaście dni później popełnił samobójstwo na oczach żony i dzieci. Trochę to kosztowało, to była pierwsza, dość niezdarna próba. A także mój „moment eureka”. Wspominam to z pewnym sentymentem.

– Archimedes użył swojej wiedzy, żeby uratować Syrakuzy. Pan zrobił to po to, żeby zarabiać pieniądze.

– Jak powiedziałem pani kilka dni temu, myli pan środki z celem. Ja nie użyłem moich badań, żeby zarabiać pieniądze. Zarabiam pieniądze na moje badania.

– To bez znaczenia. Liczy się, że opracował pan metodę do czynienia podłości – mówi Antonia, która nie ośmiela się zapytać, ale potrzebuje wiedzieć.

– Niejedną. Odkryłem, że istnieją wzory osobowości. Konkretna ich liczba. Ludzie pasują do nich jak ulał.

– Ludzie to nie ubrania.

– Na przykład pani przyjacieli tam na zewnątrz. Bezdiskusyjnie typ trzy. Myślę, że gdybym kazał mu tu wejść, sprawiłbym, żeby rozwalil sobie łeb w ciągu... – patrzy na zegarek z egzaltacją – powiedzmy, siedemdziesięciu czterech sekund.

– Och, ja nie obstawiałabym przeciwko Jonowi Gutiérrzewi, panie White – mówi Antonia, mrużąc oczy.

– To pani obstawiła przeciwko jego życiu, pani Scott. Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to arogancko, ale powiedziałbym, że podobała się pani nasza mała wymiana.

Antonia mruga z niedowierzaniem.

– Naprawdę pan sądzi, że mnie zna?

– Nie, tak naprawdę to nie. Pani Scott, to wszystko powinno się było zakończyć osiem miesięcy temu, kiedy zabraliśmy pani syna. Pomysł był bardzo prosty, bez żadnych wątpliwości.

– Cały ten teatr z seryjnym zabójcą, z Ezequielem. Dla pana to było proste?

– Pomysł, nie wykonanie – przyznaje White. – Ale okazało się, że pani nie pasuje do żadnego wzoru. Kto by pomyślał, że ryzykowałyby pani życiem swojego syna dla jakiejś nieznanym.

Antonia nie może, nie chce, nie powinna na to odpowiadać. Bo to pytanie jeszcze bardziej karmi koszmary, które zżerają ją od środka. I nie tylko nocami. Niewiarygodnie świadome sny, w których nie udaje jej się dotrzeć na czas, by uratować Jorgego.

Wie, czego on próbuje. Chce zmanipulować jej emocje, by jej przypomnieć, że jest matką. I to prawda. Ale jest także kimś więcej.

- Wybrała pani obowiązek. Dobrze pani poszło, muszę to przyznać. I bez wątplenia wygrała pani tamtą batalię.

- Tę także zamierzam wygrać - odpowiada Antonia. Głos jej nieco słabnie.

White przygląda się jej przez kilka chwil. Najpierw szczerze zaintrygowany. Później - zamyślony.

Wreszcie potrząsa głową.

- Nie, tak naprawdę to nie. W rzeczywistości pani już wie, że przegrała - stwierdza. - Jest pani prawie tak samo dumna, jak inteligentna, ale na razie przeważa to drugie.

- Czego pan chce, panie White?

- Już pani wie. Chcę, żeby rozwiązała pani sprawę zabójstwa, które popełniono pod tym adresem.

- Doskonale pan wie, kto jest autorem tego zabójstwa - mówi Antonia, zaciskając zęby.

- Wiem. To pani tego nie wie, pani Scott.

Słyszac to, Antonia siedzi jak sparaliżowana.

- Wiem, że obwiniała mnie pani za to przez wiele lat. Ale teraz proszę, żeby przeszukała pani tę swoją cudowną pamięć.

Przywołanie koszmaru nic ją nie kosztuje.

Koszmar

„Marcos siedzi w swojej małej pracowni. Dłuto wyrywa z piaskowca suche, synkopowane dźwięki. Ona jest boleśnie świadoma tego, co się wydarzy, ponieważ zdarzało się już tysiąc razy. Nie siedzi w salonie nad mnóstwem papierów z tropami, raportami i zdjęciami. Siedzi obok niego, patrzy przez ramię na rzeźbę, którą tworzy. To siedząca kobieta. Dłonie spoczywają na udach, plecy pochylone – agresywna postawa, która kontrastuje ze spokojem jej twarzy. Naprzeciwko kobiety jest coś, co sprawia, że chce wstać, lecz jej nogi są zatopione w kamieniu, dłuto nie zdołało ich jeszcze uwolnić. Nigdy tego nie zrobi.

Rozbrzmiewa dzwonek u drzwi. Antonia chce powstrzymać Marcosa, powiedzieć mu, żeby pracował dalej, żeby nadal robili swoje, ale jej gardło jest tak wyschnięte jak bezkształtne kawałki rozrzucone po całej podłodze w pracowni. Słyszy samą siebie (tę drugą kobietę, tę głupią kobietę, tę ignorantkę, która podgłaśnia muzykę w swoich słuchawkach), jak coś krzyczy, a Marcos odkłada młotek na stolik obok w połowie ukończonej rzeźby. Dłuto zaś chowa do białego fartucha i idzie otworzyć. Antonia, ta prawdziwa Antonia, Antonia, która wie, co się wydarzy, chce za nim ruszyć i robi to, ale powoli, bardzo powoli, tak więc nie widzi, jak otwiera drzwi, nie widzi, jak nieznajomy w eleganckim garniturze walczy z Marcosem. Kiedy dociera na korytarz, Marcos i nieznajomy leżą już na podłodze. Dłuto wystaje z obojczyka nieznajomego, jego krew jest na fartuchu Marcosa, nieznajomy się wycofuje, ale oddaje jeszcze dwa strzały. Jedna kula mija Antonię, Antonię prawdziwą, Antonię, która czeka na korytarzu, i dosięga tę ignorantkę, która siedzi w salonie ze słuchawkami na uszach i muzyką już na cały regulator, nie odrywając wzroku od papierów przed sobą. Strzał ociera się o drewniany róg

łóżeczka, w którym śpi Jorge, co przekierowuje kulę wystarczająco, żeby zamiast wbić się w ciało Antonii, trafiła ją w plecy i wyszła ramieniem. Przyjemna trajektoria dla kuli. Bez poważniejszych konsekwencji. Tylko kilka miesięcy rekonwalescencji. I może konieczność polakierowania łóżeczka.

Drugi strzał nie jest tak szczęśliwy. Drugi strzał trafia Marcosa w kość czołową, z której lekarze będą musieli później usunąć znaczny kawałek, żeby mózg mógł się rozszerzyć w desperackiej próbie wyzdrowienia. Mówią, że to się stało po odbiciu od ściany. Mówią, że to dlatego, że Marcos rzucił się na nieznanomego.

Koszmar nigdy tego nie wyjaśnia. Koszmar zawsze kończy się dźwiękiem drugiego strzału wciąż rezonującym jej w uszach”.

13

Bułgarskie słowo

Antonia otwiera oczy.

White obserwuje ją uważnie. Tak samo nieruchomy jak ona.

– Co pani wie o człowieku, który wtargnął do pani mieszkania, pani Scott? – pyta łagodnym głosem.

– Zadzwoił do drzwi. Miał przy sobie pistolet. Marcos zaatakował go dłutem.

– Krew napastnika znajdowała się na fartuchu pani męża, prawda?

– Kilka kropel. Analiza DNA niczego nie wykazała. Powiedziano, że to z powodu produktów chemicznych w fartuchu.

– Kto tak powiedział? Kto wykonał tę analizę?

Antonia milczy, zastanawiając się nad implikacjami tego, co insynuuje White.

– Ja...

– Pani nie umie obsługiwać sekwenatora DNA. To logiczne. Ja też nie. Tego typu manualne zadania należą do osób o pośledniejszych umysłach. Pani zadaniem jest wiedzieć, komu ufać. Pytam raz jeszcze: kto wykonał tę analizę?

– Ktoś z ekipy Mentora.

– To on dał pani wyniki. To on pani powiedział, że to ślepa uliczka. Prawda?

Uczucia znowu biorą nad nią górę. Szok emocjonalny ponownie zapewnia jej darmową wycieczkę po najciekawszych miejscach psychiki. Piętrowym autobusem z odkrytym dachem. Przejeżdża przez rondo Konsternacji, mija monument Złości i plac Zdrady. W autobusie siedzi

mnóstwo osób z jej życia, wszyscy rozglądają się dookoła i wskazują różne rzeczy, robiąc sobie selfie.

Tętno ma przyspieszone jak jeszcze nigdy dotąd, krew pulsuje w skroniach, oddech jest urywany. I czuje rękę White'a na swoim ramieniu. Jest zimna jak świeżo kupiona ryba.

O dziwo Antonia nie ucieka od dotyku – tak bardzo jest zagubiona.

– Mogę poprosić inspektora Gutiérreza, żeby wszedł. Myślę, że ma jeszcze kilka tych niebieskich kapsulek, które pomagają pani w takich chwilach jak ta – proponuje White z leką uprzejmością.

Antonia czuje potrzebę – fizyczną, nagłą, kategoryczną – by przyjąć tę propozycję. Są jednak granice, których nie zamierza przekraczać ponownie.

– Już zadbał pan o to, żeby nie zabrakło mi tej trucizny. Ani myślę znowu wpadać w ten nawyk.

– Ach, tak, doktorka Aguado. Naprawdę przydatny element. Po części ze względu na jej zawód. Nigdy nie poznałem lekarki sądowej, która wierzyłaby w Boga albo w duszę. Zazwyczaj są to elementy łatwe do obsługi. Ufne. Godne zaufania.

Słyszając to, Antonia dochodzi nieco do siebie. Jednym szarpnięciem odsuwa rękę White'a.

– Może i manipulował pan Aguado wedle własnego uznania. Może i nie pozwolił pan, by przeanalizowano DNA napastnika, może ukrył pan ślady cyfrowe Solera. Ale to żaden dowód na to, że nie zabił pan mojego męża.

White wypuszcza powietrze nosem i kręci głową, niczym kochający ojciec, który nie może uwierzyć, że jego syn nie nauczył się jeszcze korzystać z nocnika.

– Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, pani Scott, ale czy ciężar dowodu nie leży po stronie oskarżenia? A co z zasadą „niewinny, dopóki nie dowiedzie się winy”?

Antonia się pochyła i palcem wskazującym celuje w twarz White'a.

– Chce mi pan powiedzieć, że to przypadek, że był pan w Madrycie i nękał Solera akurat wtedy, gdy Marcos został zaatakowany?

– Zaskakujące, że jest pani tak blisko, a jeszcze nie zdołała pani wysnuć odpowiedniego wniosku. Może wybrałem niewłaściwą Czerwoną Królową... – mówi on, wzruszając ramionami.

– Wiele razy pragnęłam, żeby ta kula mnie zabiła, panie White. Proszę mi wierzyć. Żeby skończył pan ze mną, tak samo jak z pozostałymi.

– I znowu krąży pani wokół rozwiązania. Kolejny raz ignoruje pani moje motywy i moją naturę. Muszę przyznać, że czuję się wielce rozczarowany.

– Pańskie motywy... – szepcze Antonia.

Świat się zatrzymuje.

Antonia też.

Kuklenleva.

Po bułgarsku to ktoś, kto rzuca lwami w kuglarza.

Antonia zamyka oczy i na kilka chwil znika w swoim wewnętrznym świecie. Przed nią pojawiają się nagle wszystkie elementy puzzli. Małpy pokazują jej je i wyją zdesperowane. Antonia krzyczy w duchu, żeby je uciszyć.

I po raz pierwszy układa wszystko w logiczną całość.

- Jaume Soler, wysokiej klasy konsultant informatyczny, który szuka u niej pomocy, żeby uwolnić się od nękania White'a.
- Raquel Planas, kochanka Solera, zamordowana, zanim Soler dotarł do Antonii; jej były chłopak fałszywie oskarżony.
- Marcos i ona postrzeleni we własnym mieszkaniu.
- Jaume Soler zaczyna dostawać znaczne sumy od tajemniczej spółki offshore założonej w raj u podatkowym.
- Ktoś ukrywa dowody w sprawie zabójstwa Marcosa i załamanej Antonii każe sądzić, że Soler nie żyje.
- Trzy lata później jawia się Ezequiel. Pierwsza, nieudana próba White'a, by ją złamać.

I oto siedzą tu znowu. Przy drugiej partyjce szachów, gdyż pierwsza skończyła się remisem. Z trzema powiązаныmi ze sobą zabójstwami, które cofają ich dokładnie do początku. Do tego samego pokoju.

Kuklenleva.

Jedyny element puzzli, o którym nigdy nie pomyślała, jedyny, którego nigdy nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, pojawia się przed nią, na środku obrazu. Ogromna dziura, w której stronę bezlitośnie wskazują wszystkie pozostałe elementy.

Kuklenleva.

Obraz, który elementy tworzą przed oczami Antonii, w jej złożonym i dziwnym wewnętrznym świecie, to figura szachowa. Niekompletna figura w białym kolorze. Do której ukończenia brakuje zaledwie jednego elementu.

Ale w puzzlach właśnie to jest najbardziej fascynujące. Kiedy zostaje już tylko jeden element, pozostałe wskazują ci jego dokładny kształt.

Kształt tego elementu jest zaokrąglony, z krzyżem u góry.

Biały król.

Kuklenleva.

Po bułgarsku to ktoś, kto rzuca lwami w kuglarza. Zważywszy, że słowo, jakim Bułgarzy określają swoją monetę, to lew, nie trzeba wyjaśniać nic więcej.

Proces trwał zaledwie kilka sekund. Dla Antonii Scott to cała wieczność. Ale kiedy wraca, coś się zmieniło. Powietrze zmutowało swoją naturę. Oleista gęstość sprzed chwili się rozproszyła. Noc nałożyła się na dzień, a White nie włączył światła. Mimo to oboje doskonale mogą widzieć siebie w mroku.

Być może po raz pierwszy.

White się uśmiecha. W jakiś dziwny sposób. Niemal z szacunkiem.

– Możliwość kontemplacji tego była dla mnie przywilejem.

Antonia bierze głęboki wdech, odwracając wzrok. Wciąż go nienawidzi, każdym włókmem swojego jestestwa. Nic tego nie zmienia. A jednak coś zmieniło się także między nimi.

- Cały ten czas...

On przytakuje, rozumiejąc.

Kiedy Marcos został zaatakowany, Antonia uznała, że bezwzględny i tajemniczy zabójca musi odpowiadać za śmierć jej męża, to on zniszczył jej życie.

White rozpiną trzy górne guziki koszuli i odsuwa nieco materiał, odkrywając lewą stronę. Ma zadbaną skórę, mięśnie na klatce piersiowej wyraźnie zaznaczone, mocna szyja tworzy idealny trójkąt z umięśnionymi ramionami.

Na lewym barku jest jednak blizna. Nierówna gwiazda o pięciu ramionach poskręcanych tam, gdzie skóra się zagoiła.

Blizna w tym miejscu, w które Marcos wbił mu dłuto, tuż przed tym, jak White do niego strzelił.

Mniejsza, lecz bardzo podobna blizna znajduje się na lewym ramieniu Antonii – powstała wskutek strzału, jaki oddał do niej White.

- Królowa to najsilniejsza figura na szachownicy – odzywa się on. – Ale bez względu na to, jak silna jest bierka szachowa, nie może zapominać...

- ...że zawsze jest ręka, która ją przesuwą – kończy Antonia.

- Właśnie. A więc jest już pani krok bliżej od rozwiązania sprawy, prawda?

Spojrzenie White'a na powrót twardnieje. Antonia ani na chwilę nie zapomniała, z kim rozmawia, ale maska utrudniała jej to przez kilka minut.

Zawieszenie broni dobiegło końca.

- Pan trzymał zwycięstwo od samego początku, panie White. Ja jedynie biegałam tam, gdzie pan chciał, żebym pobiegła.

„Wyczerpując nas, osłabiając naszą pewność siebie. Zabijając wszystkich naszych kolegów. Ucinając nasze kontakty z policją. Niszcząc projekt Czerwona Królowa”.

- Po co zadawać sobie tyle trudu? – pyta Antonia.

- Żeby uzupełnić pani edukację. A teraz proszę dokończyć pracę. Proszę rozwiązać sprawę zabójstwa.

- Byłoby prościej, gdyby mi pan powiedział, kto pana wynajął.

- Może. Ale to by było mniej interesujące. Zamiast tego postanowiłem odpowiedzieć na pytanie, które zadała mi pani w windzie. Odpowiedź znajduje się przed panią.

Antonia wyciąga rękę i otwiera skórzaną teczkę, z której przedtem White wyjął zdjęcie jej rodziny, zrobione w San Salvadorze.

W środku jest jeszcze jedna fotografia, czarno-biała. W rozmiarze 21 × 28.

Mimo że jest noc, Antonia rozpoznaje ulicę i dom Solerów. Gdyby zdjęcie było wykadrowane bardziej w prawo, znalazłoby się na nim okno głównej sypialni. Być może z Jonem Gutiérrezem, który właśnie do niego podchodzi.

Widać na nim za to mężczyznę przy motocyklu o dużej pojemności, zaparkowanym jakieś trzydzieści metrów od domu, za kontenerem. Ma na sobie dżinsy i czarną skórzaną kurtkę. W rękę trzyma kask, twarz skierowana nieco w stronę aparatu.

- Nasza Sandra to prawdziwa paparazza. Niełatwo było zrobić to zdjęcie przy tak słabym świetle i poruszającym się celu. Zabrakło wam bardzo niewiele, by go złapać - mówi White, robiąc parocentymetrową przerwę między kciukiem a palcem wskazującym.

Antonia nie zauważa drwiącej miny. Jej oczy nie oderwały się od zdjęcia, od mężczyzny, którego twarz jest ciemna, ale mimo to wyraźnie rozpoznawalna.

Próbuje się odezwać, ale zaschło jej w gardle.

- Już dawno dotarłaby pani do tego miejsca. Oczywiście gdyby nie dostała pani znaczonych kart.

Antonia kręci głową, nie mogąc uwierzyć w to, co widzi.

- Nie.

- Zapewniam panią, że moje stawki nie są niskie, pani Scott. Absolutnie. Niewielu może sobie na nie pozwolić.

- Kłamie pan.

- Przypuszczam, że jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać, prawda? Tak więc, wie pani, co robić. Proszę się zbierać.

Antonia wstaje i odwraca się do niego plecami, lecz głos White'a dosięga ją, zanim dotrze do drzwi.

- Podniesimy stawkę. Żadnej policji. Żadnej pomocy z zewnątrz. Tylko wy oboje. Zrozumiała pani?

Antonia przytakuje, nie odwracając się.

- Doskonale. Ach, a tak w ogóle, widziałem, że dobrze się bawiliście przy dwóch poprzednich wyznaczonych przeze mnie godzinach, tak więc...

Dwa piknięcia, wibracja.

Na telefon Antonii przychodzi wiadomość.

„MASZ TRZY GODZINY”

Pierwszy błąd

Tym razem prowadzi Jon. Ona jest zbyt zdenerwowana, zbyt roztrzęsiona. Jej głowa to jeden wielki chaos, ciało domaga się czerwonej kapsułki. Jedynie fakt, że White tylko czeka, aż ona znowu wpadnie w nawyk, nie pozwolił jej rzucić się na Jona i zabrać mu pudełeczka z kieszeni marynarki. Którego wypukłość jest doskonale widoczna przez materiał garnituru.

Świadomość, że tam są, powinna utrudnić jej życie. Jak dziecku, które zmusza się do przejścia na dietę, zanim się stoczy i przyklei nos do szyby cukierni. Jest jednak odwrotnie.

– Powiesz mi, co się stało?

Antonia nie odpowiada. Wyjmuje swój iPad i przez krótką chwilę szuka czegoś w Heimdallu. Kątem oka Jon dostrzega mapę z wieloma zaznaczonymi punktami.

Inspektor Gutiérrez dobrze wie, że kiedy jego partnerka jest w takim stanie, musi dać jej przestrzeń.

– Nareszcie. Nareszcie popełnił pierwszy błąd – odzywa się Antonia po chwili.

– Drugi błąd.

– Jaki był pierwszy? – pyta zdziwiona.

– Jego pierwszy błąd – mówi Jon, unosząc brew – polegał na tym, że z nami zadarł.

Antonia patrzy na niego zmrużonymi oczami.

– Ile czasu to ćwiczyłeś?

Jon zastanawia się chwilę.

– Ile czasu siedziałas ze swoim przyjacielem White'em?

– Jakieś dwadzieścia minut.

– No to powiedzmy, że dziesięć minut. W myślach. Przez resztę czasu zastanawiałem się nad sposobami na zabicie tej suki.

– Przemoc nie jest rozwiązaniem – mówi Antonia i na powrót skupia się na iPadzie.

– Widać, że nigdy porządnie nie oberwałaś, piękna. Przez cały czas się na mnie gapiała i nie odezwała się słowem. W drugoplanowej roli creepy twoja przyjaciółeczka nie ma sobie równych.

– Nie jest moją przyjaciółczą. I ciesz się. To ona mogła siedzieć obok ciebie w tej chwili.

Jon musi poczekać, aż zatrzyma się na następnych światłach, jakieś dwadzieścia metrów dalej, zanim odwróci się do Antonii i zrobi minę pod tytułem „aleoczymtydocholerygadasz?”.

– Potem ci wyjaśnię. Najważniejsze, że mamy kolejną szansę, Jon.

Inspektor Gutiérrez nie zapomniał, że wciąż ma w kieszeni telefon. Musi się mocno starać, żeby odpowiadać naturalnie.

– Bardzo chciałbym wiedzieć, dokąd jedziemy i co robimy.

Twarz Antonii się zachmurza.

– Jedziemy w najgorsze miejsce na powierzchni ziemi. Zaraz ci opowiem. Ale wcześniej chcę się gdzieś zatrzymać. Za dworcem Atocha skręć w prawo.

Tymczasem zaczyna grzebać w schowku, nie dodając nic więcej.

„Do usług, księżniczko”.

Miejski policjant

Ruano stoi naprzeciwko baru El Brillante, kiedy wszechświat robi mu niespodziewany prezent.

Jeszcze minutę wcześniej nic tego nie zapowiadało. Jego nowy kolega to przyjemny, milczący gość. Jeszcze większy żóltodziób od niego. Ruano uczy go sztuczki na nadrobienie zaległości z mandatami. Trzeba tylko zaczekać, aż ktoś zaparkuje na drugiego, żeby wpaść do baru po kanapkę, a wtedy pyk, mandacik.

– To zbyt łatwe – mówi żóltodziób, kiedy w ten sposób wpada trzeci kierowca. Jakiś idiota w zielonym mini, który na dodatek nie miał ani ubezpieczenia, ani ważnego przeglądu. Laweta właśnie zabrała mu auto.

– Och, gdybyś widział, jak było przed tym nowym oznakowaniem. To dopiero było...

Dopiero chwilę po tym, jak słowa wyszły z jego ust, uświadamia sobie, jak zabrzmiał. Jak starzec wspominający dawne czasy.

Lekarze nie chcieli, żeby wracał do pracy tak wcześnie, ale Ruano powiedział, że czuje się dobrze. Że gdyby został sam w domu, toby oszalał albo wpakował sobie kulkę w łeb. No więc teraz tu jest. Kręci się po okolicy z nowym partnerem zaledwie kilka dni po śmierci Osorio.

Ukrywanie przed innymi objawów zespołu stresu pourazowego jest łatwe. Zawsze był spokojnym, zamkniętym w sobie gościem. Ukrywanie ich przed samym sobą nie już takie proste. Za każdym razem, gdy zamyka oczy, wraca do strzelaniny. Do otwierających się drzwi vito, do kul walących w karoserię auta. Do żony Osorio z niedowierzaniem kręcącej głową, kiedy przekazał jej wiadomość, potrząsającej nim wściekle,

mówiącej, żeby jej nie okłamywał, że jak niby jej mąż miałby nie żyć, przecież ona jest w ciąży i tak się nie robi.

To nie był najlepszy dzień w życiu Ruano. A przecież w swojej poprzedniej robocie widział naprawdę popaprane rzeczy. Dwie misje w Afganistanie i jedna w Somalii. A potem przeszedł prosto do policji miejskiej dzięki wolnym miejscom zarezerwowanym dla wojska. Prosta praca, dobre wynagrodzenie, dobra emerytura. Żadnych komplikacji.

A mimo to za każdym razem, gdy zamyka oczy, czuje uderzenia ołowiu w karoserię, zapach oleju i smaru z silnika, który przesywają kule, powietrze wpadające przez otwarte drzwi od strony pasażera, fragmenty szkła, które lecą mu na głowę, widzi martwe ciało Osorio wiszące na otwartych drzwiach samochodu.

Tak więc nie za często zamyka oczy.

Nie żeby mógł też coś zrobić w tamtej sytuacji. Jesteśmy w Madrycie, a nie w filmie z Liamem Neesonem. Ze strzelaniny wyszedł bez ani jednego draśnięcia, nie licząc paru zadrapań od szkła, po których nie został ślad. Nie może nawet ubiegać się o podwyżkę za odniesienie ran na służbie.

Jedynie, co mu przysługiwało – kilka tygodni wolnego – to ostatnie, czego chciał.

Tak więc siedzi tu i wlepia mandaty.

Ruano nawet sobie jednak nie wyobraża, kiedy widzi zatrzymujące się przy nich czarne audi A8, jaki niespodziewany prezent szykuje dla niego wszechświat.

– Tutaj nie wolno się zatrzymywać – mówi przez otwarte okno. Gestem pokazuje, by jechali dalej, co irytuje kierowców na całym świecie.

Szyba audi się opuszcza i pojawia się twarz ładnej kobiety. Nie żadna piękność, bez przesady. Ale ma coś w sobie. Mimo że worki wiszą jej pod oczami niczym dwa hamaki, a na głowie ma prawdziwy bałagan.

– Kolego – odzywa się kobieta, pokazując policyjną odznakę.

Kierowca się wychyla i też pokazuje swoją.

– Inspektorzy Scott i Gutiérrez.

– Cześć, koledzy. Czego potrzebujecie?

- Chcemy prosić o przysługę. Potrzebujemy dwóch radiowozów, które będą stać pod pewnym adresem.

- Z taką prośbą to trzeba do centrali – odpowiada zmieszany Ruano.

Kobieta patrzy na niego dziwnymi zielonymi oczami. „Ostrymi”, to słowo przychodzi Ruano na myśl, ale oczywiście to niemożliwe.

- Ma to związek z Osorio. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Ruano jest milenialem, ale pod trzydziestkę, a więc należy do tego pokolenia, które wyeksploatowało „zajebicie”, zanim nastąpiła moda na „WTF”. W tym momencie jednak oba te wyrażenia nie wystarczą, by wyrazić to, co ma w głowie.

- Czego... czego potrzebujecie?

- Mamy zlokalizowanych dwóch podejrzanych. Jeden z nich to facet koło czterdziestki, jasne, falowane włosy, elegancki garnitur. Jest z nim blondynka w płaszczu, około trzydziestoletnia. Za dwie i pół godziny powinni być pod tym adresem – mówi, podając mu przez okno kartkę.

Ruano bierze papier, czyta i patrzy kobiecie w oczy; ona przytakuje powoli.

- Potrzebujemy dwóch radiowozów przed drzwiami. To wąskie miejsce, nie da się go przegapić. Jeśli zobaczycie, że wchodzi, nie interweniujcie, jasne? Oboje są wyjątkowo niebezpieczni. Zróbcie to dopiero, kiedy będą wychodzić.

- Muszę to zgłosić przez radio. Trzeba porozmawiać z centralą, zadzwonić do...

- Nie. Jeśli to zrobicie, oni się tam nie zjawią. Możemy ich złapać tylko wtedy, jeśli zrobicie dokładnie to, o co proszę.

Ruano myśli o Osorio. Myśli o koszmarach, które nawiedzają go nawet wtedy, gdy nie śpi. Myśli o dziecku Osorio, jeszcze nienarodzonym.

- Zrobię to.

- Dyskretnie – podkreśla ona.

- Dyskretnie.

Ruano obserwuje tylne światła audi, które wjeżdża na rondo, żeby ruszyć w kierunku północnym, i zaczyna sporządzać listę. Nie ma czasu

do stracenia.

„Życie jest zbyt cenne, żeby zostawiać je w rękach przeznaczenia”, myśli Antonia, patrząc w lusterku bocznym, jak Ruano staje się coraz mniejszy i mniejszy.

„Chociaż zostawienie go w rękach notki zawierającej sześćdziesiąt osiem słów napisanych ołówkiem nie jest wcale lepsze”.

16

Wieża

„No jasne, to wszystko musiało się skończyć w wielkim fiucie”, myśli Jon, podnosząc wzrok.

– Tym razem nie będzie tak jak w Rascafríi. Żadnych fajerwerków – mówi Antonia, także patrząc w górę.

– Po co zaraz liczba mnoga. Wystarczy jeden – odpowiada Jon, głaszcząc się po karku. Szwy na ranie ciągną bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nagle Jon chciałby mieć pod ręką krem nawilżający *amatxo*.

Przed nimi wznosi się Torre Espacio. Jedna z czterech wież przy alei Castellana. Dwieście dwadzieścia cztery metry wysokości. Pięćdziesiąt sześć pięter. Czwarty najwyższy drapacz chmur w Hiszpanii. Monstrum ze stali, szkła i betonu, które stoi obok trzech innych najwyższych budynków w kraju. Monument w hołdzie minionej epoce, mauzoleum, aberracja – zależy, kogo zapytać.

Dla Jona to po prostu wielki fiut.

Niepozbawiony pewnych zalet. Przede wszystkim jest tylko jedno wejście. Z doskonałą ochroną. Żadnych bocznych drzwi, żadnego parkingu. Prawdziwa pułapka na myszy.

– Jesteś pewna, że White przyjedzie?

– Jestem pewna. To jest wielki tryumf. Wszystko, na co pracował od lat. Chce mnie złamać i udowodnić, że jego teoria jest nieomylna.

Jon znowu patrzy na wejście do budynku, na ulicę pełną oficjalnych samochodów.

Mercedesy, bmw, audi, wszystkie czarne albo szare, niektóre z flagami. Prawie wszystkie z tablicą rejestracyjną z czerwonym tłem i białymi znakami.

– Powinniśmy wypełnić to miejsce policjantami – mówi bardziej do siebie niż do niej.

– Nie mogę ryzykować – odpowiada Antonia, kręcąc głową.

Następne pytanie Jona jeszcze kilka dni wcześniej mogłoby zabrzmieć sarkastycznie. Mogłoby być pełne wyrzutów, dramatyzowania, złośliwości. Teraz, po tym wszystkim, przez co przeszli w ciągu ostatnich dni, ma zupełnie inne zabarwienie. Wręcz czułe.

– Że przegrasz grę?

– Nie, Jon. Że stracę ciebie.

Jon wykrzywia usta, kompletnie zaskoczony. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Nie jest nawet pewien, czy do dziś Antonia rozważała możliwość przegranej. Albo niepoświęcania wszystkiego, co konieczne, byle tylko wygrać – a to prawie to samo.

„Co do tego całkowita zgoda, piękna”.

Mimo to chronometr odlicza czas, a plan Antonii niezupełnie go przekonuje.

– Powtórz mi, co zamierzamy zrobić.

– Wejdziemy. Pogadamy z nim. I sprawimy, żeby się przyznał.

– I to wystarczy, żeby White uznał, że wykonałaś swoje zadanie.

Jeśli tak ująć, wydaje się łatwe. Pestka.

Jon patrzy na Antonię, zastanawiając się, co w tej chwili dzieje się w jej głowie. Jakie decyzje, jakie dylematy. Co za wielka odwaga, by stawić czoło prawdzie, która całkowicie zmieni wszystko, co – jak sądziła – wie o sobie samej.

Oczywiście nie to, kim jest. Ponieważ tego – i Jon dobrze to wie – nie zmienią działania innych.

Chciałby jej to wszystko powiedzieć, móc ją jakoś pocieszyć, ale nigdy nie miał szczególnej smykałki do słów. Nie potrafił wybrać tych odpowiednich, uleczyć nimi, dostarczyć niezbędnej siły za pomocą kilkunastu sylab. To nie w stylu Jona Gutiérreza. I nigdy też się tego nie nauczył.

– Dziękuję, że tu jesteś, Jon – odzywa się Antonia, patrząc mu w oczy.

A Jon się uśmiecha, bo ostatecznie to jest w życiu najważniejsze. Dziewięćdziesiąt procent pracy to bycie blisko osoby, z którą należy być. Pozostałe dziesięć procent improwizuje się na poczekaniu.

– Dziś nie ma nic ciekawego w telewizji. Idziemy?

Antonia zdejmuje swoją torbę i wrzuca ją do otwartego bagażnika audi. Zostawia także zegarek i telefon.

Jon robi to samo. Opróżnia kieszenie. Zabiera ze sobą tylko identyfikator i broń. Ale kiedy zamierza zostawić telefon, Antonia prosi go gestem, żeby go wziął.

Jon nie rozumie. To urządzenie to w dalszym ciągu uszy White'a. Zostawienie telefonu w samochodzie sprawiłoby, że ogłuchłby przed ostatnim ruchem w grze. Ale nie będzie się kłócił z Antonią. Wie, że musi mieć jakiś powód.

Ponieważ nie może zrobić nic innego, próbuje ją przynajmniej chronić. Wyciąga kamizelkę kuloodporną i podaje swojej partnerce.

– Załóż to, piękna.

– Jeśli to założę, nie wpuszczą nas do środka.

Jon patrzy na Antonię, patrzy na kamizelkę, patrzy na wejście do wieżowca. Zagryza dolną wargę. Powtarza ten proces jeszcze parę razy. Dochodzi do wniosku, że Antonia ma rację. Odkłada kamizelkę.

– Nie przejmuj się, tym razem nie ucierpimy – dodaje ona. – To jest zupełnie inna historia.

„Nie wiem, czy ci wierzyć, piękna”, myśli Jon, zatrzasnąwszy bagażnik.

17

Przyjęcie

Po drugiej stronie przestronnego holu wyłożonego trawertynem znajduje się recepcja. Przezroczysty, krystaliczny kontuar dziesięciometrowej długości i o futurystycznych kształtach. Za nim sześcioro młodych i atrakcyjnych – zupełnym przypadkiem – osób płci obojga (jest jeden chłopak).

I to właśnie prosto do niego – zupełnym przypadkiem – kieruje się inspektor Gutiérrez.

– Musimy się dostać na siedemnaste piętro – mówi, pokazując swój identyfikator.

– Są państwo na liście?

– To sprawa policyjna.

Atrakcyjny młodzieniec trzepocze długimi rzęsami.

– Bez pozwolenia nie będzie to możliwe, proszę pana. Jak pan zapewne wie, dziś jest ważny event – mówi, wskazując długopisem w stronę wejścia, gdzie grupa spóźnialskich w strojach koktajlowych przykłada do czytnika swoje karty identyfikacyjne.

– Proszę sprawdzić moje nazwisko – odzywa się Antonia, pokazując swój identyfikator.

Atrakcyjny młodzieniec siedzi na wysokim krześle – zupełnym przypadkiem – które pozwala gościom widzieć nogi recepcjonisty. Nadaje mu również odpowiedniego wzrostu. Wystarczającego, żeby wykonać skanowanie od góry do dołu.

Jon jest boleśnie świadomy żałosnego wyglądu obojga. On w swoim niemilosiernie wygniecionym zielonym garniturze. Antonia w zwykłej kurtce, na której wciąż widać ślady po wymiocinach, mimo że tarła je

porządnie pod kranem w toalecie na stacji benzynowej. Na pewno nie wyglądają szykownie.

- To prywatny event - mówi recepcjonista.

- Jestem na stałej liście - upiera się Antonia.

Powieki z długimi rzęsami przymykają się z niedowierzaniem, ale mimo to recepcjonista podejmuje grę, pragnąc pokazać tej parze kocmołuchów, gdzie jest ich miejsce.

Jon i Antonia nie widzą rezultatu, jaki pojawia się na ekranie, lecz nie jest to potrzebne. Długie rzęsy podnoszą się ze zdumieniem.

- Najmocniej przepraszam, pani Scott. Oto pani karta - mówi recepcjonista, podając jej plastikowy prostokąt.

- I druga dla mojego kolegi - prosi Antonia.

Kiedy odchodzą od kontuaru i kierują się do kołowrotek, Jon wciąż delektuje się tą chwilą pod tytułem „panniewiekimjajestem”.

- Czasami życie zapewnia wspaniałe chwile - mówi do swojej partnerki, kiedy ustawiają się w kolejce pełnej eleganckich gości.

- Nie zostało nam ich wiele - odpowiada Antonia, patrząc na zegar po drugiej stronie kołowrotek.

Mimo że winda jest zatłoczona, mają sporo miejsca. Reszta pasażerów zbiła się przy drzwiach, starając się trzymać jak najdalej od obojga, a konkretnie od niej. Przede wszystkim ze względu na zapach wymiocin.

Podróż na siedemnaste piętro jest krótka, szybka, a kiedy winda dociera do celu i zatrzymuje się łagodnie, czują w żołądkach lekkie uczucie pustki.

- Udanego wieczoru - mówi Jon, ciesząc się pełnymi dezaprobaty spojrzeniami pasażerów, którzy rywalizują ze sobą, by jak najszybciej oddalić się od tych dwojga.

Oboje wychodzą z windy i czekają, aż pozostali goście odejdą w głąb korytarza i przyłożą swoje karty do czytników przy kolejnych kołowrotekach. Fala przerywanej muzyki dobiega zza wewnętrznych drzwi. Jon rozpoznaje wersy

(They will not force us

They will stop degrading us

They will not control us)

Uprising zespołu Muse, które płyną wraz z błyskami kolorowych świateł i szmerem setek rozmów.

– Ze wszystkich wieczorów musiał wybrać akurat ten – mówi Jon, patrząc na automatyczne drzwi pilnowane przez dwie kobiety uśmiechające się sztywno.

– To nie przypadek. U White’a nie ma przypadków.

Jon wzrusza ramionami ze stoickim spokojem. To nie czas na narzekania.

– Wiesz, jak mówią. Niech koniec świata zastanie cię w tańcu.

– Kto tak mówi?

– Jeden z twoich sąsiadów, który śpiewa znacznie lepiej niż ci, których słyszeć. No już, ruszaj.

I bez zbędnych ceregieli kierują się w stronę kołowrotek, w stronę kobiet uśmiechających się sztywno i w stronę pilnowanych przez nie drzwi. Drzwi przyozdobionych materiałowym pasem, na którym widnieje napis w dwóch językach:

64. OBCHODY

DNIA WSPÓLNOTY NARODÓW

Niżej znajdują się stalowe litery, które zapraszają do:

AMBASADY WIELKIEJ BRYTANII

Przyjęcie

Antonia Scott nie lubi przyjęć.

To nie kwestia estetyki. To przyjęcie ma miejsce w ambasadzie, w nowoczesnej otwartej przestrzeni (odnowionej pięć lat wcześniej przez jedynego brytyjskiego dekoratora wnętrz niepozobawionego dobrego smaku). Z tej okazji zapełniono ją flagami wszystkich krajów Wspólnoty Narodów ogólnie i Wielkiej Brytanii szczególnie. Ale nie chodzi tu o elegancję.

Światło jest nikłe, a czerwone i niebieskie diody LED, które rozmieszczono dookoła, jedynie zamieniają wszystkich gości w duchy o nieokreślonych kształtach i jednolitych twarzach. Co pasuje ogromnej większości z nich – tym, którzy są w tym złotym wieku pomiędzy dojrzałością a upłynnieniem. Ostatecznie jesteśmy w ambasadzie na dorocznym przyjęciu i chodzi o zaproszenie starannie wyselekcjonowanych gości, co po angielsku jest synonimem bogatych snobów.

Nic z tego nie przeszkadza Antonii Scott w przyjęciach, ponieważ jest przyzwyczajona do radzenia sobie z grubymi rybami (jest córką ambasadora Wielkiej Brytanii), z osobami bliskimi upłynnienia (często dzwoni do swojej babci) i ostrym szowinizmem (jest funkcjonariuszką).

Antonię Scott w przyjęciach wnerwia to, że jest na nich tak dużo ludzi.

Mózg Antonii jest przyzwyczajony do kreślenia niewidzialnych linii (dla niej samej prawie nieświadomych) w przestrzeni, która dzieli jej pozycję od miejsca, w jakie się kieruje. Te niewidzialne linie zwykle omijają przeszkody, które stanowią największe zagrożenie dla jej osobistych preferencji. Chodzi o brudne, uszkodzone, niebezpieczne

przedmioty. Ta lista obejmuje latarnie obsikane przez psy, śmietniki i sto procent rasy ludzkiej.

Na tłumnym przyjęciu poruszanie się z jednego miejsca w drugie (którego nawet nie określiłeś, kiedy kogoś szukasz, tak jak w tym przypadku) bez dotykania innego człowieka jest dość skomplikowane. Antonia stara się to robić przez kilka daremnych sekund. Próbuje nakreślić trasę przez te wszystkie poruszające się ciała, przez te wszystkie kółeczka, w których prowadzone są nieistotne rozmowy przez zarozumiałych ludzi o fałszywych uśmiechach i w wypożyczonych smokingach. Omijając po drodze – zupełnym przypadkiem – młode atrakcyjne kelnerki, które żonglują tacami pełnymi przysmaków – niestety – kuchni angielskiej.

Antonia próbuje, Antonia ponosi klęskę, Antonia zmienia strategię. Zdecydowanym krokiem kieruje się do stołu z koktajlami, obleganego przez stado jeszcze niewystarczająco pijanych gości, okrąża go, prowadząc za sobą mocno skonfundowanego inspektora Gutiérreza.

– Przepraszam – mówi Antonia, odsuwając jedną z kelnerek.

Jedną nogę stawia na skrzynce piwa, drugą na dwóch skrzynkach wina, a wraz z trzecim krokiem staje na stole, przewracając rząd wysokich szklanek napełnionych wpeł rozpuszczonymi kostkami lodu. Efekt domino tworzy falę obrzydliwej brei, która zalewa stół przykryty lnianym obrusem i spływa na białą sukienkę pewnej damy. Złość nie maluje się na jej twarzy tylko dlatego, że botoks już jakiś czas temu odebrał jej zdolność ujawniania emocji. Ale tam, gdzie nie ma miejsca na gest, z pomocą przychodzi gardło.

– Tak czy owak ta sukienka była zbyt kusa na tak formalną okazję – ucisza Jon pozbawioną wyrazu twarzy krzykaczkę.

Nieświadoma dramatu, do jakiego doprowadziła, Antonia wznosi się pół metra nad głowami pozostałych. Widziane z góry, wszystkie przyjęcia są dość deprymujące. To, co na wysokości oczu jest zabawą, staje się polem łysych głów i drogich uczesań. Które jak jeden mąż odwracają się w stronę wariatki, która właśnie weszła na stół.

Antonia dostrzega człowieka, którego szuka. Stoi na końcu sali, niedaleko małej sceny, na której DJ w garniturze z cekinami próbuje ożywić to miejsce – z różnym skutkiem.

– Idziemy – mówi, opierając się o Jona, by zejść na podłogę.

Inspektor Gutiérrezz robi za ludzkiego lodołamacza i pośród tłumu toruje Antonii drogę, aż docierają do bocznej części sceny. Ogromne głośniki i kilka wysokich stolików utworzyło tu małą polanę. Na jej środku sir Peter Scott, ambasador Wielkiej Brytanii w Hiszpanii, słucha – nieco przygarbiony i niezbyt zainteresowany – perory tęgawego mężczyzny, który przesadnie przy tym gestykułuje.

– Antonia? – odzywa się sir Peter na widok swojej córki wyłaniającej się zza potężnego tułowia inspektora Gutiérrezza. – Co ty tu robisz? Jorge już wrócił?

Antonia idzie w jego stronę...

– Ojciec – wita się skinieniem głowy.

...mija go i kieruje się do mężczyzny, który czeka cierpliwie, zaledwie kilka kroków dalej, z rękami skrzyżowanymi nad brzuchem. Metr dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt siedem kilogramów i niezbyt duża sympatia do Antonii. Ceglany mur w garniturze, elitarne wykształcenie, oficer SAS, osobisty ochroniarz sir Petera i szef ochrony w ambasadzie.

– Noah Chase! – krzyczy Antonia, patrząc w górę i próbując przebić się przez dźwięk z głośników. – Jest pan zatrzymany za morderstwo Jaumego Solera i próbę zabójstwa Aury Reyes.

Potężny Anglik patrzy na Antonię ze zdumieniem, spogląda na Jona, a później w stronę wyjścia. Jego kwadratowa szczeka nieco drży, niezniszczalna pewność siebie sprzed chwili rozpada się niczym domek z kart.

– Ja...

Zamierza właśnie podnieść prawą rękę do wybrzuszenia po lewej stronie marynarki, ale inspektor Gutiérrezz natychmiast przytrzymuje go za nadgarstek. Ochroniarz próbuje się wyrwać policjantowi, ale to tak, jakby próbować uwolnić się z pułapki na niedźwiedzie.

- Nie urządzaj sceny, skarbie - mówi Jon, drugą ręką sięgając do rozcięcia w marynarce.

Pistolet opuszcza kaburę i dyskretnie znika w tylnej części marynarki inspektora.

- Antonia, co się tu, u licha, dzieje? - pyta ambasador, który pozbył się już swojego namolnego rozmówcy.

- Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia, ojcze. Musimy zabrać tego człowieka.

Ambasador patrzy na swoją córkę tak, jakby mówiła do niego niezrozumiałym żargonem. Reaguje dopiero wtedy, gdy Jon łapie ochroniarza pod pachę i popycha go w stronę drzwi.

- Antonia, przypominam ci, że jesteście na terytorium Zjednoczonego Królestwa. Nie macie tu uprawnień - argumentuje ambasador.

- Może i to zatrzymanie nie jest zgodne z prawem - mówi Antonia, wzruszając ramionami. - Możliwe nawet, że twój rząd nie zrezygnuje z immunitetu dyplomatycznego dla pana Chase'a zgodnie z umową między naszymi krajami. Ale do tego czasu powie nam już wszystko, co chcemy wiedzieć. I pojawi się we wszystkich gazetach.

Sir Peter patrzy na Chase'a, który ze wszystkimi swoimi mięśniami elitarnego żołnierza w rękach Jona Gutiérreza wygląda jak pluszowa zabawka.

- Nie możesz tego zrobić.

- Mnie ma kto chronić - mówi Antonia, wskazując swojego partnera. - Ty nie masz nikogo takiego.

Ambasador wykrzywia usta wobec przytyku córki.

- Może powinniśmy porozmawiać w jakimś spokojniejszym miejscu.

19

Gabinet

Prawie piętnaście lat temu brytyjski rząd postanowił sprzedać za pięćdziesiąt milionów euro ogromny budynek w dzielnicy Almagro, w którym przez czterdzieści lat mieściła się ambasada, i przenieść ją do ultranowoczesnych biur zajmujących piętra od siedemnastego do dwudziestego pierwszego w Torre Espacio. Zakup nowej siedziby i wszelkiego niezbędnego wyposażenia nadzorował sam sir Peter z obietnicą – w samym środku recesji gospodarczej – że cała operacja nie będzie kosztować rządu Jej Wysokości ani jednego funta.

W tamtych czasach (nie tak znowu odmiennych od tych, które miały nadejść później, po krótkim mirażu) takie posunięcie wzbudziło mnóstwo podejrzeń. Ambasador, człowiek tak prawy i kryształowy, że zużywał do końca długopisy Bic, nie zamierzał pozwolić, by na jego zarządzanie padł choćby najmniejszy cień wątpliwości. Zaprosił trzy różne media (BBC oraz gazety „The Sun” i „The Guardian”), żeby przejrzwały w czasie rzeczywistym wszystkie kwoty transakcji. Okazało się, że rachunki wykazały deficyt w wysokości osiemdziesięciu pięciu tysięcy dwustu siedemdziesięciu czterech funtów z powodu błędu w budżecie przeznaczonym na zakup wyposażenia.

Dyplomata zwołał media, które dokonały audytu, i na ich oczach nonszalanckim gestem podpisał osobisty czek na dokładną kwotę, o jaką został przekroczony pierwotny budżet.

Taki jest właśnie ojciec Antonii.

Gabinet sir Petera mieści się na osiemnastym piętrze, w eleganckiej części ambasady. Niższe piętro jest przeznaczone na recepcję, a wyższe na

biura i cele administracyjne. Na osiemnastym wszędzie są grube wykładziny i kolonialne drewno, które przypominają gościom, że Wielka Brytania była niegdyś wielkim imperium.

Antonia podąża za ojcem do dużego gabinetu usytuowanego w rogu budynku. Inspektor Gutiérrez idzie z tyłu, trzymając Noaha Chase'a. Z dala od tłumu ochroniarz odzyskał część pewności siebie i nie daje się już tak łatwo prowadzić Jonowi przez pusty korytarz.

Kiedy wchodzi do gabinetu, Antonia czuje ukłucie w sercu. Wcześniej była tu zaledwie parę razy, nigdy bez ważnego powodu. Ostatnim razem po tym, co przytrafiło się Marcosowi, kiedy próbowała wyłuszczyć ojcu swoją teorię na temat niewidzialnego mordercy. W odpowiedzi ojciec odebrał jej prawo do opieki nad Jorgem.

Ale ukłucie w sercu nie wynika – albo nie tylko – z okoliczności, jakie wiązały się z jej ostatnią wizytą.

Chodzi o wystrój.

Nie o oryginalne fotele i biurko chippendale. Ani o ściany wyłożone drewnem tekowym czy ogromne okno od podłogi po sufit. Ani o marmurowy stolik z nierówną nogą – skutek tego, że Antonia przewróciła go, kiedy w dzieciństwie bawiła się w chowanego.

Nie, nie chodzi wcale o te drobiazgi, chociaż uwagi Antonii nie umyka, że jedynym meblem, jaki ambasador zachował z okresu, gdy pełnił funkcję konsula w Barcelonie, jest właśnie ten stolik, który uszkodziła przez nieuwagę. Jej ojciec zawsze potrafił wysyłać odpowiednie przekazy – bez dwóch zdań.

Chodzi o obraz.

Antonia nie pamięta nazwiska malarza ani nie sądzi, by kiedykolwiek je знаła. Doskonale pamięta jednak długie godziny, jakie spędziła na stojąco, pozując dla niego. Chudy i zarozumiały mężczyzna, który nie uśmiechnął się ani razu.

Obraz przedstawia sir Petera, siedzącego na dwuosobowej sofie. Obok niego, ze złączonymi nogami skierowanymi w stronę widza, kobieta uśmiecha się czule i enigmatycznie. Paula Garrido ma twarz zwróconą w stronę córki. Mała Antonia ma sześć lat, włosy do ramion i oczy, które są o

wiele zieleniejsze i pełniejsze światła niż teraz. Nie uśmiecha się jednak. Na jej twarzy jest widoczny smutek, zapowiedź tego, co nadejdzie w następnym roku wraz z chorobą, która trawiła już Paulę, choć żadne z nich jeszcze o tym nie wiedziało. Trzy postaci zatrzymane w być może ostatnim szczęśliwym momencie swojego życia, uwiecznione za pomocą farby olejnej niezbyt elegancką kreską i przeciętną paletą kolorów. Obraz powoduje jednak ukłucie w sercu Antonii, kiedy wchodzi do gabinetu, mimo że wiedziała, że go zobaczy, mimo że się na to przygotowała.

– To ty? – pyta Jon, popychając Chase’a na jedno z krzeseł.

Marmurowy stół trzęsie się na swoich nogach z brązu, a krzesło trzeszczy pod ciężarem ochroniarza.

– Proszę uważać na meble, inspektorze. Niech mi pan wierzy, nie stać pana na naprawę.

Jon zamierza mu odpowiedzieć, ale odechciewa mu się, kiedy Antonia gestem potwierdza to, co właśnie powiedział jej ojciec.

– Zanim zaczniemy – mówi sir Peter – informuję, że mój gabinet jest chroniony przed jakąkolwiek elektroniczną inwigilacją. Tutaj omawiane są ważne sprawy dotyczące bezpieczeństwa.

– Nie nagrywamy rozmowy, ojciec – mówi Antonia. – Chcemy jedynie, żebyś wiedział, co ten człowiek robił za twoimi plecami.

– Noah? To absurd. Nie macie żadnego dowodu, że...

Antonia wyjmując z kieszeni kurtki zdjęcie Chase’a i rzuca je na biurko z osiemnastego wieku. Mimo że jest ciemno, na twarzy mężczyzny wyraźnie widać ślady krwi. Co zauważa sir Peter, gdy tylko rozkłada zdjęcie.

– Zrobione parę minut po tym, jak zabił Jaumego Solera, konsultanta informatycznego, i ugodził nożem jego żonę. Stan kobiety jest ciężki, ale stabilny. Zidentyfikowała go już jako agresora.

To ostatnie jest kłamstwem, ale i tak się to stanie, o czym Antonia się przekonuje, widząc, jak kolor odpływa z twarzy Chase’a.

– Noah? To prawda? – pyta zaalarmowany ambasador.

Ochroniarz wierci się na krześle i krzyżuje ręce na piersi, unikając patrzenia na swojego szefa.

- Nie było innego wyjścia - przyznaje. Wreszcie odwraca się do niego z poczuciem winy wymalowanym na twarzy. - Nie mogłem pozwolić, żeby dotarł do nas, proszę pana.

Zbrodnia

Ambasador przez długie sekundy patrzy na swojego ochroniarza i wreszcie odwraca wzrok. Ale ucieczka jest krótka. Po drugiej stronie czeka na niego córka. Myśli płyną pod jego oczami niczym ryby pod zielonym lodem: nieuchwytnie.

– Nie mam pojęcia, co myślisz, że wiesz, Antonia, ale zapewniam cię...

– Nie – przerywa mu ona.

To ostre zaprzeczenie, ale jednocześnie słodkie, niemal czułe. Wypowiadając je, kręci głową i się uśmiecha. To zaprzeczenie pełne udręki, pełne nostalgii. Bo nie ma nic gorszego niż tęsknota za czymś, co nigdy się nie wydarzyło.

– Nie chodzi o to, co myślę, że wiem. Tylko o to, co wiem.

– Antonia...

Ona go ignoruje i mówi dalej. Światło wokół niej zdaje się przygasać, w miarę jak zaczyna zagłębiać się w swoją opowieść, i tylko jej twarz wydaje się wyróżniać spośród mroku.

– Cztery lata temu niejaki pan White skontaktował się z konsultantem informatycznym Jaumem Solerem. White zaszantażował Solera, grożąc, że zniszczy mu życie i ujawni jego żonie, że ma kochankę. Ponieważ Soler nie zamierzał dać White'owi tego, czego chciał, White zamordował jego kochankę i wrobił w to jego.

Oddycha głęboko. Głos jej się nieco łamie.

Z bólu.

Ze złości.

– Na nasze nieszczęście Soler zwrócił się do mnie z prośbą, bym pomogła mu się uwolnić od White'a. Tym samym osiągnął tylko tyle, że

White wszedł do naszego mieszkania i strzelił do Marcosa i do mnie, próbując zatrzeć swoje ślady. Wtedy Soler się poddał. Przekazał White'owi to, czego chciał. Ale coś nie poszło zgodnie z planem. Nie wiem, co się stało, ale White był ranny i prawdopodobnie pod obserwacją. Jeden z jego pracowników wkroczył do akcji i zgarnął nagrodę. Intuicja mi podpowiada, że to był właśnie Chase. Ostatecznie pracuje z tobą od dawna, prawda, ojcze?

- Antonia...

Ona ignoruje głos, który dobiega z ciemności.

Teraz istnieje tylko ona.

Istnieje tylko jej opowieść.

Niepodważalna prawda na temat wszystkich dowodów, wskazówek, wątków, które rozwikły się w ciągu ostatnich dni.

- Co takiego cennego miał Soler? I skąd wiedział o istnieniu Czerwonej Królowej? Odpowiedź na oba pytania jest bardzo prosta. Był jednym z programistów Heimdalla.

Antonia powoli potrząsa głową. Nawet teraz wciąż buduje tę historię.

- Nie głównym, bo brakowało mu do tego talentu. Ale był wystarczająco wtajemniczony, żeby zdobyć kopię kodu źródłowego. Bo na tym polega geniusz tego programu. Bez kodu źródłowego jakkolwiek wrogimi agent, który miałby dostęp do urządzenia z zainstalowanym programem, nie będzie miał z niego żadnego pożytku. Bez połączenia z centralnym komputerem to tak, jakby mieć cegłę.

Ambasador odsuwa krzesło od biurka i siada - powoli, z drżącymi nogami. Antonia pozostaje niewzruszona, kontynuuje swoją opowieść.

- Bardzo łatwo dostrzec w tym wszystkim rękę MI6. Kto inny miałby pieniądze, żeby zapłacić kosmiczną stawkę White'a? Kto inny potrzebowałby zewnętrznego wykonawcy, tak by żaden z jego agentów nie został zaangażowany w operację w obcym kraju i przeciwko własnym sojusznikom?

- Nie ma czasu, Antonia - wtrąca Jon.

Ona spogląda na duży ścienny zegar (bennett, który ma jeszcze oryginalne wskazówki) i mówi dalej.

– Tajne służby Jej Królewskiej Mości zapłaciły za operację. Ale nigdy nie dostały tego, czego chciały. Ktoś o to zadbał.

– Wierz lub nie, wszyscy chcemy jak najlepiej – odzywa się sir Peter głosem pełnym goryczy. – Źródłem całego zła na świecie jest to, że nikt nie może dojść do porozumienia, czym jest to „najlepiej”.

– Oczywiście, że nie. Dopilnowałeś, żeby zniknęło to, na czym zależało twojemu rządowi. Ale oni nadal tego chcieli. Dalej płacili Solerowi przez cały ten czas, żeby zdobyć czystą kopię Heimdalla.

– Ten program może dostać się do każdego komputera. Złamać prawie każde hasło. Z nim prywatność już nie istnieje. To zbyt duża władza, żeby znajdował się wyłącznie w rękach nielicznych, Antonia – przekonuje ambasador, który walczy, by siedzieć prosto i nie stracić godności.

– Chce pan powiedzieć, że to zbyt duża władza, żeby nie znajdował się wyłącznie w pańskich rękach – zaznacza Jon.

– Chcieli własną kopię Heimdalla. Na wszelki wypadek. I dla własnych celów. Tak, żeby ich europejscy współpracownicy, już coraz mniej współpracownicy, nie dowiedzieli się, co z nim robią – mówi Antonia, podchodząc do biurka.

Sir Peter odchyła się na oparcie, kiedy Antonia nachyla się nad nim i opiera obie ręce o blat.

– Od kiedy o tym wiesz?

– Czego chce White? Odkąd trafiliśmy do domu Solera.

Po drugiej stronie gabinetu słychać pomruk niezadowolenia i przekleństwo po baskijski, które Antonia nie do końca rozumie.

– Do dziś nie wiedziałam tylko tego, że ty byłeś w to wszystko zamieszany.

– Musiałem wykonywać polecenia – odpowiada sir Peter, spuszcżając wzrok.

Antonia już to słyszała. Bardzo wygodnie jest mieć mieszkanie na poddaszu i składować w nim wszystkie winy.

- Istnieje coś takiego jak wolność osobista. Na przykład twój ochroniarz. Kiedy zobaczył, że zbliżyliśmy się do Solera, próbował nas zabić. Oczywiście nie wypełniał twoich poleceń. To było coś innego. Przepuszczam, że obowiązek. Albo chęć chronienia samego siebie.

Ambasador się nie odzywa. Nie patrzy na swojego podwładnego, nie wybuchając oburzeniem, dowiedziawszy się, co zrobił. Bo tak naprawdę Antonia nie mówi o tym, co zrobił Chase.

- A ponieważ na nic mu się to nie zdało, postanowił zabić Solera.

Jej ojciec milczy.

Antonia znowu patrzy na zegar.

Czas już prawie się kończy.

- Cztery lata temu Soler dał White'owi kod źródłowy - ciągnie. - Chase go przechwycił i przekazał tobie. Ale ty nigdy nie dałeś go MI6. Tego polecenia nie wykonałeś.

Ambasador prostuje się nieco. Ma wilgotne oczy i drżący głos.

- Po tym, co się stało twojemu mężowi... nie mogłem tego zrobić.

- Co się stało - powtarza Antonia beznamiętnym głosem.

- Nie wiedziałem, że ciebie zaatakuje, Antonia. Musisz mi uwierzyć.

Antonia znowu się uśmiecha. Nie ma w tym szczęścia ani radości. Jest to uśmiech tak smutny jak samotna łza, która spływa po jej lewym policzku.

- Wpuściliście mordercę do naszego życia. Okrutnego człowieka bez skrupułów. Zabił mojego męża. Kiedy ci o nim powiedziałam, zamiast mnie wspierać, wmówiłeś mi, że oszalałam. Odebrałeś mi opiekę nad synem.

- Nie ty byłaś celem! - broni się ambasador, zaciskając dłonie w pięści.

- Ktoś nim był. Fakt, że ostatecznie ucierpiała twoja córka, a nie ktoś inny, nie zmienia tego, co zrobiłeś - mówi Antonia, kręcąc głową. - To tylko sprawia, że boli o wiele bardziej. Ale najokrutniejsze jest to, że o wszystkim wiedziałeś. Że byle tylko nie przyznawać się do swoich win, zrobiłeś ze mnie wariatkę. Że odebrałeś mi opiekę nad synem.

- Nie mogłem wiedzieć...

- Daj mi to.

Sir Peter podnosi wzrok.

- Co takiego?

- Dobrze wiesz. Nie ma już czasu, ojciec. Daj mi to. On zaraz tu będzie. Mogę wyciągnąć nas wszystkich z tego bagna, ale musisz mi to dać. Już.

Ambasador otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale nie wystarcza mu czasu. Ponieważ w tym momencie otwierają się drzwi gabinetu.

W drzwiach pojawia się mężczyzna w garniturze i krawacie.

To członek ochrony ambasady. Antonia go pamięta. Ogolona głowa, słuchawka w uchu. Nieodgadniony wyraz twarzy.

Teraz ma zupełnie inną minę.

- Bardzo dziękuję za *tour* - odzywa się kobieta głos za jego plecami.

Mężczyzna robi krok do przodu, na poły potykając się, na poły popchnięty.

Zanim postawi na podłodze drugą nogę, rozlega się strzał.

Mężczyzna pada na ziemię. W miejscu, w którym wcześniej było życie, zjawia się Sandra. Z jeszcze bardziej szalonym niż kiedykolwiek wcześniej uśmiechem wchodzi do gabinetu.

Za nią, eleganckim i spokojnym krokiem, pojawia się White.

- Słyszał pan już swoją córkę, ambasadorze - odzywa się, wymierzając pistolet prosto w głowę Antonii. - Gorąco namawiam, żeby jej pan posłuchał i przekazał to, o co poprosiła.

Jagańskie słowo

Przez chwilę wszyscy patrzą jak sparaliżowani.

Mamihlapinatapai, myśli Antonia.

W języku jagańskim, którym posługuje się nomadyczne plemię z Ziemi Ognistej, oznacza ugrzęzłe oko.

Spojrzenie między osobami, które czekają, aż inni zainicjują działanie, którego wszyscy pragną, lecz żadna nie ma śmiałości zacząć.

I wtedy zaklęcie przestaje działać.

Dwa obrazy

– Jest tu za dużo ludzi – mówi Sandra.

Kieruje pistolet w stronę Chase'a i ponownie pociąga za spust. Strzał odbija się echem od ścian z drewna tekowego i czerwony płatek otwiera się na środku klatki piersiowej ochroniarza, który leci do tyłu na krzesło. Jon próbuje wyjąć własną broń, ale lufa Sandry celuje w niego z odległości czterdziestu centymetrów.

– Inspektorze, proszę. Bardzo powoli i używając tylko opuszek palców.

Jon przełyka ślinę i wykonuje polecenie z zaciśniętymi zębami. Rozpina marynarkę i oddaje Sandrze broń, która znika w jej płaszczu.

– Na czym to skończyliśmy? – pyta White, stawiając kolejny krok w stronę Antonii. – Ach, tak. Ambasadorze, czekam.

– Nie mogę – odpowiada sir Peter.

Ton jego głosu nie jest wystarczająco przekonujący dla White'a, który robi kolejny krok w stronę Antonii i przystawia jej lufę do skroni.

– Naturalnie ma pan prawo odmówić. Obawiam się, że konsekwencje będą dość oczywiste.

– Nie rób tego, ojcze – mówi Antonia.

Wydaje się, że glock się nie rusza, słychać jedynie lekkie syczenie i głuchy trzask. Głowę Antonii odrzuca, a na jej czole pojawia się czerwony prostokąt – tam, gdzie uderzyła ją broń White'a. Strużka krwi spływa jej po twarzy, przyspiesza przy oczodole i dalej pokonuje tę samą mokrą brudę, którą wyrzeźbiła uroniona wcześniej iza.

– Ja sugeruję coś odwrotnego – mówi White z lodowatym spojrzeniem.

Sir Peter wstaje z trudem.

– Co zamierza pan z tym zrobić?

– Nie pański interes, ambasadorze. Ale z uwagi na nasze dawne relacje biznesowe powiem, że jest wielu zainteresowanych. Niezbyt pożądane osoby. Krótko mówiąc, będę wyjątkowo bogaty. Koniec z doradztwem.

– Na koniec się okazuje, że jest pan tylko zwykłym złodziejem – mówi Antonia, patrząc na niego.

White wymija ją i staje po drugiej stronie biurka, blisko ogromnego okna, w dalszym ciągu do niej celując.

– Boli mnie, pani Scott. Boli mnie, przyznaję. Bardzo mnie boli, że nie wyobraża sobie pani, że będę miał własną kopię tej zabaweczki. W skromnej skali, bez porównania z tym, co zrobią z nią Pekin czy Moskwa. Ale wystarczy, żeby dalej pracować nad moją prawdziwą pasją.

White otwiera szeroko zimne i martwe oczy, zawczasu ciesząc się swoim zwycięstwem.

– A teraz, sir Peter, gdyby był pan tak miły...

Ambasador odwraca się w stronę obrazu wiszącego za biurkiem. Wysoki na metr i szeroki na siedemdziesiąt centymetrów, przedstawia dwa martwe, uschnięte drzewa na pierwszym planie i zamglony wodospad w tle. To oczywiście reprodukcja. Oryginalna akwarela znajduje się w Tate Gallery, niespełna sześć mil od miejsca, w którym William Turner namalował ją w 1802 roku.

I całe szczęście, ponieważ ta reprodukcja to nic innego jak drzwi zamontowane na dwóch pomysłowo ukrytych zawiasach. Gdy się je obróci, wyłania się sejf.

– Nieśmiertelny klasyk. Ostrożnie przy otwieraniu, ambasadorze.

Sir Peter wprowadza kombinację, a następnie przykładą palec do czerwonego czujnika obok drzwi. Te otwierają się z metalicznym trzaskiem.

– Wybacz mi, córeczko – mówi, sięgając do środka.

W ciągu kolejnej półtorej sekundy dzieje się siedem rzeczy.

Sir Peter zaczyna się odwracać, trzymając w ręku pistolet, który leżał w sejfie. Na jego napiętej twarzy maluje się coś w rodzaju spokojnej determinacji.

Sandra, która miała lepszy kąt widzenia sejfów, odsuwa broń od Jona i wymierza nią w ambasadora. Z jej gardła zaczyna się wydobywać groźny, gardłowy krzyk jak u dzikiego zwierzęcia.

Jon Gutiérrez wykorzystuje tę chwilę, żeby sięgnąć za plecy, gdzie wciąż trzyma broń, którą odebrał ochroniarzowi. W jego szczęce zęby zgrzytają wściekle.

Sandra zmienia trajektorię broni i przenosi ją w stronę głowy Jona, pociągając za spust. W jej ręce jest zbyt duża bezwładność, na jej twarzy niedowierzanie, gdy uświadamia sobie, jaki popełniła błąd, nie sprawdzając, czy inspektor jest uzbrojony.

Pan White strzela, trafiając sir Petera w bok czaszki. W jego spojrzeniu nie ma nawet delikatnego cienia emocji.

Jon Gutiérrez nie jest w stanie podnieść broni (nie ma na to czasu), ale trzykrotnie naciska spust. W jego uchu wewnętrznym dochodzi do trzęsienia ziemi wywołanego strzałem Sandry, które sprawia, że traci równowagę.

Antonia Scott krzyczy i rzuca się przed siebie, próbując zapobiec upadkowi Jona, który przewracając się, uderza głową o stół. W swoim cudownym umyśle Antonia cieszy się, że uszkodziła ten mebel całą wieczność temu, ponieważ dzięki temu marmur wywraca się wraz z ruchem Jona, zamiast skrócić mu kark.

Ostatnia zagadka

Antonia rozgląda się wokół i analizuje to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej półtorej sekundy. Musi poradzić sobie jednocześnie z trzema różnymi emocjami:

- Rozdzierający smutek na widok jej ojca, leżącego z rozwaloną głową między biurkiem a ścianą.
- Niezdrowa radość na widok Sandry, z płaszczem przesiąkniętym krwią, umierającej ze wzrokiem pełnym niedowierzania.
- Ogromne przerażenie na widok Jona leżącego na podłodze z zamkniętymi oczami, podczas gdy z jego karku dobiegają groźne piknięcia.

– Zostaliśmy sami, pani Scott – odzywa się White.

Antonia go ignoruje i sprawdza puls swojego partnera. Inspektor Gutiérrez jest nieprzytomny, ale jego tętno jest mocne i regularne.

– Proszę, by oparła się pani pokusie chwycenia broni inspektora albo tej, która leży po drugiej stronie biurka, obok ciała pani ojca – ostrzega ją White. – Przypominam pani, że celuję nie tylko z pistoletu.

Antonia się odwraca.

White macha małym urządzeniem, które trzyma w lewej dłoni. Wielkością i kształtem przypomina dawny pilot do garażu.

– To na nic się tu panu nie przyda. Gabinet mojego ojca jest chroniony inhibitorami sygnału – mówi Antonia.

– A więc mamy szczęście, że pomyślałem o dodaniu połączenia Bluetooth. Które działa w innym paśmie.

Wciska jeden guzik na pilocie. Z karku Jona zaczyna dobiegać ciągłe pikanie.

Antonia wstaje z wymalowaną na twarzy porażką. White obserwuje ją z tryumfalnym uśmiechem. Było widać jak na dłoni, że ta kobieta nie lubi przegrywać. Ale cóż to za przyjemność pokonać kogoś, kto to lubi?

- Gdyby była pani tak miła i wyjęła z sejfu twardego dysk, byłbym wdzięczny – prosi White, wskazując bronią w tamtą stronę.

Antonia okrąża biurko i wsadza rękę do sejfu. Za kilkoma dokumentami i teczkami znajduje kwadratowy kształt w czerwonym etui.

Lewą ręką pokazuje je White'owi.

Prawą wyjmując zza pleców swój pistolet.

- Proszę, proszę, Antonia Scott z bronią. To nowość – mówi White z uśmiechem.

- Nie pozwolę, żeby pan to zabrał – oznajmia Antonia. - Nawet jeśli nas pan zabije. Będą cierpieć miliony ludzi.

Rozbawiony White patrzy na rękę swojej rywalki.

- Nie ma pani najlepszego celu na świecie, pani Scott. Jeśli w tej chwili pociągnie pani za spust...

Antonia to robi. Raz za razem, aż opróżnia magazynek. Sześć kul kalibru dziewięć milimetrów trafia w okno, robiąc sześć dziur w szybie, ponad półtora metra od White'a, który nie ruszył się ani trochę.

- ...niewątpliwie pani chybi.

Zamek P290 się zablokował, informując, że teraz jest tylko bezużytecznym rupieciem. Antonia rzuca go na podłogę i obchodzi biurko.

- Nie wyjdzie pan stąd, panie White – mówi. - Dlaczego się pan nie podda?

- Poddać się? Kiedy mam w rękawie wszystkie asy?

White wyciąga rękę, domagając się twardego dysku. Antonia patrzy na leżące na podłodze nieprzytomnego Jona, z którego karku w dalszym ciągu dobiega śmiercionośne pikanie. Nie wzięła pod uwagę tego, że przy ostatnim ruchu tej rozgrywki on nie będzie się mógł ruszać. Tak więc nie pozostaje jej nic innego, jak liczyć na funkcjonariusza Ruano.

- Nie wszystkie – odpowiada.

White wybuchła śmiechem, metalicznym i nieprzyjemnym.

– Jeszcze pani nie zrozumiała, że zawsze jestem cztery kroki przed panią, pani Scott? Wiem, że poprosiła pani o pomoc kilku funkcjonariuszy miejskiej policji. Zresztą wiem o wszystkim, o czym rozmawiała pani z inspektorem od samego początku naszej gry – mówi, przechylając głowę w jej stronę i pokazując słuchawkę w swoim uchu.

Ona nie odpowiada. Nie rusza się. Tylko na niego patrzy z twardym dyskiem w wyciągniętej ręce. Trzy metry od niego.

– Jakie to dogodne dla pani strategii, że ten wieżowiec ma tylko jedno wejście – ciągnie White. – Ale nie wzięła pani pod uwagę tego, że dach jest ogromny. Wystarczająco, żeby wylądował na nim helikopter.

Antonia przytakuje i parska śmiechem.

„Ha”.

To sarkastyczny śmiech. Krótki, lecz wystarczająco potężny, aby uutorować sobie drogę pośród smutku, gniewu i strachu, które ściskają jej gardło.

– Co tak panią bawi?

Antonia wzrusza ramionami.

– To, że pan przegrał, tylko jeszcze o tym nie wie.

White mruży oczy.

– A dlaczego przegrałem, jeśli można wiedzieć?

– Ponieważ poświęcam trzy minuty dziennie na myślenie o samobójstwie – odpowiada Antonia.

Nie dokończyła jeszcze zdania, gdy rzuca mu twardy dysk prosto w twarz. White instynktownie cofa się o krok, a jego plecy uderzają o szybę.

To bardzo grube szkło, stworzone tak, by się nie stłukło.

Ale nie żeby wytrzymać uderzenie sześciu kul kalibru dziewięć milimetrów oraz uderzenie ciała ważącego osiemdziesiąt kilogramów. Na środku szyby tworzą się wielkie pęknięcia.

Niewystarczające, by się zbiła.

A przynajmniej do momentu, w którym Antonia całym swoim ciężarem rzuca się na White'a, uderza go w pasie i chwyta się go,

napierając do przodu.

Szyba pęka z traskiem.

White wypuszcza pistolet, próbując zachować równowagę i pozbyć się ciężaru Antonii, ale jest już za późno. Okno ustępuje, podczas gdy szczepione ciała obojga spadają w pustkę.

Odmowa

Kiedy spadasz z osiemnastego piętra, zanim uderzysz o ziemię, mijają cztery sekundy.

Cztery sekundy mogą się wydawać małym wycinkiem czasu.

Nie dla Antonii Scott.

W ciągu czterech sekund – z zamkniętymi oczami, mocno trzymając się paska White'a, spadając w pustkę – Antonia potrafi:

- obliczyć prędkość, z jaką się poruszają (kwadratowa, zależy od kwadratu czasu spadania). Z każdą sekundą pokonują dwa razy więcej pięter niż w poprzedniej sekundzie z powodu przyspieszonego ruchu, który wywołuje jedyna prawdziwa religia: Prawo Grawitacji;
- zobaczyć, że spadając, White wciska guzik, który aktywuje bombę na karku Jona, nie zdając sobie sprawy, że Bluetooth ma bardzo ograniczony zasięg, mniej niż piętnaście metrów, i że upadek znacznie oddalił go od jego celu;
- doznać dziwnego uczucia spokoju, wiedząc, że – cokolwiek się stanie – uratowała swojego przyjaciela.

Nie robi nic więcej, ponieważ nawet Antonia Scott ma pewne ograniczenia.

Jedynym, co jeszcze ich nie znalazło, jest jej niezłomna wola.

Ona leci dalej, nawet wtedy, gdy droga się kończy. Kiedy spadła z klifu, wciąż spada. I nawet spadając, Antonia po prostu odmawia uderzenia o ziemię.

W ostatniej chwili otwiera oczy.

Nie widzi niczego.

Wszystko jest przyspieszonym rozmyciem. Ulepionym z wiatru, z ciemności, z nicości, do której się kieruje.

Ale nawet spadając, Antonia po prostu odmawia uderzenia o ziemię.

Ciała White'a i jej uderzają w gigantyczny nadmuchiwany materac ratowniczy remizy strażackiej numer jednaście z Hortalezy. Ten sam, którego położenie tak dokładnie określiła w notce przekazanej Ruano w samochodzie zaledwie trzy godziny wcześniej.

Proszę zignorować wszystko, co przed chwilą powiedziałam. Proszę pojechać do remizy strażackiej numer jednaście w dzielnicy Hortaleza, zdobyć nadmuchiwany materac ratowniczy i zabrać ludzi, którzy panu pomogą. Proszę rozłożyć go na ziemi, na rogu Torre Espacio, tym najbliższym kiosku z gazetami. W odległości dwóch metrów od ściany budynku. Procent twardości: 92. Dokładnie za dwie godziny i pięćdziesiąt minut, nie wcześniej. Wtedy zatrzyma pan człowieka, który zabił pańskiego partnera.

Ruano wypełnił instrukcje Antonii co do joty. Prośba zawierała dokładnie sześćdziesiąt osiem słów, ale była wcale niełatwa do spełnienia. Szef remizy numer jednaście z Hortalezy dyskutował z nim przez ponad godzinę, aż w końcu dał się przekonać i wyciągnął swój drogi sprzęt na coś, co zakrawało na żart. A Ruano potrzebował nie tylko użyczenia materaca, lecz także pomocy ośmiu strażaków, żeby móc przetransportować i rozłożyć trzysta siedemdziesiąt jeden kilogramów gumy i materiału oraz pilnować czasu nadmuchiwania, co trwało wiele minut i wymagało specjalisty, żeby wyregulować procent grubości. Ostatecznie udało im się przygotować wszystko zaledwie parę minut przed tym, jak dwa ciała skoczyły z osiemnastego piętra wieżowca ku zdumionym spojrzeniom szefa strażaków i jego ludzi.

Antonia też wcale nie ma łatwo.

Nawet spadając na materac ratowniczy.

Nawet mocno trzymając się White'a, żeby skoncentrować masę.

Mimo że tyle razy wyobrażała sobie taki moment jak ten podczas swoich trzyminutowych sesji.

Nic nie przygotowało jej na coś takiego.

Zderzenie jest brutalne, przerażające.

Brzuch White'a uderza ją w twarz przy pierwszym odbiciu, rozwalając jej nos i wypełniając usta krwią, posyłając małe szkarłatne krople na wszystkie strony.

Siła uderzenia wyrzuca oba ciała na wysokość prawie sześciu metrów.

Rozdzielając ich.

Sprawiając, że przecinają się w powietrzu.

Prawe przedramię Antonii trafia w twarz White'a, łamiąc się i roztrzaskując kość policzkową zabójcy, który w tym samym momencie traci przytomność.

Po ponownym wylądowaniu odbijają się od siebie, a potem przetaczają się w zamroczonym uścisku na sam środek materaca.

Poobijani, ale żywi.

Antonia, zanim też straci przytomność, widzi kajdanki funkcjonariusza Ruano zamykające się na nadgarstkach White'a.

Chce dodać cały szereg ostrzeżeń, przestróg i uwag.

Nie jest w stanie tego zrobić.

Ogarnia ją ciemność.

EPILOG

Rekonwalescencja

Od tego momentu wszystko było dość nudne.

Antonia trafiła do szpitala. Jeszcze tej samej nocy przeszła operację, żeby kość jej ręki umieścić z powrotem na swoim miejscu. Okazało się, że miała też złamane trzy żebra, co powodowało nieznośny ból. Mimo wszelkich propozycji lekarzy nie zgodziła się przyjąć żadnego środka przeciwbólowego.

Gdy tylko się wybudziła, zabrała się do wykonywania telefonów. Pierwsza sprawa – znalezienie Aguado – nie została załatwiona. Lekarka sądowa zapadła się pod ziemię. Musiała to więc odłożyć.

Druga sprawa była ważniejsza.

Udałaby się tam osobiście, by wszystkim się zająć, ale przy drzwiach jej pokoju siedział policjant, uniemożliwiający jej to. Brak Mentora mocno skomplikował cały proces, ale Antonia nie należy do tych, którzy łatwo się poddają.

Celem jej telefonów – długich, męczących rozmów ze wszystkimi interlokutorami – było opracowanie specjalnego protokołu, żeby nie dopuścić do ucieczki White'a.

– Zapewniam panią, że... – W ten sposób zaczynały się wszystkie rozmowy.

– To ja pana zapewniam, że jeśli nie wykona pan moich poleceń co do joty, bezpieczeństwo pańskie i całej pańskiej rodziny będzie zagrożone.

W najbardziej beznadziejnych przypadkach Antonia prosiła swój kontakt z urzędu skarbowego, by zadzwonił do ociągającego się osobnika. Nikt, nawet ci najuczciwsi, nie stawiał oporu.

– Jest pani okrutną kobietą. Ale zrobię, o co pani prosi.

– Cieszę się, bo mam jeszcze jedno zalecenie. Jeden jedyny posiłek dziennie. Ma być zostawiany w pierwszym pomieszczeniu. Pierwsze

drzwi się zamykają, drugie się otwierają. W żadnym momencie żaden ze strażników nie może mieć bezpośredniego kontaktu z osadzonym, czy to jasne?

– W porządku, proszę pani. Jezu, co za charakter.

– Dzięki temu być może uda się wam przetrzymać go przez pięć tygodni – powiedziała Antonia, wykonawszy szybkie obliczenia. – W tym czasie poszukamy czegoś ostatecznego.

– Jak to ostate...?

Antonia rozłączyła się bez pożegnania. Miała drugi telefon, na który czekała ze ściśniętym sercem.

– Dzień dobry.

– W recepcji przekazano mi wiadomość z informacją, że mam zadzwonić pod ten numer – odpowiedziała Carla Ortiz.

– Skąd wiedziałaś, że to nie jest pułapka?

Antonia nie uzgodniła żadnego sposobu kontaktu z Carłą po jej ucieczce, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojej rodzinie, ani żadnego szyfru. Nic nie wydawało jej się wystarczająco pewne. Powiedziała jedynie „Znajdę cię”, szczerze wierząc, że tak się stanie. Nie miała jednak zielonego pojęcia, jak to zrobić.

Po tym, jak White jej powiedział, że są w San Salvadorze, to zadanie stało się znacznie łatwiejsze. W recepcji hotelu zostawiła wiadomość, ponieważ kiedy tam zadzwoniła, było już bardzo późno. Ale dodała coś, co miało przypomnieć Carli o feralnej nocy w tunelu.

– Wygląda na to, że osoba, która zostawiła wiadomość, poprosiła, by recepcjonistka narysowała pod spodem kaczkę.

– Dobrze to zrobiła? Większość ludzi nie umie rysować.

– Dało się rozpoznać zwierzę, choć narysowała je z papierosem wystającym z dzioba – zaśmiała się Carla. – Myślę, że dwie osoby chcą z tobą porozmawiać. Ale najpierw przekaż mi dobre wieści.

– Wracacie do domu.

– To koniec?

– To koniec.

Carla odetchnęła z ulgą i przekazała telefon Jorgemu.

– Mamo, leciałem samolotem! Włączyli nam film. Teraz to mój ulubiony film. Wiesz jaki?

Antonia odpowiedziała, że nie wie. Ale bardzo chciała się dowiedzieć.

A Jon?

Inspektor Jon Gutiérrez obudził się w szpitalu, odczuwając większą niepewność i większy głód niż ból głowy. Pierwsze, co zrobił, to zapytał o Antonię i o Sandrę. Gdy tylko mu przekazano, że pierwsza żyje, a druga umarła, do gry wkroczył apetyt. Zwrócił się po pomoc do wielu pielęgniarzy, którzy nie pozwolili mu zejść do kawiarni po kanapkę mimo jego okrzyków „czuję się doskonale, to było tylko niegroźne uderzenie”. Odmówił wzięcia do ust mdłych i nijakich potraw, które przed nim stawiano, i żywił się jabłkami i jogurtami – to było jedyne, co wzbudzało w nim niejaki zaufanie.

Ostatecznie to sama Antonia – z ręką na temblaku i w szpitalnej koszuli, spod której było widać majtki – udała się do pobliskiej restauracji i przyniosła mu coś przyzwoitego do zjedzenia.

– Pięć jajek sadzonych i trzy chorizos – powiedział Jon obojętnym głosem, kiedy otworzył plastikowe pudełko z restauracji.

– Uznałam, że to będzie najlepsze. Jeśli chcesz, mogę przynieść ci coś in...

Antonia nie dokończyła zdania, widząc, jak Jon atakuje jajka ze łzami w oczach.

Operacja usunięcia mu dwóch ładunków wybuchowych z kręgosłupa była o wiele łatwiejsza, kiedy niektóre zabezpieczenia White'a zostały już zdezaktywowane, ale mimo to Antonia sprowadziła ze Stanów Zjednoczonych neurochirurga, żeby uczestniczył w zabiegu. Na sali operacyjnej było siedem osób, a dziewięciu innych ekspertów z różnych części świata pomagało za pośrednictwem internetu. Kiedy ostatnia śrubka z metalicznym trzaskiem wpadła do naczynia ze stali nierdzewnej, rozległo się ogólne westchnienie ulgi, którego Jon nie był świadomy.

Nie dowiedział się też zbyt wiele podczas późniejszej rozmowy z chirurgiem. Biorąc pod uwagę resztki narkozy oraz fakt, że mężczyzna mówił w obcym języku, Jon wyłapał ledwie parę zdań. Coś o tym, że siedział w więzieniu i że teraz kończy pisanie książki, która ukaże się niedługo. Jon przypuszczał, że facet robi sobie z niego jaja, ale i tak podziękował mu bardzo uprzejmie swoim możliwie najlepszym angielskim prosto z Santutxu. Oprócz zenkiu, zenkiu very much, wątpił, czy lekarz cokolwiek zrozumiał.

W szpitalu został jeszcze przez kilka dni. Tym razem miał niespodziewaną wizytę.

Odwiedziła go sama *amatxo*, która złamała swoją obietnicę, że nigdy nie przekroczy niewidzialnej granicy na Duero. A teraz była tu, po wejściu patrząc z ukosa na Antonię, jakby z nieufnością. Odesłała ją do domu, bo na pewno jesteś zmęczona, dziecko, ja się nim zajmę, ty zadbaj o swoją rękę. Wyjęła z torby pudełko z *kokotxas* i bochenek chleba z piekarni Gorki, no wiesz, kuzyna drugiego stopnia Maidera. Przemiły chłopak, myślę, że jest kawalerem, no wiesz, w razie gdybyś zamierzał zostawić swoją bardzo ważną pracę w stolicy i wrócić w rodzinne strony, do rodziny, w co trudno uwierzyć. Na co on: masz może zdjęcie Gorki, *amatxo*? A ona, no patrz, tak się akurat składa. Jon zajrzał na facebookową stronę piekarni Gorria przy stacji metra Basarrate. I zobaczył piekarza, uśmiechającego się do aparatu, z ogromną *baguette* w każdej ręce.

Jon poczuł ogromną tęsknotę, której nie mógł zaradzić. Chwycił dłoń *amatxo*, przyciągnął ją do siebie, pocałował ją w czoło i coś jej powiedział.

A *amatxo* bardzo się ucieszyła.

I oboje zaczęli płakać.

Początek

Antonia Scott pozwala sobie myśleć o samobójstwie tylko trzy minuty dziennie.

Dla innych osób trzy minuty mogą być małym wycinkiem czasu.

Nie dla Antonii.

Te trzy minuty, podczas których Antonia myśli, jak się zabić, to jej trzy minuty.

Są święte.

Wcześniej to one utrzymywały ją przy zdrowych zmysłach, teraz są jej klawiszem escape. Porządkują jej umysł. Przypominają jej, że bez względu na to, jak źle ułoży się gra, zawsze może ją zakończyć. Że zawsze będzie jakieś wyjście. Że może spróbować wszystkiego.

Teraz przeżywa je niemal z optymizmem. Uratowały jej życie.

Spekuluje nimi jak właściciel kuponu, który dzień przed losowaniem w myślach wydaje główną nagrodę. Jak nastolatek, który nie może się doczekać magicznej chwili pierwszego pocałunku.

Są święte. Przypominają jej, że bez względu na to, jak bolesny jest upadek z bardzo wysoka, najpierw trzeba tam wejść.

Dlatego ani trochę jej się nie podoba, kiedy bardzo dobrze znane jej kroki, piętro niżej, przerywają rytuał.

Antonia jest pewna, że idzie, aby się pożegnać.

A to podoba jej się jeszcze mniej.

Jon Gutiérrez nie lubi schodów.

Dlatego do mieszkania Antonii postanawia pojechać windą.

Ale wysiada na piętrze niżej. Żeby podtrzymać tradycję. Żeby poćwiczyć. Żeby ją uprzedzić.

Ostatnie cztery stopnie pokonuje bardzo powoli, co wynika z zamieszania z ostatnich dni, wyczerpania i braku praktyki. Nie żeby był gruby.

Przechodzi przez otwarte na oścież drzwi – zielone, łuszczące się, strasznie stare – i podąża korytarzem do samego końca.

Antonia Scott siedzi na podłodze, na środku pokoju, w pozycji kwiatu lotosu. Patrzy na niego ze zdumieniem.

– Przyszedłeś się pożegnać?

– Przyszedłem ci powiedzieć, że dwa dni temu dostałem telefon. Z propozycją pracy.

– Ach – odpowiada Antonia.

Jon przeciąga ten moment. Przyjemnie jest chociaż raz znaleźć się naprzeciwko niezręczności Antonii Scott.

– Dogadanie się z nimi trochę mnie kosztowało. Kiepsko mówią po hiszpańsku. A ja po francusku ani słowa.

Ona patrzy na niego wyczekująco. Nie do końca kojarzy fakty. Kolejna nowość tego dnia pełnego cudów.

– Wyjeżdżasz do Francji?

– Piękna, na Boga. To nie jedyny kraj, w którym mówi się po francusku.

Nic. Ani jednej oznaki, że rozumie. Tylko obojętna, wyczekująca twarz. Którą z czasem, za sprawą wysiłku i szczodrości, można nawet uznać za ludzką.

– Dzwonili z Brukseli.

– Aha – kwituje Antonia, wciąż nie załapując.

– Szefowie pozostałych ekip znowu ruszają z projektem. Będzie mniej możliwości. Mniej pieniędzy. Mniej zaangażowanych państw. Ale nadal uważają, że Czerwona Królowa to strategiczny projekt.

– Cieszę się. Bruksela to piękne miasto.

Jon uśmiecha się w duchu. Taka inteligentna, a jeszcze się nie zorientowała, o co chodzi.

„Prawdopodobnie zajmie to trochę czasu”.

– Oczywiście przyjąłem tę pracę. W zamian poprosiłem tylko o to, żeby mi pozwolili zaproponować co najmniej jednego kandydata na inne miejsce, które się zwolniło.

– Jon, jak mi nie wyjaśnisz, co...

– Nie było łatwo – przerywa jej. – Potrzeba osoby z doświadczeniem w tym projekcie, która jest sprawdzona i zna się na zarządzaniu. I nagle pomyślałem, że przecież znam kogoś zaufanego.

Jon odsuwa się na bok.

Za nim, na korytarzu, stoi Raúl Covas. Facet koło pięćdziesiątki, metr osiemdziesiąt, włosy w kolorze mahoni, oczy szare i ramiona, że palce lizać. W garniturze odznaczają się nieco mniej niż w mundurze, ale to nic.

– Scott – wita się, pochylając głowę.

– Inspektor Covas – odzywa się Antonia takim tonem, jakby przyzywała demona.

– Już nie. Możesz mnie nazywać Mentorem.

W głowie Antonii bardzo wyraźnie pojawia się kluczowy punkt, najważniejszy ze wszystkich, jakie zamieszczono w kwestionariuszu w magazynie „Telva”.

Punkt 6: Nigdy nie wracaj do swojego byłego.

„Nieważne, co myślisz, jest milion rzeczy, które się nie udażą”.

Antonia się podnosi, robi parę kółek po pokoju i zatrzymuje się po drugiej stronie, pod okienkiem.

– Jon, możesz na chwilę przyjść?

Jon podchodzi niewinnym krokiem.

– Tak, skarbie?

– Nie zauważyłeś, że to imbecyl?

– Mówiłaś, że jest bardzo bystry.

– Nie tego typu imbecyl.

– Bruksela go akceptuje.

– Taa, ale ja nie.

– To zupełnie inna sprawa, piękna. W Brukseli chwalą twoje dokonania. Ale są trochę – prawą ręką porusza równolegle do podłogi z szeroko rozstawionymi palcami – średnio nastawieni do twojej energii, a konkretnie jej nadmiaru. I do czegoś, co nazwali *bullé purle veicúl espesió*.

– To niesprawiedliwe – skarży się Antonia. – Tu prowadzisz dwa do jednego. I tym razem żadnego nie uszkodziliśmy.

Mentor wyjmuje z kieszeni marynarki papier i zaczyna czytać.

– Szesnaście tysięcy euro za uszkodzenia lakieru, lusterek bocznych, szlabanu przy centrum handlowym...

Antonia patrzy na Jona i kręci głową z rezygnacją.

– Jedno muszę ci przyznać. Potrzebowali zawodowego dupoliza i układnia. Wybrałeś najlepszego.

– Mam świetne oko, piękna.

– A co z tobą?

– Ze mną?

– Nie dość miałeś krwi, miejsc zbrodni, przemocy?

– Wystarczy mi do końca życia – potwierdza Jon.

– Chcesz więcej?

– Na Boga, tak.

Antonia się uśmiecha.

Uśmiech o mocy dziesięciu tysięcy watów, znak towarowy.

Mentor przekazuje im teczkę z jakimiś papierami. Oczywiście tajemnica.

– W takim razie na co czekamy?

Jon także się uśmiecha i wyciąga rękę. Antonia podaje mu teczkę, ale Jon kręci głową. *Amatxo* nie wychowała żadnego idioty, absolutnie.

– No co? Dawaj kluczyki do samochodu, piękna.

Podziękowania

Dotarcie do tego miejsca kosztowało mnie dwanaście lat i nie zrobiłem tego sam. Dlatego podziękowania zechcą przyjąć:

Przede wszystkim Ty, Czytelniku. Za to, że dzięki Tobie moje książki odniosły sukces w czterdziestu krajach. Dziękuję z całego serca. To dla mnie duma i zaszczyt, że mogę dzielić się z Tobą moimi historiami. Mam jeszcze ostatnią prośbę.

Z pewnością zdałeś już sobie sprawę, że ta historia zaczęła się na długo przed publikacją *Czerwonej Królowej*. Jeżeli jeszcze tego nie zrobiłeś, zachęcam Cię do zapoznania się z całą pentalogią w kolejności chronologicznej: *Pacjent*, *Cicatriz*, *Czerwona Królowa*, *Czarna Wilczyca* i *Biały Król*. Zobaczysz, jak historia zmienia się na Twoich oczach.

Antonia Kerrigan i cały jej zespół: Hilde Gersen, Claudia Calva, Tonya Gates i pozostałe, jesteście najlepsze.

Carmen Romero, Berta Noy i Juan Díaz, którzy uwierzyli w Antonię Scott i Jona Gutiérreza. Cały zespół działu handlowego Penguin Random House, który robi wszystko, co w ich mocy, żeby zabierać książki do najdalszych zakątków. A także Eva Armengol, Nuria Alonso i Irene Pérez, które pomagają mi przedstawiać Antonię i Jona nowym osobom. Raffaella Coia i Bettina Meyer, które zredagowały i złożyły książkę. Clara Rasero, która ma w głowie chronometr.

Dział projektowy wydawnictwa Penguin Random House, który przygotował ponad pięćdziesiąt różnych wersji okładek serii *Czerwona Królowa*, aż znaleźliśmy idealne. Bez słowa narzekania.

Juanjo Ginés, poeta, który mieszka w Jaskini Szaleńców i bawi się w Ogrodzie Turków i który zawsze jest blisko, bez względu na upływające lata.

Manuel Soutiño, który zawsze jest przy mnie, czytając jeden manuskrypt za drugim, od samego początku.

Alberto Chicote i Inmaculada Núñez, ponieważ bardzo was kochamy, a także za najlepsze klopsiki, jakie przyrządzono kiedykolwiek w historii ludzkości.

Dani Rovira, Mónica Carrillo, Alex O'Dogherty, Agustín Jiménez, Berta Collado, Ángel Martín, María Gómez, Manel Loureiro, Clara Lago, Raquel Martos, Roberto Leal, Carme Chaparro, Luis Piedrahita, Miguel Lago, Goyo Jiménez i Berto Romero. Wszyscy okazujecie mi więcej życzliwości i więcej koleżeństwa, niż na to zasługuję, nie wspominając o Waszym wspaniałym talencie. Jestem dumny, że mogę się nazywać Waszym przyjacielem.

Gorka Rojo, który jak nikt potrafi obliczyć, ile czasu zajmuje człowiekowi upadek.

Arturo González-Campos, mój przyjaciel, mój współnik. Szkoda, że jesteś taki stary i zostało mi tak niewiele czasu, by się Tobą nacieszyć.

Rodrigo Cortés, który jest tak nieznośnie bystry jak Antonia – czasami. Równie dobry przyjaciel jak Jon – przez resztę czasu.

Javier Cansado, obyś nigdy nie spełnił swojej groźby przejścia na emeryturę.

Emil Cioran, Fernando Savater i Alberto Domínguez Torres, od których nauczyłem się o śnie i bezsenności.

Joaquín Sabina i Pancho Varona, którzy zapewнили mi ścieżkę dźwiękową.

Bárbara Montes. Moja żona, moja kochanka, moja przyjaciółka. To dla mnie przywilej móc każdego ranka budzić się obok Ciebie i przekonać, że nie uciekłaś, co byłoby najrozsądniejsze. Stokrotne dzięki za Twoje rady, za Twój uśmiech o mocy dziesięciu tysięcy watów. Ty jesteś moją Antonią Scott. Kocham Cię.

I jeszcze końcowe wyjaśnienie. Być może chcesz mnie zapytać, co się stanie teraz, kiedy pierwsza przygoda Jona Gutiérreza i Antonii Scott dobiegła końca. Dasz im jakieś nowe wyzwanie? Co będzie z tymi nowymi przygodami, które na pewno siedzą ci w głowie?

Krótką odpowiedź brzmi: nie wiem.

Długa odpowiedź brzmi: to zależy od Ciebie.

Michael Connelly – jeden z geniuszy w tym fachu – powiedział mi kiedyś, że zmotywowany czytelnik lub czytelniczka może pozyskać co najmniej dziesięciu nowych czytelników. Przekonać ich, żeby przeżyli tę samą historię, co on lub ona. Tak więc mogę stwierdzić, z ogromną radością i wdzięcznością, że Antonia i Jon nie należą już do mnie, tylko do Ciebie.

Tak więc Ty mi odpowiedz.

Antonia i Jon powrócą?

Ściskam mocno
Juan Gómez-Jurado

Rey Blanco

Copyright © Juan Gómez-Jurado 2020

Autor representado por Antonia Kerrigan, Agencia Literaria

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2023

Copyright © for the translation by Barbara Bardadyn 2023

Redakcja – Kornelia Dąbrowska

Korekta – Paulina Stoparek, Anna Strożek, Aneta Wieczorek

Projekt typograficzny i skład – Katarzyna Kotynia

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Midjourney

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek

inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana

elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu

bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści.

Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2023

ISBN mobi: 9788382107128

ISBN epub: 9788382107135



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas,

energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz

Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka, Julia Siuda

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Piotr Jankowski,

Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

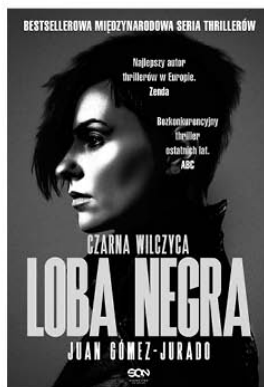
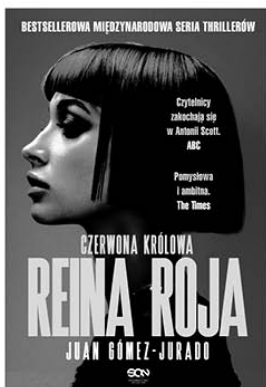
Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

**POZNAJ POPRZEDNIE PRZYGODY
ANTONII SCOTT**



**BESTSELLEROWA SERIA THRILLERÓW, KTÓRA
SPRZEDAŁA SIĘ W SAMEJ HISZPANII W PONAD
DWÓCH MILIONACH EGZEMPLARZY.**

Szukaj w dobrych księgarniach

SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL **labotiga**.pl